

Stare jest piękne

Brin David



calibre 0.9.43

DAVID BRIN

STARE JEST PIĘKNE

Tytuł oryginału: „The Practice Effect”

(Tłumaczył Bartłomiej Kowalski)

Carol i Norze

oraz wielbicielom innych światów

I. SŁŁUI GENERIS 3

II. COGITO, ERGO TUTTI FRUTTI 24

III. NOM DE TERRE 40

IV. NAJKRÓTSZA DROGA DO CARNEGIE HALL 53

V. ROZWIĄZANIE DENTYSTYCZNE 75

VI. BALLON D'ESSAI 92

VII. MĘDRZEC NERON 114

VIII. EUREKAARRG! 160

IX. DISCUS JESTUS 180

X. SIC CIASTECZKUS DISINTEGRATUM 211

XI. ET DWA TUU TUUT! 227

XII. SEMPER UBI SUB UBI 252

I. SŁŁUI GENERIS

Ten wykład był naprawdę nudny.

Przed zgromadzonymi w słabo oświetlonej sali konferencyjnej przechadzał się, z dłońmi splecionymi za plecami i ze wzrokiem utkwionym w sufit, dostojny, srebrnowłosy dyrektor Saharańskiego Instytutu Technologicznego. Przechadzał się, z namaszczeniem przemawiając na temat, o którym najwyraźniej miał dość blade pojęcie.

W każdym razie Dennis Nuel, cierpiący w milczeniu w jednym z tylnych rzędów, postrzegał to w ten właśnie sposób.

Być może był taki czas, gdy Marcel Flaster świecił jasnym blaskiem na firmamencie fizyki. Ale to było dawno, zanim jeszcze któremukolwiek spośród obecnych tu, młodszych wiekiem naukowców przysłała do głowy myśl o poświęceniu się fizyce rzeczywistości. Dennis zastanawiał się, co może zmienić człowieka niegdyś obdarzonego talentem w nudnego, wyzbytego obiektywizmu administratora. Przysiękł sobie, że prędzej skoczy z Mount Feynman, niż dopuści, żeby coś podobnego przytrafiło się również jemu.

Donośny głos buczał monotennie.

- Tak więc widzimy, moi drodzy, że dzięki użyciu zewatroniki alternatywne rzeczywistości są, jak się zdaje, w zasięgu naszej ręki, otwierając możliwości ominięcia ograniczeń zarówno czasu, jak i przestrzeni...

Dennis hołubił swego kaca w pobliżu tylnej ściany zatłoczonej sali i usilnie się zastanawiał, jaka to, do diabła, siła wyciągnęła go z łóżka w poniedziałkowy poranek i zmusiła nie tylko do przyjścia tutaj, ale i słuchania wywodów Marcela Flastera na temat zewatroniki.

W końcu powieki mu opadły. Zaczął osuwać się w fotelu.

- Dennis! - szepnęła ostro Gabriela Versgo i wbiła mu łokieć w zebra. - Bądź łaskaw sięść prosto i słuchać nieco uważniej!

Dennis podskoczył gwałtownie, mrugając. Teraz już sobie przypomniał siłę, która go tutaj przywlokła.

O siódmej rano Gabbie kopniakiem otworzyła drzwi do pokoju Dennisa i zaciągnęła go za ucho do łazienki, całkowicie ignorując zarówno przyzwoitość, jak i jego głośnie protesty. Trzymała jego rękę w kleszczach swoich paluszków, aż oboje znaleźli się tutaj, w fotelach sali konferencyjnej Instytutu.

Dennis rozmasował ramię tuż powyżej łokcia. Któregoś dnia, zdecydował, wkradnie się do pokoju Gabbie i powyrzuca te wszystkie kauczukowe piłeczki, które rudowłosa tak lubi ścisnąć w

dłoniach podczas pracy.

Znowu go szturchnęła.

- Będziesz wreszcie siedział spokojnie? Wiercisz się, jakbyś miał owsiki! Chcesz zostać jeszcze bardziej odsunięty od zewatroniki?

Jak zwykle Gabbie niemal trafiła w dziesiątkę. Dennis w milczeniu potrząsnął głową i z wysiłkiem skupił uwagę na wykładowcy.

Doktor Flaster zakończył rysowanie nieokreślonej bryły w stojącym przed zgromadzonymi holotanku. Odłożył pióro świetlne na podium i podświadomie wytarł dłonie o nogawki spodni, chociaż ostatni kawałek kredy został wyjęty spod prawa ponad trzydzieści lat temu.

- Oto jest zewatron - oznajmił z dumą.

Dennis z niedowierzaniem przyjrzał się świetlnemu rysunkowi.

- Jeśli to jest zewatron - szepnął - to ja jestem abstynentem. Flaster odwrócił bieguny, a pole jest przenicowane na drugą stronę!

Rumieniec Gabrieli niemal dorównał odcieniem jej płomiennym włosom. Ostre paznokcie wbiły się w jego udo. Dennis skrzywił się, ale gdy Flaster podniósł oczy, mrugając krótkowzrocznie, udało mu się wyglądać niewinnie jak baranek. Po chwili dyrektor chrząknął, przeczyszczając gardło.

- Jak już wcześniej mówiłem, wszystkie ciała posiadają środek ciężkości. Środkiem ciężkości danego ciała jest punkt równowagi, na który oddziałują w równym stopniu wszystkie siły składowe... a więc do którego, jakby można powiedzieć, daje się przypisać istota tego ciała, jego rzeczywistość.

- Ty, mój chłopcze - powiedział, wskazując Dennisa. - Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jest twój środek ciężkości?

- Hmm... - Dennis zastanowił się z niepewną miną. Nie słuchał przecież aż tak uważnie. - Myślę, że musiałem zostawić go w domu, sir.

Rozległy się parsknięcia doktorów nauk, szczególnie tych siedzących w tylnej części sali. Rumieniec Gabbie stał się jeszcze głębszy. Osunęła się w krzesło, najwyraźniej marząc o tym, żeby być gdzie indziej.

Naczelny Uczony uśmiechnął się lekko.

- Nuel, prawda? Doktor Dennis Nuel?

Dennis kątem oka zauważył, że jego niezręczna sytuacja wywołuje szeroki uśmiech na twarzy siedzącego po drugiej stronie sali Bernalda Brady'ego. Ten wysoki młodzieniec o oczach psa gończego był niegdyś jego głównym rywalem i wreszcie udało mu się postawić na swoim i

całkowicie odsunąć Dennisa od prac w głównym laboratorium zewatronicznym. Uśmiech, którym teraz Brady go obdarzył, był destylowaną złościwością.

Dennis wzruszył ramionami. Czuł, że po tym, co zaszło w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ma już naprawdę niewiele do stracenia.

- Tak jest, panie doktorze Flaster. To miło z pańskiej strony, że pan mnie pamięta. Byłem kiedyś, jak pan może sobie przypomina, zastępcą dyrektora Pierwszego Laboratorium.

Gabriela kontynuowała zsuwanie się w głąb tapicerki, usilnie starając się zrobić wrażenie, że nigdy w życiu Dennisa nie widziała.

Flaster skinął głową.

- Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Prawdę powiedziawszy, pańskie nazwisko bardzo niedawno gościło na moim biurku.

Twarz Bernalda Brady'ego zajaśniała. Najwyraźniej nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż wysłanie Dennisa na jakąś daleką wyprawę badawczą... powiedzmy na Grenlandię albo na Marsa. Dopóki Dennis pozostawał na miejscu, stanowił groźbę dla jego niepohamowanej żądzы przypoehlebiana się oraz wspinania po szczeblach biurokratycznej drabiny. Również, chociaż bez specjalnych chęci ze swej strony, Dennis był, zdaje się, przeszkodą w romantycznych zapędach Brady'ego wobec Gabrieli.

- W każdym razie, doktorze Nuel - ciągnął Flaster - z pewnością nie mógł pan gdzieś „zostawić” swego środka ciężkości. Myślę, że jeśli pan dobrze sprawdzi, znajdzie go pan mniej więcej w okolicy swego pępka.

Dennis spojrzał na sprzączkę swego pasa, potem podniósł ku dyrektorowi rozpromienioną twarz. „Rzeczywiście, jest tam! Zapewniam pana, że w przyszłości będę bardziej na niego uważał!”

- Przykro jest się dowiedzieć - powiedział Flaster przesadnie serdecznym tonem - że ktoś tak wprawny w posługiwaniu się improwizowaną procą tak mało wie o środku ciężkości!

Najwyraźniej nawiązywał do zdarzenia sprzed tygodnia, na oficjalnym balu pracowników Instytutu, kiedy to przez okno wpadł jak błyskawica mały, latający potworek i sterroryzował tłum zgromadzony wokół wazy z ponczem. Dennis zdjął wtedy pas, złożył go w procę Dawida i wystrzelonym kieliszkiem strącił nietoperzowatą istotę, zanim miała szansę poważnie kogoś zranić ostrym jak brzytwa dziobem.

Ta improwizacja natychmiast zrobiła z niego bohatera wśród młodszych naukowców i techników, a także natchnęła Gabbie do rozpoczęcia obecnej kampanii, zmierzającej do „ratowania jego kariery”. W rzeczywistości Dennis chciał wtedy tylko jednego - przyjrzeć się niewielkiemu zwierzątku nieco bliżej. To, co przez krótką chwilę udało mu się zauważyć, zrobiło w jego mózgu lawinę spekulacji.

Większość z obecnych na balu przypuszczała, że jest to eksperyment Centrum Genetycznego znajdującego się po przeciwnej stronie Instytutu. Eksperyment, który przypadkowo wyrwał się na wolność. Jednak Dennis miał inne na ten temat zdanie.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby nabrał przekonania, że ta istota najwyraźniej nie pochodzi z Ziemi!

Bardzo szybko zjawili się dyskretni panowie z Ochrony, włożyli ogłuszone zwierzątko do klatki i gdzieś wynieśli. Dennis był pewien, że pochodzi ono z Pierwszego Laboratorium... Z Laboratorium, w którym znajdował się główny zewatron... teraz niedostępny dla kogokolwiek spoza grona wybrańców Flastera.

- Doktorze Flaster, skoro już poruszył pan ten temat... - zaryzykował. - Jestem pewien, że wszyscy jesteśmy zainteresowani środkiem ciężkości tego małego potworka, który wdarł się na nasz bal. Czy mógłby pan nam w końcu wyjaśnić, co to było?

W sali konferencyjnej nagle zrobiło się bardzo cicho. Publiczne rzucanie wyzwania Głównemu Uczonemu nie mieściło się w ramach przyjętych tutaj zwyczajów. Ale Dennisowi było już wszystko jedno. Bez wyraźnych powodów ten człowiek odsunął go już od pracy jego życia. Co jeszcze mógł mu zrobić?

Flaster przyjrzał się Dennisowi pozbawionym wyrazu wzrokiem. W końcu skinął głową.

- Proszę przyjść do mego biura godzinę po zakończeniu seminarium, doktorze Nuel. Obiecuję, że wtedy odpowiem na wszystkie pańskie pytania.

Dennis zamrugał, zaskoczony. Czy ten facet naprawdę zamierza to zrobić? Kiwnął głową potwierdzając, że przyjdzie, i Flaster wrócił do swego holoszkicu.

- Jak mówiłem - kontynuował – odchylenie od psychosomatycznej rzeczywistości zaistniało, gdy otoczyliśmy środek ciężkości polem zakłócającym prawdopodobieństwo, które to pole...

Kiedy uwaga zgromadzenia całkowicie już się od nich odsunęła, Gabriela zasyczała w ucho Dennisa:

- No, wreszcie tego dopiąłeś!

- Hmm? Czego dopiąłem? - Spojrzał na nią niewinnie.

- Nie udawaj, że nie wiesz! - szeptała. - Teraz on cię wyśle na Depresję El-Kattara, żebyś liczył ziarenka piasku! Zobaczysz!

*

Dennis Nuel w tych rzadkich chwilach, gdy pamiętał o trzymaniu się prosto, był wzrostu nieco

powyżej średniego. Ubierał się zwyczajnie... ktoś nawet mógłby powiedzieć: niedbale. Jego włosy były nieco za długie w stosunku do wymogów obecnej mody - bardziej ze względu na upór niż na przekonanie. Jego twarz przybierała czasami ten senny wyraz, który często kojarzono albo z geniuszem, albo ze skłonnością do płatania figli. W rzeczywistości Dennis był odrobinę zbyt leniwy, żeby być tym pierwszym i miał nieco zbyt dobre serce, żeby ulegać temu drugiemu. Miał falujące, brązowe włosy i również brązowe oczy, teraz nieco przekrwione od pokera, który wczoraj przeciągnął się do późnych godzin nocnych.

Po wykładzie, gdy tłum sennych pracowników naukowych rozpraszał się w poszukiwaniu ustronnych kątów, w których można by się było zdrzemnąć, Dennis stanął przed instytutową tablicą informacyjną w nadziei, że zobaczy na niej ogłoszenie jakiegoś innego centrum badawczego, zajmującego się zewatroniką.

Oczywiście niczego tam nie znalazł. Instytut Saharański był jedynym, w którym prowadzone były naprawdę zaawansowane prace nad efektem zev. Powinien to wiedzieć. Wiele kroków naprzód w tej dziedzinie zapisywał na swoje konto. Kiedyś - sześć miesięcy temu i dawniej.

Gdy sala konferencyjna opustoszała niemal całkowicie, Dennis zobaczył wychodzącą Gabrielę. Szczebiotała, wspierając się na ramieniu Bernalda Brady'ego. Brady był nadęty, jakby przed chwilą zdobył Mount Everest. Najwyraźniej zadurzył się po uszy.

Dennis życzył mu szczęścia. Będzie miło, jeśli uwaga Gabrieli przez chwilę skupi się na kimś innym. Gabbie była bardzo kompetentnym naukowcem, oczywiście. Jednak jednocześnie była nieco zbyt opiekuńcza i nieustępliwa, żeby Dennis mógł się przy niej odprężyć.

Spojrzał na zegarek. Nadszedł czas przekonać się, czego chce Flaster. Dennis wypiął pierś. Postanowił, że nie da się zbyć żadnymi dalszymi wykrętami. Flaster odpowie na kilka prostych pytań albo on zrezygnuje z pracy!

*

- Ach, Nuel! Proszę wejść!

Marcel Flaster, srebrnowłosy i trochę zbyt tęgi, podniósł się zza błyszczącej, pustej przestrzeni swego biurka.

- Siadaj sobie, chłopcze. Zapalisz cygaro? Świeży transport z Nowej Hawany na Wenus. - Wskazał Dennisowi obity aksamitem fotel w pobliżu sięgającej sufitu lampy.

- Powiedz mi więc, młody człowieku, jak ci leci z tymi badaniami nad sztuczną inteligencją, którymi teraz się zajmujesz?

Dennis spędził ostatnie sześć miesięcy, kierując niewielkim projektem badawczym, sponsorowanym przez stary, niezniszczalny zapis, który ciągle dostarczał funduszy, mimo że już w

2024 roku zostało udowodnione, iż sztuczna inteligencja jest naukowym ślepy m zaukiem.

Nie miał pojęcia, dlaczego Flaster go o to pyta. Nie chciał jednak być bez potrzeby nieuprzejmy, zaczął więc opowiadać o ostatnich, umiarkowanych postępach, jakich dokonała jego mała grupa.

- No cóż, zrobiliśmy pewien krok naprzód. Ostatnio opracowaliśmy nowy, wysokiej jakości program naśladowczy. W czasie testów telefonicznych rozmawiał on z losowo wybranymi osobami średnio przez sześć minut i trzydzieści sekund, zanim zaczynały podejrzewać, że ich rozmówcą jest maszyna. Rich Schwall i ja myślimy...

- Sześć i pół minuty! - przerwał Flaster. - No, to pobiliście stary rekord. O ponad minutę, jak mi się wydaje! Jestem naprawdę pod wrażeniem!

Potem Flaster uśmiechnął się protekcyjnie.

- Ale szczerze mówiąc, Nuel, nie myślisz chyba, że bez powodu przydzieliłem młodego naukowca o tak oczywistych zdolnościach jak twoje do badań, które właściwie nie mają żadnych szerszych perspektyw, co?

Dennis potrząsnął głową. Już dawno doszedł do wniosku, że dyrektor naukowy zepchnął go w kątek Instytutu, żeby móc wsadzić do laboratorium zewatronicznego swoich pupilków.

Do śmierci swego dawnego mistrza, doktora Guinasso, Dennis znajdował się w samym centrum ekscytujących prac nad analizą rzeczywistości. Potem, w ciągu kilku tygodni od tego tragicznego zdarzenia, ludzie Flastera zostali wprowadzeni do laboratorium, a ludzie Guinasso bezwzględnie stamtąd usunięci. Na myśl o tym Dennis wciąż czuł gorycz. Był pewien, że w chwili, gdy został wygnany z ukochanej pracy, znajdował się wraz z zespołem w przededniu dokonania wspaniałych odkryć.

- Naprawdę nie potrafię odgadnąć, dlaczego pan mnie przeniósł - powiedział. - Hmm, czyżby oszczędzał mnie pan dla bardziej doniosłych zadań?

Flaster uśmiechnął się, jakby nie zauważając sarkazmu tej uwagi.

- Dokładnie tak, mój chłopcze! Dajesz dowody naprawdę wyjątkowej wnikliwości. Powiedz mi więc - teraz, gdy masz już doświadczenie w prowadzeniu niewielkiego wydziału - jak by ci się podobało kierowanie całością tutejszych prac zewatronicznych?

Dennis zamruął, kompletnie zaskoczony.

- Och - odpowiedział zwięźle.

Flaster wstał i podszedł do skomplikowanego ekspresu, stojącego na bocznym stoliku. Nalał dwie filiżanki gęstej kawy i jedną z nich podał Dennisowi. Dennis przyjął naczynie drętwo. Niemal

nie czuł smaku gęstego, słodkiego naparu.

Flaster wrócił za biurko i upił mały łyżeczek ze swej filiżanki.

- Chyba nie myślałeś, że pozwolimy naszemu najlepszemu specjalistcie od efektu zew gnić na bocznym torze do końca jego dni, co? Oczywiście, że nie! Tak czy inaczej planowałem przenieść cię z powrotem do Pierwszego Laboratorium w ciągu kilku najbliższych tygodni. A teraz, gdy pojawiła się możliwość objęcia stanowiska podministra...

- Czego?

- Stanowiska podministra! W rządzie Śródziemia znowu nastąpiły przesunięcia i mój stary przyjaciel Boona Calumny jest przewidziany do teki ministra nauki. Więc gdy od razu następnego dnia zadzwonił do mnie z prośbą o pomoc... - Flaster rozłożył ręce, jakby reszta była już jasna.

Dennis nie mógł uwierzyć, że naprawdę to słyszy. Był przekonany, że starszy pan go nie lubi. Co go, do diabła, skłoniło, żeby w chwili, gdy zrodziła się kwestia następstwa, zwrócić się właśnie do niego?

Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem jego własna niechęć nie przesłoniła mu szlachetniejszych stron osobowości Flastera.

- Rozumiem, że jest pan zainteresowany moją propozycją?

Dennis kiwnął głową. Motywy Flastera były mu obojętne dopóty, dopóki będzie miał możliwość ponownego położenia rąk na zewatronie.

- Znakomicie! - Flaster znowu uniósł filiżankę. - Jest oczywiście pewien szczegół, z którym najpierw musimy sobie poradzić - ale to drobiazg, naprawdę. Rzecz z rodzaju tych, dzięki którym możesz wykazać się przed całym laboratorium zdolnościami przywódczymi i zapewnić sobie powszechne poparcie.

- Ach - powiedział Dennis. „Wiedziałem! A więc jest! Haczyk!”

Flaster sięgnął pod biurko i wyjął stamtąd szklany pojemnik. Wewnątrz leżał futrzanoskrzydły, brzytwozęby potworek. Sztywny i martwy.

- Po tym, jak zeszłej soboty pomogłeś nam go schwytać, doszedłem do wniosku, że więcej z nim kłopotów niż pożytku, więc oddałem go naszemu wypychaczowi...

Dennis z trudem uspokoił oddech. Małe, czarne oczka patrzyły na niego szklanym wzrokiem. Teraz zdawały się nie tyle wrogie, ile głęboko tajemnicze.

- Chciałeś dowiedzieć się o tej istocie czegoś więcej - powiedział Flaster. - Jako mój następca masz oczywiście do tego pełne prawo.

- Ludzie myślą, że on uciekł z Centrum Genetycznego. Flaster zachichotał.

- Ale ty masz na ten temat swoje zdanie, prawda? Rzeźbiarze genów nie są jeszcze na tyle wprawni w swojej sztuce, żeby stworzyć coś tak unikalnego - powiedział. - Tak dzikiego. Nie. Jak się słusznie domyśliłeś, nasz mały przyjaciel nie pochodzi z laboratoriów genetycznych, ani nawet, jeśli o to chodzi, skądkolwiek w naszym systemie słonecznym. On pochodzi z Pierwszego Laboratorium, z jednego ze światów anomalnych - ze świata, z którym udało nam się połączyć za pomocą zevatronu.

Dennis wstał.

- Uruchomiliście go! Połączyliście się z czymś innym, lepszym niż próżnia czy purpurowa mgła!

Myśli wirowały mu w głowie.

- On oddychał ziemskim powietrzem! Połknął tuzin kanapek razem z czubkiem ucha Briana Yena i nadal żył! Biochemia tej istoty musi być...

- Jest... ona jest niemal idealnie ziemska - potwierdził Flaster.

Dennis potrząsnął głową i usiadł ciężko.

- Kiedy znaleźliście to miejsce?

- Odkryliśmy je podczas poszukiwań odchyłeń zevatronicznych trzy tygodnie temu. Muszę przy tym przyznać, że po pięciu miesiącach niepowodzeń sukces osiągnęliśmy dopiero wtedy, gdy wróciliśmy do wzorca poszukiwań opracowanego pierwotnie przez ciebie, Nuel.

Flaster zdjął okulary i wytarł je jedwabną chusteczką.

- Twój wzorzec zadziałał niemal natychmiast. I znalazł świat zadziwiająco podobny do Ziemi. Biologdy są w ekstazie, najogólniej mówiąc.

Dennis gapił się na martwą istotę w pojemniku. „Cały świat! Udało się!”

Spełniło się marzenie doktora Guinasso. Zevatron stał się kluczem do gwiazd! Osobiste żale Dennisa rozwiały się jak mgła. Był szczerze i głęboko wzruszony osiągnięciem Flastera.

Dyrektor wstał i podszedł do ekspresu, ponownie napełniając filiżankę.

- Jest tylko jeden problem - powiedział lekkim tonem, zwrócony plecami do swego gościa.

Dennis podniósł wzrok, wciąż z wirem myśli w głowie.

- Co? Problem?

- No cóż, tak. - Flaster odwrócił się, mieszając kawę. - Prawdę mówiąc, dotyczy on samego zevatronu.

Dennis zmarszczył brwi.

- Co się z nim stało?

Flaster uniósł filiżankę dwoma palcami.

- Hmm... - westchnął pomiędzy łykami kawy. - Wydaje się, że nie potrafimy zmusić tego przeklętego urządzenia do dalszej pracy.

*

Flaster nie żartował. Zevatron był popsuty.

Po niemal całym dniu spędzonym na grzebaniu we wnętrznościach maszyny Dennis nadal przyzwyczajał się do zmian, jakie nastąpiły w Pierwszym Laboratorium od czasu, gdy został stąd wygnany.

Główne generatory były wciąż te same, podobnie jak stare sondy rzeczywistości, pracowicie nastrojone przez niego i doktora Guinasso jeszcze na początku ich prac. Flaster i Brady nie ośmielili się przy nich manipulować.

Jednak wprowadzili tu tak dużo nowego ekwipunku, że ogromne jak hala fabryczna Pierwsze Laboratorium niemal pękało w szwach. Choćby kolumn do elektroforezy było tu tyle, że zdołałyby one rozłożyć na czynniki pierwsze prowansalską zupę rybną.

Większą część pomieszczenia zajmował sam zevatron. Ubrani w białe kitle technicy chodzili po kładkach wzdłuż jego szerokiego oblicza, bezustannie coś regulując i dostrajając.

Gdy Dennis pojawił się w laboratorium, większość techników zeszła na dół, żeby go przywitać. Najwyraźniej odczuli ulgę, widząc go tu z powrotem. Klepanie po plecach i uściski dłoni prawie przez godzinę nie pozwalały mu zbliżyć się do ukochanego urządzenia, doprowadziły także niemal do białej gorączki Bernalda Brady'ego.

Gdy wreszcie Dennis był w stanie przystąpić do pracy, skupił uwagę na dwóch ogromnych sondach rzeczywistości. W miejscu, w którym one się stykały, głęboko wewnątrz maszyny, znajdował się niewielki obszar nie istniejący ani dokładnie tutaj, ani też gdziekolwiek indziej. Ten anomalny punkt przestrzenny mógł być przesuwany między Ziemią a Gdziekolwiek, zależnie od tego, która sonda dominowała.

Sześć miesięcy temu w tym miejscu znajdowała się niewielka śluza, za pomocą której mogły być pobierane próbki purpurowych mgieł i dziwnych chmur pyłowych, odkrytych przez doktora

Guinasso i Dennisa. Od tamtego jednak czasu została ona zastąpiona przez dużą, opancerzoną komorę powietrzną.

Pracując w pobliżu ciężkiego wjazdu, Dennis zdał sobie sprawę, że wystarczy przez niego przejść, żeby się znaleźć w innym świecie! To było dziwne uczucie.

- Ciągłe błądasz się po omacku, Nuel?

Dennis podniósł wzrok. Małe usta Bernalda Brady'ego sprawiały wrażenie wiecznie wykrzywionych grymasem dezaprobaty. Brady otrzymał polecenie zobowiązujące go do współpracy, jednak najwyraźniej nie obejmowało ono uprzejmości.

Dennis wzruszył ramionami.

- Udało mi się poważnie zawęzić problem. Coś jest nie w porządku z tą częścią zewatronu, która znajduje się w świecie anomalnym - z mechanizmem powrotnym. Być może jedynym sposobem jest naprawienie tego uszkodzenia od drugiej strony.

W tym momencie uświadomił sobie, jaką cenę Marcel Flaster najpewniej wyznaczy za umieszczenie go na czele Pierwszego Laboratorium. Jeżeli nie znajdzie sposobu naprawy stąd, z tego końca, być może będzie musiał przejść przez komorę i usunąć uszkodzenie mechanizmu powrotnego od tamtej strony.

Jeszcze się nie zdecydował, czy ta myśl go podnieca czy paraliżuje.

- Flasteria - powiedział Brady.

- Słucham? - spytał Dennis, mrugając.

- Nazwaliśmy tę planetę Flasteria, Nuel.

Dennis przez chwilę usiłował wymówić tę nazwę, potem się poddał. „Do diabła z waszymi nazwami.”

- Nie jest to w każdym razie zbyt wielkie odkrycie - kontynuował Brady. - Ja już ustaliłem, że to mechanizm powrotny uległ uszkodzeniu.

Dennisa zaczynało denerwować pozerstwo tego faceta. Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że ustaliłeś. Tylko ile czasu ci to zajęło? Gdy twarz Brady'ego poczerwieniała, wiedział, że trafił w sedno.

- Nieważne - powiedział, wstając i otrzepując dłonie. - Chodźmy, Brady. Weź mnie na wycieczkę po swoim zoo. Chcę wiedzieć nieco więcej o tym świecie, jeżeli oczekuje się ode mnie, że przejdę na drugą stronę i złożę tam wizytę.

Ssaki! Schwytane zwierzęta były oddychającymi powietrzem czworonogimi, owłosionymi ssakami!

Przyjrzał się dokładniej jednemu z nich, przypominającemu niewielką fretkę i przeprowadził pobieżne, pamięciowe porównanie. Zwierzę miało dwa nozdrza, znajdujące się powyżej pyska i poniżej skierowanych ku przodowi oczu - oczu, których spojrzenie znamionowało wytrawnego myśliwego. Każda z łap była zakończona pięcioma uzbrojonymi w pazury palcami. Z tyłu tułowia wyrastał długi, pokryty futrem ogon. Obrazy tomograficzne, umieszczone przed klatką pokazywały serce o czterech komorach, dość ziemsko wyglądający szkielet i wszystkie właściwe rodzaje jelit w najwłaściwszych miejscach.

A jednak zwierzę było obce!

Pseudofretka przyglądała się przez chwilę Dennisowi, potem odwróciła się, ziewając.

- Biolodzy przeprowadzili testy na obecność nieznanymi zarazków i tym podobnych rzeczy - powiedział Brady, odpowiadając na następne pytanie Dennisa. - Świnki morskie, które wysłali wraz z jednym z robotów zwiadowczych, żyły na Flasterii przez kilka dni i wróciły w doskonałym zdrowiu.

- A co z procesami biochemicznymi? Czy aminokwasy, na przykład, są takie same?

Brady podniósł dużą, kilkunastocentymetrowej grubości tekę.

- Doktor Nelson został wczoraj wezwany do Palermo. Przypuszczam, że w związku z trzęsieniem ziemi w rządzie. Ale tutaj jest jego raport. - Upuścił ciężki tom na rękę Dennisa. - Przeczytaj sobie!

Dennis już miał powiedzieć, gdzie Brady może na jakiś czas wsadzić sobie ten raport, gdy z końca rzędu klatek dobiegł ostry, kłapiący dźwięk. Obaj mężczyźni odwrócili się i zobaczyli, że mocna, drewniana skrzynia zaczyna podrygiwać i łomotać.

Brady zaklął głośno.

- Psiakrew! Znowu się wydostaje!

Podbiegł do jednej ze ścian i wcisnął przycisk alarmu. Natychmiast rozległo się zawodzenie syreny.

- Co się wydostaje? - Dennis cofnął się o krok. Panika, wyraźnie słyszalna w głosie Brady'ego, udzieliła się i jemu. - Co to jest?

- Znowu ten bydlak! - wrzasnął Brady do interkomu, niezbyt dodając tym Dennisowi odwagi. - Ten, którego już raz złapaliśmy i wsadziliśmy do tego tymczasowego pudła... tak, ten spryciarz! Znowu się wydostaje!

Rozległ się trzask rozszczepianego drewna i z jednego z boków skrzyni odpadł kawał deski. Z ciemności powstałego otworu spojrzwały na Dennisa dwa zielone światełka.

Dennis mógł tylko przypuszczać, że są one oczami, małymi i rozstawionymi nie bardziej niż o kilka centymetrów. Zdawało się, że te zielone iskierki skupiły się wyłącznie na nim, nie pozwalając mu odwrócić wzroku. Patrzyli na siebie - Ziemiańcin i obcy.

Brady wrzeszczał do grupy roboczej, która wbiegła do pokoju.

- Szybko! Przynieście sieć, bo on może skoczyć! Uważajcie, żeby nie wypuścił innych zwierząt, jak poprzednim razem!

Dennis czuł się coraz bardziej niepewnie. Spojrzenie zielonych oczu budziło niepokój. Rozejrzał się za miejscem, w które mógłby odłożyć trzymaną w dłoniach ciężką tekę.

Istota jakby podjęła decyzję. Przecisnęła się przez wąską szczelinę pomiędzy deskami, potem skoczyła - akurat w takim momencie, w którym mogła uniknąć opadającej sieci.

Dennis zobaczył, że wygląda ona jak mały, płaskonosy prosiak. Ale cóż to był za prosiak! W skoku jego nogi rozłożyły się, z trzaskiem otwierając parę tworzących skrzydła membran!

- Zajdź jej drogę, Nuel! - krzyknął Brady.

Dennis nie miał wielkiego wyboru. Istota leciała wprost na niego! Próbował się uchylić, lecz było już za późno. „Latający prosiak” wylądował na jego głowie i wczepił się we włosy, piszcząc jak oszalały.

Zaskoczony, wypuścił z dłoni ciężką biochemiczną rozprawę, która nieomylnie wylądowała mu na stopie.

- Aj! - Podskoczył, sięgając jednocześnie w górę, żeby złapać niepożądanego pasażera.

„Prosiak” pisnął głośno i płaczliwie. Brzmiał w tym pisku raczej strach niż gniew i Dennis w ostatnim momencie zrezygnował z zamiaru użycia siły. Zamiast tego dość delikatnie odsunął jedną z zaopatrzonych w płetwy łapek od swego oka - we właściwej chwili, żeby klnąc, uchylić się przed ciśniętym przez Brady'ego kluczem nasadowym! Pocisk minął jego głowę zaledwie o centymetry.

- Stój spokojnie, Nuel! Niemal go trafiłem!

- A przy okazji niemal rozwaliłeś mi czaszkę, idioto! - Dennis cofnął się kilka kroków. - Chcesz mnie zabić?

Brady przez chwilę zdawał się rozważać tę możliwość. W końcu wzruszył ramionami.

- W porządku, Nuel. Podejdz tu powoli, a my spróbujemy go złapać.

Dennis ruszył naprzód. Jednak gdy zbliżył się do pozostałych ludzi, „prosiak” pisnął rozdzierająco i jeszcze mocniej zacisnął łapki na jego włosach.

- Poczekajcie - powiedział. - On po prostu jest mocno przestraszony i to wszystko. Dajcie mi trochę czasu. Może uda mi się zdjąć go samemu.

Podszedł do skrzyni i usiadł. Sięgnął w górę i delikatnie dotknął zwierzaka.

Ku jego zaskoczeniu „prosiak”, drżący dotychczas jak osika, zaczął się uspokajać. Dennis przemówił do niego łagodnie, głaszcząc rzadkie, miękkie futerko, pokrywające różową skórę. Stopniowo rozpaczliwy chwyt małych łapek zelżał. Po chwili Dennis był już w stanie unieść zwierzaka obiema rękami i posadzić sobie na kolanach.

Rozległy się wiwaty obserwujących to techników. Dennis uśmiechnął się z pewnością siebie znacznie przerastającą to, co rzeczywiście czuł.

To zajście było dokładnie w stylu wydarzeń, z których rodzą się legendy. „...Tak, chłopcze, ja tam byłem.. Byłem tam tego wielkiego dnia, gdy dyrektor Nuel poskromił dziką, obcą istotę, rzucającą mu się z pazurami do oczu...”

Dennis przyjrzał się stworzeniu, które „tak bohatersko poskromił”. Odwzajemniło mu się spojrzeniem, które było niepokojąco znajome. Z pewnością już gdzieś je widział. Ale gdzie?

Po chwili przypomniał sobie. Na swe szóste urodziny dostał w prezencie od rodziców ilustrowany zbiór fińskich baśni. Do dziś pamiętał wiele ze znajdujących się tam rysunków. Istota, którą trzymał na kolanach, miała podobnie ostre zęby, zielonooki i diabelski pyszczyk jak leśny skrzat z bajki.

- Chochlak - oznajmił łagodnie, głaszcząc miękkie futerko. - Skrzyżowanie chochlika z prosiakiem. Dobre imię wymyśliłem?

Stworzenie najwyraźniej nie rozumiało ludzkiego języka. Dennis w ogóle wątpił, czy jest rozumne. Coś mu jednak mówiło, że jego, dokładnie jego słowa są rozumiane. Zwierzak wyszczerzył maleńkie, ostre jak igły zęby, jakby się do niego uśmiechając.

Podszedł Brady z jutowym workiem w dłoniach.

- Szybko, Nuel. Wsadz go tutaj, póki jest spokojny!

Dennis spojrział na niego miazdząco. Propozycja nie zasługiwała na odpowiedź. Podniósł się, trzymając chochlaka w zgięciu lewego ramienia. Stworzenie mrucało jak kot.

- Chodź, Brady - powiedział - skończmy zwiedzanie, żebyśmy wreszcie mógł się zabrać do listy ekwipunku. Poza tym mam przed sobą jeszcze trochę innych przygotowań. Możesz podziękować naszemu pozaziemskiemu przyjacielowi, że pomógł mi w podjęciu decyzji. Przejdę przez zevatron i odwiedzę za was świat, z którego on pochodzi.

*

Zevatron stał się drogą w jedną stronę. Wszystko, co do niego wkładano, zgodnie z planem pojawiała się w świecie anomalnym. Roboty ciągle mogły być wysyłane, jak to robiono już niemal od miesiąca. Jednak nic nie wracało.

Namiary telemetryczne, chociaż niepewne, jednak wskazywały, że zevatron wciąż jest połączony z tym samym światem - miejscem, z którego został zabrany latający prosiak.

Jednak urządzenie nie było w stanie niczego, choćby piórka, przekazać z powrotem na Ziemię.

„Każda maszyna prędzej czy później musi się zepsuć” - myślał Dennis. Niewątpliwie problem może zostać rozwiązany przez prostą wymianę uszkodzonego modułu - praca może na dwie minuty. Niedogodność polegała jednak na tym, że ktoś to musiał zrobić osobiście. Ktoś musiał przejść przez zevatron i dokonać tej wymiany ręcznie.

Oczywiście i tak planowano wysłanie tam człowieka. Być może obecne okoliczności nie były wymarzone na tę pierwszą wizytę, jednak ktoś musi się na nią zdecydować albo odkryty świat zostanie na zawsze stracony. Dennis widział fotografie, zrobione przez roboty zwiadowcze jeszcze przed awarią. Być może będą musieli szukać przez stulecie, zanim trafią na miejsce równie podobne do Ziemi.

Tak czy inaczej podjął już decyzję.

Ekwipunek, o który prosił, leżał w stertach tuż przed drzwiami zevatronu. Prędkość, z jaką wypełniono zawarte w jego spisie żądania, świadczyła o tym, jak bardzo doktor Flaster pragnął szybkich rezultatów. Wysłanie po zakupy Brady'ego miało dla Dennisa jeszcze tę zaletę, że facet nie płatał mu się pod nogami podczas kilkakrotnego sprawdzania wcześniejszych założeń wyprawy.

Dennis uparł się przy długiej liście artykułów pierwszej potrzeby, jednak wcale nie dlatego, że się spodziewał, iż będzie ich podczas tej wyprawy potrzebował. Nawet wymiana wszystkich modułów mechanizmu powrotnego nie powinna zająć więcej niż godzinę. Nie chciał jednak niepotrzebnie ryzykować. W jego spisie były nawet zestawy witaminowe na wypadek, gdyby musiał tam zabawić nieco dłużej, a raport biologiczny mylił się w którymś miejscu po przecinku w ocenie przydatności anomalnego świata dla człowieka.

- Całkiem niezłe, Nuel - powiedział Brady. Stał po lewej stronie Dennisa, na którego prawym ramieniu jechał chochlak, wyniośle przypatrując się przygotowaniom i sycząc za każdym razem, gdy Brady się zbliżał. - Masz tu prawie tyle tych pieprzonych części, żeby po przybyciu na Flasterię

zbudować drugi zewatron. Powinieneś naprawić go w pięć minut. Wyglądasz trochę głupio, ciągnąc za sobą ten cały skautowski ekwipunek. Ale to twoja sprawa.

Brady wyglądał naprawdę na zazdrosnego. Jednak Dennis jakoś nie zauważył, żeby zgłaszał on na tę wyprawę swoją kandydaturę.

- Pamiętaj, żeby przede wszystkim naprawić maszynę! - ciągnął Brady. - Potem już nie będzie miało znaczenia, jeśli coś cię zeżre, gdy będziesz próbował konwersować z miejscowymi zwierzętami.

Richard Schwall, jeden z techników pracujących z Dennisem jeszcze w starych czasach, podniósł wzrok znad sprawdzanego układu i wymienił ze swym dawnym przełożonym pełne politowania spojrzenie. Wszyscy w Instytucie podziwiali Brady'ego za słoneczny stosunek do bliźnich.

- Dennis!

Gabriela Versgo jak walkiria przebijała się przez tłum techników. Jeden z nich nie ustąpił jej z drogi dostatecznie szybko i zatoczył się, trafiony precyzyjnym wychyleniem biodra.

Brady rozpromienił się na jej widok, mocno przypominając porażonego miłością szczeniaka. Gabbie obdarzyła go oślepiającym uśmiechem, potem chwyciła prawe ramię Dennisa, w znacznym stopniu przerywając dopływ krwi do jego dłoni.

- Słuchaj, Dennis - powiedziała, wzdychając radośnie - jestem naprawdę szczęśliwa, że ty i Bernie znowu ze sobą rozmawiacie! Zawsze uważałam, że to głupie z waszej strony tak się na siebie boczyć.

Ton jej głosu sugerował, że naprawdę uważa to za zachwycające. Dennis dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Gabbie cały czas pozostawała pod mylnym wrażeniem, iż to jej osoba jest przyczyną wrogości między nim a Brady'm. Gdyby tak naprawdę było, Dennis już dawno wciągnąłby na maszt białą flagę i bezwarunkowo skapitulował!

- Przyszłam was ostrzec, chłopcy, przed doktorem Flasterem, który zmierza w tym kierunku, żeby pożegnać się z Dennisem. I jest z nim Boona Calumny!

Dennis zrobił głupią minę.

- Minister nauki Śródziemia! - krzyknęła Gabbie. Szarpnęła ostro jego ramię, przypadkowo uciskając kciukiem nerw łokciowy. Dennis wessał gwałtownie powietrze, ale Gabbie, całkowicie ignorując agonalny wyraz jego twarzy, ciągnęła dalej.

- Czyż to nie wspaniale? - Wpadła w zachwyty. - Taki wybitny człowiek pojawia się, żeby obserwować, jak pierwszy Ziemianin stawia stopę w świecie anomalnym! - Zatoczyła ręką szeroki hak, uwalniając przy tym łokieć Dennisa. Dennis stłumił westchnienie ulgi i zaczął rozmasowywać

ramię.

Gabriela zagaworzyła do chochlaka, starając się uszczypnąć jego maleńki policzek. Stworzenie znosiło to cierpliwie przez kilka chwil, potem ziewnęło rozdzierająco, ukazując dwa rzędy ostrych jak igły zębów. Gabriela szybko cofnęła dłoń.

Przeszła na drugą stronę Dennisa i pochyliła się, żeby musnąć ustami jego policzek.

- Muszę już lecieć. Mam bardzo ważny kryształ w strefie pływów. Przyjemnej podróży. Wróc jako bohater, a uczymy to w specjalny sposób, obiecuję. - Mrugnęła znacząco i trąciła go biodrem, niemal strącając tym chochlaka z jego grzędy

Ściągnięta bólem twarz Brady'ego rozjaśniła się nagle, gdy Gabriela, chcąc być sprawiedliwa, uszczypnęła w policzek również i jego. Potem odeszła powolnym krokiem, bez wątplenia świadoma, że spoczywa na niej wzrok połowy mężczyzn w laboratorium.

Richard Schwall potrząsnął głową i mruknął:

- ...kobieta mogłaby zakasować Lady Makbet... - To było wszystko, co Dennis zdołał usłyszeć.

Brady parsknął z oburzeniem i oddalił się dostojnym krokiem.

Dennis wrócił do obliczeń, sprawdzając je ostatni raz, żeby być zupełnie pewnym, iż nie zrobił żadnego błędu. Po chwili chochlak odbił się od jego ramienia i po niskim szybowaniu wylądował na półce nad głową Richarda Schwalla. Spojrzał ponad ramieniem łysiejącego technika obserwując, jak reguluje on elektroniczny szkicownik, który Dennis miał zabrać ze sobą.

W ciągu ostatnich dwóch dni, od czasu gdy Dennis oficjalnie stwierdził, iż stworzenie jest nieszkodliwe, technicy nabrali zwyczaju rozglądania się przy pracy i sprawdzania, czy czasem nie przypatrują im się małe, zielone oczka. Trochę niesamowite było to, że chochlak za każdym razem wybierał dla swych obserwacji najbardziej skomplikowane regulacje.

W miarę jak przygotowania gładko postępowały naprzód, chochlak stał się w pewnym sensie symbolem statusu. Technicy uciekali się do kładzenia cukierków na swych pulpitych, żeby tylko przyciągnąć go do siebie. Stał się przynoszącym szczęście talizmanem - kompanijną maskotką.

Teraz więc Schwall uśmiechnął się szeroko, zobaczywszy chochlaka ponad sobą. Zdjął go z półki i posadził sobie na ramieniu, żeby zwierzak lepiej widział. Dennis odłożył notatki i zaczął się im przyglądać.

Chochlak jakby mniej interesował się tym, co Schwall robi, a bardziej sposobem, w jaki technik reaguje na swoją pracę. Gdy jego twarz wyrażała zadowolenie, zwierzak spoglądał szybko tam i z powrotem, na Schwalla, potem na szkicownik, i znowu na Schwalla.

Jakkolwiek z pewnością nie był istotą myślącą, Dennis głęboko zastanawiał się nad jego

rzeczywistą inteligencją.

- Hej, Dennis! - zawołał Schwall z podnieceniem. -

Spójrz tylko na to! Zrobiłem naprawdę ładny rysunek wieży startowej w Ekwadorze! Laski Wanilii, wiesz, o którą chodzi? Dotychczas jakoś nie zauważyłem, jaki jestem w tym dobry! Twój mały przyjaciel naprawdę przynosi szczęście!

W głębi laboratorium powstało jakieś zamieszanie. Dennis trącił swego współpracownika łokciem.

- No, Rich, baczność - powiedział. - Wreszcie tu dotarli.

Do zewatronu zbliżał się Dyrektor Laboratorium, eskortowany przez Bernalda Brady'ego. Obok Flastera szedł niski, korpulentny mężczyzna o ciemnej, wyrazistej twarzy, który nie mógł być nikim innym jak tylko nowym ministrem nauki Śródziemia.

W czasie prezentacji Boona Calumny patrzył na Dennisa, jakby chciał go przejrzeć na wylot. Jego głos był bardzo wysoki.

- A więc to jest ten dzielny młody człowiek, który ma zamiar przejąć twoją wspaniałą pracę, Marcel? I od razu zaczyna od wybrania się do tego wspaniałego, nowego miejsca, które znaleźliście?

Flaster promieniał.

- Tak, sir! I jesteśmy z niego naprawdę bardzo dumni! - Mrugnął do Dennisa konspiracyjnie. Dennis zaczynał zdawać sobie sprawę, jak mocno Flaster pragnie wykazać się sukcesem jako dyrektor Instytutu.

- Będziesz tam bardzo ostrożny, prawda, chłopcze? - Palec ministra wskazywał drzwi służy. Dennis zastanawiał się, czy ten człowiek rzeczywiście rozumie, co tu się naprawdę dzieje.

- Tak jest, sir, będę.

- To dobrze. Pragniemy, żebyś wrócił cały i zdrowy! Dennis skinął grzecznie głową, odruchowo przekładając wypowiedzi polityka z języka urzędowego na normalny. „Chce powiedzieć, że jeśli nie wrócę, będą tu mieli mnóstwo okropnych papierów do wypełnienia”.

- Przyrzekam, Sir.

- Znakomicie. Wiesz, w dzisiejszych czasach bardzo trudno jest znaleźć takich młodych, błyskotliwych ludzi jak ty! („Właściwie takich jak ty mamy na pęczki, ale pomagasz mojemu kumplowi wygrzebać się z kłopotów”.)

- Tak, proszę pana - Dennis ponownie się zgodził.

- Cierpimy na ogromny niedobór śmiałych, nie cofających się przed ryzykiem pracowników. Jestem pewny, że ty, z twoją odwagą, zajdziesz bardzo daleko! - ciągnął Calumny. („Trochę nam brakuje durniów w tym miesiącu. Być może będziemy mogli wysłać cię na jeszcze kilka samobójczych misji, jeśli z tej uda ci się wrócić cało.”)

- Też mam taką nadzieję, sir.

Calumny obdarzył Dennisa bardzo demokratycznym uściskiem dłoni, potem odwrócił się, żeby coś szepnąć do Flastera. Dyrektor wskazał na drzwi i minister wyszedł z laboratorium. Zapewne poszedł umyć ręce, pomyślał Dennis.

- No, doktorze Nuel - powiedział Flaster radośnie - bierz swego małego przyjaciela i w drogę. Spodziewam się, że będziesz z powrotem w ciągu dwóch godzin... nawet szybciej, jeśli zdusisz w sobie skłonność do badania okolicy. Do tego czasu zdążymy już tu zamrozić szampana.

Dennis przechwycił chochlaka z powietrznego ślizgu, rozpoczętego w dłoniach Richarda Schwalla. Zwierzak szczebiotał z podnieceniem. Zaczęło się wnoszenie ekwipunku do śluzy. Gdy wszystko znalazło się już w środku, próg śluzy przekroczył również Dennis.

- Początek procedury zamknięcia - oznajmił jeden z techników. - Powodzenia, doktorze Nuel!

Schwall pokazał uniesione kciuki.

Bernald Brady poszedł, żeby asystować przy zamykaniu drzwi.

- No co, Nuel - powiedział cicho - sprawdziłeś absolutnie wszystko, prawda? Z góry na dół przeryłeś tę maszynę przeczytałeś raport biologiczny i wcale nie musiałeś się ze mną konsultować, prawda?

Dennisowi nie podobał się ton jego głosu.

- Do czego ty zmierzasz?

Brady uśmiechnął się. Mówił tak cicho, że tylko Dennis mógł go słyszeć.

- Nie wspominałem o tym nikomu, gdyż wydaje się to zbyt absurdalne. Jednak uczciwie będzie, jeśli tobie powiem.

- Co mi powiesz?

- Och, Nuel, to może naprawdę nic nie znaczyć. Ale być może jest to coś rzeczywiście niezwykłego... na przykład możliwość, że ten anomalny świat rządzi się innym zestawem praw fizycznych niż Ziemia!

Do tego czasu drzwi były już do połowy zamknięte. Odmierzanie czasu biegło nieprzerwanie.

To było bezsensowne. Dennis nie miał zamiaru pozwolić, żeby Brady dobrał mu się w ostatnim momencie do skóry.

- Daj spokój, Brady - powiedział ze śmiechem. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Ach tak? Pamiętasz te purpurowe mgły, które znalazłeś w zeszłym roku? Tam była odwrócona grawitacja.

- To zupełnie co innego. W świecie chochlaka nie może mi grozić zetknięcie się z prawami fizycznymi poważnie różniącymi się od naszych - nie wtedy, gdy tamtejsze życie biologiczne jest tak podobne do naszego.

- Ale jeśli jest jakaś całkiem niewielka różnica, o której zapomniałeś mi wspomnieć - kontynuował, postępując naprzód - to lepiej powiedz teraz albo przysięgam, że...

Ku jego zdziwieniu nieprzyjazne nastawienie Brady'ego jakby uleciało, zastąpione przez szczere zakłopotanie.

- Ja nie wiem, co to jest, Nuel. To ma coś wspólnego z instrumentami, które tam wysyłaliśmy. Ich wydajność zmieniała się, i to tym bardziej, im dłużej tam były! Wyglądało to tak, jakby jedno z praw termodynamiki było nieznacznie inne niż u nas.

Zbyt późno Dennis zdał sobie sprawę, że Brady nie usiłuje go po prostu nastraszyć. On naprawdę odkrył coś, co wprawilo go w szczere zdumienie. Jednak drzwi śluzy zamknęły się już niemal całkowicie.

- Które prawo, Brady? Do diabła, zatrzymaj tę procedurę do czasu, aż mi powiesz! Które prawo?

Przez wąziutką szczelinę, która ich jeszcze łączyła, Brady szepnął:

- Zgadnij.

Zamki zaskoczyły z westchnieniem i śluza stała się całkowicie szczelna.

*

W laboratorium zewatronicznym doktor Flaster patrzył, jak Brady odwraca się od zamkniętych drzwi śluzy.

- O co tam chodziło?

Brady drgnął. Flaster mógłby przysiąc, że młody człowiek stał się jeszcze bledszy niż zazwyczaj.

- Ach, nic takiego. Rozmawialiśmy tylko, żeby zabić czas podczas zamykania drzwi.

Flaster zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że na tym etapie nie będzie już żadnych niespodzianek. Liczę na to, że Nuelowi się powiedzie. W przyszłym miesiącu mam rozmowę kwalifikacyjną i bardzo Flasterii potrzebuję.

- Może mu się uda. - Brady wzruszył ramionami. Flaster uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście. Sądząc z tego, co tu widziałem, musi się udać. W ciągu ostatnich kilku dni naprawę rozruszał to laboratorium. Powiniennem sprowadzić tego młodego człowieka z powrotem już miesiąc temu!

Brady wzruszył ramionami.

- Nuelowi może wszystko pójść dobrze, ale z drugiej strony - może nie pójść.

Flaster ciągle się uśmiechał.

- No cóż, jeśli jemu się nie powiedzie, będziemy po prostu musieli wysłać kogoś innego, prawda?

Brady przełknął ślinę i sztywno skinął głową. Patrzył na dyrektora, gdy ten się odwracał i wychodził z laboratorium.

Zastanawiam się - pomyślał - czy postąpiłem właściwie, dając Nuelowi wadliwe moduły do mechanizmu powrotnego.

Och, w końcu to zauważy i jakoś je naprawi. Musi tylko powymieniać między nimi odpowiednie kości. Zrobiłem przecież wszystko, żeby to wyglądało na błąd fabryczny, więc nikt nie będzie tego wiązał ze mną - chociaż on pewnie będzie mnie podejrzewał.

Naprawa zajmie mu trochę czasu, a to da mi możliwość popracowania nad Flasterem. Poza tym akcje Nuela nie będą już stały tak wysoko, jeśli jego powrót opóźni się o całe tygodnie, bez względu na usprawiedliwienia.”

Brady czuł się nieco winny z powodu tego podstępu. To był dość paskudny dowcip. Jednak wszelkie dane wskazywały na to, że Flasteria jest miejscem spokojnym i bezpiecznym. Roboty zwiadowcze nie dostrzegły żadnych większych zwierząt, a poza tym Nuel zawsze się chwalił, jakim to kiedyś był wspaniałym skautem. Niech zatem poobozuje sobie trochę na łonie natury!

Może nawet uda mu się ustalić, co się dzieje z robotami, skąd się biorą te dziwne odchylenia we wskaźnikach ich wydajności.

Och, Nuel na pewno wróci, zapluwając się z wściekłości. Ale do tego czasu on, Brady, będzie miał szansę znowu wkraść się w łaski dyrektora. Dobrze wie, jak należy naciskać guziki.

Spojrzał na zegarek. Umówił się z Gabriellą na obiad i nie chciał się spóźnić.

Poprawił krawat i szybkim krokiem wyszedł z laboratorium. Już wkrótce pogwizdywał.

*

- Które prawo? ty skurw... - Dennis walił pięściami w drzwi.

Przestał. To i tak nie miało sensu. W tej chwili działała już aparatura wysyłająca. Właściwie był już w świecie anomalnym - już w...

Wbił wzrok w drzwi. Poszukał ręką za sobą i usiadł na jednej ze skrzynek. Potem, gdy sytuacja w pełni do niego dotarła, stwierdził, że zaczyna się śmiać. Nie mógł się powstrzymać. Oczy wypełniły mu się łzami i poddał się nastrojowi wszechogarniającej beztroski.

Nikt nigdy nie był w tym stopniu, co on, odcięty od Ziemi, wyrzucony na jakiś odległy świat.

Ludzie mogą sobie czytać o przygodach w miejscach dalekich i nieznanach, ale prawda jest taka, że większość z nich przy pierwszej oznace czegoś naprawdę niebezpiecznego wykopałaby sobie jamkę i głośno wołała mamusię.

Być może więc śmiech jako początkowa reakcja nie był taki najgorszy. W każdym razie czuł się po nim bardziej rozluźniony.

Z pobliskiej skrzynki przyglądał mu się wyraźnie zafascynowany chochlak.

„Muszę wymyślić dla tego miejsca - myślał Dennis, wycierając oczy - jakąś nową nazwę. Flasteria jest do niczego.”

Uczucie całkowitego osamotnienia minęło. Był już w stanie spojrzeć w lewą stronę, na drugie drzwi - jedyne, które w tej chwili można było otworzyć. Drzwi do innego świata.

W dalszym ciągu niepokoiło go to, co Brady powiedział o „innym zestawie praw fizycznych”. Prawdopodobnie Bernald próbował go tylko nastraszyć. A nawet jeśli mówił prawdę, musi to być coś bardzo nieznacznego, gdyż procesy biologiczne w obu światach są przecież niezwykle podobne.

Dennis przypomniał sobie czytane niegdyś opowiadanie fantastycznonaukowe, w którym bardzo nieznaczna zmiana przewodności elektrycznej spowodowała dziesięciokrotne zwiększenie możliwości ludzkiego mózgu. Może tutaj spotka się z czymś podobnym?

Westchnął. Nie czuł się nawet odrobinę inteligentniejszy. Fakt, że nie mógł sobie przypomnieć tytułu tego opowiadania, jakby obalał tę możliwość.

Chochlak wyskoczył w powietrze i wylądował na jego kolanach. Mruczał, wpatrując się w niego szmaragdowymi ślepiami.

- Teraz ja jestem obcy - powiedział Dennis. Podniósł zwierzątko na wysokość swojej twarzy. - No i co, Choch? Chętnie mnie tu widzicie? Chcesz mnie oprowadzić po swoim

Chochlak zapiszczał. Wyglądał tak, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wyjdą.

- No dobrze - powiedział Dennis. - Idziemy.

Zapiął pas narzędziowy z wiszącą z jednej strony kaburą

pistoletem igłowym. Potem, przyjmując odpowiednią do chwili, „badawczą” postawę, pociągnął dźwignię otwierającą drzwi po drugiej stronie śluzy. Rozległ się syk powietrza, gdy wyrównywało się ciśnienie wewnątrz i na zewnątrz. Potem drzwi odskoczyły, wpuszczając do śluzy promienie słoneczne z innego świata.

II. COGITO, ERGO TUTTI FRUTTI

Śluza spoczywała na łagodnym zboczu, porośniętym suchą, żółtą trawą. Łąka opadała w stronę obrzeżonego zielenią strumienia ćwierć mili dalej. Za strumieniem rzędy długich, wąskich wzgórz wznosiły się ku pokrytym śniegiem górom. Połacie żółtej murawy usiane były nierównomiernie dywanami zieleni o różnych odcieniach.

Drzewa.

Tak, te rośliny wyglądały jak prawdziwe drzewa i niebo było błękitne. Białe pierzaste chmurki były jak koronki podwieszane pod odwróconą, niemal granatową czaszą.

Przez długą chwilę panowała niesamowita, nienaturalna cisza. Dennis zdał sobie sprawę, że od chwili otwarcia drzwi wstrzymuje oddech. Trochę kręciło mu się od tego w głowie.

Wdychał rześkie, czyste powietrze. Powiew wiatru przyniósł szelest trawy i trzaski gałęzi. Przyniósł również zapachy... pleśni i próchnicy, suchej trawy i czegoś, co pachniało jak dąb.

Stał na progu śluzy i przyglądał się drzewom. Naprawdę wyglądały jak dęby. Cała okolica przypominała pomocną Kalifornię.

Czy to możliwe, żeby to miejsce było naprawdę Ziemią? Czy efekt zew zrobił im wszystkim jeszcze jednego psikusa i zamiast urządzenia do podróży międzygwiazdnych podarował im teleporter?

Zabawne byłoby podjechać autostopem do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonić do Flastera z nowinami. Na koszt rozmówcy oczywiście.

Dennis poczuł ostre ukłucie, gdy maleńkie szpony wbiły mu się w ramię. Membrany lotne chochlaka rozłożyły się z trzaskiem przypominającym strzał i zwierzak poszybował ponad łąkę w stronę linii drzew.

- Hej... Choch! Dokąd to...

Głos zamarł Dennisowi w gardle, gdyż nagle zrozumiał, że to nie może być Ziemia. To był świat, z którego pochodził chochlak.

Zaczął zauważać szczegóły - kształt liści trawy, dużą, podobną do paproci roślinę na brzegu strumienia, nastrój tego miejsca.

Upewnił się, że ma łatwy dostęp do kabury z bronią i że cholewki butów są dokładnie przykryte getrami. Sucha trawa zaskrzypiała pod jego stopami, gdy stanął na ziemi. Powietrze wypełniło się cichutkim, owadziim brzęczeniem.

- Choch! - zawołał, ale zwierzak już zniknął mu z pola widzenia.

Ostrożnie, wyęzając zmysły, zrobił kilka kroków. Domyślał się, że najbardziej niebezpiecznymi chwilami w obcym świecie są zawsze te pierwsze.

Starając się obserwować niebo, las i najbliższe fruujące owady jednocześnie, małego pękatego robota zauważył dopiero w chwili, gdy się o niego potknął i runął na ziemię.

Instynktownie przetoczył się i z walącym sercem zerwał na kolana, nagle trzymając w dłoni pistolet.

Westchnął, gdy rozpoznał robota zwiadowczego z Instytutu Saharańskiego.

Kamery robota śledziły go z ledwie słyszalnym furkotem. Kopuła obserwacyjna powoli się obróciła. Dennis opuścił dłoń, w której trzymał pistolet.

- Chodź tu - rozkazał.

Robot przez chwilę jakby rozważał zasadność tego polecenia. Potem zbliżył się i zatrzymał metr przed Dennisem.

- Co tam masz? - Dennis wskazał palcem.

Robot coś trzymał w jednym ze swych manipulatorów. Był to kawałek połyskliwego metalu, z jednej strony zakończony zakrzywionymi szczypcami.

- Czy to przypadkiem nie jest fragment innego robota? - spytał Dennis, mając nadzieję, że się myli.

W porównaniu z niektórymi skomplikowanymi maszynami, z którymi Dennis miał do czynienia, robot zwiadowczy nie był zbyt błyskotliwy. Rozumiał jednak proste polecenia i pytania. Zielone światło na jego kopulastym szczycie rozbłysło na chwilę potwierdzeniem.

- Skąd to wzięłeś?

Maszyna wahała się przez chwilę, potem odwróciła się i wskazała kierunek jednym ze swych pozostałych ramion.

Dennis podniósł się i spojrzał we wskazaną stronę, jednak nic tam nie zauważył. Poszedł ostrożnie przez wysoką trawę, aż w końcu dotarł do płaskiej polanki, ukrytej częściowo przez rozrośnięte chwasty. Zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

Pusta płaszczyzna wyglądała jak stepowy sklep z częściami zapasowymi... jak skład używanych komputerów Ponurego Frania... jak stoisko wymiany na wiejskim spotkaniu elektronicznych hobbistów...

Jeden, nie, dwa instytutowe roboty zostały dosyć brutalnie rozczłonkowane, ich części leżały w

starannych rzędach między kępkami trawy, najwyraźniej uporządkowane i posortowane według wielkości i kształtu.

Dennis ukląkł i podniósł kopułę obserwacyjną. Została ona wyrwana z obsady, a jej części ułożone na ziemi jak towary na sprzedaż.

Zdeptane błoto zarzucone było żdźbłami słomy, kawałkami i okruchami szkła. Dennis przyjrzał się temu wszystkiemu bliżej. Tu i ówdzie, pomiędzy śladami gąsienic robota i porwanymi kawałkami plastiku, widniały słabe, ale niemożliwe do pomylenia odciski stóp.

*

Dennis popatrzył jeszcze raz na równe rzędy przekładni, kół, paneli, obwodów drukowanych - na niewyraźne odciski stóp - i jedyną rzeczą, jaka przyszła mu do głowy, było epitafium przeczytane kiedyś na starym cmentarzu w Nowej Anglii.

„Wiedziałem, że któregoś dnia to się stanie.”

Zawsze przeczuwał, że jego życiowym przeznaczeniem jest zetknięcie się z czymś naprawdę niezwykłym. I oto miał to przed sobą - namacalny dowód istnienia obcej inteligencji.

Uspokajające poczucie „ziemskości” tego świata wyparowało do końca. Spojrzał na „trawę” i zobaczył, że w ogóle nie jest podobna do traw, jakie dotychczas zdarzyło mu się widzieć. Linia drzew przekształciła się w początek ciemnego, nieznanego, wypełnionego złowrogimi siłami lasu. Ciarki przeszły mu po plecach.

Usłyszał trzask z tyłu i odwrócił się gwałtownie, znowu trzymając pistolet w dłoni. Jednak był to tylko ocalały robot, grzebiący w szczątkach swych rozłożonych na części pierwsze kolegów.

Dennis podniósł z ziemi elektroniczną kartę. Z dużą siłą wyrwano ją z miejsca zamontowania. Mogła zostać odłączona za pomocą prostego śrubokrętu, a jednak została wyszarpięta, jakby istota dokonująca rozbiórki nigdy nie słyszała o śrubkach.

Zatem to wszystko było dziełem istot prymitywnych? Czy też kogoś z rasy tak rozwiniętej cywilizacyjnie, że zupełnie już zapomniała o prostych narzędziach, na przykład śrubokrętach?

Jedna rzecz była pewna. Istota lub istoty odpowiedzialne za to, co tu się stało, nie miały zbyt wielkiego poważania dla cudzej własności.

Roboty były wykonywane przede wszystkim z plastiku, miały też części metalowe. Dennis zauważył, że większości z tych części brakuje, jakby zostały celowo zabrane.

Nagle przyszła mu do głowy bardzo nieprzyjemna myśl.

- O nie - mruknął. - Proszę, tylko nie to!

Wstał, czując tępy ucisk w żołądku.

Poszedł z powrotem w stronę śluzy. Okrążył jej róg i zatrzymał się, jęcząc głośno.

Drzwi części powrotnej śluzy zewatronicznej były szeroko otwarte. Skrzynka z elektroniką była pusta, jej delikatne komponenty leżały na ziemi, rozłożone jak na sklepowej półce. Większość z nich została zniszczona w stopniu najprawdopodobniej uniemożliwiającym naprawę.

Z elokwencją zrodzoną z rozpaczą Dennis powiedział:

- Argh! - i ciężko oparł się o ścianę śluzy.

Inny epigram kołatał mu się po mózgu, szukając miejsca we wszechogarniającej desperacji - coś, co kiedyś usłyszał od nieprzyjaciela.

„Myślę, więc wrzeszczę.”

*

Robot pisnął i jeszcze raz odtworzył całą sekwencję. Dennis skupił uwagę na obrazach sprzed trzech dni, wyświetlanych na malutkim wideomonitorze maszyny. Działo się tam coś bardzo dziwnego.

Ekran pokazywał kształty wyglądające jak zamazane postacie ludzkie. Były one zgromadzone wokół śluzy zewatronicznej. Poruszały się na dwóch nogach, ale towarzyszyły im co najmniej, jak się zdawało, dwa rodzaje czworonogów. Poza tym niewiele można było odczytać z wielkiego, niewyraźnego powiększenia.

Cudem było, że w ogóle cokolwiek mógł zobaczyć. Zgodnie z wewnętrznym wskaźnikiem inercyjnym robot w chwili, w której wykrył ruch wokół śluzy i zaczął filmować zgromadzone przy jej drzwiach postacie, znajdował się na szczycie odległego o kilka kilometrów wzgórza. Z tej odległości nie powinien w ogóle niczego widzieć. Dennis podejrzewał, że coś nie jest w porządku z jego miernikiem odległości. Musiał być w tym czasie bliżej niż przypuszczał.

Niestety ta taśma była dla niego niemalże jedynym źródłem bezpośredniej informacji. Zapisy dokonane przez inne roboty zostały całkowicie zniszczone podczas procesu ich gwałtownego rozmontowywania.

Przewiął zapis do chwili sprzed mniej więcej trzech dni, kiedy to wszystko się zaczęło.

Pierwsza zjawiała się przy śluzie niewielka postać w bieli. Przyjechała na grzbiecie zwierzęcia, wyglądającego na bardzo kosmatego kuczka - lub wielkiego owczarka. Dennis nie mógł się

zdecydować, które z tych porównań jest bardziej odpowiednie. O tej postaci mógł powiedzieć jedynie, że była szczupła i poruszała się z płynną gracją. Obejrzała służę ze wszystkich stron, niemal jej nie dotykając.

Potem usiadła przed drzwiami służy i jakby pogрузzyła się w długiej medytacji. Minęło kilka godzin. Dennis przewinał zapis na podglądzie.

W pewnej chwili z lasu wypadł oddział jadących na kosmatych stworzeniach tubylców, szarżując w kierunku służy. Mimo rozmazania obrazu Dennis wyczuł u postaci w bieli nagłą panikę. Gwałtownie poderwała się na nogi, w pośpiechu wskoczyła na swego wierzchowca i odjechała, zaledwie o kilkanaście metrów wyprzedzając szarżujący oddział.

Dennis już więcej jej nie widział. Część nowo przybyłego oddziału ruszyła w pościg, pozostali zatrzymali się przy służie.

Większość z tych humanoidów miała wielkie, włochate głowy, jakby rozdymające się wysoko ponad ramiona. W centrum oddziału jechał mniejszy, bardziej okrągły osobnik owinięty czerwonymi szatami, który zeskoczył na ziemię i zdecydowanym krokiem podszedł do służy.

Bez względu na wszelkie starania Dennis nie mógł uzyskać lepszej jakości obrazu.

Do tego czasu robot najwyraźniej zdecydował, że to, co się dzieje obok służy, wymaga bliższej uwagi. Zaczął zjeżdżać ze wzgórza, żeby wrócić do bazy i wszystkiemu przyjrzeć się bardziej dokładnie. W kilka chwil później znalazł się poniżej poziomu drzew i wydarzenia obok zewatronu zniknęły z jego Są widzenia.

Niestety - a może na szczęście - robot poruszał się po nierównym terenie dosyć wolno. Zanim zdołał dotrzeć do bazy tubylcy zakończyli już rozbiórkę ziemskich maszyn i odjechali.

Być może śpieszyli się, chcąc dołączyć do pościgu za postacią w bieli.

Dennis jeszcze raz puścił zapis od początku, wzdychając bezradnie.

Patrzył na te rozmazane kształty i kusiło go, żeby myśleć o nich jak o normalnych ludziach. Jednak dobrze wiedział, że lepiej jest nie przystępować do problemu, gdy ma się na jego temat sąd z góry ustalony. Te stworzenia musiały być istotami obcymi, bardziej pokrewnymi chochlakowi niż jemu.

Wyjął z robota nagrań kasetę i zastąpił ją pustą.

- Chyba będziesz teraz musiał zostać moim zwiadowcą - myślał na głos, stojąc przed robotem. - Przypuszczam, że powinienem cię wysłać naprzód, żebyś zbierał dla mnie wiadomości o mieszkańcach tego świata. Jednak tym razem chcę, żebyś szczególną wagę przywiązywał do własnego bezpieczeństwa. Słyszysz? Nie życzę sobie, żeby rozebrano cię na części jak twoich braci!

Zapłonęło niewielkie, zielone światelko naszczytowej kopułce, sygnalizując potwierdzenie. Oczywiście robot nie mógł zrozumieć jego przemowy. Dennis mówił raczej do siebie, żeby łatwiej zebrać myśli. Później, gdy już będzie dokładnie wiedział, co maszyna ma dla niego zrobić, powtórzy całą instrukcję w starannie dobranych zdaniach robociej wersji angielskiego.

Stanął przed wielkim problemem i ciągle nie bardzo wiedział, co ma z nim zrobić.

Oczywiście, Brady dał mu „...prawie tyle tych pieprzonych części, żeby zbudować drugi zevatron...” Jednak to, co mógł rzeczywiście zrobić, było czymś zupełnie odmiennym. Ale nikt przecież nie mógł podejrzewać, że Dennis powinien wziąć ze sobą zapasowe kable! Oba wysokowoltowe, miedziane przewody zostały wyrwane z korzeniami łącznie z większością odłączalnego metalu w śluzie.

Nawet jeśli podjąłby próbę budowy i kalibracji nowego mechanizmu powrotnego, to czy Flaster będzie trzymał zevatron nakierowany na ten sam świat dostatecznie długo, żeby on tutaj mógł dokończyć swoją pracę? Dennis uważał, że całkiem nieźle rozumie motywacje, jakimi zwykle kieruje się szef Saharańskiego Instytutu. Palił się on wprost do sukcesu, który pozwoliłby mu zrealizować szersze ambicje. Dennis mógłby nawet zostać spisany na straty po to, by zevatron zaczął pracować nad poszukiwaniem innego anomalnego świata!

A poza tym, gdyby próbował odtworzyć urządzenie, czy tubylcy daliby mu spokój dostatecznie długo, żeby mógł tę pracę zakończyć?

Podniósł z ziemi jedyny miejscowy wyrób, jaki udało mu się znaleźć - ostry, zakrzywiony nóż, który pewnie wypadł któremuś z wandalii w wysoką trawę i najwyraźniej został zapomniany.

Długie, szpiczaste ostrze miało gładką ostrość brzytwy i było elastyczne niemal jak twarda guma. Rękojeść została zaprojektowana dla dłoni mniejszej niż jego, była jednak tak pomyślana, żeby być jak najwygodniejszą i zapewniać jak najpewniejszy chwyt.

Gałka została wyrzeźbiona w kształt przypominający głowę smoka. Dennis miał nadzieję, że nie jest to odzwierciedlenie rzeczywistego wyglądu tubylców.

Nie bardzo mógł ustalić, z czego ten nóż został wykonany. Raczej wątpił, żeby ktokolwiek na Ziemi mógł wyprodukować lepsze ostrze. Zaprzeczało ono tezie, że tubylcy są prymitywni.

Być może wandale, którzy zniszczyli śluzę, byli miejscowymi odpowiednikami kryminalistów czy też beztroskich dzieci. (Czy to możliwe, że pościg, którego początek obserwował, był swego rodzaju zabawą, jak gra w berka czy chowanego?)

To, co się tutaj zdarzyło, mogło być nietypowe dla ich społeczeństwa jako całości. Dennis starał się być optymistą.

Potrzebował jedynie jakiegoś składu metali i kilku dni w dobrym warsztacie, żeby wykonać większe ze zniszczonych części. Nóż zdawał się wskazywać, że tubylcy dysponują dostatecznie

wysoko rozwiniętą techniką.

Mogą. nawet wiedzieć rzeczy, o których nie mają pojęcia ludzie na Ziemi. Spróbował patrzeć na przyszłość w różowych kolorach i poczuć się pierwszym Ziemianinem, który nawiązuje kontakt z wysoko rozwiniętą kulturą pozaziemską.

- Być może nawet będę mógł wymienić mój kieszonkowy obcinacz do paznokci-zegarek-budzik-stoper na oryginalny gompwriszt lub K'k'k'głamtring - dumiał. - Mógłbym w pięć minut stać się milionerem... Ambasador Nuel. Przemysłowiec Nuel!

Jego morale nieco się podniosło. Kto wie, co się zdarzy?

Słońce zachodziło w kierunku, który Dennis postanowił nazywać zachodem. Horyzont był tam przesłonięty wysokim pasmem górskim, ciągnącym się na południe, a potem dalej na wschód wokół doliny, w której on się znajdował. Promienie słoneczne odbijały się od licznych, małych lodowców, a jeszcze mocniej od rzeki, która wiła się przez południowo-wschodnią część gór.

Przyglądał się błyszczącej powierzchni dalekiej rzeki. Piękno tego zachodu słońca złagodziło trochę gorycz samotności w obcym, nieznanym świecie.

Potem zmarszczył brwi.

Coś było nie w porządku ze sposobem, w jaki rzeka płynęła przez wzgórza. Tak jakby wznosiła się i opadała.. wznosiła się i opadała...

„To nie jest rzeka” - uświadomił sobie w końcu.

„To jest szosa.”

*

Nic nie może uczynić świata bardziej realnym niż próba wykopania w nim dziury. Wysiętek, odgłos metalu wbijającego się w ziemię, słodki zapach i suchy, próchniczny kurz opuszczonych owadnich gniazd - wszystko to wystawiało temu światu bardzo mocne świadectwo realności.

Dennis oparł się o łopatę i wytarł pot z twarzy. Ciężka praca przerwała oszołomienie przejściami poprzedniego dnia. Dobrze było znowu być aktywnym, robić coś z sytuacją, w której się zostało postawionym.

Odgarnął nagromadzoną wokół płaskiego wzgórka ziemię, uklepał ją, potem przykrył wzgórek wycinkami murawy.

Nie mógł zabrać w drogę większości ekwipunku. Zamykanie go w śluzie również nie miałyby sensu. Zostawienie tam choćby jednego zbędnego grama uniemożliwiłoby ludziom z Laboratorium

wysłanie do tego świata następnego posłańca.

Użył taśmy izolacyjnej jako nośnika wiadomości zostawionej na ścianie śluzy a mówiącej, w którym miejscu został zakopany szczegółowy raport razem z częścią ekwipunku.

Znając jednak Flastera i Brady'ego wiedział, że długo będą się namyślać, zanim podejmą decyzję wysłania następnej osoby. Trzeźwo rzecz oceniając, zdawał sobie sprawę, że jeśli ktokolwiek miałby naprawić mechanizm powrotny, tym kimś musi być on sam. Nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek dodatkowe błędy.

Już zdążył popełnić jeden wielki błąd. Tego ranka, gdy otworzył drzwi śluzy i wyszedł w mglisty świat, stwierdził, że nie ma robota. Po godzinie nerwowych poszukiwań doszedł do wniosku, że mechaniczny zwiadowca opuścił go w ciągu nocy. Znalazł ślady jego gąsienic, wiodące na zachód.

Prawdopodobnie robot wyruszył na poszukiwanie humanoidalnych tubylców - najpewniej, żeby zebrać o nich maksimum informacji, dokładnie według instrukcji, którą wczoraj otrzymał.

Dennis przeklinał się za wczorajsze głośne rozmyślanie. Jednak kto mógł się spodziewać, że maszyna przyjmie rozkazy wypowiedziane w normalnym, potocznym języku? Powinna je odrzucić jako zbyt nieokreślone i niejednoznaczne!

Nie ustalił dla robota limitu czasowego. Prawdopodobnie nie wróci on do bazy, dopóki nie zapełni wszystkich taśm.

Robotowi musiał się obluzować któryś z drucików. Najwyraźniej Brady nie żartował mówiąc, że coś dziwnego dzieje się z wysłanymi tutaj maszynami.

Tak oto Dennis od czasu przybycia do tego świata stracił już dwóch towarzyszy. Zastanawiał się, co też mogło się stać z chochlakiem.

Prawdopodobnie wrócił do rodzinnego środowiska, zadowolony, że wreszcie wyzwolił się od tych zwariowanych obcych istot, które go pojmały.

Gdy białozłote słońce podniosło się ponad linię drzew na wschodzie, Dennis był już gotowy do drogi. Postanowił, że sam da sobie radę.

Musiał wiązać węzły na pasach plecaka, żeby zapobiec jego ciągłemu zsuwaniu. Zapewne Brady kupił najtańszy ekwipunek, jaki mógł znaleźć. Mamrocząc komentarze na temat prawdopodobnego pochodzenia rywala i co chwilę podrzucając plecak, Dennis wyruszył na południowy wschód, w stronę drogi, którą widział poprzedniego dnia.

*

Maszerował wzdłuż wąskich widentanych przez zwierzyne ścieżek w nanieciu wnatrując

możliwych niebezpieczeństw. Las jednak był zupełnie spokojny. Pomimo ciągłego skrzypienia nieszczęsnego plecaka, nietrudno mu było oddać się radości ze słońca i świeżego powietrza.

Określał kierunek tak pewnie, jak tylko było to możliwe za pomocą tandetnego kompasu, w jaki zaopatrzył go Brady. Zatrzymał się na odpoczynek na brzegu niewielkiego strumienia i uzupełnił notatki na temat zauważonych różnic między tym światem a Ziemią. Dotychczas ta lista była dość krótka.

Roślinność bardzo przypominała ziemską. Na przykład dominujące na tym obszarze drzewa wyglądały niemal dokładnie jak buki.

To mogło oznaczać ewolucję równoległą lub też zewatron otwierał się tylko na alternatywne wersje Ziemi. Dennis wiedział na temat efektu zew równie wiele jak ktokolwiek na Ziemi. Musiał jednak przyznać, że wcale to nie znaczyło, że wiedział dużo. To ciągle była bardzo nowa dziedzina.

Wciąż sobie przypominał, że ma zachować ostrożność. Jednak w miarę przyzwyczajania się do lasu i poznawania go, coraz częściej przyłapywał się na pamięciowej zabawie z równaniami opisującymi anomalną rzeczywistość.

Leśne zwierzęta patrzyły z ukrycia, jak zagłębiony w myślach Ziemianin przemierza ich ścieżki, zdążając w stronę wstającego dnia.

Gdy wreszcie nadszedł wieczór, Dennis rozbił obóz pod drzewami na brzegu strumyka. Nie chcąc ryzykować rozpalania ogniska, zaczął się zmagać z rozklekotaną maszynką spirytusową, w którą zaopatrzył go Brady. W końcu zapłonął rachityczny ognek i Dennis mógł przyrządzić sobie ledwie letnią breję z odwodnionego, mrożonego gulaszu.

„Będę musiał zacząć polować” - pomyślał. Jednak, bez względu na pomyślne warunki testów biochemicznych, z dużym niepokojem myślał o konieczności strzelania do przedstawicieli miejscowej fauny. A jeśli tutejsze „króliki” naprawdę są filozofami? Czy mógł mieć pewność, że istota, w którą akurat celuje, nie jest inteligentna?

Po uporaniu się z posiłkiem włączył „strażnika” - obozowy alarm. Było to urządzenie nie większe niż dwie talie kart, z małym monitorkiem i równie niewielką, obrotową anteną. Musiał w nie kilkakrotnie puknąć, zanim zaczęło działać.

Kupując je, Brady znowu postanowił oszczędzić pieniądze Instytutu. „Ostrzeże mnie pewnie dwie sekundy przed tym, jak tutejszy odpowiednik słonia zacznie tratować mój plecak” - westchnął.

Ułożył się w śpiworze, z pistoletem igłowym przy boku, i przez szczeliny w baldachimie gałęzi spojrział na niebo i na gwiazdy. Konstelacje były zupełnie mu nie znane.

To raz na zawsze kładło kres teorii o równoległej Ziemi. Dennis wykreślił trzy równania ze swej pamięciowej tablicy

Czekając na nadejście snu, nadawał im imiona.

Na południu, w kierunku gór, Alfresko Potężny zmagał się z ogromnym wężem Stetoskopem. Przenikliwe oczy bohatera błyszczały trochę nierówno - jedno czerwone i mrugające, drugie zielone i stałe. Zielone oko może być planetą. Jeżeli przez następnych kilka nocy wyraźnie zmieni swoje położenie, będzie musiał pomyśleć o odrębnej dla niego nazwie.

Ponad Alfreskiem i Stetoskopem Chór Dwunastu Dziewic nucił podkład dla Cosell Gadatliwego, który monotonnym zaśpiewem opisywał potężne zmagania Alfreska. Bez znaczenia było to, iż walczący me poruszyli się przez tysiąclecia.

Konferansjer znalazł w sobie dość natchnienia, żeby wypełnić przerwę.

Dokładnie ponad głową Dennisa jechał Robot, kanciasty i niewzruszony na drodze wykonanej z miliarda maleńkich cyferek. Ścigał Człowieka z Trawy... kosmitę.

Dennis poruszył się. Chciał spojrzeć w stronę, w którą Człowiek z Trawy tak uparcie dąży. Chciał przekręcić głowę. W końcu, z błogością nadchodzącą wraz z sennymi marzeniami, zdał sobie sprawę, że już od pewnego czasu głęboko śpi.

*

Doszedł do drogi popołudniem czwartego dnia.

Jego dziennik pękał od notatek o wszystkim, od drzew do owadów, od formacji skalnych do lokalnych odmian węży i ptaków. Próbował nawet rzucać kamienie z urwiska i mierzyć czas ich upadku, żeby określić siłę tutejszej grawitacji. Wszelkie obserwacje zdawały się podtrzymywać go w przekonaniu, że to miejsce co prawda nie jest Ziemią, ale za to jest piekielnie do Ziemi podobne.

Mniej więcej połowa miejscowych zwierząt miała ścisłe odpowiedniki w jego rodzinnym świecie. Druga połowa nie przypominała niczego, co kiedykolwiek widział.

Dennis zaczynał już czuć się jak doświadczony badacz - podróżnik - jak Darwin albo Wallace, albo Goodall. A najprzyjemniejsze było to, że jego buty chyba już się rozchodziły.

Z początku szczerze ich nienawidził. Ale potem, po wstępnych bolesnych pęcherzach, z dnia na dzień stawały się coraz wygodniejsze. Reszta ekwipunku ciągle wprawiała go w rozdrażnienie, ale i do niej zaczynał się stopniowo przyzwyczajać.

„Strażnik” ciągle budził go kilkakrotnie w ciągu nocy, jednak Dennis zaczynał sobie radzić z jego maleńkimi pokrętłami. Urządzenie już nie zaczynało buczeć za każdy razem gdy wiatr przegnał suchy liść przez obozowisko.

Ostatniej nocy jednak obudził się niespodziewanie i zobaczył stado czworonogów o

owłosionych kopytach, przemierzające skraj obozu. Gapiły się wielkimi oczami w światło trzymanej bardzo niepewną ręką latarki. Potem spokojnie odeszły.

Gdy pomyślał o nich z większym spokojem, wydały mu się one zupełnie niegroźne, jednak mimo wszystko ciekawe, dlaczego „strażnik” go przed nimi nie ostrzegł?

*

Wszelkie związane z ekwipunkiem troski wyparowały mu z głowy, gdy zbiegał ostatnim piaszczystym stokiem ku drodze. Na dole zrzucił plecak i ukląkł przy jej niewysokiej krawędzi.

To był stara droga, szerokości zaledwie wystarczającej dla ziemskiej półciązarówki. Wiła się, wznosiła i opadała, dostosowując się do ukształtowania terenu, zamiast się przezeń przebijać jak szosy budowane na Ziemi. Jej krawędzie były poszarpane, jakby podczas kładzenia nawierzchni nikt nie zadał sobie trudu ich wyrównania.

Błyszcząca nawierzchnia była gładka i jednocześnie bardzo mocna. Dennis stanął na niej, potem przeszedł kilka kroków. Próbował ją zadrapać metalową sprzączką, skropił ją także wodą z bukłaka. Nawierzchnia zdawała się zapewniać bardzo dobrą przyczepność i wyglądała na odporną na wszelkie wpływy atmosferyczne.

Jej środkiem biegły, wijąc się i skręcając dokładnie jak szosa, dwa wąskie wyżłobienia, odległe od siebie o jeden i cztery dziesiąte metra. Dennis ukląkł, żeby zajrzeć w jeden z tych kanalików, i stwierdził, że jego przekrój jest idealnie półkolisty. Wewnętrzna powierzchnia była w dotyku gładka i śliska.

Po oględzinach usiadł na pobliskim pniaku, pogwizdując z cicha.

Ta szosa była bardzo zaawansowanym technologicznie produktem. Szczerze wątpił, czy tego rodzaju nawierzchnia mogłaby zostać wykonana na Ziemi.

Ale skąd w takim razie te poszarpane brzegi? Skąd poskręcany, nieefektywny bieg szosy? I czemu mają służyć te rowki? To wszystko było zupełnie niezrozumiałe, należało do tej samej kategorii zjawisk, co sposób, w jaki zniszczono mechanizm powrotny i roboty. Tubylcy chyba myśleli zupełnie inaczej niż ludzie.

Jeszcze przy śluzie Dennis stwierdził, że zniknęła większość metalowych części zewatronu. Wtedy myślał, iż może to oznaczać, że ten świat cierpi na niedobór metali. Jednak podczas kilku spędzonych w drodze dni zauważył co najmniej trzy obszary, na których rudy żelaza i miedzi występowały w dużych ilościach i były łatwo dostępne.

To była tajemnica. I tylko jedna droga prowadziła do jej wyjaśnienia.

Po stronie zachodniej szosa wspiwała się wysoko na górskie zbocza. Na wschodzie opadała ku

szerokiemu wododziałowi. Dennis podniósł plecak i poszedł wzdłuż drogi, oddalając się od przedwieczornego słońca - w stronę, w której miał nadzieję znaleźć cywilizację.

*

Nie była to myśl, do której łatwo się było przyzwycząić, jednak Dennis zaczął dochodzić do wniosku, że chyba trochę źle ocenił Bernalda Brady'ego.

Myślał o tym pierwszej nocy po dotarciu do szosy, podgrzewając na maszynie garnek zupy. Być może rzeczywiście był niesprawiedliwy dla swego starego, instytutowego rywala. Podczas kilku pierwszych dni w tym świecie bardzo często narzekał na jakość ekwipunku, obarczając Brady'ego winą za pęcherze na stopach, za startą skórę na ramionach i za fatalny smak prowiantu. Jednak wraz z upływem dni te wszystkie problemy traciły na ostrości. Najwyraźniej potrzebował jedynie czasu, żeby się przyzwycząić. Brady po prostu był wygodnym kozłem ofiarnym, na którym można było wyładowywać frustracje pierwszych dni pobytu tutaj.

Teraz, gdy już nauczył się obchodzić z maszynką, okazało się, że działa ona znakomicie. Pierwszy pojemnik paliwa skończył się w ciągu jednego dnia. Jednak następny wystarczył już na znacznie dłużej i dużo lepiej podgrzewał jedzenie. Okazuje się, że potrzebna była jedynie odrobina praktyki. A także, jak z lekka nieskromnie sobie przyznał, smykałka do techniki.

W czasie, w którym zupa się gotowała, Dennis z nowym szacunkiem przyjrzał się „strażnikowi”. Zabrało mu to ładnych kilka dni, ale w końcu odkrył, że kolor małych światełek na ekranie odpowiada mniej więcej sposobowi odżywiania się przebywających w pobliżu stworzeń. Ten związek stał się dla niego zupełnie oczywisty, gdy w pewnym momencie zauważył, jak sfora podobnych do lisów zwierząt podkrada się do stada ptaków. Obserwował na ekranie „strażnika” światełka, odpowiadające jednej i drugiej grupie. Być może miało to coś wspólnego z temperaturą ciała, ale urządzenie bardzo wyraźnie rozróżniało drapieżców i ofiary czerwonymi i żółtymi punktami świetlnymi.

Trochę go martwiło, że potrzebował aż tyle czasu na zauważenie i zrozumienie tego wszystkiego. Być może zbyt wiele uwagi poświęcał podczas drogi umysłowym zabawom w układanie i rozwiązywanie równań matematycznych.

Tak czy inaczej spodziewał się, że jego wędrówka wkrótce dobiegnie końca. Przez cały ostatni dzień zauważał w okolicy ślady celowej działalności. I szosa stała się nieco szersza. Niedługo, być może już jutro, natknie się na istoty, które panują w tym świecie.

„Strażnik” zamruczał w jego dłoni, mała antena nagle odwróciła się i ustawiła w kierunku zachodnim. Błady dotychczas ekran rozświetlił się, a jednocześnie rozległo się brzęczenie sygnału alarmowego.

Dennis wyłączył dźwięk, sięgnął ku kaburze i wyjął pistolet. Zgasił płomień pod garnkiem z zupą. Gdy umilkł jego cichy syk, Dennis słyszał już tylko szelest poruszanych wiatrem liści w lesie

była gęstym labiryntem czarnych cieni. Tylko kilka bladych gwiazd mrugało poprzez gęstniejącą pokrywę chmur. W lewym dolnym rogu ekranu „strażnika” pojawiła się gromada świetlnych punktów, rozciągniętych w długą, nierówną procesję, pełznącą jak wąż w kierunku centrum ekranu.

Po chwili usłyszał w oddali stłumione skrzypienia i miękkie, przypominające parskanie dźwięki.

Punkty na ekranie rozdzieliły się na kolory. Naliczył ponad tuzin dużych, żółtych kropek, najwyraźniej podążających po szosie.

Żółty był kolorem, który na ekranie oznaczał istoty roślinożerne. Między te żółte punkty wmieszana była duża liczba plamek, świecących różowo albo nawet jasnoczerwono. A w samym centrum procesji błyszczały dwa maleńkie zielone punkciki. Dennis nie miał pojęcia, co lub kogo one reprezentowały.

Za grupą, jakby ją śledząc, podążało jeszcze jedno zielone światełko.

Obozowisko Dennisa znajdowało się w pewnej odległości od szosy, na wzgórzu. Odłożył „strażnika” i ostrożnie zaczął schodzić w dół zbocza, żeby znaleźć lepszy punkt obserwacyjny. Miał wrażenie, że noc wzmacnia trzask każdej nadepniętej po drodze gałązki.

Po niedługim czasie po lewej stronie pojawiła się słaba poświata. Narastała coraz bardziej, rozjaśniała się, aż stała się mocnym, niemal bolesnym białym światłem, ślizgającym się po przydrożnych drzewach.

Reflektory! Dennis zmrużył oczy. Niby dlaczego czuje się tym zaskoczony? Nie myślał chyba, że twórcy takiej jak ta drogi nie będą potrafili jej oświetlić?

Był dobrze ukryty w zaroślach, jednak kulił się w obawie, że zostanie wyłowiony przez to światło. Za reflektorem maszerowały niewyraźne sylwetki, dwunogie, z poruszającymi się w rytm kroków ramionami.

Procesja zaczęła mijać jego punkt obserwacyjny. Słyszał niskie, pełne niezadowolenia pochrząkiwanie zwierząt. Przysłaniając oczy, wypatrzył ogromne czworonogi, które ciągnęły ślizgające się bezszelestnie po powierzchni szosy pojazdy. Przed każdym z tych pojazdów wbijał się w ciemność promień jaskrawego światła.

Z tyłu, za wehikułami, maszerowały grupy dwunogów. Dennis dostrzegł ich ciężkie, zaopatrzone w kaptury stroje oraz coś, co wyglądało na ostrą, połyskującą broń, trzymaną przed sobą w gotowości.

Jednak za każdym razem, gdy jego wzrok na nowo zaczynał przyzwyczajać się do ciemności, zza zakrętu na zachodzie wyjeżdżał następny pojazd, jego reflektor znowu go oślepił i zmuszał do rzucenia się płasko na ziemię. To było denerwujące, ale jednocześnie było chyba jedynym sposobem bliższego przyjrzenia się pochodowi.

Przeszła następna grupa groźnych, zakapturzonych sylwetek, a za nimi znowu czworonogie zwierzęta, ciągnące ciężkie, dziwnie ciche pojazdy. Dennis nie bardzo mógł sobie uzmysłowić, w jaki sposób one się poruszały. Nie widział żadnych kół czy gąsienic. Gdyby jednak unosiły się jak poduszki, słyszałby chyba syk, nawet huk sprężonego powietrza, prawda?

Antygravitacja? To było chyba najlepiej tu pasujące wytłumaczenie. Jednak jeśli rzeczywiście to prawda, dlaczego właściciele wozów używają zwierzęcej siły pociągowej?

Może są oni potomkami jakiejś upadłej cywilizacji, korzystającymi w swych kupieckich wyprawach z osiągnięć dawnej nauki? Biorąc pod uwagę to, co zdołał zaobserwować, taka teza wydawała się całkiem rozsądna.

Myśl o antygravitacji wprawiła Dennisa w podniecenie. Może to właśnie była ta różnica w prawach fizyki, o której Brady mówił mu podczas ostatnich chwil na Ziemi?

Punkt obserwacyjny mijają ostatnia grupa zakapturzonych „wojowników”. Ci jednak jechali, a nie szli. Ich wierzchowce potrzęsały łbami o gęstych grzywach i rżały. Wyglądały tak podobnie do owłosionych kucyków, że Dennis, chcąc zachować trzeźwość sądu, świadomie zaczynał podawać w wątpliwość świadectwo swoich oczu. Zbyt kusząca była myśl o interpretowaniu tego, co widział, w ziemskich kategoriach, przetarł oczy, znowu starając się przebić wzrokiem ciemności. Jednak dostrzegał jedynie sylwetki, nieco ciemniejsze na tle nocy. Jeden z wierzchowców niósł postać mniejszą niż inni jeźdźcy, ubraną w wyróżniający się w głębokim mroku biały płaszcz. W tej postaci było coś wyraźnie mówiącego, że jest ona więźniem. Nie posiadała błyszczącej broni, a jej ręce leżały nieruchomo na szyi zwierzęcia. Przykryta kapturem głowa pochylała się do przodu jakby z rezygnacją.

Gdy jeźdźcy przejeżdżali poniżej kryjówki Dennisa, ubrany na biało więzień podniósł głowę, potem zaczął się odwracać, jakby chciał spojrzeć ku zaroślom, w których Dennis się chował.

Dennis skulił się przy ziemi, czując nagłą suchość w gardle, ale jedna z ciemnych sylwetek na czele grupy odwróciła się w siodle i szarpnęła wodze, na których, jak się okazało, prowadziła wierzchowca więźnia. Zwierzę przyspieszyło i grupa pojechała dalej, wtapiając się w ciemność.

Dennis zamrugał mocno i potrząsnął głową, żeby ją rozproszyć. Chwilę przedtem, skulony i przestraszony, doświadczył dziwnego złudzenia. Odniósł wrażenie, że biały kaptur więźnia rozchylił się - na króciutką, niemal nieuchwytną chwilę - i światło gwiazd ukazało mu smutną, przygnębioną twarz pięknej dziewczyny.

*

Przez długi czas miał ten obraz przed oczami - tak długi, że niemal nie zauważył końca procesji.

Czuł się nieco oszołomiony. Tak, to właśnie musi być powód. Zbyt wielkie podniecenie

wywołało u niego rzeczywiste wizje.

Patrzył, jak blask reflektora ostatniego pojazdu karawany pełźnie po leżącym w pewnej odległości na wschodzie zakręcie. Ciągle nic właściwie nie wiedział o technice i kulturze tubylców. Dowiedział się o nich jedynie tego, iż dzielą z Ziemianami niektóre z mniej chwalebnych zwyczajów - na przykład sposób, w jaki się wzajemnie traktują.

Chwilę później z drogi w dole dobiegł go cichutki warkot.

Przypomniawszy sobie nagle obraz na ekranie „strażnika”. Osobno, dość daleko za karawaną podążała jeszcze jedna, zielona plamka. W podnieceniu zupełnie o niej zapomniał!

Podpełził bliżej, żeby mieć lepszy widok. Nie było już jaskrawych, oślepiających świateł. Wreszcie uda mu się coś wyraźniej zobaczyć!

Zachowując maksymalną ostrożność, ześlizgnął się ze zbocza na odległość kilku metrów od szosy. Z początku niczego nie dostrzegł. Potem cichutki terkot zmusił go do spojrzenia w prawo.

Gładka powierzchnia szkła i plastiku odbijała zanikający blask karawany. W przyćmionym świetle gwiazd widoczne było poruszające się ramię - małe i zaopatrzone w kilka stawów. Na niemal niesłyszalnych, szybko obracających się gaśnicach szosą przemknął, kierując się na wschód, robot zwiadowczy z Saharańskiego Instytutu... wypełniając dosłownie otrzymane polecenia.

...zbierając informacje o tubylcach.

Dennis z trudnością zdusił wrzask. „Mechaniczny idiota!” Ruszył w stronę szosy, potknął się o wystający korzeń drzewa i większą część drogi przebył koziółkując. Podniósł się na nogi akurat w chwili odpowiedniej, żeby zobaczyć, jak maszyna, wymachując ramieniem jakby na pożegnanie, mija zakręt i znika.

Cicho, ale bardzo dosadnie zaklął. Taśmy, które miał robot, niewątpliwie zawierały wszystkie potrzebne informacje. Nie mógł jednak go ścigać ani nawet wezwać głosem bez zwrócenia na siebie uwagi strażników karawany.

Ciągle mruczał pod nosem, stojąc w ciemnościach na środku szosy, gdy z pobliskiej gałęzi coś skoczyło mu na głowę, owijając się mocno wokół oczu i zmuszając do ślepego, pełnego potknięć i uderzeń o drzewa tańca.

*

- Co za piekielny pomysł straszyć mnie w ten sposób? - spytał Dennis oskarżającym tonem. - Mogłem naprawdę mocno w coś uderzyć i zrobić krzywdę nam obu!

Obiekt jego gniewu obserwował go z leżącego dwa metry dalej kamienia. Zielone oczka

błyszczały odbłaskiem płomienia maszyny. Chochlak ziewnął z zadowoleniem, najwyraźniej uważając, że żart był znakomity, a Dennis robi z igły

widły. -Niech szlag trafi wszystkie maszyny i tubylców! A poza tym, gdzie ty właściwie byłeś przez ostatnie cztery dni, co? Oto wrywam cię z łap Bernalda Brady'ego, ratując przed losem gorszym niż nuda, i wszystko, czego chcę w zamian to przyjaciel, który zna tę okolicę. I co się dzieje? Tak zwany przyjaciel” zabiera się przy pierwszej okazji, skazując mnie na taką samotność, że w końcu zaczynam mówić do samego siebie... lub co gorsza, do małego, grubego, latającego prosiaka, który nie rozumie ani słowa z tego, co mam do powiedzenia...! Dennis stwierdził, że wreszcie przestały drżeć mu dłonie. Nalał sobie kubek zupy. Dmuchając na nią, pomrukiwał jeszcze pod nosem, ale czuł, że złość zaczyna mu już powoli przechodzić.

- Durni, dowcipkujący E.T.... przekłęci niestali kosmici.. Spojrzał znad kubka na maleńkiego zwierzaka. Chochlak wywiesił język jak pies. Ich oczy się spotkały.

Dennis westchnął z rezygnacją. Nalał trochę zupy do odwróconej pokrywki menażki. Chochlak przyskoczył do niej i zaczął chleptać ze smakiem, od czasu do czasu spoglądając na Dennisa.

Kiedy już skończyli, Dennis opłukał naczynia i wczłogał się z powrotem do śpiwora. Podniósł „strażnika” i zaczął go regulować. Chochlak natychmiast znalazł się przy nim.

Dennis starał się go ignorować, ale nie potrafił już dłużej podtrzymać w sobie gniewu - chochlak spoglądał na niego w ten swój szczególny sposób, mruczał, patrzył z oczywistą fascynacją, jak Dennis manipuluje pokrętłami małego urządzenia.

Dennis wzruszył ramionami i podniósł zwierzaka z ziemi.

- Jak to właściwie jest z tobą i maszynami? Przecież na pewno nie możesz ich używać. Widzisz? - Potrząsnął małymi łapkami. - Nie masz palców!

Po wyłączeniu maszyny zrobiło się cicho i ciemno, leśna noc zamknęła się wokół nich jak morze spokoju wokół małej wyspy. Wkrótce Dennis zaczął opowiadać chochlakowi o konstelacjach i o wszystkich innych rzeczach, które odkrył.

I stwierdził, że naprawdę dobrze jest mieć znowu towarzystwo, nawet jeśli miałoby to być stworzenie z innej planety, nie rozumiejące ani słowa z tego, co się do niego mówiło.

III. NOM DE TERRE

Następnego dnia droga zaczęła schodzić w dół ku szerokiej dolinie rzeki.

W pewnej chwili jadący na ramieniu Dennisa chochlak pisnął radośnie i z mijanej gałęzi zerwał kiść dużych, purpurowych jagód. Zaczął żuć kilka z nich i po szczęce pociekł mu ich sok. Gdy zaoferował resztę człowiekowi, ten uprzejmie odmówił.

Dennis zaczynał się czuć już całkiem dobrze. Wróciły jego dawne obozowe umiejętności. Plecak, po znalezieniu właściwych węzłów, stał się bardzo wygodny. Idąc po elastycznej nawierzchni szosy, miał wrażenie, że buty - całkowicie już rozchodzone - są miękkimi uzupełnieniami jego własnych stóp. Naprawdę zaczynał się dobrze bawić.

Jednak wiedział, że las wkrótce się skończy. Ciągłe bez odpowiedzi pozostawało pytanie, co zrobi, gdy wreszcie dotrze do cywilizacji.

Jakimi stworzeniami są tubylcy? Czy ich technika jest dostatecznie wysoko rozwinięta, żeby mogli mu pomóc w odbudowie połowy zevatronu?

Co ważniejsze, czy przypadkiem nie zdecydują się ładnie posegregować, według rozmiarów i kolorów, części, jak to już ktoś zrobił z częściami zevatronu?

Być może na początek całkiem niezłym pomysłem jest trochę tubylców pospieszować.

- To zupełnie proste! Jeżeli rysy ich twarzy są nieco inne niż moje, użyję po prostu rzeczno błota, żeby przyprawić obie fałszywe anteny i szypułki oczne, i już po kłopotach! Być może będę musiał usunąć sobie nos i oczywiście nieco wydłużyć szyję, ale to jest kwestia najwyżej kilkunastu centymetrów. Ciekawe tylko, czy będę potrzebował łusek.

W czasie marszu przychodziły mu do głowy scenariusze rozwoju sytuacji.

Wiem! Będę się starał odnaleźć wiejską rezydencję ekscentrycznego, bogatego naukowca G'zvreepa. Rozpoznam ją po kopule obserwatorium astronomicznego, wyraźnie górującej nad zachodnim skrzydłem pałacu.

Masz rację, Dennis. Gdy zapukasz, uprzejmy stary uczyony osobiście otworzy ci drzwi, wysławszy służbę wcześniej do łóżek, żeby mu nie przeszkadzała w poszukiwaniu komet. W pierwszym momencie, widząc cię, twoje obrzydliwie płaskie oczy, miliony twych wąsów czaszkowych, zamacha płatami płucnymi w odruchu obrzydzenia, jednak kiedy podniesiesz dłoń w uniwersalnym geście pokoju, szybko wprowadzi cię do środka, mówiąc: »Wchodź prędzej! Dzięki niech będą Gixgaxowi, że trafiłeś najpierw do mnie!«

Na łące obok szosy Dennis znalazł ślady obozowiska. Popiół w ognisku był jeszcze ciepły. Odłożył plecak i postawił „strażnika” na jednym ze znajdujących się w pobliżu dużych kamieni.

Chochlaka postawił na drugim.

- No dobrze, bystrooki - powiedział do zwierzaka - zobaczymy, czy nadajesz się do czegoś więcej niż tylko do towarzystwa. Stój tu na warcie, gdy tymczasem ja wykonam poważną pracę detektywistyczną.

Chochlak przekrzywił kpiąco łeb, potem ziewnął.

- Hmm. Twoje zachowanie wskazuje tylko, jak mało naprawdę wiesz. Ja już coś znalazłem! - Wskazał palcem ziemię. - Patrz. Ślady stóp!

Chochlak prychnął. Najwyraźniej to odkrycie nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Dennis westchnął. Gdzie jest entuzjastyczna publiczność, gdy najbardziej jej potrzebujemy?

W ziemi znajdowało się dużo głębokich wgnieceń - zapewne zrobionych przez wielkie zwierzęta pociągowe - i mniejsze ślady, które mogłyby być zostawione przez niepodkutego kuczka. Leżące tu i ówdzie odchody również wskazywały na to, że ten świat rzeczywiście ma wśród swej fauny jakieś bliskie odpowiedniki koni.

Po zakończeniu badania śladów zwierzęcych Dennis zajął się poszukiwaniem jakiegoś wyraźnego odcisku stóp istot dwunogich i wkrótce stwierdził, że wszyscy w tej karawanie byli obuci.

Z ostrych zarysów bieżnikowanych podeszew w sposób oczywisty wynikało, że ci ludzie używali podobnych butów jak on. Te ślady stanowiły niepodważalny dowód istnienia wysokiej techniki. Wzór bieżnika w przypadku każdego z nich był identyczny... jakby komputer opracował najlepszy, idealny wariant, który następnie został skierowany do masowej produkcji. Chodził po obozowisku, rozglądając się z podnieceniem, aż wreszcie przyszła mu do głowy pewna myśl.

Zatrzymał się i podniósł swoją lewą stopę. Dość niezdarnie usiłował dostrzec podeszwę buta. Wreszcie chwycił stopę i odkręcił ją - nieco zbyt gwałtownie, gdyż stracił równowagę i runął na plecy.

Spojrzał na wzór bieżnika swego buta i ciężko westchnął. Był on identyczny z wzorem na śladach. Albo tutejsze komputery doszły do takiego samego rozwiązania co ziemskie, albo..

Rozejrzał się wokół. Ślady butów były wszędzie. Bez wątpienia niemal wszystkie zostały zrobione przez niego samego.

Rozległo się popiskiwanie, które brzmiało podejrzanie podobnie do śmiechu. Dennis odwrócił się i spojrzał na chochlaka. Zwierzak wyszczerzył zęby w swój normalny sposób.

- Nie waż się cokolwiek powiedzieć! - ostrzegł go Dennis.

Chociaż raz chochlak zrobił to, co mu kazano.

Nie było już właściwie zbyt wielu innych śladów. Obok ogniska znalazł kilka rozpadających się okruchów suszonego mięsa. W miejscu, w którym trzymane były zwierzęta, tu ówdzie leżało rozsypane ziarno. Obok wysokiego drzewa natknął się na ziemi na czerwoną plamkę. Była trochę lepka, jak krew. Znalazł ślady ciągnięcia czegoś po ziemi oraz kępki wyrwanej sierści. Trochę później znalazł długi kosmyk włosów, błyszczących w porannym słońcu jak czyste złoto. Przyglądał mu się przez chwilę, potem starannie zwinął i włożył do zapinanej kieszeni na rękawie.

Nieco bliżej lasu znalazł martwe zwierzę. Wyglądało jak bardziej wyrośnięty kuzyn chochlaka. Miało spłaszczony nos i zęby jak igły, ale było wielkości i budowy doga. Jego łeb patrzył na Dennisa tępo z odległości dwóch metrów od reszty ciała. Został odcięty razem z częścią ramienia jakby przez gilotynę - lub laser o wysokiej mocy.

Przyglądał się tej scenie, gdy nagle od strony ogniska dobiegło go buczenie „strażnika”. Rozejrzał się czujnie wokół. Co tym razem się zbliża?

Odwrócił się w stronę lasu akurat w momencie, w którym wylaniało się stamtąd sześć podobnych do psów bestii. Nie bardzo miał czas bliżej im się przyglądać. Stwory zawarczały - niskimi, dudniącymi głosami - i natychmiast runęły ku niemu.

Pistolet igłowy znalazł się w jego dłoni, zanim jeszcze miał czas o nim pomyśleć. Przez kilka ostatnich dni ćwiczył podczas marszu szybkie wyciąganie go z kabury z natychmiastowym strzałem w jakieś drzewo. To ćwiczenie teraz najprawdopodobniej uratowało mu życie.

Stojąc pewnie na rozstawionych nogach, wycelował tuż przed szarżującą sforę i wystrzelił.

Ziemia przed zwierzętami eksplodowała, ale ogarnięte żądzą mordy bestie ślepo gnały przed siebie przez gejzer pyłu i trawy. Dennis nie miał wyboru. Podniósł nieco lufę i znowu wystrzelił.

Sfora zmieniła się w skowyczącą masę. Chwilę potem Podzieliła się na uciekających i martwych.

Dennis popatrzył na czmychające i wyjące z bólu zwierzęta na ich pokrwawionych i nieruchomych towarzyszy. Potem spojrział na niewielką broń w swojej dłoni.

Pistolet igłowy, zasilany baterią słoneczną, strugał maleńkie ścinki z dziwnie ukształtowanego, wkładanego do komory amunicyjnej kawałka metalu, a potem z dużą prędkością je wystrzeliwał. Na początku pobytu w tym świecie Dennis myślał, że jest to urządzenie niewiele skuteczniejsze od zabawki, jednak podczas ćwiczeń w drodze przyzwyczał się do niego i nawet nabrał doń pewnego zaufania.

Teraz patrzył na pistolet ze szczerym zdumieniem.

„Co za morderca!” - pomyślał.

*

Wkrótce mógł już stwierdzić bez wątpliwości, że zbliża się do cywilizacji.

Szosa znacznie się poszerzyła, niektóre ze stoków wzgórz nosiły ślady uprawy. Gęsty żywopłot oddzielał teraz drogę od pól po jej obu stronach. Patrząc pomiędzy gałęziami, Dennis dostrzegał pasące się na łąkach stada zwierząt.

Niedługo powinien się natknąć na tubylców. Jednak przypadkowe spotkanie na drodze nie wydawało mu się najlepszym sposobem na pierwszy kontakt. Poza tym wcale nie miał ochoty stykać się z tą bronią, która tak gładko odcięła łeb znalezionej w obozowisku zwierzęciu. Zdecydował, że chyba będzie lepiej, jeśli przez jakiś czas trasa jego wędrówki będzie biegła obok drogi.

Zaczął rozglądać się za szczeliną w żywopłocie. Gdy wyjął maczetę i zaczął nią rąbać w miejscu nieco węższym niż inne, chochlak obudził się z drzemki na szczycie plecaka. Skoczył na wysoką gałąź i przysiadł tam, spoglądając na Dennisa z wyraźną pretensją o przerwanie sjesty.

Dennis stwierdził, że zamiar wycięcia sobie drogi przez żywopłot wcale nie jest łatwy w realizacji. Ciężkie ostrze odskakiwało od gałęzi, ledwie je szczybiąc.

Przyjrzał się maczecie z niesmakiem. Dotychczas właściwie jej nie używał. Ostrze było pokryte plamami rdzy i zupełnie powiedział kilka ciepłych słów na temat Bernalda Brady 'ego, pocieszając się tym, że jednak nie oceniał tego faceta zbyt niesprawiedliwie.

Gdy wysysał zadrapania na wierzchu prawej dłoni, przyszła u do głowy pewna myśl. A gdyby tak użył tego pięknego noża, znalezionej przy śluzie zevatronu? Zrzucił plecak i wydobył z jednej z dolnych kieszeni owinięty w płótno przedmiot. Spojrzawszy czujnie w górę i w dół drogi, położył zawiniątko na ziemi i rozwinął je.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Tydzień temu schował piękny, ostry, wytrzymały nóż, będący w oczywisty sposób produktem wysoko rozwiniętej techniki. To, co teraz leżało przed nim, ciągle robiło wrażenie, ale był to po prostu podłużny kawałek obsydianu, przymocowany do drewnianej rękojeści mocno nawiniętymi rzemieniami. Ten nóż również był ostry i starannie wykonany, ale należał do zupełnie innej kategorii przedmiotów niż perfekcyjne narzędzie, które kiedyś znalazł.

Poczuł lekki zawrót głowy. „Prawdziwy fenomen” - powiedział do siebie, dotykając noża.

Został przywołany do rzeczywistości przez piskliwy wrzask nad swoją głową. Chochlak zaświergotał do niego dwukrotnie, gwałtownie potrząsając głową. Potem poszybował ku pobliskim zaroślom.

Dennis sięgnął do bocznej kieszeni spodni i wyjął „strażnika”. Ekranik pokazywał czerwone światełka na szosie, zbliżające się w tę stronę.

Szybko zawinął niezwykły nóż z powrotem. Tajemnica może trochę poczekać. Zarzucił plecak i na serio zabrał się do rąbania maczetą. Koniecznie musi wydostać się z tej drogi!

Kolce czepiały się plecaka i ramienia, którym zasłaniał twarz, przeciskając się przez gęstwą. W końcu wyskoczył na łąkę jak pestka czereśni pomiędzy palców i runął na trawę.

Przetoczył się, oddychając ciężko.

„Tym razem przynajmniej dobrze się im przyjrzę” - myślał, odczołgując się od wyrwy w żywopłocie. - „Dowiem się, jak oni naprawdę wyglądają!”

Znowu wyjął „strażnika”. Ekran usiany był wieloma żółtymi światełkami, najwyraźniej odpowiadającymi stadom przeżuwaczy, które Dennis uprzednio zauważył na zboczach wzgórz. Z boku ekranu zobaczył dwie czerwone plamki i dwie żółte, zbliżające się drogą w tę stronę.

„Dwóch jeźdźców”.

Nigdzie nie mógł znaleźć zielonego światełka, które oznaczało chochlaka. Niestające stworzenie pewnie znowu go opuściło.

Tak mocno skupił się na czerwonych punktach na drodze, że dłuższą chwilę zajęło mu zauważenie dwóch małych, różowych światełek, które odłączyły się od pobliskiego stada żółtych. Poruszały się one szybko w stronę centrum ekranu.

„Idą ku środkowi” - uświadomił sobie - „...to znaczy do mnie!”

- Ciiiń-ooooobrr-anuu!!!

Dobiegł go z tyłu - wysoki, przenikliwy okrzyk, po którym ciarki przeszły po plecach. Okrzykowi towarzyszył tupot biegnących stóp. Ktoś go atakuje!

Sięgnął ku kaburze, niewielką mając nadzieję, że zostanie mu dana dostateczna ilość czasu, żeby się uzbroił. W każdej chwili spodziewał się uderzenia jakiegoś nieznanego promienia śmierci, który przetnie go na pół.

- Ciń-ooooobrr-oj!

Obciążony plecakiem, z trudem przetoczył się na brzuch, starając się jednocześnie podnieść broń. Wyciągnął pistolet przed siebie w dwóch drżących dłoniach, gotowy natychmiast strzelać do... Do psa.

Zamrugał, ciągle celując... do małego pieska, który zawarczał na niego i natychmiast czmychnął, chowając się za parą krótkich, cienkich nóg... kościstych i poobijanych nóg małego

chłopca.

Dennis podniósł wzrok z niedowierzaniem.

Najgroźniejszą bronią, jaką zobaczył, był kij pastuszy, trzymany przez podrostka o skołtunionych włosach i umorusanej twarzy.

Pierwszy myślący kosmita, z jakim Dennis nawiązał kontakt odrzucił z oczu pasmo niesfornych, brązowych włosów i wydyszał:

- .liitooojeeee-aaanyeee... - Chłopiec posapywał z podniecenia. - Ceeeeeee-wiideeec-muuu-tat?

Dennis, nieco oszołomiony z zaskoczenia, zdał sobie jednak sprawę, że leżąc w taki sposób, wygląda zapewne dość niemądrze. Powoli, jakby nie chcąc spłoszyć chłopca, podniósł się na nogi.

Postanowił, że na razie nie będzie myślał nawet przez chwilę o tym, jak bezsensowne jest znajdowanie tutaj, w zupełnie obcym świecie, ziemskiego chłopca - ośmiolatka, na pierwszy rzut oka. Z takich myśli nie mogło wynikać nic dobrego. Zmusił się do skupienia uwagi na problemie języka. W wypowiedzianych przez chłopca dźwiękach było coś dziwnie znajomego, miał wrażenie, że już kiedyś je słyszał.

Usiłował przypomnieć sobie, czego się nauczył na wykładach z lingwistyki, na które dobrowolnie uczęszczał podczas studiów. A więc nauczył się, że istnieje kilka dźwięków, mających jednakowe znaczenie dla niemal wszystkich istot ludzkich. Antropolodzy zwykli posługiwać się nimi w początkowych stadiach kontaktu z nowo odkrytymi plemionami.

Przełknął ślinę i zaryzykował użycie jednego z nich.

- Hmmm? - powiedział.

Chłopiec zdołał już odzyskać panowanie nad swym oddechem. Z westchnieniem, mówiącym na jak wielką próbę wystawiana jest jego cierpliwość, powtórzył:

- Chcecie widzieć mego tatkę, panie?

Dennis niemal się zachłysnął. W końcu udało mu się zmusić głowę do potwierdzającego ruchu w górę i w dół.

*

Szczeniak biegał wokół, obszczekując ich stopy. Chłopiec - powiedział, że ma na imię Tomosh - maszerował z powagą obok Dennisa, prowadząc go poprzez pofałdowaną łąkę w stronę swego domu.

W pewnej chwili Dennis zobaczył przez szczeliny w żywopłocie dwóch jeźdźców. Zanim stwierdził, że źródłem pojawienia się na ekranie „strażnika” groźnych, czerwonych światełek jest jadąca spokojnie na włochatych kucykach para farmerów, przez kilka minut krył się, ku zdumieniu chłopca, w jakimś dołku w ziemi.

Zaczynał dopiero znajdować w sobie odwagę, żeby myśleć o sytuacji, w jakiej się znalazł. Ze wszystkich możliwych kontaktów z inteligentnymi istotami pozaziemskimi ten był chyba najbardziej pożądanym, a jednocześnie najdziwniejszym.

Nie potrafił jednak choćby zacząć sobie wyobrażać, jak to się stało, że w tym świecie znaleźli się ludzie.

- Tomosh? - zagadnął.

- Tak, psze pana? - Chłopiec modulował głos w sposób, który dla Dennisa ciągle był przeszkodą w rozumieniu sensu słów.

Mały spojrział w górę wyczekująco. Dennis milczał, zastanawiając się, od czego powinien zacząć. Nie bardzo wiedział, o co ma pytać.

- Eee, czy twemu stadu nic się nie stanie w czasie, gdy odprowadzisz mnie do rodziców?

- Nie, stoganom nic nie będzie. Psy pilnują. Ja tylko muszę iść liczyć je dwa razy na dzień i krzyżeć, jak brak którego.

Przeszli w milczeniu następnych kilkadziesiąt kroków. Dennis nie miał zbyt wiele czasu na przygotowanie się do spotkania z dorosłymi. Nagle poczuł, że zaczyna narastać w nim trema.

Przed spotkaniem chłopca przyzwyczał się do myśli, że jest tu istotą obcą, innoplanetarną i będzie musiał starać się przeżyć w zgodzie z logiką takiego założenia. Na przykład, zostać zabitym przy pierwszym spotkaniu przez nienawidzące ssaków, inteligentne mrówki, byłoby tylko parszywym, jednak naturalnym i nie dającym się uniknąć pechem. Nic na to nie mógłby poradzić.

Jednak na sposób, w jaki będą na niego reagowali miejscowi ludzie, będzie miało wpływ jego własne zachowanie. Prosta pomyłka w formułce grzecznościowej - choćby przejęzyczenie - może wszystko zrujnować. I w tym przypadku wina będzie leżała po jego stronie.

Być może dziecku powinien zadać pytania, które u dorosłych wywołałyby tylko podejrzliwość.
- Tomosh, czy tu w pobliżu jest dużo gospodarstw?

- Nie, psze pana, tylko kilka. - Chłopiec sprawiał wrażenie dumnego z tego faktu. - My jesteśmy prawie najdalej! Król chce, żeby w góry, gdzie mieszkają L'Toff, jeździli tylko górnicy i kupcy. Baron Kremer myśli inaczej, jasne. Tatko mówi, że baron nie ma prawa słać tam drwali i żołnierzy...

Tomosh zaczął opowiadać, jak strasznie okrutny i przewrotny jest ich lokalny władca i jak

król, który mieszka daleko na wschodzie, zrobi z nim kiedyś porządek. Po pewnym czasie opowieść wyraźnie nabrała charakteru plotki - bardzo skomplikowanej jak na tak małego chłopca... mówiła więc, jak to „Lord Hern” powoli przejmuje w imieniu barona wszystkie kopalnie i jak to z powodu kłopotów z królem już od dwóch lat nie przyjechał do tego regionu żaden cyrk. Jakkolwiek niełatwo było śledzić wszystkie szczegóły, Dennis zrozumiał, że panującym tu ustrojem jest feudalizm, a wojna najwyraźniej nie jest czymś niezwykłym.

Niestety, ta opowieść nie powiedziała mu niczego na temat poziomu miejscowej techniki. Ubranie chłopca, chociaż przybrudzone, sprawiało dobre wrażenie. Nie miało wszytych kieszeni, ale pas z kieszeniami przypinanymi, który wyglądał jak świeżo wyjęty z katalogu firmy wysyłkowej. Buty Tomosha bardzo przypominały dobre, mocne trampki, które Dennis nosił jako dziecko.

Gdy weszli na niskie wzgórze, Dennis zobaczył zabudowaną bez wyraźnego planu farmerską zagrodę. Dom mieszkalny, stodoła i skład narzędzi stały około stu metrów od drogi z osłoną od wiatru. Budynki i podwórze otoczone były wysoką palisadą. Według Dennisa to gospodarstwo wyglądało na dość zamożne. Tomosh, nagle podekscytowany, pociągnął go za rękę. Dennis niepewnie podążył za chłopcem w dół zbocza.

Dom mieszkalny był niskim, rozległym budynkiem z łagodnie spadzistym dachem, błyszczącym w promieniach popołudniowego słońca. W pierwszej chwili Dennis myślał, że światło odbija się od aluminiowych elementów konstrukcyjnych.

Jednak gdy podeszli bliżej, zobaczył, że ściany wykonane są z lakierowanych, wspaniale dopasowanych desek.

Stodoła była zbudowana w podobny sposób. Oba budynki wyglądały jak wyjęte z reklamowego czasopisma dla rolników.

Dennis zatrzymał się tuż przed bramą. To była ostatnia szansa na zadawanie głupich pytań.

- Hmm, Tomosh - powiedział - jestem w tej okolicy obcy...

- Och, jasne, sam się domyśliłem. Śmiesznie pan wygląda!

- No, tak. Więc właściwie pochodzę z odległego kraju na... na północnym zachodzie. - Z gadaniny chłopca Dennis wywnioskował, że miejscowi niezbyt dużo wiedzieli o ziemiach leżących w tym kierunku.

- Oczywiście - kontynuował -jestem bardzo ciekawy, jaki jest wasz kraj. Czy mógłbyś mi powiedzieć, na przykład, jak się nazywa ta okolica?

Chłopiec odpowiedział bez chwili wahania.

- To jest Coylia!

- A więc wasz król to jest król Coylii?

Tomosh skinął głową, przyoblekając twarz w wyraz świętej cierpliwości.

- Jasne!

- Dobrze. Wiesz, z nazwami dzieją się czasem śmieszne rzeczy. Na przykład ludzie w różnych krajach inaczej nazywają świat. A jak wy go nazywacie? - Dennis był zdecydowany na zawsze pogrzebać „Flasterię”.

- Świat? - Chłopiec chyba nie bardzo rozumiał.

- Tak, cały świat. - Dennis wskazał ziemię, niebo. wzgórza wokół nich. - Wszystkie oceany i królestwa. Jak wy to nazywacie?

- Aha! Tatir - powiedział z powagą. - Taka jest nazwa świata.

- Tatir - powtórzył Dennis Usiłował powstrzymać uśmiech. Nie brzmiało to dużo lepiej niż „Flasteria”.

- Tomosh!

Głos był kobiecy, przenikliwy i dobiegał z budynku mieszkalnego. Z frontowych drzwi wyszła krzepko wyglądająca, młoda kobieta i znowu zawołała: - Tomosh! Chodź tu zaraz! Chłopiec zmarszczył brwi.

- To ciocia Biss. A co ona tutaj robi? I gdzie są mama ? - Ruszył w stronę domu, zostawiając Dennisa w bramie.

Coś było wyraźnie nie w porządku. Kobieta wydawała się poważnie zmartwiona. Uklękała i trzymając ramiona chłopca, coś mu z powagą tłumaczyła. Wkrótce Tomosh zaczął pochlipywać.

Dennis czuł się bardzo niezręcznie. Przechodzenie przez bramę bez zaproszenia dorosłej osoby nie wydawało się zbyt rozsądne. Z drugiej jednak strony nie bardzo chciał tak po prostu odchodzić.

Budynki i podwórze były w zupełnym porządku. Prawdziwe kurczaki dziobały rozsypane na ziemi ziarno razem ze stadkiem ptaków, które wyglądały jak maleńkie strusie.

Ścieżki na podwórzu zostały wykonane z tego samego sprężystego materiału, który tworzył nawierzchnię szosy. Miały takie same, poszarpane krawędzie, niemal wtapiające się w ziemię i trawę.

Cała farma sprawiała wrażenie, jakby została wykonana w taki właśnie sposób. Okna w budynku mieszkalnym były czyste i dobrze dopasowane, ale umieszczono je jakby w zupełnie przypadkowych miejscach, bez zwracania uwagi na jakikolwiek plan. Okna duże i małe sąsiadowały ze sobą bez żadnej oczywistej przyczyny.

Tomosh przylgnął do piersi ciotki, teraz już otwarcie płacząc. Dennis był poważnie zaniepokojony. Coś się musiało przytrafić rodzicom chłopca.

W końcu zdecydował się podejść kilka kroków. Kobieta podniosła ku niemu oczy.

- Pan się nazywa Dennis? - spytała chłodno z tym samym, szczególnym akcentem, z którym mówił Tomosh.

Skinął głową.

- Tak, proszę pani. Czy Tomosh dobrze się czuje? Czy mógłbym w czymś pomóc?

Propozycja chyba ją zaskoczyła. Jej twarz nieco złagodniała.

- Rodzice Tomosha odeszli. Przyszłam, żeby go zabrać do mego domu. Może pan tu zostać do czasu, aż przyjdzie mój mąż, żeby zabrać rzeczy i wszystko pozamykać.

Dennis chciał zadać jeszcze inne pytania, ale powstrzymał go jej surowy wzrok.

- Niech pan siądzie tu, na stopniach, i poczeka chwilę -. powiedziała, potem wprowadziła chłopca do domu.

Dennis nie czuł się obrażony okazywaną przez kobietę podejrzliwością. Był obcy. Jego akcent pewnie wcale mu nie pomagał. Usiadł na stopniach w miejscu, które wskazała.

Na ganku, tuż obok drzwi do budynku, stała długa skrzynia z narzędziami. W pierwszej chwili Dennis spojrzał na nią tylko przelotnie, myśląc o czym innym. Potem przyjrzał się bliżej i zmarszczył brwi.

- Robi się coraz ciekawiej - powiedział.

Był to najdziwniejszy zbiór narzędzi, jaki zdarzyło mu się widzieć.

Bezpośrednio obok drzwi znajdowała się siekiera, dalej grabie, motyka i łopata - wszystko błyszczące i nowiutkie. Dotknął wielkich nożyc ogrodniczych, które stały jako następne. Wydawały się bardzo mocne. Miały uchwyty z gładkiego, ciemnego drewna, co nie było zresztą takie dziwne. Jednak ostrza nie wyglądały na wykonane z metalu. Były ostre jak brzytwa, ale przede wszystkim były półprzezroczyste, z widocznymi w środku delikatnymi żyłkami.

Dennis nie wierzył własnym oczom.

- To jest kamień! - szepnął. - Na dodatek chyba któryś ze szlachetnych! To mogą nawet być pojedyncze kryształy!

Był oszołomiony. Nie mógł sobie wyobrazić przemysłu, który potrafiłby produkować takie narzędzia na użytek rolnika! To, co miał przed sobą w skrzyni obok drzwi, było zupełnie

nieprawdopodobne!

Ale nie była to ostatnia niespodzianka. Przyglądając się skrzyni, czuł narastający, niekłamany niepokój, gdyż jakkolwiek narzędzia najbardziej od drzwi odległe były również wykonane z kamienia, na tym się kończyło ich podobieństwo do wspaniałych ostrzy tuż przy wejściu.

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Po lewej, najbardziej odległej stronie skrzyni stała inna siekiera. Jednak ten egzemplarz wyglądał, jakby pochodził prosto z Epoki Kamiennej!

Prymitywne drewniane stylisko co prawda zostało wygładzone w dwóch miejscach, ale w innych ciągle było pokryte korą. Ostrze było zrobione z obłupanego krzemienia i przytwierdzone rzemieniami.

Reszta narzędzi mieściła się pomiędzy tymi ekstremami. Niektóre były tak prymitywne, jak to możliwe. Jakość innych mogła być osiągnięta tylko przy zastosowaniu wspomaganego komputerowo projektowania i najwyższych lotów technik obróbki materiałów.

W zamyśleniu dotknął siekiery o krzemiennym ostrzu. Mogłaby być wykonana tą samą ręką, spod której wyszedł tajemniczy nóż, schowany w jego plecaku.

- Stivying był najlepszym zużywcem w tych stronach - powiedział głos za jego plecami.

Odwrócił się. Zagubiony w myślach, nie usłyszał kroków ciotki Biss, wychodzącej na ganek. Kobieta wyciągnęła ku niemu talerz i łyżkę. Przyjął je odruchowo. Nagle poczuł się bardzo głodny.

- Stivying? - Z trudnością powtórzył imię. - Ojciec chłopca?

- Tak. Stivying Sigel. Dobry człowiek, sierżant Królewskich Zwiadowców, zanim ożenił się z moją siostrą Surah. Jego reputacja jako zużywacza spowodowała na niego nieszczęście. To oraz fakt, że był zbudowany dokładnie jak baron - i wzrost, i waga. Ludzie barona przyszli po niego dziś rano.

Wyglądała tak, jakby naprawdę wiedziała, co mówi. Dennis nie śmiał wyprowadzać jej z błędu. Poza tym to mogła być jego wina - być może wskutek jej akcentu nie wszystko właściwie rozumiał.

- A co się stało z matką chłopca? - spytał. Podmuchał na zaczerpniętą z talerza zupę. Była słodka, ale i tak zdecydowanie różniła się smakiem od żelaznych racji, które od tygodnia musiał sobie przyrządzać. Ciotka Biss wzruszyła ramionami.

- Kiedy zabrali jej męża, Surah przybiegła do mnie, potem spakowała się i poszła na wzgórze. Chce prosić L'Toff o pomoc. - Parsknęła z dezaprobatą. - Akurat widzę, jak to cokolwiek pomoże!

Dennisowi zaczynało kręcić się w głowie od wzmianek o rzeczach, o których nie miał pojęcia. Kim są L'Toff? I kim, do diabła, jest zużywacz?

Dennis mógł sobie wyobrazić sytuację, w której farmerska duma wpędza kogoś w konflikt z miejscowym możnowładcą i powoduje jego uwięzienie. Ale dlaczego Stivyung Sigel miałby zostać aresztowany za to, że jest „zbudowany dokładnie tak samo” jak jego baron? Czy to tutaj jest przestępstwem?

- Tomosh dobrze się czuje?

- Tak. Chciałby się z panem pożegnać, zanim pan pójdzie.

- Pójdę - powtórzył Dennis. Miał cichą nadzieję, że zostanie zaproszony do pozostania tu trochę dłużej, ugoszczony zarówno rozmową, jak i normalnym łóżkiem na noc. Ta okolica nie wyglądała na najspokojniejszą pod słońcem. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, zanim wyruszy w stronę jakiegoś większego osiedla, dowiedzieć się, kto produkuje te wspaniałe narzędzia, które tu widział, i zmierzać prosto ku niemu, omijając z daleka wszelkich baronów Kremerów tego świata.

Ciotka Biss skinęła głową stanowczo.

- W naszym domu nie mamy dość miejsca, a to miejsce jutro zostanie zamknięte. Jeśli szukasz pracy, możesz ją znaleźć w Zuslik.

Dennis zapatrzył się w talerz. Nagle stracił wszelką ochotę spędzanie jeszcze jednej nocy pod gołym niebem. Nawet popiskiwanie kurcząt budziło w nim tęsknotę za domem.

Ciotka Biss milczała przez chwilę, potem westchnęła.

- Och, co za różnica. Tomosh uważa, że jest pan prawdziwym pielgrzymem, a nie jednym z tych nicponiów, którzy czasem docierają tu ze wschodu. Nie sądzę, żeby było coś złego w tym, że pozwolę panu przespąć tę noc w stodole. Pod warunkiem, że będzie się pan dobrze zachowywał i że obieca odejść z samego rana.

Dennis skinął głową.

- Może jest tu coś do zrobienia, w czym mógłbym pomóc...?

Biss pomyślała przez chwilę. Odwróciła się i wyjęła ze skrzynki siekierę o krzemiennym ostrzu.

- Nie spodziewam się, żeby to coś dało, ale może by pan spróbował narąbać trochę drewna.

Dennis wziął prymitywną siekierę z wahaniem.

- No cóż... myślę, że mogę spróbować... - Spojrzał na piękny topór, stojący obok drzwi.

- Niech pan bierze tę tutaj - powiedziała z naciskiem. - Teraz, gdy Stivyunga już nie ma, chcemy ją jak najszybciej sprzedać. Bierwiona są za domem.

- Życzę dobrego zużywania. - Kiwnęła głową, odwróciła się i weszła do domu.

Znowu pojawiło się to pojęcie. Dennis był pewien, że jego uwadze wymknęło się coś bardzo ważnego. Doszedł jednak do wniosku, że najmądrzej będzie nie zadawać ciotce Biss już żadnych pytań.

A więc najpierw rzeczy najważniejsze. Dokończył zupę i do czysta wylizał naczynie. Miał wrażenie, że jest ono podobne do tych nietłukących się talerzy, które można znaleźć w domach na całej Ziemi. Jednak po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że ten talerz jest zrobiony z cienkiej jak wafel i wypolerowanej do doskonałości drewnianej płytki.

»Jeżeli kiedykolwiek uda mi się naprawić zevatron i jeśli zaczniemy prowadzić handel z tą kulturą, będą mogli sprzedawać nam miliony takich naczyń! Ich fabryki będą pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę!»

Potem przypomniał sobie zwierzęta pociągowe, zaprzężone do ślizgających się bezgłośnie wozów.

„Co tu się dzieje?”

Obrzuciwszy tęsknym wzrokiem piękną siekierę obok drzwi, z rezygnacją podniósł wyrób jaskiniowca i poszedł rąbać drewno na zapleczu domu.

IV. NAJKRÓTSZA DROGA DO CARNEGIE HALL

Miasto Zuslik leżało na dnie rozległej doliny, w miejscu, w którym niskie wzgórza po obu stronach tłoczyły się w pobliże szerokiej, leniwie płynącej rzeki. Okolica była gęsto zalesiona, z połami uprawnymi równomiernie rozrzuconymi między płachtami lasu. Miasto rozsiadło się tuż nad rzeką, na skrzyżowaniu kilku dróg.

Z leżącego na zachód od Zuslik zbocza Dennis widział, że miasto otacza górujące nad zakrętem rzeki wzgórze. Na szczycie tego wzgórza, wznosząc się ponad inne budynki, stała ciemna, przysadzista wieża, zbudowana z płaskich, nałożonych na siebie warstw - jak wielki, ciemny tort weselny.

Instytutowa luneta pozwalała dostrzec mrówcze kolumny ludzi, maszerujących po podwórcach wokół fortecy. Promienie słoneczne błyskały od czasu do czasu na ostrzach wysoko uniesionej broni. Na wieży, w podmuchach omiatającego dolinę wiatru, łopotały proporce.

Nie można było w tej budowli nie rozpoznać domu miejscowego możnowładcy. Po tym wszystkim, co słyszał o baronie Dennis miał głęboką nadzieję, że jego poszukiwania nie złożenia tam wizyty.

przedwczoraj wieczorem przyszedł do niego Tomosh. Wszedł ostrożnie do stodoły, w której Dennis mościł się na sianie, usiłując zrobić wrażenie, że chce tylko powiedzieć ościowi dobranoc. Jednak Dennis wiedział, że naprawdę chłopak szuka współczucia i sympatii, których jego surowa ciotka zapewne nie miała w nadmiarze.

Tomosh został w stodole kilka godzin, wymieniając z Dennisem opowieści. To była uczciwa wymiana. Dennis miał okazję poćwiczyć wymowę - osławając się z dziwną, coyliąską odmianą angielskiego - a Tomosh, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, dowiedział się sporo o Piotrusiu Panu i o zwyczajach Kubusia Puchatka.

Dennis niezbyt poszerzył swoją wiedzę na temat stanu coylińskiej technologii - ale też nie oczekiwał tego po rozmowie z małym chłopcem. Słuchał jednak uważnie opowiadanych przez Tomosha „przerażających” historii o czerniawcach i innych słynnych straszydłach, a także legend o starożytnych, dobrotliwych smokach, pozwalających ludziom przemierzać niebo na swym grzbiecie. Wszystkie te opowieści starannie notował w pamięci, gdyż nigdy nie wiadomo, jaka informacja może okazać się przydatna w przyszłości.

Bardziej istotne, jak przypuszczał, były wzmianki Tomosha na temat barona Kremera, którego dziadek kilkadziesiąt lat temu przyprowadził z północy plemię górali i odebrał Zuslik staremu księciu. Kremer sprawiał wrażenie człowieka, od którego lepiej trzymać się z daleka. Taka przynajmniej była opinia Tomosha, poniekąd potwierdzona tym, co baron zrobił z rodziną chłopca.

Mimo pragnienia, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, Dennis zdawał sobie sprawę, że baron Kremer nie jest w tej sytuacji najlepszym tematem rozmowy. Starą piosenką obozową odwrócił

uwagę chłopca od kłopotów i wkrótce Tomosh śmiał się radośnie i klaskał w dłonie. Zasypiając na sianie obok Dennisa, nie pamiętał już o nieszczęściu, które spadło na niego kilka godzin wcześniej.

Dennis miał miłe uczucie spełnienia dobrego uczynku. Żałował tylko, że nie może dla tego chłopca zrobić nic więcej.

Następnego ranka ciotka Biss, małomówna do końca, dała mu na odchodnym płócienną zawiniątko z serem i chlebem Tomosh, żegnając się, po męsku wstrzymywał łzy. Dojście z farmy tutaj, w pobliże Zuslik, zajęło tylko jeden dzień i następny poranek.

Po drodze wypatrywał małej, różowej istoty o błyszczących, zielonych oczach. Jednak chochlak się nie pokazał. Wyglądało na to, że tym razem opuścił go na dobre.

Dennis przyjrzał się miastu ze znajdującego się w pobliżu urwiska. Gdzieś w tej twierdzy ojciec chłopca był więziony za tajemnicze i całkowicie niezrozumiałe zbrodnie... za to, że był „zbudowany tak samo” jak jego władca, a poza tym - że sprawnie posługiwał się narzędziami. Dennis poczuł prawdziwą ulgę dowiadując się, że przynajmniej on w niczym barona nie przypomina.

Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że przyglądając się miastu z oddali, nie dowie się o nim już niczego więcej. Wstał i zaczął wkładać plecak.

W tej właśnie chwili kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i... zobaczył, że ponad wierzchołkami drzew, wprost na niego, leci coś wielkiego, czarnego i bardzo szybkiego!

Rzucił się na trawę i niemal dokładnie w tej samej chwili latający gigant przemknął nad jego głową. Cień, który na niego padł, był ogromny. Słyszał łopot i świst - hałasy, mrozące krew w żyłach, zapowiadające nieuchronną katastrofę. Zdawało mu się, że jedynym ratunkiem jest jak najszybsze zagrzebanie się w murawę.

Minęło kilka przerażających sekund. Ponieważ nic straszego się nie zdarzyło, ośmielił się w końcu podnieść głowę. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu potwora i ze zdumieniem stwierdził, że go nie ma!

Tomosh opowiadał mu o smokach - wielkich, dzikich bestiach, które według legendy broniły niegdyś tutejszych ludzi przed jakimiś śmiertelnymi wrogami. Jednak Dennis odniósł wrażenie, że należą one do odległej przeszłości, że znajdują się tam, gdzie jest miejsce wszystkich wyimaginowanych stworzeń z dziecięcych baśni!

przeszukał wzrokiem horyzont i w końcu odnalazł czarną, skrzydlatą sylwetkę. Opadała w stronę miasta. Wciąż czując nienaturalną suchość w ustach, wyciągnął lunetę i, z pewną trudnością ustawiając ostrość, skierował ją w stronę zamku.

Patrzył z niedowierzaniem. Dobrą chwilę zajęło mu zrozumienie - nie bez odczuwalnej ulgi - że to wcale nie jest żaden „smok”. Mahoniowy potwór był po prostu latającą maszyną, która teraz wylądowała lekko jak piórko i zatrzymała się po krótkim hamowaniu. Z rzędu dużych szop na

zamkowym podwórku wybiegły ku niej małe figurki. Z maszyny wyszli dwaj ludzie - najpewniej piloci - i szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, poszli w stronę zamku.

Dennis opuścił lunetę. Czuł się trochę głupio, że doszedł do tak dramatycznych konkluzji w sytuacji, która miała znacznie prostsze wytłumaczenie. Przecież to wcale nie jest takie dziwne, że mieszkańcy tej planety znają tajemnicę lotu, prawda? Natknął się już na dostatecznie wiele oznak wysoko rozwiniętej techniki.

Jednak samolot leciał niemal zupełnie bezgłośnie, a w każdym razie nie towarzyszył mu ryk silników. To intrygujące. Być może trzeba będzie jeszcze raz, tym razem poważniej, zastanowić się nad antygravitacją.

Istniał tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Podniósł się i otrzepał, potem zarzucił plecak i ruszył w dół ku miastu.

Targ na zewnątrz miejskich murów wyglądał niemal tak samo, jak jakikolwiek nadrzeczny bazar na Ziemi. Był pełen krzyku i nawoływań, i pojawiających się znikąd, rozbieganych chłopięcych gangów, najwyraźniej nie mających zbyt uczciwych zamiarów. Ze sklepów i składów dochodziły mocne, zdecydowane zapachy, od bogatej woni jada do ostrego piżma pociągowych zwierząt.

Dennis wszedł na targowisko z miną człowieka, który dokładnie wie, co ma tu do załatwienia. W każdym razie taką miał nadzieję. Różnorodność strojów, jakie widział wokół siebie, sprawiała, że w swoim ubraniu nie czuł się dziwacznie i obco. Miał wrażenie, że buty, spodnie i koszula to ubiór tutaj zupełnie normalny. Niektórzy nieśli nawet, podobnie jak on, swoje bagaże na plecach.

Przeszedł obok mężczyzn rozpartych przy stolikach przydrożnej kafejki. Zatrzymało się na nim kilka spojrzeń, jednak jeśli była w nich ciekawość, to chyba tylko przelotna.

Zaczął oddychać nieco swobodniej. „Być może uda mi się dotrzeć bez specjalnych przeszkód do jakiegoś miejscowego uniwersytetu” - pomyślał z nadzieją. Miał wyrobione zdanie na temat ludzi, z którymi chciałby tutaj nawiązać kontakt.

Na Ziemi nawet w starożytności i średniowieczu istniały grupy ludzi oświeconych, a tubylcy najwyraźniej chlubili się lepiej rozwiniętą techniką i wyższą kulturą niż tamte społeczności. Samolot zdecydowanie umocnił jego nadzieję na znalezienie dokładnie takiej pomocy, jaka była mu potrzebna.

Gdy doszedł do nabrzeża, w nozdrza uderzyły go ostre zapachy suszących się ryb i świeżo garbowanych skór. Przystanie były solidnymi konstrukcjami z łączonych dyblami pali. Wszystkie w całości, aż do lśniących wilgocią podpór, sprawiały wrażenie zupełnie nowych. Górne powierzchnie platform pokryte były tą samą substancją, z której wykonano tutejsze drogi.

Zatrzymał się, żeby obejrzeć dokładniej jedną z łodzi Żeglował w swym życiu dostatecznie dużo, żeby na pierwszy rzut oka rozpoznać konstrukcję wystudiowaną i wysoce efektywną. Kadłub był wąski, lekki i gładki, ze smukłym masztem osadzonym elegancko dokładnie w środku ciężkości.

Materiałem, z którego łódź zbudowano, było już mu znane, gładzone do połysku drewno.

Jeżeli jednak ci ludzie posiadają techniczne możliwości, pozwalające im na budowanie takich łodzi, to dlaczego ciągle posługują się żaglami? Może mają jakieś religijne tabu, zabraniające im używania silników? Prawdopodobnie jedyne maszyny znajdują się w fabrykach, produkujących te wszystkie wspaniałe rzeczy.

Dennis bardzo chciał odnaleźć taką fabrykę i porozmawiać z kierującymi nią ludźmi.

W pobliżu grupa robotników przenosiła ciężkie worki z nadrzecznego składu do ładowni czekającego stateczku. Każdy z tych worków ważył zapewne nie mniej niż czterdzieści kilogramów. Przygięci pod ich ciężarem, krępi mężczyźni o klatkach piersiowych jak beczki wlekli nogi wzdłuż nabrzeża, coś przy tym mruczając.

Dennis potrząsnął głową z niedowierzaniem. Czy to możliwe, żeby ich religia zabraniała także używania taczek?

Po złożeniu worków w ładowni tragarze nie wracali na brzeg wąską rampą, lecz wspinali się na okrężnicę statku. Każdy z nich, przy wtórce rytmicznych pomruków towarzyszy, śpiewał kilka linijek jakiejś pieśni, potem nurkował w wody rzeki, robiąc miejsce następnemu.

To wydawało się zupełnie dobrym pomysłem - kąpiel w rzece przed wyjściem na brzeg i wzięciem na grzbiet następnego ciężaru. Dennis okrążył czekający ładunek i zbliżył się do tragarzy na tyle, żeby słyszeć ich zaśpiew. Brzmiał on jak powtarzane w kółko warianty zdania „Hej, hu hu ha!”

Niosący worki mężczyźni stawiali ciężkie kroki w stałym, znaczonej frazą rytmie. Dennis podszedł do nich w chwili, gdy jeden z nich, ogromny mężczyzna o błękitnoczarnych wąsach wrzucił swój worek do ładowni i lekko wskoczył na burtę. Jedną ręką trzymając się wanty, drugą wybijał rytm „Hej, hu hu ha!” na swej błyszczącej od potu piersi. Po chwili zaśpiewał:

Burmistrz ponoć jest mądry, lecz wszem z tego znany,

(Hej, hu hi hu?!!) Ze sadłem nadrabia, czego w głowie mu brak.

(Hej, hu hu ha!) Jak należy zużywa tylko dwa swe organy,

(Hej, hu hi hu?) Jeden z nich to jest język, zaś drugi to zad!

Ostatnie słowo zostało nieco przygłuszone pośpiesznym „Hej, hu hu ha!” tragarzy. Olbrzym puścił wantę i z głośnym pluskiem wpadł do wody. Gdy płynął w stronę drabiny, jego miejsce na okrężnicy zajął wysoki mężczyzna z wianuszkami mocno przerzedzonych włosów. Jego głos brzmiał zaskakująco głęboko.

W domu żona przed lustrem bezustannie się trudzi,

(Hej, hu hi hu?) Uważa się pewnie za nóż, szcnotkę lub stół.

(Hej, hu hu ha!) Zużywanie przedmiotów łatwiej idzie niż ludzi,

(Hej, hu hi hu?!)

Więc się stroi, lecz ciągle wygląda jak wół! (Hej, hu hu ha!)

Dennis uśmiechnął się słabo - jak człowiek, który wie, że opowiedziano całkiem niezły dowcip, ale do którego niezupełnie dotarł sens puenty.

Przez główną bramę do miasta powoli wchodziła niewielka karawana. Byli w niej niosący pakunki piesi, którzy ustawiali się w kolejce do robiącej wrażenie komory celnej szopy. Kilku mężczyzn na włochatych kucykach przejechało przez bramę bez żadnych przeszkód ze strony strażników - najwyraźniej byli to jadący z oficjalnymi poleceniami urzędnicy.

Poza bramą sapały cierpliwie zaprzęgi wielkich, przypominających bizona czworonogów. Ich uprzęże wiodły do ogromnych sań, zapewne takich samych, jakie kilka dni temu widział w ciemności nocy na szosie.

„No, teraz wreszcie się przekonamy, czy rzeczywiście jest to antygravitacja!” - pomyślał i poszedł pospiesznie naprzód. Znajdował się o krok od rozwikłania tej tajemnicy!

Kilku z czekających na kontrolę pieszych zaprotestowało bezładnie, gdy przepychał się przez nich ku saniom, ale nikt go nie zatrzymał. Jego podniecenie wzrastało z każdym krokiem, zbliżającym go do jednego z tych wysokich, błyszczących wehikułów.

Tak jak podejrzewał, wozy w ogóle nie miały kół. Ładunek był przymocowany pasami do osłoniętej plandeką platformy, której cztery rogi zaopatrzone były w niewielkie, lecz dość wysokie płozy. Pasowały one idealnie do tych dwu półkolistych rowków, które biegły wzdłuż wszystkich dróg w Coylii, na jakie się natknął.

Woźnica krzyknął na swe zwierzę i potrząsnął lejcami. Potężne stworzenie posapując zrobiło krok do przodu. Uprząż się napięła i sanie gładko ruszyły z miejsca. Dennis poszedł za nimi pochylając się, żeby lepiej widzieć.

Może to lewitacja magnetyczna? Może maleńkie płozy ślizgają się na poduszce pola, wytwarzanego przez elektryczność? Na Ziemi istniały tego typu urządzenia, ale znacznie większe, bez porównania mniej zminiaturyzowane. Ten system robił wrażenie eleganckiej prostoty, a jednocześnie musiał być niezwykle skomplikowany.

Dennis niejasno zdawał sobie sprawę, że ludzie wokół komentują jego zachowanie i to niezbyt delikatnie. Zabrzmiał śmiech, usłyszał kilka sprośnych sugestii, wypowiedzianych w obco brzmiącym, lokalnym dialekcie. Jednak nic go to nie obchodziło. Jego umysł był wypełniony schematami i wstępnymi obliczeniami matematycznymi, sprawdzając i odrzucając jedno rozwiązanie

wspaniałej kombinacji droga-sanie po drugim.

To była najlepsza zabawa, jakiej doświadczył w ciągu ostatnich kilku tygodni!

Niewielka, wciąż obiektywna część jego jaźni ostrzegała go, że wpadł w dziwny, nienaturalny stan ducha. Napięcie, gromadzące się w nim, kropla po kropli, w ciągu ostatnich dwóch tygodni wreszcie eksplodowało i teraz kontrolę przejęła ta część jego osobowości, która najlepiej sobie mogła z tym poradzić - gorliwy, nieświadom rzeczywistości naukowiec. Na złe czy dobre - w ten właśnie sposób zwykł sobie radzić z przekraczającymi jego odporność stresami.

Na czworakach pochylił się ku małej, zagłębionej w rowku płozie. Przyjrzał się jej powolnemu ruchowi i po chwili cicho, z niedowierzaniem gwizdnął. Ze ślizgu płozy wyciekał przezroczysty płyn. Znikał szybko, wsiąkając niemal natychmiast w dno rowka.

Dotknął jednej z pozostałych za płozą kropelek i roztarł ją między palcem wskazującym a kciukiem. Błyskawicznie pokryła skórę cienką, błyszczącą błonką. Stwierdził, że nie może ścisnąć mocniej opuszków, gdyż ześlizgiwały się na boki. Nawet nie czuł ich wzajemnego dotyku.

Ten płyn był idealnym smarem! Po chwili nabożnego osłupienia zaczął gorączkowo szukać po kieszeniach plastikowej buteleczki na próbki. Znalazł ją i, trzymając w lewej dłoni, bezskutecznie usiłował zetrzeć śliską błonkę z palców prawej. W końcu odkorkował fiolkę zębami.

Raczkował za powolnymi saniami, ścigając płozy wylotem buteleczki i łapiąc uciekające na boki krople. Wkrótce miał już około dwudziestu pięciu milimetrów płynu, niemal wystarczająco dużo, żeby przeprowadzić analizę...

Sanie zatrzymały się niespodziewanie i Dennis wyrznął w nie głową. Z przeładowanej platformy spadł na niego deszcz podobnych do wiśni owoców.

Z góry, z tyłu dobiegły nowe głosy. Ktoś mówił bardzo głośno i tłum zaczął się cofać.

Dennis, wciąż w uniesieniu, stanowczo odmawiał komukolwiek prawa do rozpraszania swojej uwagi. Pijany radością odkrycia pozostał na czworakach, mając nadzieję, że sanie znowu ruszą i będzie mógł zebrać choćby troszkę więcej smaru.

Na jego ramię opadła ciężka dłoń. Dennis niecierpliwie machnął ręką.

- Jeszcze chwileczkę, proszę - rzucił. - Za sekundę będę wolny.

Muskularna dłoń zacisnęła się mocniej i szarpnięciem odwróciła go o sto osiemdziesiąt stopni. Dennis spojrział w górę, mrugając nic nie rozumiejącymi oczyma.

Stał nad nim bardzo duży mężczyzna w stroju, który bez wątplenia był swego rodzaju mundurem. Na jego twarzy malowało się przedziwne połączenie zdziwienia i rodzącej się furii.

W pobliżu stali trzej inni żołnierze, uśmiechając się szeroko. - Dobrze mówi, Gil'm, zostaw go! - powiedział jeden z nich ironicznie. - Nie widzisz, że jest zajęty? ! Drugi ze strażników, pociągający piwo z wysokiego kufła, ' parsknął, opluwając kolegę, potem zakrztusił się i rozkasłał. Gil'm poczerwieniał. Zebrał w garści połą kurtki, którą Dennis miał na sobie i podniósł go na równe nogi. W prawej ręce trzymał dwumetrowej wysokości drąg, zakończony błyszczącym ostrzem, podobnym do tego, w jakie wyposażone są l halabardy. W magnetyczny sposób przyciągało ono wzrok Dennisa. Sprawiało wrażenie dostatecznie ostrego, żeby z równą łatwością przecinać papier i kości.

Nie odwracając się ani nie odrywając wzroku od Dennisa, Gil'm powiedział do jednego ze swych rozbawionych kolegów:

- Fed'r, potrzyмай no mój tener. Nie będę psuł jego zużycia, zabijając takie rzadkie gówna jak ten tu Zusliczek. Starczą mi gołe ręce.

Strażnik, ciągle szczerząc zęby, podszedł i przejął broń z dłoni Gil'ma. Olbrzym zacisnął jeszcze mocniej podobne do parówek paluchy, wzmacniając chwyt na kurtce Dennisa.

„Oj, niedobrze”. Dennis otrząsnął się już częściowo z ogłupiającego transu. Zaczynał rozumieć paskudną sytuację, w jaką z własnej winy się wpakował.

Przede wszystkim mógł stracić okazję do wygłoszenia przemowy, którą starannie przygotował z myślą o pierwszym spotkaniu z miejscowymi władzami. Postanowił natychmiast naprawić swoje zaniedbanie.

- Wybacz mi, proszę, szlachetny panie! Nie miałem pojęcia, że znalazłem się już u bram waszego cudownego miasta! Jestem, widzisz, cudzoziemcem z bardzo odległego kraju. Przybyłem tu, żeby spotkać się z waszymi filozofami i przedyskutować z nimi kwestie o ogromnym znaczeniu. Na przykład ten wasz wspaniały smar. Czy wiesz, panie, że... Aj!

77

W trakcie tej przemowy twarz żołnierza w sposób zadziwiający spurpurowiała. Bez wątplenia mogło to znaczyć, że Dennis nie wybrał najbardziej odpowiedniego do sytuacji sposobu nawiązania kontaktu. Zdążył się jednak uchylić, gdy pięść jak bochen chleba przecięła powietrze w miejscu, w którym przed chwilą znajdował się jego nos.

Twarz strażnika była odległa nie więcej niż o pół metra od jego twarzy. Oddech Gil'ma dostarczał wrażenia, o których można by pisać tomy.

- No, dalej, Gil'm! Nie potrafisz przyłożyć małemu Zusliczkowi? - Spodziewając się dobrej zabawy, nadciągnęła niemal cała zmiana straży, porzuciwszy posterunek przy odległej o kilkanaście metrów bramie. Strażnicy śmiali się hałaśliwie i w pewnej chwili Dennis usłyszał, że jeden z nich proponuje zakład o to, jak daleko pofrunie jego, Dennisa, głowa, gdy Gil'm uderzy nieco celniej.

Cywile z karawany cofnęli się, spoglądając strachliwie.

- Stój spokojnie, łachu - warknął Gil'm. Cofnął pięść, przymierzając się do ciosu. Tym razem celował starannie, delektując się chwilą. Jego twarz przybrała wyraz skupienia i radosnego wyczekiwania.

„On chyba rzeczywiście nie żartuje” - pomyślał Dennis.

Spojrzał na strażnika... na owłosioną dłoń, zaciśniętą na kurtce. Nie było czasu, żeby sięgnąć po pistolet - niewiele by zresztą pomogło rozpoczęcie wizyty w mieście od wyrznięcia członków lokalnej straży.

Dennis uświadomił sobie jednak, że w lewej dłoni trzyma niewielką, otwartą buteleczkę na próbki.

Niemal bez zastanowienia wylał jej zawartość na trzymającą kurtkę, mięsistą łapę.

Olbrzym znieruchomiał i spojrzał na niego, zdumiony tak niekonwencjonalnym sposobem obrony. Po chwilowym zastanowieniu uznał, że wcale mu się to nie podoba. Znowu warknął i uderzył... Dennis zaś wyśliznął się z jego dłoni jak osełka masła. Pięść żołnierza gwizdnęła mu nad głową, po drodze lekko muskając włosy.

Gil'm wbił tępe spojrzenie w swoją lewą dłoń - teraz pustą, za to pokrytą cienką błonką błyszczącej cieczy.

- Hej! - powiedział obrażonym tonem. Odwrócił się dostatecznie szybko, żeby zobaczyć, jak jego ofiara przebiega bramę i znika w mieście.

Dennis zdecydowanie wolałby po raz pierwszy zwiedzać to miasto w nieco bardziej spokojny sposób.

Za jego plecami, przy bramie, wybuchł tumult. Początkowe rozbawienie ludzi z karawany rozmyło się w przekleństwach i wrzaskach, gdy strażnicy wkroczyli w tłum z kijami.

Dennis nie tracił czasu na obserwowanie bójki. Przecwałował przez piękny, ozdobny most, spinający brzegi kanału. Przechodnie spoglądali ze zdumieniem, jak gnał, klucząc pomiędzy wesoło wymalowanymi straganami i uskakując na boki przed sprzedawcami i ich klientami. Okrzyki i nawoływania strażników podążały za nim w bardzo niewielkiej odległości. Na szczęście większość mieszczan w obawie przed wplątaniem się w niemiłą sytuację natychmiast odwracała głowy.

Przebiegł tuż obok ulicznego żonglera, uchylając się przed spadającymi maczugami i skręcił w uliczkę za straganem cukiernika.

Usłyszał dudniące po niedalekim moście buty, chwilę później wrzaski, gdy strażnicy potykali się o bezradnego żonglera i jego maczugi. Biegł dalej, klucząc po splełanych ulicach i zaułkach.

Budynki miasta Zuslik były podobnymi do zikkuratów wysokościami, niekiedy nawet

kilkunastopiętrowymi. Wszystkie miały tę samą, przypominającą tort weselny architekturę. Wąskie uliczki między nimi były labiryntem jak polityka międzywydziałowa w Instytucie Saharańskim.

Dennis zatrzymał się w pustym zaułku, żeby przeczekać kolkę w boku. Nie było łatwo uciekać z ciężkim plecakiem na ramionach. Gdy w końcu miał już ruszyć dalej, usłyszał przekleństwa, wykrzykiwane znajomym od kilku minut głosem.

- ...spalić całe to pieprzone miasto na popiół! Mówicie, że żaden z was nie widział tego gnojka? Ani tych bydlaków, którzy obrobili naszą strażnicę, gdy byliśmy odwróceny? Nikt nic nie widział? Przeklęte Zusliczki! Jedna banda złodziei! A ja wam mówię, że kilka uderzeń biczem potrafi pięknie odświeżyć pamięć!

Dennis wycofał się w głąb zaułka. Jedno było pewne - będzie musiał jakoś pozbyć się plecaka. Znalazł ocienione miejsce, odpiął pasy plecaka i pozwolił mu opaść na ziemię. Klęknął i z jednego z pasów zdjął przymocowany doń pakiet z rzeczami pierwszej potrzeby. Potem rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby ukryć plecak.

Uliczka była pełna najróżniejszych śmieci, ale niestety nie było tu niczego, co nadawałoby się na w miarę bezpieczną kryjówkę.

Parter budynku, przy którym Dennis stał, miał niewiele ponad dwa metry wysokości. Pierwsze piętro było wyższe o metr czy dwa, dzięki czemu dach parteru tworzył wokół niego coś w rodzaju parapetu. Dennis zrobił kilka kroków do tyłu i okręciwszy się wrzucił tam plecak. Potem cofnął się jeszcze dalej, wziął krótki rozbieg i podskoczył, chwytając krawędź dachu.

Odchylił prawą nogę w tył, chcąc ją zarzucić obok dłoni, lecz w tej samej chwili poczuł, że traci pewność chwytu. Zapomniał o warstewce smaru z sań, która ciągle pokrywała palce jego prawej dłoni. Dłoń ześlizgnęła się i Dennis spadł ciężko na ziemię.

Bardzo chciałby poleżeć sobie chwilę, pojękując z cicha, ale nie było na to czasu. Podniósł się niepewnie na nogi, zdecydowany podjąć następną próbę.

I wtedy usłyszał za sobą kroki.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że w uliczkę, nie dalej niż dziesięć metrów od niego, wchodzi Gil'm Strażnik, uśmiechając się radośnie i trzymając wysoko przed sobą nieprzyjemnie połyskującą halabardę.

Zauważył, że Gil'm w ogóle nie używa swej lewej dłoni i domyślił się, że ciągle jest ona pokryta smarem. Ta ciecz była naprawdę zdradziecka.

Szybkim ruchem rozpiął kaburę, wyciągnął z niej pistolet i skierował go w stronę strażnika.

- No dobra, Gil'm - powiedział - zatrzymaj się tam, gdzie jesteś. Nie chciałbym zrobić ci krzywdy.

Żołnierz szedł naprzód, zupełnie niezrażony i uśmiechał się szczęśliwie, najpewniej w przewidywaniu tej radosnej chwili, gdy rozetnie Dennisa na pół.

Dennis zmarszczył brwi. Nawet jeśli nikt przedtem nie widział tu takiej broni jak igłowiec, zwykła ostrożność powinna podpowiedzieć Gil'mowi, że lepiej się zatrzymać.

Być może ten strażnik po prostu był zupełnie pozbawiony wyobraźni.

- Myślę, że nie bardzo zdajesz sobie sprawę, z czym tu masz do czynienia - powiedział.

Gil'm wciąż się zbliżał, trzymając w jednej ręce wysoko uniesioną broń. Dennis stwierdził, że nie ma innego wyjścia, jak tylko odegrać swój bluff do końca. Przeżył chwilę paniki, gdy pokryły smarem kciuk dwukrotnie ześlizgnął się z bezpiecznika. Jednak w końcu guziczek się przesunął. Dennis starannie wycelował i wystrzelił.

Rozległ się gęsty grzechot i zdarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Wypolerowane drewno styliska halabardy rozsypało się na drzazgi, rozdarte strumieniem szybkich skrawków metalu. Gil'm uskoczył przed spadającym ostrzem i wpatrzył się z osłupieniem w zaciśnięty w dłoni kikut, będący pozostałością jego broni.

Jednak Dennis nie zdołał utrzymać pistoletu w dłoni. Silny odrzut przy strzale wyrwał go ze śliskich palców. Igłowiec odbił się od piersi Dennisa i z grzechotem spadł na ziemię, zatrzymując się kilka kroków przed nim.

Dennis i Gil'm zamarli w bezruchu, obaj nagle rozbrojeni. Twarz strażnika była nieruchomą maską, oczy stanęły mu w słup, ukazując białka. Wyglądał jak skamieniały.

Dennis powolutku zaczął przesuwać się naprzód, mając nadzieję, że oszołomienie strażnika będzie trwało dostatecznie długo, żeby zdążył podnieść pistolet. Igłowiec oparł się o pozbawione styliska ostrze halabardy, w połowie drogi między nimi.

Pochylał się właśnie, sięgając po broń, gdy u wylotu uliczki pojawili się dwaj następni żołnierze. Zobaczyli go i krzyknęli ze zdumienia.

Dennis chwycił igłowiec i złożył się do strzału. Jednak w tej samej chwili stwierdził, że nie potrafi zmusić się do zabicia tych ludzi. Była to niewątpliwie rysa na jego charakterze, ale nic nie mógł na to poradzić.

Odwrócił się i zaczął uciekać. Zdołał jednak przebiec zaledwie kilkanaście kroków. Trzonek rzuconego noża uderzył go w bok głowy, wtrącając w ciemność.

- No, już. Spokojnie. Za dzień czy dwa będziesz miał

guza jak reflektor. Tak, to będzie prawdziwa latarnia! Głos dochodził z bardzo niewielkiej

odległości. Dennis

usiadł niezdarnie, podtrzymywany za ramię przez czyjąś kościstą dłoń. Głowa pulsowała mu bólem.

- Taa, prawdziwa latarnia. Zużywaj go dobrze, a będziesz mógł z jego pomocą widzieć w ciemności! - Głos dźwięczał głębokim samozadowoleniem.

Dennis z trudnością skupił uwagę na mówiącym. Chciał przetrzeć oczy i niemal zemdlął z bólu, gdy jego dłoń dotknęła stłuczenia po lewej stronie głowy.

Załawionymi oczyma zobaczył starego mężczyznę, który uśmiechnął się do niego, ukazując mocno przerzedzone zęby.

Nagle zakręciło mu się w głowie i pewnie przewróciłby się na bok, gdyby nie podtrzymująca go dłoń starca. Opadł z powrotem na posłanie.

- Powiedziałem „spokojnie”, prawda? Poczekaj jeszcze minutę, a świat zacznie wyglądać dużo lepiej. Masz, wypij to. Dennis potrząsnął głową, potem zakrztusił się i zakaszłał, gdy jego pielęgniarz złapał go za włosy i wlał do ust jakiś ciepławy płyn. Napój miał okropny smak, jednak Dennis chwycił w obie dłonie chropowaty kubek i zaczął pić łapczywie, aż naczynie zostało mu odebrane.

- Na razie wystarczy. Siedź tu spokojnie i próbuj dojść do siebie. Dzisiaj, z takim świeżym guzem na głowie, chyba jeszcze nie będziesz musiał zaczynać pracy. - Mężczyzna poprawił mu poduszkę pod głowę.

- Mam na imię Dennis. - Głos brzmiał skrzekliwie, sam ledwie rozróżniał słowa. - Co to za miejsce?

- Ja jestem Teth, a to jest więzienie, durniu. Nie poznajesz więzienia, nawet jak w nim siedzisz?

Dennis, odzyskawszy wreszcie ostrość widzenia, spojrział w lewo i w prawo. Jego łóżko było jednym z długiego rzędu prymitywnych prycz, osłoniętych z góry przez drewniany dach. Z tyłu, za jego plecami, stała ściana zrobiona z obrzuconej gliną plecionki. Przed otwartym frontem szopy znajdował się duży, otoczony wysoką, drewnianą palisadą dziedziniec.

Po prawej stronie stał znacznie bardziej imponujący mur. Błyszczał w jasnych promieniach słońca zupełnie gładką, pozbawioną spójną powierzchnią. Było to najniższe i najszersze z dwunastu czy nawet więcej wznoszących się w górę pięter. Pośrodku błyszczącej ściany widniała niewielka brama, a przy niej wartownia. Na stojących tam ławkach drzemało dwóch znudzonych strażników.

Znajdujący się na dziedzińcu mężczyźni, prawdopodobnie współwięźniowie, wykonywali zadania, których cel nie bardzo był dla Dennisa zrozumiały.

- O jakiej pracy mówiłeś przed chwilą? - spytał starca. Czuł lekki zawrót w głowie, miał również to dziwne wrażenie oderwania od rzeczywistości, którego doświadczał już wcześniej. - Co wy tu robicie, osobiste identyfikatory ścisłego zachowania?

Nie zwrócił uwagi na kpiący wzrok starego człowieka.

- Pracujemy ciężko, ale niczego tu nie robimy. Prawie wszyscy tutaj jesteśmy nędznie urodzoną hołotą - włóczęgami i tak dalej. Większość z nas nawet nie wiedziałaby, jak ma cokolwiek zrobić.

- Jasne, jest tu trochę takich, co wpadli w kłopoty, bo zadarli z gildiami. I inni, którzy służyli staremu księciu, jeszcze zanim zjawił się tu ojciec Kremera. Niektórzy z nich mogą wiedzieć trochę o robieniu rzeczy, jak przypuszczam...

Dennis potrząsnął głową. Miał wrażenie, że Teth i on nadają na zupełnie innych częstotliwościach. A może po prostu nie-

zbyt dobrze słyszał, co stary człowiek mówi. Bolała go głowa

i ciągle było nieco oszołomiony.

- Uprawiamy tu dla siebie trochę roślin - ciągnął Teth. - A ja się zajmuję nowymi przybyszami, takimi jak i ty. Ale głównie zużywamy dla barona. Jak inaczej moglibyśmy na siebie zarobić?

Znowu pojawiło się to pojęcie... zużywać. Dennis zaczynał

mieć go dosyć. Ilekroć je słyszał, miał nieprzyjemne uczucie

łaskotania w mózgu, jakby podświadomość usiłowała mu

powiedzieć coś, co przez nią zostało już w pełni zrozumiane,

a co inne części jego jaźni z uporem odrzucają.

Z pewną trudnością podniósł się do pozycji siedzącej i przerzucił nogi przez skraj pryczy.

- Hej, daj spokój! Nie powinieneś tego robić jeszcze przez kilka godzin. Połóż się z powrotem!

Dennis potrząsnął głową.

- Nie! Mam tego dość! - Odwrócił się do starego człowieka, który spoglądał na niego z niekłamaną troską. - Skończyłem z cierpliwością wobec tej waszej zwariowanej planety, słyszysz? Chcę się wreszcie dowiedzieć, o co tu chodzi, i to zaraz! W tej chwili!

- Spokojnie... - zaczął Teth. Potem krzyknął, gdy Dennis chwycił jego koszulę i przyciągnął go ku sobie. Ich twarze były oddalone zaledwie o kilka centymetrów.

- Zaczniemy od rzeczy najprostszych - wyszeptał Dennis przez zaciśnięte zęby. - Ta koszula, na przykład. Skąd ją wzięłeś?

Teth spojrzał na niego jak na szaleńca.

- Jest zupełnie nowa. Dali mi, żebym ją znosił! Noszenie jej to część mojej pracy!

Dennis wzmocnił uchwyt.

- To ma być nowe? To ledwie zasługuje na miano łachmana! Ta tkanina jest tak prymitywna, że pewnie za chwilę się rozpadnie!

Stary człowiek przełknął głośno ślinę i skinął głową.

- No i co?

Dennis sięgnął ku kolorowej plamie przy pasie Tetha. Szarpnął, wyciągając prostokąt przezroczystego, opalizującego materiału w delikatne wzory, który sprawiał wrażenie znakomitego jedwabiu.

- Hej! To jest moje!

Dennis potrząsnął pięknym materiałem przed nosem starca.

- Ubierają was w łachmany, a pozwalają zatrzymać coś takiego?

- Tak! Możemy zatrzymać niektóre z naszych osobistych rzeczy, żeby się nie zepsuły bez naszej pracy nad nimi. Oni są podli, jasne, ale nie aż do tego stopnia!

- I ten kawałek materiału, jak przypuszczam, wcale nie jest nowy.

Chustka wyglądała tak, jakby została przed chwilą kupiona w jakimś ekskluzywnym sklepie. Teth był zaszokowany.

- Jasne, że nie! Jest w mojej rodzinie od pięciu pokoleń! - zaprotestował z dumą. - I przez cały ten czas bez przerwy jej używaliśmy! Oglądam ją i wydmuchuję w nią nos wiele razy każdego dnia!

Było to tak niezwykle zaprzeczenie, że Dennis bezwolnie rozluźnił zaciśniętą na koszuli dłoń. Teth ześliznął się na podłogę, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczyma.

Potrząsając drętą głową, Dennis wstał i powłócząc nogami, wyszedł na zewnątrz. Zamrugął oślepiiony jasnym światłem. Przeszedł niepewnym krokiem obok kilku grup pracujących mężczyzn - wszyscy ubrani byli w więzienne łachmany - aż dotarł do miejsca, w którym zewnętrzna palisada stykała się z błyszczącym murem zamku.

Lewą dłonią dotknął szorstkich, z grubsza tylko obrobionych pni drzew, które, uszczelnione

gliną czy wręcz błotem, tworzyły palisadę. Prawą dłonią poklepał mur zamkowy -

85

śliską, twardą jak metal powierzchnię, połyskującą i półprzezroczystą jak ogromny, lekko brązowy kamień półszlachetny lub jak wypolerowana kora gigantycznego, skamieniałego drzewa.

Usłyszał, że ktoś do niego podchodzi. Obejrzał się i zobaczył Tetha, któremu teraz towarzyszyli dwaj inni więźniowie, z ciekawością przyglądający się przybyszowi.

- Kiedy była wojna? - spytał Dennis cicho, nie odwracając się do nich.

Spojrzeni po sobie. Odpowiedział jeden z nieznajomych, wysoki, potężny mężczyzna.

- Hmm, o której wojnie mówisz, człowieku? Jest ich bardzo dużo, cały czas. O tej, podczas której tatuś barona wykopał stąd starego księcia? Czy o tych kłopotach, które Kremer ma z królem...?

Dennis odwrócił się i wrzasnął:

- O Wielkiej Wojnie, idioci! O tej, która zniszczyła waszych przodków! O tej, która cofnęła was w rozwoju i zmusiła do życia z pozostałości po waszych praojcach... z ich samosmarujących się dróg... z ich niezniszczalnych chusteczek do nosa!

Podniósł dłoń ku pulsującej bólem głowie. Teth i dwaj pozostali więźniowie zaczęli coś szeptać do siebie.

W końcu niski, smagły mężczyzna o bardzo czarnej brodzie wzruszył ramionami i powiedział:

- Nie mamy pojęcia, o czym ty mówisz, człowieku. Mamy teraz lepsze rzeczy niż mieli wszyscy nasi przodkowie. A nasi wnukowie będą mieli lepsze niż my. To się nazywa postęp. Nie słyszałeś nigdy o postępie? Przybyłeś skądś, gdzie jest kult przodków albo coś równie zacofanego?

Sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego. Dennis jęknął cicho z desperacji i powlókł się dalej, ciągnąc za sobą coraz bardziej powiększające się towarzystwo.

Minął więźniów pracujących w ogródku warzywnym. Staranne grządki zielonych sadzonek wyglądały zupełnie normalnie. Jednak narzędzia, których używali ogrodnicy, były z gatunku „krzemień i gałąź”, takie same, jakie widział w domu Tomosha Sigela. Wyciągnął palec w stronę motyk i grabi.

86

-Te narzędzia są nowe, tak? - spytał Tetha.

Stary człowiek wzruszył ramionami.

- Tak właśnie myślałem! Wszystko, co jest nowe, to

prymityw, niewiele lepszy od drągów i kamieni, podczas gdy bogaci gromadzą najlepsze pozostałości po starożytnej...

- Och - przerwał mu niski, ciemny mężczyzna - te narzędzia przeznaczone są właśnie dla bogatych, człowieku.

Dennis wyrwał krzemioną motykę z rąk pracującego w pobliżu ogrodnika i zaczął nią wymachiwać niskiemu mężczyźnie pod nosem.

- Te? Dla bogatych? W tak wyraźnie hierarchicznym społeczeństwie jak wasze? Te narzędzia są niezdarne, prymitywne, barbarzyńskie, niewydajne...

- Słuchaj, robię, co mogę! - zaprotestował otyły ogrodnik, któremu Dennis zabrał motykę. - Na niebiosa, dopiero co zacząłem nad nimi pracować! Będą się poprawiać! Prawda, chłopaki? - spytał płaczącym tonem. Pozostali więźniowie zamruczeli potwierdzająco, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że Dennis ma skłonność do znęcania się nad słabszymi.

Dennis potrząsnął głową, zupełnie nic nie rozumiejąc. Przecież na temat ogrodnika nie powiedział ani słowa. Dlaczego ten facet potraktował jego wypowiedź jak wycieczkę osobistą pod swoim adresem?

Rozejrzał się za jakimś innym przykładem, za czymkolwiek, co by mu pozwoliło przebić w tych ludziach skorupę niezrozumienia. Na przeciwległym krańcu dziedzińca zauważył grupę mężczyzn. Nie byli oni ubrani jak wszyscy pozostali - w szorstkie, ręcznie tkane płótna. Mieli na sobie piękne stroje o jaskrawych, bardzo przyjemnych dla oka barwach, połyskujące w przedwieczornym świetle.

Wyraźnie bez entuzjazmu ćwiczyli fechtunek, jednak zamiast mieczy używali drewnianych kołków. Obok, przyglądając się im, snuło się kilku strażników.

Dennis nie miał pojęcia, dlaczego ci arystokraci i ich strażnicy znajdują się właśnie tutaj, na więziennym podwórku, skorzystał jednak z narzucającego się przykładu.

87

- Tam! - powiedział, wskazując palcem. - Ubrania które noszą ci ludzie, są stare, tak?

Zebrani wokół Dennisa więźniowie skinęli głowami, jakkolwiek teraz już trochę mniej przyjacielsko.

- Zostały więc wykonane przez waszych przodków, mam rację?

Niski, ciemny mężczyzna wzruszył ramionami.

- Sądzę, że można tak powiedzieć. I co z tego? Nie jest ważne, kto wykonał cokolwiek. Liczy

się tylko to, żeby stale to coś ulepszać!

Czy ci ludzie są ślepi na historię? Czy ta masakra, która zniszczyła wspaniałą naukę tego świata, zostawiła w nich taki uraz, że teraz odwracają się plecami do prawdy?

Dennis zdecydowanym krokiem przeszedł w poblize miejsca, w którym fechtowali dandysi. Znużony strażnik spod muru podniósł na niego wzrok, potem wrócił do drzemki.

Dennis zaczynał być już naprawdę zdenerwowany.

- Nie zaprzeczycie chyba - krzyknął do podążających za nim więźniów - że arystokraci dostają rzeczy najlepsze, które przypadkowo są również najstarsze, co?

- No pewnie, że nie...

- I ci oto arystokraci noszą tylko stare ubrania. Tak? Tłum ryknął śmiechem. Nawet kilku z jaskrawo ubranych

mężczyzn przerwało udawany fechtunek i uśmiechnęło się szeroko. Stary Teth wyszczerzył do Dennisa resztki uzębienia.

- Oni nie są ludźmi bogatymi, Dennis. To biedni więźniowie jak my wszyscy. Po prostu są zbudowani jak któryś z przyjaciół czy krewnych barona. Jeżeli możesz nosić ubrania bogatego człowieka, to będziesz je nosił, bez względu na to, czy tego chcesz czy nie! - To zabrzmiało niemal jak aforyzm.

Dennis potrząsnął głową. Jego podświadomość wierciła i dobijała, wyraźnie starając się coś mu powiedzieć.

- Wtrącenie do więzienia za to, że ktoś jest „zbudowany dokładnie tak samo” jak baron... Ciotka Tomosha Sigela powiedziała, że to właśnie przydarzyło się jego ojcu... - Ktoś w pobliżu sapnął ze zdumienia, lecz Dennis kontynuował przemowę do siebie samego, mówiąc coraz szybciej i szybciej - Bogaci zmuszają biednych do ciągłego noszenia swoich paradnych strojów... nie niszczy ich to jednak, nie przecierają się i nie drą... Natomiast...

Ktoś obok niego mówił coś natarczywym tonem, jednak umysł Dennisa był całkowicie wypełniony, nie było w nim miejsca na przyjmowanie żadnych zewnętrznych bodźców. Dennis szedł przed siebie, zupełnie nie zwracając uwagi na to, gdzie idzie. Ludzie rozstępowali się przed nim, jak zwykli to czynić przed świętymi lub szaleńcami.

- Nie, ubrania się nie niszczą - mamrotał - ponieważ człowiek bogaty znajduje kogoś, kto jest zbudowany dokładnie tak jak on... i kto je bez przerwy nosi, żeby...

- Przepraszam pana, pan chyba powiedział coś o...

- ...żeby je... zużywać! - Głowa Dennisa pulsowała bólem. - Zużywać! - powtórzył i przycisnął dłonie do czoła, jakby chciał uratować swój umysł przed wkradającym się doń szaleństwem.

- ...pan chyba powiedział coś o Tomoshu Sigelu?

Dennis podniósł wzrok i ujrzał wysokiego mężczyznę o potężnych ramionach, ubranego we wspaniałe, magnacki strój - chociaż, jak już wiedział, był to taki sam więzień jak wszyscy wokół. W jego twarzy było coś znajomego. Jednak Dennis miał zbyt zajętą głowę, żeby obdarzyć go czymś więcej niż tylko przelotną myślą.

- Bernald Brady! - krzyknął, uderzając pięścią w dłoń. - Mówił, że w tym świecie prawa fizyki działają troszeczkę inaczej. Coś na temat robotów, które wraz z upływem czasu działały coraz efektywniej...

Przesunął dłońmi po swej kurtce i spodniach, wyczuwając schowane w nich przedmioty. Strażnicy zabrali mu pas i sakwę, jednak zostawili w spokoju zawartość kieszeni.

- Oczywiście. Nawet ich nie zauważyli - wyszeptał. - Nigdy nie widzieli kieszeni na zamki błyskawiczne! A od czasu jak tu przybyłem, te zamki były dostatecznie często zużywane, żeby stawać się zamkami coraz lepszymi i lepszymi!

89

W tłumie zaległa cisza, gdy otworzył jedną z i wyjął z niej swój dziennik. Zaczął przerzucać stronicę.

- „Pierwszy dzień” - przeczytał głośno. - „Ekwipunek okropny. Najtańszy z możliwych. Przysięgam, że któregoś dnia policzę się z tym sukinsynem Bradym...”

Podniósł wzrok znad zapisków, uśmiechając się ponuro.

- I na pewno to zrobię.

- Proszę pana - nalegał wysoki mężczyzna - powiedział pan coś o...

Dennis przerzucił gorączkowo jeszcze kilka stron. „Dziesiąty dzień. Ekwipunek jest dużo wyższej jakości, niż początkowo myślałem... Chyba jednak musiałem się mylić w czasie tych pierwszych dni...”

Wcale się nie mylił! Jego rzeczy po prostu stały się lepsze!

Zatrzasnął notatnik i rozejrzał się wokół siebie. Po raz pierwszy od przybycia na ten świat, naprawdę zobaczył.

Zobaczył wieżę, która po wielu pokoleniach przerodziła się w zamek - ponieważ przez tak długi czas była używana!

Zobaczył narzędzia ogrodnicze, które z dnia na dzień będą coraz lepsze, aż w końcu staną się takimi cudami, jak te, które widział przy domu Tomosha Sigela.

Odwrócił się i spojrzał na zebranych wokół mężczyzn. Zobaczył...

- Jaskiniowcy! - jęknął. - Nie znajduję tutaj żadnych naukowców ani techników, gdyż nikogo takiego tu po prostu nie ma! Wy w ogóle nie znacie żadnych technologii, prawda? - powiedział oskarżającym tonem do jednego z więźniów.

Zagadnięty cofnął się o krok, najwyraźniej nie mając pojęcia, o czym Dennis mówi.

Dennis odwrócił się gwałtownie i wyciągnął palec w stronę innego więźnia.

- Ty! Nie wiesz nawet, co to jest koło! No, zaprzecz! Więźniowie patrzyli na niego szeroko rozwartymi oczyma. Dennis zachwiał się. Jego świadomość migotała jak dopalająca się świeca.

- Powiniennem... powiniennem zostać przy śluzie i samemu zbudować ten pieprzony zevatron... Chochlak i robot byłiby większą, pomocą niż banda dzikusów, która prawdopodobnie zje mnie dziś na obiad... i zużyje moje kości w łyżki i widelce... rnoje łopatki w przepiękną porcelanę...

Nogi ugięły się pod nim, opadł na kolana, potem runął twarzą w piasek.

.-To moja wina - powiedział ktoś ponad nim. – Nie powiniennem pozwolić, żeby wstawał z takim guzem na głowie.

Dennis poczuł, jak silne ręce chwytają jego nogi i ramiona. Świat kołysał się wokół niego.

„Jaskiniowcy. Mają pewnie zamiar położyć mnie na pryczy, żebym przez sam fakt leżenia używał ją w puchowe łoże.”

Zaśmiał się półprzytomnie.

„Hej, Dennis, bądź sprawiedliwy... oni są nieco lepsi od jaskiniowców. Koniec końców odkryli przecież, że ćwiczenie prowadzi do doskonałości.”

Potem stracił przytomność.

*

To był późnowieczorny spektakl dyskusyjny w trójwizji. Gośćmi byli czterej wybitni filozofowie.

Właśnie przeprowadzono wywiady z Desmondem Morrisem, Edwinem Hubble'em, Williardem Gibbem i Seamusem Murphym. Po przerwie na reklamy gospodarz programu zwrócił się z diabelskim uśmiechem ku holokamerom.

- Panie i panowie, od tych czterech gentlemanów usłyszeliśmy sporo na temat ich słynnych praw termodynamiki. Być może nadeszła właściwa chwila, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia druga strona. Zatem z wielką przyjemnością przedstawiam państwu następnego gościa, dzisiejszą niespodziankę. Powitajcie, proszę, pana Persa Petera Mobile!

Czterej filozofowie poderwali się jak jeden mąż, gwałtownie protestując:

- Tego szarlatana?

- Oszust!

Nie będę występował razem z jarmarcznym naciągaczem!

Gdy się tak wściekali, orkiestra zagrała skoczną i zupełnie nie pasującą do okoliczności melodię. Zabrzmiały fanfary i na scenę wytoczył się wyglądający mądrze szympans, szczerząc w uśmiechu ogromne zęby i kłaniając się wiwatującej publiczności.

Na głowie miał czapczkę z niewielkim śmigielkiem.

Gdzieś z boku rzucono mikrofon i szympans chwycił go zręcznie. Zaczął tańczyć w rytm muzyki, jednym palcem okręcając śmigielko na czapce.

Podskakiwał i wyginał się w rytm muzyki, jednak ani na chwilę nie przestał kręcić śmigielkiem. Zamazany krążek na czubku jego głowy hipnotycznie przyciągał wzrok, jak falowanie i nakładanie się wzorów na różnych tkaninach.

Muzyka cichła, to znowu brzmiała głośniej. Towarzyszyło jej narastające wycie śmigielka.

Rozmazany krąg na czubku głowy szympansa nie potrzebował już palca, który by go pobudzał. Właściwie to już wcale nie było małe śmigielko! Czapczka stała się hełmem kosmicznym i wirujące płyty uniosły Persa Petera Mobile w powietrze, ku wyraźnemu zgorszeniu pozostałych gości.

Kamera przekazała zbliżenie jego twarzy. Dwa rzędy wielkich, żółtych zębów wyszczerzyły się do publiczności. Muzyka nabrzmiewała w crescendo.

Szympanś z furkotem przefrunął przez studio - teraz jego czapka była już pełnym skafanderem omiotopterowym. Bzyknął nad wściekłymi filozofami, zmuszając ich do nurkowania pod krzesła.

Potem zrobił ostry nawrót i poleciał wprost na kamerę, śmiejąc się, wrzeszcząc, wyjąc z uciechy.

*

- Uch! - Dennis usiadł gwałtownie i chwycił obiema rękami krawędzie pryczy. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemność, oddychając ciężko. W końcu z westchnieniem opadł z powrotem

na poduszkę.

A więc ten magiczny, latający szympans w rzeczywistości nie istnieje. Jednakże pierwsza część snu była prawdziwa. Przebywa w więzieniu w obcym świecie. Więzi go banda jaskiniowców, którzy nie mają pojęcia, że są jaskiniowcami.

Znajduje się w odległości przynajmniej pięćdziesięciu mil od strzaskanego zevatronu, na planecie, na której podstawowe, dotychczas dla niego niepodważalne prawa fizyki są dziwacznie wypaczone.

Była noc. Chrapanie więźniów niosło się echem po szopie. Dennis leżał bez ruchu na pryczy, wpatrując się w mrok, aż w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że na sąsiednim wyrku ktoś usiadł i patrzy na niego. Odwrócił głowę i napotkał wzrok dużego, muskularnego mężczyzny o ciemnych, kręconych włosach.

- Miałeś zły sen - powiedział mężczyzna łagodnie.

- To było delirium - poprawił go Dennis.

Przyjrzał się swemu rozmówcy nieco bliżej.

- Twoja twarz wydaje mi się znajoma - powiedział. - Jesteś jednym z tych ludzi, na których wczoraj - wtedy, gdy nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje - niezbyt grzecznie nawrzeszczałem, tak? Jednym... ze użytkowników strojów?

- Tak - potwierdził wysoki mężczyzna. Nazywam się Stivyung Sigel. Słyszałem, jak wczoraj mówiłeś o spotkaniu z moim synem.

Dennis skinął głową.

- Tomosh. Bardzo dobry chłopak. Powinieneś być z niego dumny.

Sigel pomógł mu usiąść.

- Czy nic mu się nie stało? - spytał z niepokojem w głosie.

- Nie musisz się martwić. Wszystko było dobrze, gdy go ostatni raz widziałem.

Sigel pochylił głowę, dziękując za dobre wiadomości.

- Spotkałeś też moją żonę, Surah?

Dennis zmarszczył brwi. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, co mu powiedziano. To wydawało się tak odległe, poza tym rozmowa była bardzo krótka. Nie chciał niepotrzebnie niepokoić Sigela.

Z drugiej jednak strony, ten człowiek zasługiwał na to, żeby wiedzieć wszystko, co wiedział on, Dennis.

- Hmm, ciotka Tomosha, Biss, wzięła go do siebie. powiedziała mi, że twoja żona poszła szukać pomocy... u kogoś lub czegoś, co się nazywa Latuf? Likoff?

Twarz Sigela pobladła.

- L'Toff! - szepnął. - Nie powinna tego robić. Bezdroża są niebezpieczne, a sprawy nie stoją jeszcze aż tak źle!

Sigel wstał i zaczął się przechadzać u stóp pryczy Dennisa

- Muszę się stąd wydostać! - powiedział. - Muszę! Dennis również już zaczynał myśleć w podobny sposób

Teraz, gdy wiedział, że nie ma tu naukowców, którzy mogliby mu pomóc, koniecznością stał się jak najszybszy powrót do zewatronu, żeby samemu próbować jakoś sklecić mechanizm powrotny. W przeciwnym razie nigdy się nie wydostanie z tego zwariowanego świata.

Być może będzie mógł obrócić Efekt Zużycia na swoją korzyść, jakkolwiek podejrzewał, że na skomplikowany mechanizm będzie on oddziaływał zupełnie inaczej niż na siekierę czy sanie. Sama jednak wiedza o istnieniu Efektu była dla niego zbyt świeża i zbyt wytrącała go z równowagi, żeby w tej chwili potrafił głębiej się nad nimi zastanowić.

Był pewien jedynie tego, że zaczyna coraz bardziej tęsknić za domem. Poza tym był winien Bernaldowi Brady'emu dobrego kopniaka.

Spróbował się podnieść. Sigel natychmiast podbiegł do niego, żeby mu pomóc. Podeszli do jednego z podtrzymujących strop słupów. Dennis oparł się i spojrzał w stronę palisady. Dziedziniec i wszystko wkoło zalane było bladym światłem dwóch małych, jasnych księżyców.

- Przypuszczam - powiedział cichym głosem - że być może będę w stanie pomóc ci się stąd wyrwać, Stiiyung.

Sigel spojrzał na niego uważnie.

- Jeden ze strażników twierdzi, że jesteś czarownikiem Sądząc z twego wczorajszego zachowania, to może być prawda. Naprawdę potrafiłbyś zorganizować ucieczkę z tego miejsca?

Dennis uśmiechnął się. Dotychczasowy wynik meczu wynosił - bardzo dużo dla Tatiru, zero dla Dennisa Nuela. A więc teraz jest jego kolej. Czego, powiedział sobie, facet z doktoratem z fizyki nie zdołałby wycisnąć z Efektu Zużycia, i to wśród ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o kole?

-. To będzie małe piwo, Stivyung.

Farmer sprawiał wrażenie zaskoczonego idiomem, uśmiechnął się jednak z nadzieją.

Dennis kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się i spojrzął na błyszczące w świetle księżyców mury zamku po swej prawej stronie.

Na trzecim piętrze, poza ogradzającymi parapet kratami stała smukła postać. Wiatr trzepotał jej na wpół przezroczystymi szatami, rozwiewał kaskadę długich, bardzo jasnych włosów.

Dziewczyna znajdowała się zbyt daleko, żeby przy tak słabym świetle można było dostrzec szczegóły, jednak mimo to Dennis wstrzymał oddech, niemal porażony promieniującym z jej sylwetki pięknem. Był prawie pewien, że już kiedyś ją widział.

W tym momencie dziewczyna odwróciła się ku nim, jakby ich widząc. Stała tak przez długi czas, z twarzą ukrytą w cieniu, być może przyglądając się, jak oni patrzą na nią.

- Księżniczka Linnora - powiedział Sigel. - Jest więźniem, tak samo jak my. Prawdę mówiąc, ona jest przyczyną mojej tutaj obecności. Baron chce jej zaimponować swoim bogactwem. Mam służyć pomocą w doprowadzeniu jego rzeczy osobistych do doskonałości. - W jego głosie brzmiała gorycz.

- Czy ona jest tak piękna w świetle dnia, jak w nocy? - Dennis nie mógł od niej oderwać oczu.

Sigel wzruszył ramionami.

- Jest urodziwa, pewnie. Nie bardzo jednak rozumiem, jak baron chce dopiąć swego. Ona jest córką L'Toff. Znam ich lepiej niż większość ludzi i trudno mi jest sobie wyobrazić, żeby jedna z ich kobiet poślubiła normalnego człowieka.

V. ROZWIĄZANIE DENTYSTYCZNE

- Na zewnątrz murów patrole chodzą po to, żeby trzymać ludzi z daleka - powiedział niski złodziej. - Wielu więźniów ma tam przecież rodziny i przyjaciół, a poza tym znaczna część mieszkańców Zuslik chętnie by pomogła w ucieczce z więzienia. Nawet po upływie trzydziestu lat ludzie Kremera nie są w tych stronach zbyt popularni.

Dennis skinął głową.

- Czy strażnicy oglądają mur od zewnątrz równie starannie, jak od wewnątrz?

Komitet ucieczkowy liczył pięć osób. Zgromadzili się wokół krzywego, rozchwianego stołu, jedząc południowy posiłek Siedzieli na nędznych, niewygodnych krzesłach. Już lepiej byłoby stać, ale zużywanie tych krzeseł stanowiło jeden z ich obowiązków.

Gath Glinn, najmłodszy członek ich grupy, przykucnął w cieniu obok pobliskiego muru zamkowego i pochylił się nad zrobionym przez Dennisa prototypowym urządzeniem, dzięki któremu mieli nadzieję uciec z więzienia. Jasnowłosy młodzieniec był pierwszym, który zrozumiał pomysł Ziemanina i został wyznaczony do jego wypróbowania. Przerywał pracę i przykrywał urządzenie, ilekroć w pobliżu pojawili się strażnicy.

W tej chwili jego ręce szybko poruszały się w tył i w przód, a małe narzędzie, które używał, odzywało się cichym „zziz-zzing”.

Niski, smagły mężczyzna, którego Dennis niejasno pamiętał z pierwszego dnia w więzieniu jako obiekt swoich słownych napaści, potrząsnął głową i odpowiedział na zadane pytanie.

- Nie, Dennis. Czasem wyprowadzają nas grupami, żebyśmy rzucali kamieniami w mur. Ale głównie każą nam używać go od wewnątrz.

Dennis wciąż, trochę z przyzwyczajenia, dziwił się, słysząc od współwięźniów tego typu stwierdzenia. To zdziwienie musiało odbić się teraz na jego twarzy.

Stivyung Sigel spojrzał w prawo i w lewo, żeby się upewnić, czy nikt nie podszedł zbyt blisko.

- Arth chciał powiedzieć - wyjaśnił - że jednym z naszych obowiązków jest używanie muru jako takiego, żeby się stał lepszy i mocniejszy.

Farmer chyba rozumiał, że Dennis przybył z jakiegoś bardzo odległego miejsca, gdzie rzeczy miały się zupełnie inaczej niż tutaj. Dziwił się trochę, że cywilizacja może istnieć w krainie, w której przedmioty w miarę użytkowania nie stają się coraz lepsze, jednak wiara w to, co Dennis mówi, zdawała się w nim przeważać nad wątpliwościami.

-Rozumiem. - Dennis skinął głową. - Dlatego ci ludzie mogą w ten sposób walić w mur, nie

bojąc się, że zostaną zatrzymani przez strażników.

Zauważył wcześniej grupę więźniów, którzy z wyraźną satysfakcją atakowali palisadę i sam mur zamkowy potężnymi, choć prymitywnymi młotami. Dziwił się wtedy, dlaczego strażnicy im na to pozwalają.

- Tak, Dennisie. Baron chce, żeby mury były jak najsilniejsze, więc każe więźniom tłuc w nie z całej siły. - Stivyung wzruszył ramionami nad koniecznością wyjaśnienia czegoś tak podstawowego. - Oczywiście strażnicy pilnują, żeby nie używano do tego naprawdę dobrych narzędzi. W ten sposób po pewnym czasie mur zewnętrzny stanie się taki, jak ten za nami. Przykryją go wtedy dachem i zamek powiększy się o tę całą przestrzeń.

Dennis spojrział w stronę pałacu. Rozumiał teraz, dlaczego tamtejsze budowle przypominają torty weselne. Gdy Coylianie stawiają dom, zaczyna on swoje istnienie jako struktura niewiele lepsza od zwykłej szopy. Kiedy zostanie w końcu zmieniony, po latach intensywnego zużywania, w solidny parterowy budynek, na jego dachu stawia się następną szopę. Podczas gdy pierwsze piętro ulega poprawie, parter coraz pewniej utrzymuje na sobie jego ciężar i rozrasta się wszerek poprzez dodawanie wciąż nowych przybudówek.

Później, dopóki ktoś w nim mieszka, budynek jest stale używany i trzyma się coraz lepiej. Jeżeli jednak zostanie opuszczony, powoli dokonają się w nim odwrotne przemiany i w końcu zawali się, zmieniając w stertę drągów, zwierzęcych skór i błota.

Dennis nie przypuszczał, żeby na tym świecie archeologowie mogli w ruinach opuszczonego miasta dokonywać licznych i olśniewających znalezisk.

- Strażnicy zwracają również uwagę na to, żebyśmy używali całego muru jednakowo - dodał Arth.

Arth twierdził, że jest przywódcą wszystkich złodziei i rabusiów w mieście Zuslik. Szacunek, jaki okazywali mu inni więźniowie, świadczył, że to może być prawda,

- Oczywiście zawsze staramy się zostawić jakiś jego fragment, żeby zmienił się z powrotem w stare belki... wtedy moglibyśmy naprawdę wyłamać się na zewnątrz. Strażnicy szukają takich nie dość zużytych miejsc. To taka gra - jedna strona stara się być sprytniejsza od drugiej.

Uśmiechnął się szeroko, jakby był pewien, że prędzej czy później ta gra zostanie przez nich wygrana.

Ciche „zzizzing” za ich plecami nagle zakończyło się ostrym trzaskiem. Młody Gath podniósł ucięty koniec drewnianego palika, uśmiechając się do Dennisa radośnie.

- Elastyczna piła zadziałała! - wyszeptał z podnieceniem.

Rozejrzał się wokół, żeby być pewnym, iż w pobliżu nie ma żadnych strażników, potem wręczył narzędzie Dennisowi.

Zęby były nagrzane od tarcia. Na Ziemi byłyby mocno nadszarpnięte po przecięciu choćby kawałeczka drewna, i to bardzo miękkiego. Jednak Gath podczas swojej pracy myślał „Tnij! Tnij!” i teraz, dzięki delikatnemu zużywaniu, zęby zamka błyskawicznego były nieco ostrzejsze niż uprzednio.

Dennis potrząsnął głową. To nie była najprostsza rzecz, jaką można było zrobić z zamkiem błyskawicznym. Zapięcia kieszeni w całym jego ubraniu były wykonane z miękkiego plastiku, musiał więc wypruć metalowy zamek ze spodni - rozporek zapinał się teraz na trzy własnoręcznie wystrugane guziki, które, jak miał nadzieję, z czasem będą stawały się coraz lepsze. Z pewnością nie miał zamiaru przywracać pierwotnego zastosowania wyprutemu zamkowi!

- Dobra robota, Gath! Zorganizujemy ci wpis na tę listę chorych, żebyś mógł bez przerwy tę piłę doskonalić. Tej nocy, której skończysz pracę...

Arth przerwał mu pośpiesznie komentarzem na temat pogody. Chwilę później w pobliżu przeszli dwaj strażnicy. Więźniowie z wielkim zainteresowaniem pochylali się nad talerzami z jedzeniem, aż żołnierze zniknęli im z oczu.

Gdy okolica znowu była czysta, Dennis chciał puścić piłę w obieg, żeby każdy ją obejrzał. Jednak wszyscy, poza Sigelem, uprzejmię odmówili. Przeciętni mieszkańcy tego świata wyraźnie czuli w stosunku do tych, którzy tworzyli „istotę” narzędzia - rzemieślników, zajmujących się wytwarzaniem rzeczy w ich pierwotnej formie, a nie późniejszym ich zużywaniem - coś w rodzaju zabobonnego lęku. Prawdopodobnie ci więźniowie widzieli w zamku błyskawicznym czystą magię, gdyż jego działanie opierało się na zasadzie, z którą dotychczas się nie zetknęli.

Dennis oddał zamek Gathowi, który przyjął go z entuzjazmem.

Potem przerwa na posiłek dobiegła końca. Strażnicy zaczęli ich wzywać z powrotem do pracy.

Obecnie zajęcie Dennisa polegało na atakowaniu zbroi tępo zakończoną włócznią. Dowcip krył się w tym, że te zbroje znajdowały się na żołnierzach, którzy byli ich właścicielami! To była naprawdę ekscytująca praca. Jeżeli uderzył zbyt mocno - tak, że żołnierza to zabolalo - był chlastany batem, jeśli zaś zbyt słabo, obrzucano go wyzwiskami i pogrózkami.

- Od tej pory kolejno obejmujemy warty nad Gathem, żeby mógł bez przeszkód pracować - powiedział Dennis, wstając od stołu. - I dostarczamy mu świeżego drewna, które będzie mógł ciąć. Resztę planu omówimy później.

Wszyscy członkowie komitetu ucieczkowego skinęli głowami. W ich oczach to on był w tym towarzystwie czarownikiem.

Strażnicy krzyknęli ponaglająco i Dennis pośpieszył do swej pracy. Jedną z kar za opieszałość było odebranie więźniowi jego własności osobistej. Mimo iż w tej chwili nosił równie prymitywny strój jak większość z pozostałych, pozwolono mu zatrzymać jego własne ubranie, żeby w wolnych chwilach mógł je „zużywać”. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, była jego strata.

Trzy godziny po posiłku zabrzmiał dzwon, obwieszczając początek nabożeństwa. Ubrany w czerwone szaty więzienny kapelan ustawił w pobliżu wejścia do zamku przenośny ołtarz, po czym wielkim głosem wezwał wiernych, by się wokół niego zbrali.

Ci, którzy nie uczestniczyli w ceremonii, musieli nadal pracować, więc mimo nagłej fali zupełnie niestosownych chichotów niemal wszyscy więźniowie natychmiast porzucili narzędzia i niespiesznie skierowali się ku miejscu zgromadzenia.

Nieliczni, między innymi złodziej Arth, pozostali przy pracy w ogródku, potrząsając głowami i mruczając pod nosem z dezaprobatą.

Dennis chciał przyjrzeć się nabożeństwu, nie widział jednak sposobu, żeby uczestniczyć w nim wyłącznie w charakterze widza, gdyż więźniowie śpiewali i bili pokłony przed rzędem drewnianych i kamiennych figurek.

W końcu zdecydował, że zostanie ze Stivyungiem Sigelem. Godzinę temu obaj zostali przydzieleni do rąbania drewna siekierami typu jaskiniowego i pod czujnym okiem strażników.

- Nie wygląda na to, żeby nasi więźniowie współtowarzysze podchodzili nadmiernie serio do państwowej religii - zauważył Dennis półgłosem.

Sigel zgiął nad głową swe potężne ramiona i szerokim łukiem opuścił siekiere, śląc na wszystkie strony drewniane odłamki. Wyglądał nieco niedorzecznie, rąbiąc drewno w należącem do barona Kremera wspaniałym stroju, ale była to część jego obowiązków. Władca Zuslik nie życzył sobie, żeby ubrania mu sztywniały, a po takim ich wykorzystaniu będą z pewnością miękkie i przyjemne.

- Pod rządami starego księcia mieszkańcy Zuslik przyzwyczaili się do dość swobodnego traktowania religii - odpowiedział Sigel. - Jednak ojciec i dziadek Kremera natychmiast po wkroczeniu tutaj zaczęli obsypywać kościół i gildie przywilejami, co jest dość zabawne, gdyż ci pomocni górale nigdy przedtem nie byli ludźmi zanadto religijnymi.

Dennis skinął głową. To był znajomy schemat postępowania. W ziemskiej historii często się zdarzało, że barbarzyńcy po dokonaniu podboju stawali się najbardziej zagorzałymi obrońcami panującej na zajętych terytoriach religii.

Podniósł siekiere nad głowę i uderzył nią w swój pień. Tępe kamienne ostrze odbiło się, niemal nie zostawiając śladu.

- Przypuszczam, że ty również nie jesteś wierzący? - spytał Sigela.

Farmer wzruszył ramionami.

- Wszyscy ci bogowie i boginie są w sumie zupełnie bez sensu. Na wschodzie, w miastach królestwa, z dnia na dzień tracą dotychczasowych wiernych. Niektórzy zaczynają nawet zwracać się z powrotem ku Starej Wierze, która cały czas żyła wśród L'Toff.

Dennis miał właśnie spytać, co to za „Stara Wiara”, ale pilnujący ich strażnik wrzasnął:

- Hej, wy dwaj! Kończyć z tym gadaniem. Modlić się albo pracować!

Dennis niemal nie rozumiał wypowiedzianych z gardłowym akcentem słów, ale ogólny sens polecenia był zupełnie jasny. Uderzył siekierą z całej siły. Tym razem wyleciało w powietrze kilka drzazg, jednak raczej nie powinien sobie wmawiać, że tak się stało, gdyż jakość narzędzia poprawiła się w widoczny sposób.

Nawet przy działaniu Efektu Zużycia szło to niezwykle powoli. Żywił szczerą nadzieję, że Gath ma więcej szczęścia z zamkiem błyskawicznym-piłą niż on z tym przeklętym kawałkiem krzemienia!

*

Przez następne trzy wieczory, gdy Gath i Sigel pod kocami doskonalili piłę, Dennis wymykał się z szopy na przechadzki po więziennym podwórku. Zwykle o tej porze był już zmęczony, jednak nie aż tak bardzo, żeby nie potrafił cichcem przemknąć się obok rozleniwionych posterunków straży.

Dodatkowo do obowiązkowego używania siekier i zbroi brał codzienne lekcje coylińskiego pisma. Jego nauczycielem był Stiiyung Sigel, człowiek najbardziej wśród więźniów wykształcony.

Dennis był zmuszony nieco zrewidować swoją początkową opinię o tym świecie. Ci ludzie jednak posiadali kulturę stojącą na nieco wyższym poziomie niż u jaskiniowców. Mieli muzykę, malarstwo i literaturę. Po prostu ich umiejętności techniczne nie wybiegały poza poziom epoki kamiennej. I chyba wcale ich nie potrzebowali.

Każda materia nieożywiona mogła być poddana procesowi „używania”, wszystko więc wykonywano z drewna, kamienia lub skóry. Czasem wykorzystywano kute miedziane samородki lub meteorytowe żelazo, jednak zdarzało się to tylko sporadycznie i oba te surowce były bardzo wysoko cenione. Zdziwiające było, jak wiele można osiągnąć bez użycia metalu.

Alfabet był łatwym do nauczenia się zbiorem znaków przedstawiających sylaby. Sigel miał dość gruntowne jak na tutejsze warunki wykształcenie, mimo iż był żołnierzem i farmerem, a nie uczonym. Z dużą cierpliwością grał rolę nauczyciela. To, jak mówił, jest domeną kościoła... albo legend. Przekazywał Dennisowi wszystko, co wiedział, sprawiając jednak wrażenie nieco zażenowanego powtarzaniem historii, które dla dorosłych ludzi były tylko baśniami. Dennis jednakże nalegał, a potem słuchał uważnie, robiąc notatki w swej małej książeczce.

W końcu z niechęcią musiał przyznać, że opowieści o pochodzeniu człowieka były tutaj równie sprzeczne, jak niegdyś na Ziemi. Jeżeli nawet istniał jakiś związek między tymi dwoma światami, to

jego ślady zagubiły się w pomroce dziejów.

Dennis zauważył, że niektóre z najstarszych legend - szczególnie te, które dotyczyły Starej Wiary - mówiły o wielkiej klęsce, zadanej ludzkości przez jej wrogów, po której ludzie stracili władzę nad zwierzętami, a także nad życiem jako takim.

Stiyyung znalazł te legendy dzięki swym długoletnim kontaktom z tajemniczym ludem - L'Toff. Niewiele jednak można było się z nich dowiedzieć. A poza tym być może były one tylko baśniami, jak te historie o przyjaznych smokach, które opowiadał Tomosh.

Później, w samotności, Dennis intensywnie się nad tym problemem zastanawiał. W gasnącym świetle po kolacji szkicował w swoim notatniku wąskie linie rachunku tensorowego. Na razie nie zaczął nawet formułować teorii, która wyjaśniałaby Efekt Zużycia, jednak matematyka pozwalała mu uspokoić myśli.

Potrzebował ogniska, na którym mógłby skupić umysł. Od czasu do czasu zdarzały mu się krótkie nawroty tej dziwnej dezorientacji, tego uczucia oderwania od rzeczywistości, którego doświadczył bezpośrednio po przybyciu do Zuslik, a potem znowu pierwszego dnia pobytu w więzieniu.

Żaden z autorów, w żadnej z tych wielu powieści fantastycznych, które zdarzyło mu się przeczytać, ani razu nie wspominał, jak trudno jest normalnemu człowiekowi przystosować się do nagłego przeniesienia w naprawdę obcy, zagrażający życiu świat.

Teraz, gdy zaczynał już rozumieć niektóre z obowiązujących tu reguł, a przede wszystkim - gdy zdobył już życzliwe towarzystwo - był coraz bardziej pewien, że nie przytrafi mu się nic złego. Ciągle jednak czuł zimne dreszcze, gdy pomyślał o przedziwnej sytuacji, w jakiej się znalazł.

*

W czwartą ze spędzonych w więzieniu nocy przemknął się jak zwykle obok wewnętrznego posterunku, żeby pospacerować trochę w gęstniejącym mroku. Gdy dotarł do ogródka, usłyszał łagodną, bardzo piękną muzykę. Obliczenia, które przeprowadzał w pamięci, rozwiały się jak mgła w podmuchach wiatru. Dźwięk dobiegał z góry, z przeciwległego krańca więziennego dziedzińca. Był to wysoki i czysty kobiecy głos, któremu towarzyszył brzęczyący jak harfa instrument, zdający się łkać w ciemności, powolnie, lecz z elektryzującym dramatyзмом. Dennis, oczarowany, poszedł za tą muzyką.

Doszedł do miejsca, w którym stary mur stykał się z nowym. Dwa piętra nad nim, przebierając palcami po strunach podobnego do lutni instrumentu, stała dziewczyna, którą widział przez krótką chwilę owej nocy na drodze. Stiyyung powiedział, że ma na imię Linnora i że jest księżniczką L'Toff.

Jej balkon był ogrodzony ostro zakończonymi, drewnianymi kratami. Niemal równie mocno, jak od ich gładkiej powierzchni, światło księżyców odbijało się od złocistomiodowych włosów

dziewczyny. Dennis słuchał, wstrzymując dech, chociaż z tej odległości nie mógł rozróżnić poszczególnych słów.

Nagle dziewczyna przestała śpiewać. Odwróciła się ku ciemnej postaci, która wyłoniła się z ledwie widocznych drzwi po prawej stronie balkonu. Stała nieruchomo czekając, aż intruz się zbliży. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna podszedł kilka kroków i uklonił się nisko. Gdyby Dennis zaledwie kilka minut temu nie widział Stiyyunga Sigela w zajmowanej przez nich szopie, mógłby przysiąc, że to właśnie on podchodzi tam w górze do księżniczki. Strój nowo przybyłego był równie bogaty, jak szata księżniczki, jakkolwiek wyraźnie przeznaczony do używania w znacznie cięższych warunkach.

Dennis słyszał niski głos mężczyzny, jednak nie mógł zrozumieć słów. Księżniczka powoli potrząsnęła głową. Mężczyzna zaczął się denerwować. Podszedł jeszcze bliżej, potrząsając czymś, co trzymał w dłoni. W pierwszym momencie dziewczyna cofnęła się, lecz potem stawiała mu czoło, nie chcąc się poniżać przyciskaniem pleców do ściany.

Serce Dennisa zabiło szybszym rytmem. Pomyślał nawet, żeby biec jej na pomoc... jakby była dla niego czymś więcej niż tylko następną z zagadek tego świata. Tylko świadomość, w żaden sposób mu się to nie uda, powstrzymała go przed realizacją tego zamiaru.

W głosie mężczyzny zabrzmiały rozkazujące tony. Wyraźnie dziewczynie groził. Potem rzucił coś na podłogę, odwrócił się i wyszedł tą samą drogą, którą przybył. Zasłony na drzwiach zafalowały gwałtownie, gdy przez nie przechodził.

Linnora patrzyła jakiś czas w ślad za nim, potem pochyliła się, żeby podnieść z podłogi to, co on tam rzucił. Chwilę później wyszła przez niewielkie drzwi po lewej stronie balkonu, zostawiając instrument, błyszczący samotnie w księżycowych promieniach.

Dennis pozostał w cieniu pod murem, mając nadzieję, że Linnora znowu się pojawi.

Jednak kiedy po pewnym czasie rzeczywiście wróciła, poczuł się mocno zmieszany, gdyż od razu podeszła do kraty i spojrzała na dziedziniec w jego kierunku. W dłoniach trzymała jakieś zawiniątko. Wpatrywała się w ciemność pod murem, jakby oczekując, że coś lub ktoś się z niej wyłoni.

Dennis nie mógł opanować impulsu, który kazał mu wystąpić z cienia w błądliwy blask księżyców. Księżniczka spojrzała na niego i uśmiechnęła się lekko, jakby się go cały czas spodziewała.

Potem wystawiła ramię poza kraty i rzuciła zawiniątko. Pofrunęło ponad dachami niższych pięter, niemal ocierając się o krawędź parteru, i upadło u stóp Dennisa.

Pochylił się i podniósł przewiązane kawałkiem rzemienia, porwane resztki jednej z jego własnych, noszonych na pasie sakiewek. Wewnątrz znalazł niektóre z zabranych mu przedmiotów. Wszystkie były połamane podczas nieudolnych oględzin. Szkło w kompasie było stłuczone, fiołki z

lekarstwami pootwierane i puste.

Oprócz przedmiotów w sakiewce znajdowała się sporządzona płynnym coylińskim alfabetem notatka.

Linnora podniosła swój instrument i cicho zagrała, Dennis zaś w tym czasie intensywnie przypominał sobie to, czego nauczył się od Sigela, i powoli czytał przesłaną mu wiadomość.

On chce się dowiedzieć.

Ja nie mogę mu wyjaśnić do czego

służą te przedmioty, nawet gdybym chciała.

Stracił cierpliwość i teraz

zapyta już bezpośrednio ciebie.

Jutro masz być poddany torturom, żebyś

wyjawił wszystko, co wiesz.

Szczególnie o tej strasznej broni,

która zabija za dotknięciem.

Jeżeli rzeczywiście jesteś wysłannikiem

z krainy Twórców Życia,

musisz natychmiast uciekać.

I wypowiedz głośno imię Linnory,

gdy znajdziesz się na wzgórzach.

Pod notatką widniał zamaszty, wykonany pochyłym pismem podpis. Dennis podniósł wzrok ku dziewczynie. Jego umysł wypełniony był pytaniami, których nie mógł zadać, serce sympatią i wdzięcznością, których nie mógł jej przekazać.

Smutna pieśń dobiegła końca. Linnora wstała, uniosła dłoń pożegnalnym gestem i weszła do budynku.

Dennis jeszcze długo patrzył, jak wiatr porusza zasłonę na drzwiach, za którymi zniknęła.

- Hej, wstawaj! - Dennis potrząsnął ramieniem Artha. W pobliżu Stiyyung Sigel budził pozostałych członków ich grupy - Gatha, Mishwę Qana i Perthę.

- Co, co? - Niski złodziej usiadł gwałtownie, ściskając w dłoni kawałek wyostzonego kamienia.

Arth utrzymywał, że pochodzi z rodziny, której mężczyźni przez pokolenia służyli jako ochrona osobista starych książąt Zusliku - zanim ojciec Kremera zdradziecko przejął tu władzę. W małym ciele złodzieja rzeczywiście kryła się sprężysta, przecząca jego wzrostowi siła. Teraz Arth potrząsnął głową, pozbywając się resztek sennego otępienia, skinął potwierdzająco, potem szybko i cicho zsunął się na podłogę.

Konspiratorzy zebrali się w cieniu pod palisadą.

- Nie mamy już czasu na dalsze przygotowania - powiedział Dennis. - Księżycy właśnie zaszły i dzisiaj jest ta właściwa noc.

- Ale przecież mówiłeś, że piła nie jest jeszcze dostatecznie dobra! - zaprotestował Gath. - Poza tym musimy przygotować również inne rzeczy!

Dennis potrząsnął głową.

- Dzisiaj albo nigdy. Nie mogę wam tego wyjaśnić, ale musicie mi uwierzyć. Arth, idź, ukradnij jakieś narzędzia.

Mały złodziej wyszczerzył zęby w uśmiechu i bezszelestnie pobiegł w kierunku szopy, w której trzymane były narzędzia ogrodnicze, w pobliże oświetlonych okien wartowni. Chwilę później wrócił z kilkoma rzeczami, które w razie potrzeby mogły służyć jako broń. Dennis miał głęboką nadzieję, że nie będą musieli ich wypróbować.

- Daj mi piłę.

Gath ostrożnie przekazał mu były zamek błyskawiczny. Dennis podniósł go, żeby mu się przyjrzeć. Zęby błyszcząły nawet tutaj, w mroku, sprawiając wrażenie bardzo ostrych.

Wyjął z kurtki kłębek nici dentystycznej, która wraz ze szczoteczką do zębów znajdowała się w kieszeni, a nie w skonfiskowanej podczas aresztowania sakwie. Przywiązał dwa starannie wcześniej odmierzone kawałki do końców piły.

- No dobrze - szepnął. - Zaczynamy.

*

Dennis był rad, że ci ludzie wiedzą przynajmniej, do czego służą liny i lassa. Stiyyung Sigel

wziął piłę z rąk Dennisa, zrobił krok do tyłu i zaczął okręcać ją ponad głową, popuszczając coraz więcej nici i tworząc coraz szerszą pętlę.

Strażnicy od czasu do czasu rewidowali więźniów, szukając broni, narzędzi tnących i jakichkolwiek sznurów czy linek, które mogłyby posłużyć od razu lub po odpowiednim „zużyciu” do ucieczki. Jednak nic dentystyczna w jego kieszeni pozostała nie zauważona. Przez dwa ostatnie dni naciągał ją w wolnych chwilach, przystosowując do celu, w którym miała zostać użyta.

Oczywiście nie mieli zamiaru wspiać się po tej nici. Nawet po dwudniowym „zużywaniu” było to raczej niewykonalne. Poza tym Dennis wpadł na lepszy pomysł.

Sigel jeszcze raz okręcił piłę nad głową i rzucił. Pętla pofrunęła ponad zaostrowany koniec jednego z pni palisady. Dennis wziął do niego końce linki i cofnął się nieco, naciskając ją.

- Na stanowiska! - szepnął.

Perth, również złodziej, odszedł od nich kawałek, żeby obserwować strażników i w razie konieczności odwrócić ich uwagę. Sityyung, Gath i Mishwa skryli się w cieniu, pozostawiając Dennisa na pierwszej zmianie przy pile.

Zaczął się pocić, zanim jeszcze się upewnił, że zęby skierowane są we właściwą stronę. Owinął dłonie w skrawki szorstkiej tkaniny, potem kilkakrotnie okręcił wokół nich linkę i zaczął delikatnie pociągać na przemian lewą i prawą dłonią - pracując tak jak przy czyszczeniu kawałkiem nici dentystycznej ścianek zęba. Jeżeli piła zwrócona była we właściwą stronę, powinna zacząć przecinać skóry i błoto, wiążące ze sobą poszczególne pnie palisady.

Cięcie zaczynało się w najsłabszym miejscu - na szczycie, gdzie mur „zużywano” w sposób najmniej intensywny. W miarę posuwania się w dół piła powinna stawać się coraz lepsza, poza tym sam ciężar pnia musiał coraz bardziej naprężać trzymające się jeszcze spojenia. Dennis miał nadzieję, że prawa fizyki przynajmniej w takim stopniu jeszcze obowiązują w tym zwariowanym świecie.

Przykucnął nisko przy ziemi i pociągał za linki z coraz większą siłą, w miarę jak piła wgryzała się między pnie. Znalazł właściwy rytm, jego ruchy stały się mechaniczne, dzięki czemu miał czas nieco pomyśleć - martwić się patrolami strażników, a także rozmyślać o dziewczynie na ogrodzonym balkonie.

Skąd wiedziała, że on stoi w mroku na dole? Co Sityyung miał na myśli sugerując, że księżniczka L'Toff nie jest takim samym człowiekiem jak oni?

Parna, cicha noc nie niosła ze sobą żadnych odpowiedzi. Dennis zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał szansę zadać właściwe pytania.

Starał się skupić na pracy, którą wykonywał, intensywnie jnyśleć o cięciu. Jakkolwiek niektórzy z jego tutejszych znajomych pokpiwali sobie z tego, inni uparcie twierdzili, że skupiony

umysł przyspiesza proces zużywania przedmiotów.

Ciął, aż zaczęły go boleć ramiona i stwierdził, że zmęczenie obniża jego wydajność. Nabrał już zaufania do nici, wiedział, że jest dostatecznie wytrzymała i z chęcią już by przekazał pracę komu innemu. Skinął do Sigela, żeby go zastąpił. Potężny mężczyzna podbiegł i pomógł mu odwinąć z dłoni linki j tkaninę.

Dennis skrzywił się z bólu, gdy w dłoniach wróciło mu normalne krążenie krwi. Zazdrościł Sigelowi twardych, chłopskich odcisków. Chwiejnym krokiem wszedł w głęboki cień pod murem, w którym czekali Mishwa i Gath.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu przyglądając się, jak farmer cierpliwie pociąga za linki. W tych ciemnościach Sigel wyglądał jak kopiec ziemi lub szeroki pniak. To było zadziwiające, jak dobrze stapiał się z otoczeniem.

Mijały minuty. W pewnym momencie usłyszeli umówione z Arthem ostrzeżenie - imitację krzyku nocnego ptaka. Sigel przypadł do ziemi i wkrótce zza rogu wyłonił się wyposażony w latarnię patrol. Światło latarni, gdyby została ona skierowana w ich stronę, z łatwością by ich wyłuskało z mroku. Wszyscy zamarli, wstrzymując dech.

Strażnicy poszli jednak dalej, spokojni po przeliczeniu śpiących w szopie więźniów oraz tego, co wzięli za więźniów - wetkniętych pod koce podłużnych pakunków, zrobionych z nagromadzonych tkanin.

Zgodnie z przewidywaniami Artha rutyna wyraźnie rozleniwiała strażników.

Kiedy Arth ponownie dał sygnał, tym razem odwołujący alarm, Sigel podniósł się z ziemi i na nowo przystąpił do pracy. Do miejsca, w którym czekali przyczajeni, dobiegało ciche „zizzing” wgryzającej się coraz głębiej piły.

Młody Gath przysunął się do Dennisa.

- Czy to prawda, że księżniczka wyrzuciła ci kartkę z wiadomością? - spytał szeptem.

Dennis skinął głową.

- Czy mógłbym ją zobaczyć?

Trochę niechętnie Dennis wręczył mu skrawek grubego papieru. Gath pochylił się nad nim, marszcząc brwi i poruszając ustami w trakcie czytania. Umiejętność czytania i pisanie nie była w tym feudalnym społeczeństwie zbyt rozpowszechniona. Już w tej chwili Dennis znał lokalny alfabet równie dobrze, jak ten chłopiec.

Gath oddał mu kartkę i szepnął:

- Chciałbym kiedyś odwiedzić L'Toff. Słyszałem, że niegdyś, w czasach starego księcia ludzie stąd mieli z mmi znacznie częstsze kontakty.

- Wiesz, że oni czasem przyjmują do siebie normalnych ludzi? - ciągnął. - Mnie przyjmą bardzo chętnie, jestem tego pewien! Ja chcę zostać wytwórcą.

Gath tak to powiedział, jakby powierzał Dennisowi ogromną tajemnicę.

Dennis potrząsnął głową, wciąż zdziwiony sposobami, jakimi ludzie na Tatirze przystosowali swoje życie do istnienia Efektu Zużycia.

- Wytwórca... Czy to jest ktoś - spytał - kto z jakichś tam części składa nowe narzędzia? Ktoś, kto wytwarza zaczynacze? - „Zaczynaczami” nazywano tutaj przedmioty zupełnie nowe lub takie, które jeszcze nie przechodziły procesu zużywania. - Sądziłem, że wytwarzanie jest zastrzeżone dla pewnych kast.

Gath skinął poważnie głową. Uważał, że Dennis jako czarownik ma pełne prawo być naiwnym.

- Tak. Jest gildia kamieniarzy i gildia stolarzy, są garbarze, murarze i jeszcze inni. - Potrząsnął głową. - Gildie są zamknięte dla ludzi z zewnątrz i wszystko robią po staremu. Tylko farmerzy jak Stiyyung mogą robić jak chcą swoje własne zaczynacze. Udaje im się, bo mieszkają daleko poza miastem i nikt ich na tym nie złapie.

-A jakie to ma znaczenie? - spytał Dennis cicho. - Przecież nowe narzędzie wkrótce przystosowuje się do tego, kto je zużywa, i z czasem staje się coraz lepsze. Gdyby dostatecznie długo nad tym popracować, można by przerobić liść figowy na jedwabną sakiewkę.

Młody człowiek uśmiechnął się.

- Końcowa forma zależy od pierwotnej treści, jaką się w narzędzie wkłada... siekiera może być zrobiona tylko z zaczynacza siekiery, a nie z zaczynacza miotły czy sań. Jeżeli przedmiot od początku nie będzie chociaż trochę użyteczny, sam fakt zużywania nic mu nie pomoże.

Dennis skinął głową. Nawet tutaj, gdzie nauka jako taka właściwie nie istniała, ludzie odkryli związki między przyczyną a skutkiem.

- Za co trafiłeś do więzienia, Gath?

- Za wytwarzanie zaczynaczy sań bez pozwolenia kast. - Chłopak wzruszył ramionami. - Byłem głupi, że się dałem złapać. Zanim ty tu przyszedłeś, miałem zamiar po wyjściu na wolność spróbować dostać się do L'Toff. Ale teraz wolę pracować dla ciebie!

Obdarzył Dennisa promiennym uśmiechem.

- Ty prawdopodobnie wiesz na temat wytwarzania więcej niż L'Toff i wszystkie gildie razem

wzięte! Może będziesz potrzebował terminatora, gdy postanowisz wrócić do swego rodzinnego kraju. Potrafię pracować bardzo ciężko! Ja już wiem, jak się łupie krzemień! I nauczyłem się lepienia garnków, bo wkradłem się do...

Chłopak zaczął się trochę za bardzo ekscytować. Dennis skinął do niego, żeby był cicho. Gath umilkł posłusznie, ale jego oczy wciąż płonęły.

Dennis zamyślił się nad tym, co usłyszał od Gatha. Najprawdopodobniej rzeczywiście wiedział więcej o „wytwarzaniu” niż wszyscy pozostali na tym świecie razem wzięci.

Jednak prawie nic nie wiedział na temat Efektu Zużycia. W tych warunkach, tu i teraz, ta niewiedza mogła być tragiczna w skutkach.

- Zobaczmy - powiedział do chłopca. - Kiedy wydostaniemy się na wolność, być może będę się bardzo śpieszył do domu i pomocnik rzeczywiście będzie mi potrzebny. -Pomyślał o wzgórzach na pomocnym zachodzie... i o zevatronie.

Zaczął go martwić cały ten czas, który stracił na poszukiwanie na tej planecie technicznej cywilizacji. Czy Flaster już wysłał tu kogoś innego? Byłoby to bardzo do niego podobne, gdyby po początkowym zwlekaniu i denerwowaniu się zaczął w końcu szukać następnego „ochotnika”.

Z drugiej strony, Flaster mógł równie dobrze odciąć zevatron, rezygnując z tej planety i zmuszając pracowników Instytutu do kolejnych poszukiwań wśród światów anomalnych... oczywiście z wykorzystaniem algorytmu opracowanego przez doktora Dennisa Nuela.

Nagle zdał sobie sprawę, że być może będzie musiał spędzić tutaj resztę swego życia. Po chwili stanęły mu przed oczyma złote włosy, połyskujące w księżycowym świetle. Przyszło mu do głowy, że ten świat posiada jednak swoje zalety. Potem z drzeniem przypomniał sobie, że otrzymał ostrzeżenie przed czekającymi go za kilka zaledwie godzin torturami.

Tatir niewątpliwie miał również swoje wady.

Stiyyung Sigel nie poprosił jeszcze o zmianę. Pracował z gorączkową zawziętością, na widok której Dennis poczuł lekki przestach. Podniósł wzrok, żeby zobaczyć, jakie farmer zrobił postępy.

Wytrzeszczył oczy w zdumieniu. Piła wgrzyła się już niemal do połowy wysokości palisady! W jaki sposób...?

Spojrzał z powrotem na Sigela i przetarł oczy. To musiało być tylko zrodzone z ciemności złudzenie, jednak wyraźnie mu się wydawało, że powietrze wokół farmera lekko się jarzy. Wyglądało to tak, jakby krążyły wokół niego małe, świetliste wiry.

Dennis odwrócił się do Gatha, żeby spytać, czy on też to widzi.

Najwyraźniej tak było. Młody wytwórca wpatrywał się w Sigela z nabożnym zdumieniem.

Podobnie zachowywali się Mishwa i Perth.

- Co to jest? - szepnął Dennis napiętym głosem. - Co się dzieje?

- To jest prawdziwy trans felhez - odpowiedział Gath, nie odrywając oczu od farmera. - Mówią, że człowiek jest szczęściarzem, jeśli choć raz w życiu uda mu się to zobaczyć!

Dennis skierował wzrok z powrotem na Sigela. Farmer pracował z demoniczną intensywnością, jego ramiona były dwiema zamazanymi smugami. Po chwili zauważyli, że otaczająca go blada poświata zaczyna obejmować również nic - wspina się po niej w górę, wyglądając jak iskrząca się jonizacja wokół linii wysokiego napięcia.

Czymkolwiek był ten tajemniczy „trans felhez”, Dennis widział wyraźnie, że Sigel i piła sieją spustoszenie wśród spojeń palisady. Z powiększających się z każdą chwilą szczelin po obu stronach pnia spadał delikatny, nieprzerwany deszcz pyłu.

To rzeczywiście było zadziwiające. Jednak w tej chwili Dennisa poważnie zaczęła niepokoić myśl, że ten fenomen mogą zauważyć również strażnicy.

Stwierdził, że nadszedł właściwy czas, żeby nieco sprawy przyspieszyć.

Dał znać Mishwie Qanowi. Był to olbrzymi człowiek - wyższy i potężniejszy nawet od strażnika Gil'ma. Mishwa uśmiechnął się szeroko i lekko podniósł się na nogi. Na sygnał Dennisa przykucnął u stóp muru, oparł plecy o pień, zapierając się mocno nogami i popchnął. Spojenia zatrzeszczały.

Sigel pracował nieprzerwanie, nie prosząc o zmianę. Teraz piła znajdowała się już niemal na poziomie jego głowy, jednak zaczynała poruszać się coraz wolniej. Na tej wysokości palisada miała za sobą bardziej intensywne zużycie i była dużo mocniejsza.

Mishwa sapnął i znowu zaczął pchać. Pień jęknął z cicha, potem wychylił się nieco na zewnątrz. Na spojenia zaczęła oddziaływać również jego własna waga.

Dennis skinął do Gatha, żeby pomógł Mishwie. Wkrótce obaj posapywali do wtóru trzeszczących spojeń.

Pień pochylił się jeszcze odrobinę i w tym momencie Dennis niemal wrzasnął. Coś poruszało się na zębatym szczycie palisady!

Ciemna sylwetka - nieco większa od dużej ropuchy amerykańskiej - pochyliła się nad z każdą chwilą większą szczeliną i spojrzała w dół na świecąco delikatnie piłę. W ciemności zajarzyły się zielone oczka, błysnęły ostre, małe zębki.

Dennis potrząsnął głową.

- Choch, ty włóczykiu! Teraz się pokazujesz? Kiedy wreszcie na coś się przydasz, hmm?

Odwrócił się i dołączył do mocujących się z masywnym pniem kolegów. Przy każdym poruszeniu pień tak trzeszczał, że pewnie słyszała to cała dolina.

Ze swego punktu obserwacyjnego przybiegł Arth.

- Myślę, że coś usłyszeli - szepnął. - Nie moglibyśmy na chwilę ucichnąć?

Dennis spojrzał na pień. Poprzez szczelinę świeciły gwiazdy. Twarz Sigela była tak skupiona i zawzięta, że Dennis poczuł dreszcz. Ramiona farmera były dwiema smugami, z miejsca, w którym znajdowała się piła, dobiegał niemal jednostajny, wysoki jęk.

Dennis nie ośmieliłby się przerywać teraz farmerowi. Potrząsnął głową.

- Nie, nie możemy. Wszystko albo nic! Jeżeli strażnicy się pojawią, musisz jakoś odwrócić ich uwagę.

Arth kiwnął lakonicznie głową i zniknął w ciemności.

Między jednym naparciem na pień a drugim Dennis spojrzał w górę. Wyszczерzone w imitacji uśmiechu, podobne do igieł zęby powiedziały mu, że chochlak ciągle tam jest i przypatruje się ich zmaganiom. „Dobrej zabawy”, powiedział do zwierzaka i przyłączył się do następnego pchnięcia.

Pień zatrzeszczał, tym razem naprawdę głośno. Na dziedzińcu za nimi rozległ się krzyk, w pobliżu szopy strażników pojawiły się ruchome cienie. A potem wrzaski i nawoływania dobiegały już niemal zewsząd.

- Mocno! - Dennis ponaglił kolegów. Wszyscy oni zdawali sobie sprawę, że zostało im bardzo niewiele czasu.

Mishwa Qan wrzasnął i uderzył całym ciałem w barierę, odgradzającą go od wolności. Gath i Dennis zostali odrzuceni na boki.

W szopie straży zamigotały płomienie. Arth zaczął akcję odwracania uwagi. Cienie poruszały się gwałtownie, wyraźnie widoczne na tle ognia. Maczugi wznosiły się wysoko ponad głowy, gdy rozeźleni więźniowie starli się ze strażnikami. W górze, na którymś z pięter zamku, zabrzmiał gong alarmowy.

Obaj złodzieje, Arth i Perth, wyłonili się nagle z ciemności.

- Zyskałem dla nas - wydyszał Arth - może ze dwieście uderzeń serca, Dennis. Nic więcej.

Pień pochylił się o następne dziesięć stopni, jęcząc jak zdychające zwierzę.

- To będzie raczej sto uderzeń - powiedział Arth z goryczą.

Sigel pochylił się nieco i piła zaśpiewała na jeszcze wyższą nutę. Niespokojna poświata objęła całą jego sylwetkę, płatki światła kapały z nici na ziemię.

Mishwa Qan cofnął się kilkanaście metrów, wytarł podeszwy stóp o ziemię i z przeraźliwym rykiem zaszarżował na chwiejący się pień. Rozległ się trzask, potem ciężkie uderzenie o ziemię i nagle w palisadzie przed nimi pojawił się otwór. Hałas zagłuszył wszystkie inne odgłosy na dziedzińcu. Reakcja strażników była zupełnie jednoznaczna. Odwrócili się od ognia i bójki z więźniami, pokrzykując do siebie i wskazując na Dennisa i jego towarzyszy.

Sigel, z ramionami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż boków, patrzył na rezultat swojej pracy. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego, jednak w jego oczach wciąż płonęło uniesienie.

Trzej strażnicy odłączyli się od zamieszania przy szopie i z wysoko uniesionymi pałkami podbiegli w ich stronę.

Z ziemi podniósł się niewielki cień - na tyle tylko, żeby jeden ze strażników potknął się i przewrócił. Arth podciął lewą stopę drugiego z nich, również posyłając go na ziemię. Trzeci z dzikim bojowym zawołaniem biegł wprost na Dennisa.

- Och, do diabła - Dennis westchnął głęboko. Jedną ręką chwycił uniesione, trzymające pałkę ramię, drugą zaś wyrzwał strażnika prosto w nos. Żołnierz jakby uniósł się w powietrze, wyrzucając stopy przed siebie i runął ciężko na ziemię.

Od płonącej szopy nadbiegali następni strażnicy. Dennis poczuł podmuch powietrza, gdy obok niego jak strzała przemknął Arth.

- Idziemy! - krzyknął do Sigela i pociągnął go w stronę wąskiej bramy ku wolności.

Od muru obok nich odbiła się włócznia. Stiyyung potrząsnął głową, potem uśmiechnął się do Dennisa i ruszył za nim. Razem przeszli przez otwór i zanurzyli się w noc za murem.

Gdy przebiegali obok zwałonego pnia, Dennis zauważył pod nim coś, co błyszczało w świetle gwiazd jak naszyjnik z diamentów. Nie zatrzymał się jednak i wkrótce razem z Sigelem kluczyli po wąskich uliczkach Zuslik, próbując zgubić podążający w ślad za nimi pościg.

VI. BALLON D'ESSAI[1]

Z zamku ku wszystkim bramom błyskały przekazywane za pomocą latarni sygnały. Posterunki zostały podwojone, dokładnie rewidowano każdą osobę, która chciała opuścić miasto. Wysoko w górze krążyły patrole powietrzne, przeszukując okolicę i lądując dopiero wtedy, gdy zmusiła ich do tego ciemność zapadającej nocy.

- Baron nigdy dotychczas nie robił tyle zamieszania wokół czyjejś ucieczki. Oczywiście nie przyjmował tego z uśmiechem na ustach, ale dlaczego właśnie teraz urządził takie wielkie polowanie?

Jednooki złodziej, Perth, wyjrzał z okna pierwszego piętra jednego z nowszych - a tym samym nędzniej szych - budynków w Zuslik. Niepokoiły go błyski światła i maszerujące oddziały żołnierzy z północy.

Arth, niski przywódca miejscowych przestępców, gestem nakazał swemu współtowarzyszowi odejść od okna.

- Nigdy nas tutaj nie znajdą. Kiedy to żołdacy Kremera znaleźli chociaż jedną z naszych kryjówek? Zamknij okiennice i siadaj, Perth.

Perth zastosował się do polecenia, ale spojrzał ponurym wzrokiem na pozostałych uciekinierów, siedzących przy stole koło kuchni i rozmawiających, podczas gdy żona Artha przygotowywała posiłek.

- I ty, i ja dobrze wiemy, kogo oni szukają - powiedział do swego szefa. - Baron nie lubi tracić jednego ze swych najlepszych zużywczy. A tym bardziej nie lubi tracić czarownika.

Arth musiał się z tym zgodzić.

- Założę się, że teraz baron żałuje, że pozwolił, by Dennis tak długo siedział na dziedzińcu razem ze wszystkimi. Myślał pewnie, że ma mnóstwo czasu na to, żeby go zacząć torturować.

Arth potarł pluszowe podłokietniki swego fotela. W czasie jego pobytu w więzieniu któryś z członków bandy przynajmniej raz dziennie siadywał w tym fotelu, żeby go utrzymać w dobrym stanie. Arth był z tego bardzo zadowolony, gdyż świadczyło to o ich wierze, że on prędzej czy później do nich wróci.

- Tak czy inaczej - powiedział do Perth - zawdzięczamy tej trójce naszą wolność, więc nie zazdrościmy im gniewu barona.

Preth skinął głową, ale nadal myślał swoje. Mishwa Qan i niemal wszyscy pozostali złodzieje krążyli teraz po mieście w poszukiwaniu rzeczy, o które prosił Dennis Nuel. Perthowi nie podobało się, że jakiś obcy rozkazuje złodziejom z Zuslik - czarownik czy nie.

Gath przeniósł wzrok z rysunków Dennisa na niego samego. Chłopiec ledwie mógł opanować podniecenie.

- Więc ten worek nie będzie latał, dopóki nie zostanie do niego włożone ogrzane powietrze? A potem naprawdę pofrunie? Jak ptak czy szybowiec albo jeden ze smoków z legendy?

- Przekonamy się, gdy Lady Aren wreszcie przyniesie pierwszy z nich, Gath. Wypróbujemy go i zobaczymy, na ile się poprawi w ciągu całonocnego zużywania.

Gath uśmiechnął się, słysząc imię starej szwaczki. Najwyraźniej nie miał zbyt wysokiego mniemania o niej samej i o jej manierycznym sposobie zachowania. Stara kobieta mieszkała na parterze tego nędznego budynku i szyciem zarabiała na bardzo skromne życie. Mimo to zachowała wyszukane maniery i wymagała od wszystkich, żeby zwracali się do niej tak, jakby nadal była młodą damą dworu na książęcym zamku.

A więc teraz powodzenie ich planu zależało wyłącznie od umiejętności starej, zwariowanej kobiety.

Stiyyung Sigel siedział obok Gatha. Pykał z fajeczki i zadowalał się słuchaniem, tylko od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie. Wydawało się, że całkowicie już zapomniał o skutkach felhesz, niesamowitego transu, w jaki wpadł w noc ich ucieczki. Zgodził się zrezygnować ze swego pierwotnego pomysłu - wspięcia się na miejskie mury - tylko wskutek zapewnień Dennisa, że istnieje znacznie lepszy sposób na wydostanie się z miasta i późniejsze poszukiwania jego żony.

Arth i Perth przyłączyli się do siedzącej przy stole trójki, Dennis i Gath uprzątnęli rysunki, robiąc miejsce dla przyniesionej przez Maggin, żonę Artha, misy z pieczonym ptactwem i kufla piwa.

Arth oderwał udko i przystąpił do natłuszczania nim swojej brody, posilając się przy tym wyraźnie tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Jak wymagała grzeczność, pozostali mężczyźni przystąpili po posiłku dopiero po gospodarzu. Maggin przyniosła jeszcze dymiącą wazę z gotowanymi warzywami i również usiadła przy stole.

- W czasie, gdy byliście zajęci robieniem tych rysunków - powiedział Arth z pełnymi ustami - przyszedł posłaniec z wiadomością od chłopców.

Dennis spojrzał na niego wzrokiem pełnym nadziei.

- I co, znaleźli plecak?

Arth potrząsnął głową, mamrocząc w resztki ptasiego udka.

- Twoje wskazówki nie były zanadto dokładne, Dennis. W pobliżu zachodniej bramy jest cała

masa budynków i niektóre z nich używają parapetów jako balkonów i ogrodów. Jeśli trafiłeś na taki budynek, to twój plecak już dawno został zabrany.

- Nie ma w ogóle żadnych śladów? Żadnych plotek, pogłosek?

Arth pociągnął z kufła, przechylając go tak, że czerwone, pieniste piwo obficie spłynęło mu po brodzie. Po spędzonym w więzieniu czasie najwyraźniej rozkoszował się domowym jedzeniem. Wytarł usta w mankiet. Dennis zauważył, że wszystkie koszule Artha wykształcały na swych lewych rękawach coś w rodzaju gąbek.

- No cóż, Dennis, po mieście rzeczywiście krążą dziwne opowieści. Niektóre mówią, że ktoś widział przemykającego się ulicami krenegijskiego potwora. Znowu inne twierdzą, że widziano ducha starego księcia, który przybył, żeby się zemścić na Kremerze.

- Jest nawet historia - ciągnął - o dziwnej istocie, która w ogóle nie je, tylko szpieguje ludzi przez okna i porusza się szybciej niż błyskawica... stworze, którego nikt nigdy tutaj nie widział, z pięcioma oczami. - Arth oparł dłonie o szczyt głowy, splótł palce i, pogwizdując z cicha, zakręcił młynka kciukami.

Perth zakaszlał w piwo i zachichotał. Maggin i Gath wybuchnęli głośnym śmiechem.

- A mój plecak...?

Arth wymownym gestem rozłożył ręce.

Dennis skinął głową ponuro. Miał nadzieję, że złodzieje zdołają odzyskać plecak w stanie nienaruszonym, a gdyby nawet nie - że podziemnymi kanałami dowiedzą się czegoś na temat „nietutejszych” przedmiotów. Niektóre z nich mogły się nawet pokazać na bazarze.

Najbardziej prawdopodobne było jednak to, iż plecak znajduje się już w rękach barona Kremera. Być może w tej właśnie chwili Kremer potrząsa przed nosem księżniczki Linnory maszynką do gotowania albo golarką, domagając się wyjaśnienia, do czego one służą.

L'Toff, mimo otaczającego ich nimbu tajemniczości, byliby prawdopodobnie równie bezradni wobec należących do Dennisa przedmiotów, jak wszyscy inni na Tatirze. Linnora nie będzie w stanie czegokolwiek Kremerowi wyjaśnić. Dennis miał tylko nadzieję, że wprawiając barona w paskudny nastrój, nie przyczynił się mimowolnie do pogorszenia jej sytuacji.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Mężczyźni zamarli. Pukanie powtórzyło się nierównym rytmem pięć razy, potem jeszcze dwa. Dopiero wtedy Perth podniósł się i odsunął bolec.

Do pokoju weszła stara kobieta w szykownej czarnej sukni. Rzuciła na podłogę spory worek, spoglądając spod oka na wstających od stołu i kłaniających się uprzejmie mężczyźni.

- Panowie - powiedziała, pochylając się w niskim ukłonie. - Kulisty gobelin, o który

prosiłicie, jest już gotowy. Wedle waszego życzenia na jego bokach zaznaczyłam tylko delikatne kształty chmur i ptaków. Możecie sami doprowadzić tę scenę do doskonałości. Jeżeli ta niewielka kula odpowiada waszym oczekiwaniom, rozpocznę pracę nad jej większą wersją natychmiast po otrzymaniu odpowiednich materiałów.

Arth podniósł płachtę z pozszywanych kawałków delikatnego welwetu udając, że przygląda się jej bacznie. Potem przekazał ją czekającemu niecierpliwie Dennisowi i ponownie uklonił się Lady Aren.

- Jesteś, pani, naprawdę zbyt łaskawa - powiedział głosem, który nagle zabrzmiał niemal jak głos arystokraty. - Nie będziemy kłaść pani rąk papierowymi pieniędzmi czy bursztynem. Jednak nasza wdzięczność nie ograniczy się tylko do gołych słów. Czy moglibyśmy, jak w przeszłości, tak i teraz się choćby nieznacznie do utrzymania pani domostwa?

Stara kobieta wykrzywiła twarz w udawanym niezadowoleniu.

- Można chyba przyjąć, że tego typu rozwiązanie nie przekracza granic dobrego smaku.

Jutro pod jej drzwiami pojawi się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki kosz pełen jedzenia. Pozory zostaną zachowane.

Dennis nie przyglądał się zakończeniu transakcji. Podziwiał „kulisty gobelin”.

Coylianie posiadali kilka znaczących umiejętności. Istniały rzeczy, które powinny być użyteczne od chwili powstania i nie mogły być używane bez kompletnego ich zniszczenia. Przykładem mógł być tu papier. Czasami kartka papieru musi przeleżeć w szufladzie tygodnie czy miesiące czekając, aż będzie potrzebna na notatki lub list. Tak więc cała jej „papierowość” powinna być gotowa do użytku od początku i bez przerwy. Kiedy kartka zostanie już zapisana, być może znowu przyjdzie jej leżeć całymi latami, zanim ktoś do niej wróci. Nie może więc niszczyć, jak to się tutaj dzieje z innymi porzuconymi rzeczami - tymi, których jakość zależy wyłącznie od stopnia zużycia.

Nic więc dziwnego, że w tym świecie używano papierowych pieniędzy i nikt na to nie narzekał. Wartość surowca, z którego je wykonywano, równała się wartości złota czy bursztynu.

Z wytwórstwem papieru wiązała się produkcja filcu. Dennis prosił złodziei, żeby „postarali się” o mniej więcej dziesięć metrów kwadratowych najcieńszego filcu, jaki będą mogli znaleźć. Jeżeli wstępny eksperyment się powiedzie, będą musieli „starać się” znacznie bardziej, kradnąc prawdopodobnie całe zapasy tego materiału, jakie znajdują się w mieście.

Dennis był lekko zaskoczony tym, że właściwie nie czuje winy, uczestnicząc w akcji rabunkowej na wielką skalę.

Mieściło się to, jak z odrobiną goryczy sobie uświadomił w granicach w pełni racjonalnej reakcji na ten świat. Mieszkańcy Ziemi byli zmuszeni do trwających całe tysiąclecia poszukiwań i

eksperymentów, zanim osiągnęli stopień komfortu, do jakiego tutejsi ludzie doszli jakby mimowolnie i niemal bezmyślnie. Z łatwością potrafił sobie wytłumaczyć, że może od nich wziąć wszystko, co mu jest potrzebne.

Tak czy inaczej największy w Zuslik kupiec tekstylny i monopolista na rynku papieru był bliskim krewnym barona. Jego monopol i ostentacyjne bogactwo stanowiły gwarancję tego, że poza zamkiem znajdzie się niewielu takich, którzy będą go żałować.

„Kulisty gobelin” był otwartą z jednego końca sferą, uszyła z cienkiego jak papier materiału. Na jego bokach widniały delikatnie wyszyte chmury i ptaki. Szwy były dość nierówne, chociaż Lady Aren najwyraźniej uważała się za artystkę.

Jeżeli jednak sceny byłyby oglądane dostatecznie długo przez patrzące życzliwie oczy, stałyby się prawdziwym dziełem sztuki. Sztuka, obok nauki, również podlegała tu prawom dobroczynnego Efektu Zużycia.

Dennis, Sigel i Gath czekali, aż Lady Aren zakończy szeptaną rozmowę z Arthem i Maggin. Sigel spojrzał surowo na chłopca, gdy ten zaczął niecierpliwie bębnić palcami po stole. Oczekiwanie zdawało się nie mieć końca. Arth natomiast najwyraźniej wcale się nie spieszył. Wręcz przeciwnie - robił wrażenie, że znakomicie się bawi!

Dennis odetchnął głęboko, żeby się odprężyć. Prawdopodobnie sam znalazłby przyjemność w wysłuchiwaniu plotek, gdyby, jak Arth, wrócił do domu po drugim pobycie w więzieniu. Stwierdził, że nieco tęskni za wiedzą o tym kto, co, komu i w jaki sposób ostatnio zrobił w starym, dobrym Instytucie Saharańskim.

Przez chwilę zastanawiał się leniwie nad tym, czy Bernaldowi Brady'emu udało się w końcu zdobyć serce nadobnej Gabrieli. Podniósł kubek i wypił za jego powodzenie w tym przedsięwzięciu.

*

W końcu starsza pani wyszła.

- No dobrze - powiedział Dennis - dokończmy wreszcie tę robotę.

Rozpostarł sflaczałą kulę na blacie stołu. Gath i Sigel wzięli kilka miękkich, łojowych świec i zaczęli delikatnie pocierać nimi powierzchnię materiału, zostawiając cienką warstwę tłuszczu. Dennis tymczasem ostrożnie przywiązał do otwartego końca niewielką gondolę ze splecionych pasków kory. Zanim udało mu się zamocować w niej świeczkę, Gath i Sigel skończyli już swoją część pracy. Arth, Perth i Maggin przyglądali się z boku nic nie rozumiejącymi oczyma.

Dennis i Gath przenieśli całe urządzenie w róg pokoju, gdzie wcześniej została ustawiona drewniana rama.

- To się nazywa balon - powiedział Dennis, rozpościerając materiał na ramie.

- Już zdążyłeś nam to powiedzieć - odezwał się Perth uszczypliwym tonem. - Powiedziałeś również, że to będzie latać... na dodatek wewnątrz budynku, gdzie nie ma wiatru.

Najwyraźniej zupełnie w to nie wierzył. Tutaj i teraz istniał tylko jeden sposób uniesienia się w powietrze - zbudowanie i mozolne zużycie wielkiego latawca na uwięzi.

Dawno temu jakiś coyliński geniusz, który nie znosił moknięcia na deszczu - wynalazł parasol - teraz rzecz bardzo powszechną, posiadaną niemal przez każdego. Później, gdy w czasie huraganu powiew wiatru uniósł na chwilę w górę parasol razem z jego przerażonym właścicielem, ktoś inny dokonał następnego konceptualnego skoku. I tak na Tatirze narodziły się latawce. Późniejsze intensywne używanie doprowadziło do wykształcenia wielkich skrzydeł na uwięzi, zdolnych do unoszenia ludzi wysoko ponad powierzchnią ziemi.

Takie właśnie latawce pomogły ojcu barona Kremera, pomniejszemu szlachetce z leżących na północy wzgórz, pokonać starego księcia i zmusić króla Coylii do nadania mu tytułu władcy górnej doliny Fingal.

Dopiero w ciągu ostatnich kilku lat zostały dokonane znaczące postępy w konstruowaniu szybowców z prawdziwego zdarzenia - tym razem dzięki samemu Kremerowi. I chociaż inne armie posiadały już latawce, w tej chwili tylko i jedynie on miał flotę powietrzną godną tej nazwy. Była to ogromna taktyczna przewaga w obecnym konflikcie z rządem królewskim.

Dennis zastanawiał się, dlaczego nikt inny nie potrafił wykształcić szybowców. Prawdopodobnie było to w jakiś sposób związane z wyobraźnią osoby używającej przedmiot. Powinna ona nosić w głowie obraz tego, co chce osiągnąć. Być może nikt nie potrafił sobie wyobrazić, że używanie swobodnie unoszącego się aparatu nie musi kończyć się tragicznie dla lotnika, i tak latawce pozostawały w pierwotnej formie aż do czasu, gdy Kremer dokonał swego przełomu.

Dennis umieścił świecę bezpośrednio pod otworem w dolnej części eksperymentalnego balonu. Uśmiechnął się z dużą pewnością siebie.

- Przekonasz się, Perth. Uważaj tylko, żeby te wiadra z wodą były na wszelki wypadek pod ręką.

Starł się robić wrażenie, że dokładnie wie, co się stanie, jednak były to tylko pozory. W opowiadaniu fantastyczno-naukowym, które czytał w dzieciństwie, Ziemianin, podobnie jak on, został przeniesiony do innego świata o nieco inaczej działających prawach fizyki. W tym opowiadaniu działała magia, ale proch strzelniczy i zapaliki zupełnie zawiodły bohatera!

Dennis podejrzewał, że na Tatirze Efekt Zużycia raczej uzupełniał znaną mu fizykę, niż ją zastępował. W każdym razie miał taką nadzieję.

Ze świeczki uniósł się słup dymu, znikając wewnątrz balonu. Arth zaoferował Dennisowi i Stivyungowi swoje najlepsze leżanki, wyjął też kilka plecionych krzesel, które „i tak wymagają jeszcze dużo pracy”. Znalazł też dla Dennisa i Stivyunga dwie bardzo ładne fajki, sam radośnie pykając z przedziwnej konstrukcji, składającej się z wydrążonej gałązki i czegoś, co sprawiało wrażenie połówki kaczana kukurydzy - powoli pracując nad doskonaleniem jej formy, a przynajmniej powstrzymując proces całkowitego rozpadu.

Dennis potrząsnął głową. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim przyzwyczai się do istnienia Efektu Zużycia.

- Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co właściwie baron Kremer chce osiągnąć? - spytał, gdy czekali, aż balon napelni się ciepłym powietrzem. - Odniosłem wrażenie, że on buntuje się przeciwko centralnej władzy... Królowi?

Stiyyung Sigel kilkakrotnie pyknął ponuro z fajki, zanim odpowiedział.

- Przed ślubem i przejściem w stan spoczynku służyłem w oddziale Królewskich Zwiadowców. Baron zawsze był i nadal jest bardzo twardy dla nas, królewskich osadników, żyjących w pobliżu zachodniej granicy. Nie podoba mu się, że my, na których lojalność niezbyt może liczyć, ciągle tu jesteśmy.

- Kremera popierają gildie wytwórców - kontynuował. - One również nie lubią farmerów osiedlających się zbyt daleko od miast. My wytwarzamy nasze własne zaczynacze - łapiemy własny krzemień, wyprawiamy własne skóry i rzemienie, przedziemy własne tkaniny. Ostatnio, prawdę powiedziawszy, nauczyliśmy się nawet wytwarzać własny papier.

Arth i Perth podnieśli głowy, nagle zainteresowani rozmową. Gath zamrugał zdumionymi oczyma.

- Ale przecież gildia papierników najbardziej z nich wszystkich strzeże swoich tajemnic! W jaki sposób się dowiedzieliście...? - Strzelił palcami. - Oczywiście! L'Toff!

Sigel po prostu pyknął w milczeniu z fajki. Nic nie powiedział, aż się upewnił, że wszystkie oczy są na niego zwrócone i że wszyscy czekają, aż znowu zacznie mówić.

- Baron już o tym wie - stwierdził, wruszając ramionami. - Tak samo gildie, a więc prości ludzie również mogą się dowiedzieć. To, co się tutaj dzieje, jest tylko odbiciem jakiegoś większego procesu, który zachodzi w posiadłościach i w miastach na wschodzie. Ludzie zaczynają mieć dosyć gildii, kapłanów i małych baronków, którzy nimi pomiatają. Popularność króla bardzo wzrosła od czasu, jak zniósł cenzus majątkowy, ograniczający dotąd prawo do głosowania, a także dzięki temu, że zwołuje teraz Radę każdej wiosny, a nie raz na dziesięć lat.

Dennis skinął głową ze zrozumieniem.

- Pozwól mi zgadnąć - powiedział. - Kremer jest przywódcą frakcji, domagającej się

zachowania dotychczasowych przywilejów.

To była historia, którą słyszał już wiele razy. Sigel skinął głową.

- I zdaje się, że to oni są stroną, która posiada realną siłę. Królewscy zwiadowcy i gwardziści to oczywiście najlepsi żołnierze pod słońcem, ale pobór z dóbr baronów przewyższa ich liczebnie sześć albo nawet siedem razy.

- A teraz Kremer ma jeszcze te swobodnie fruujące latawce, które mogą przenosić jego zwiadowców wszędzie, gdzie zechce. Zupełnie odbierają one opozycji ducha, a na dodatek kościół rozgłasza, że są to smoki ze starożytności, które znowu wróciły na Tatir... dowód na to, że Kremer cieszy się łaską bogów.

- Muszę jednak oddać mu sprawiedliwość. Nikt przedtem nie pomyślał o szybowcach. Nawet L'Toff.

Ponowne wspomnienie o L'Toff przywiodło Dennisowi na myśl księżniczkę Linnorę, więzioną przez Kremera w zamku. Ta dziewczyna zaczynała już nawiedzać jego sny. Zawdzięczał jej wolność i nieznośną była mu myśl, że ona sama ciągle się znajduje w mocy tyrana.

„Gdybym tylko wiedział, jak mam jej pomóc”, pomyślał.

- Balon jest niemal pełny - Gath wypowiedział słowo „balon” tak, jakby było to imię własne.

Ściany worka zaczynały się napinać pod ciśnieniem gorącego powietrza w jego wnętrzu. To nie była bardzo prawidłowa kula. Jednak tutaj nie opłacało się przywiązywać zbyt dużej wagi do rzeczy nowo wytworzonych, dopóki grały one swoją rolę na tyle, żeby można było zacząć je zużywać.

Świeca wypaliła się przeszło w połowie. Balon podskakiwał wewnątrz ramy, napinając nici, na których wisiała gondola. Po chwili koszyczek podskoczył na podłodze, a potem zupełnie się od niej oderwał.

Na chwilę zapadła w pokoju całkowita cisza, potem Maggin roześmiała się głośno, a Arth klepnął Dennisa po plecach. Gath przykucnął pod balonem, jakby chciał zapamiętać go ze wszystkich stron. Stiyyung Sigel nadal siedział spokojnie, jednak jego oczy zdawały się płonąć, a z fajki wydobywały się znacznie większe niż dotychczas kłęby aromatycznego dymu.

- Ale przecież człowieka ta rzecz nie uniesie! - powiedział Perth.

Arth odwrócił się do swego podwładnego.

- A skąd ty wiesz, co ona w końcu będzie mogła zrobić? Jeszcze nawet przez chwilę nie była używana! Czy to przypadkiem nie ty ciągle narzekasz na nowo wytworzone rzeczy?

Perth cofnął się nerwowo, oblizując wargi i jakby z lękiem patrząc na powoli wznoszący się balon.

- Prawdę mówiąc - powiedział Dennis - Perth ma rację. Po pewnym czasie ten balon będzie prawdopodobnie w stanie unieść znacznie więcej niż podobne urządzenie na... w moim rodzinnym kraju. Jednak jeżeli chcemy unieść kilku ludzi, musimy zrobić w tym pustym magazynie, o którym mi mówiłeś, Arth, balon znacznie większy. Przez pewien czas będziemy go tam używać, a potem Gath, Stiyyung i ja użyjemy go, żeby którejś nocy, gdy szybowce barona będą na ziemi, uciec z miasta.

- Mam nadzieję, że ty i Gath, i Stiyyung nie zapomnicie o przekazaniu L'Toff naszej wiadomości, prawda? - Oczy Artha błysnęły złowieszczo.

- Oczywiście, że nie. - Wszyscy trzej mieli znakomite powody, żeby natychmiast po wydostaniu się z miasta zmierzać wprost w góry, na poszukiwanie tego tajemniczego ludu. Dennis miał zamiar powiedzieć im o schwytaniu ich księżniczki i zaproponować sposoby jej uwolnienia.

Arth spodziewał się otrzymać od L'Toff niezłą nagrodę za swój udział w całej tej sprawie, oczywiście poza satysfakcją ze zrobienia brzydkiego psikusa baronowi.

Balon zaczął podskakiwać pod sufitem.

- No dobrze - powiedział Dennis – obiecywaliście nauczyć mnie, w jaki sposób należy się koncentrować, żeby uzyskać jak najlepszy rezultat podczas używania. Dlaczego nie mielibyśmy zacząć w tej chwili?

Wszyscy usiedli na swoich miejscach. Stiyyung Sigel był niewątpliwie najlepszym wśród nich użytkownikiem, więc to on właśnie zaczął wyjaśniać.

- Po pierwsze, Dennis, wcale nie musisz się koncentrować. Samo używanie narzędzia czyni je lepszym. Jednak jeżeli twoja uwaga jest skupiona na samym narzędziu i na tym, co chcesz dzięki niemu osiągnąć, używanie postępuje znacznie szybciej. Używasz narzędzia do coraz cięższych trudniejszych zadań, pracujesz nim przez całe tygodnie i miesiące i myślisz o tym, jakie będzie, gdy osiągnie doskonałość.

- A co z tym transem, w którym cię widzieliśmy na więziennym podwórku? Zużyłeś piłę do doskonałości w ciągu zaledwie kilku minut!

Stiyyung zastanawiał się przez chwilę.

- Widziałem kiedyś felhesz, gdy przez pewien czas żyłem wśród L'Toff. Jednak nawet u nich jest to rzadkie zjawisko. Przychodzi dopiero po latach praktyki albo w bardzo szczególnych okolicznościach. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek uda mi się ten stan osiągnąć.

- Być może zadziałała tu jakaś magia chwili, połączona z desperacką potrzebą, w jakiej się znajdowaliśmy.

Stiyyung na dłuższą chwilę popadł w zadumę. W końcu otrząsnął się i spojrzął na Dennisa.

- W każdym razie nie możemy liczyć na to, że siekiera dwukrotnie uderzy dokładnie w to samo miejsce. Zużywając twoje balony, musimy polegać na zupełnie normalnych środkach. Dlaczego nie miałbyś nam znowu wyjaśnić, co ten egzemplarz w tej chwili robi i w jaki sposób można zmusić go, żeby robił to lepiej. Nie wybiegaj zbyt daleko przed stan, w którym balon znajduje się w tej chwili, gdyż inaczej to nie zadziała. Po prostu staraj się opisać następny krok.

Brzmiało to trochę jak dziecinna zabawa. Jednak Dennis wiedział, że tutaj „wypowiedz życzenie, a tak się stanie” wcale nie było tak jednoznacznie nieprawdopodobne. Spojrzął na balon, mrużąc oczy... i starając się zobaczyć ideał. Potem zaczął opowiadać o tym, czego nikt ze słuchających nigdy nawet nie próbował sobie wyobrazić.

*

Dwa dni później poszukiwania uciekinierów zamarły. Strażnicy przy miejskich bramach ciągle byli gorliwi, ale patrole uliczne wróciły do normy. Dennis mógł się wreszcie wybrać na wycieczkę po mieście.

W czasie pierwszej próby, gdy przybył tu niemal dwa tygodnie temu, był pełen nie do końca sprecyzowanych pomysłów na temat sposobów radzenia sobie w nieznanym mieście.

„Powiniennem jak najszybciej nawiązać kontakt ze stowarzyszeniem ludzi mojej profesji. Zapewne któryś z miejscowych kolegów zaoferuje mi mieszkanie w swoim domu – i być może nawet urocą córkę jako przewodniczkę”. Czy nie w ten właśnie sposób jeszcze niedawno sobie to wszystko wyobrażał?

Jego plany spaliły na panewce, zanim zdołał przekroczyć bramy miasta. Jednak dzięki temu zawarł z miejscowymi strukturami władzy znajomość nieco bardziej bezpośrednią, niż to byłoby możliwe, gdyby występował jako typowy turysta... i na dodatek bez normalnych w takich przypadkach koszmarów - żebraków, różnych naciągaczy oraz pęcherzy na stopach.

Obiad zjedli razem z Arthem w knajpce na otwartym powietrzu obok ruchliwej ulicy handlowej. Dennis splukał ostatni kęs befsztyka potężnym łykiem mętno-brązowego, lokalnego piwa. Po długim dniu, spędzonym na zużywaniu balonu i równie męczącej nocy odczuwał wilczy apetyt.

- Jeszcze - beknął, odstawiając z hukiem kufel.

Jego towarzysz przyglądał mu się przez chwilę, potem pstryknął palcami na kelnera. Dennis był nieco wyższy i potężniej zbudowany od przeciętnego coylińskiego mężczyzny, jednak mimo wszystko jego apetyt budził niejaką sensację.

- Hej, trochę spokojniej - powiedział Arth. - Jak zapłacę za ten obiad, nie będzie mnie stać na medyka, żeby cię wyleczył z niestrawności!

Dennis uśmiechnął się szeroko i z kubka obok balustrady wyłowił krzywą, z grubsza tylko obrobioną wykałaczkę. Spojrzał na prześlizgujące się obok restauracji ciężkie sanie towarowe, niemal bezgłośnie na samosmarującej się drodze.

- Czy twoim chłopcom udało się zebrać jeszcze trochę tego śliskiego oleju? - spytał złodzieja.

Arth wzruszył ramionami.

- Niezbyt dużo. Kazaliśmy go zbierać chłopcom z band ulicznych, ale woźnicom to się nie spodobało i zaczęli rzucać w nich kamieniami. Poza tym dzieciaki marnują sporo smaru, smarując się nim dla zabawy. Do tej pory mamy tylko ćwierć dzbanka czy coś koło tego.

Tylko ćwierć dzbanka! To niemal litr najlepszego smaru, na jaki udało mu się kiedykolwiek natknąć! Przypomniawszy sobie, że Arth wcale nie był tak spokojny i obojętny, gdy po raz pierwszy zademonstrował mu zalety tej cieczy. Złodziej niemal oszalał z podniecenia.

Oczywiście smar mógł się stać poszukiwanym na rynku towarem. Jednak dla Artha jego podstawowa wartość polegała na tym, że ogromnie ułatwiał włamania... Oczywiście z czasem właściciele sklepów zaczęły intensywnie zużywać drzwi i zamki, żeby mu przeciwdziałać, to jednak była jeszcze śpiewka przyszłości. Tymczasem rabunek papieru, dokonany ostatniej nocy powiódł się właśnie dzięki użyciu tego smaru.

Dennis zastanawiał się, dlaczego ci ludzie dotychczas nie odkryli substancji, która umożliwia funkcjonowanie ich dróg. Czyżby byli aż tak bardzo pozbawieni ciekawości? A może po prostu wynika to z życia z całkowicie innym zestawem wyobrażeń na temat działania praw natury?

Historia oczywiście uczy, że nawet na Ziemi większość kultur opierała się na strukturze kastowej i była bardzo niechętna wszelkim ulepszeniom ustalonego przez wieki porządku rzeczy. A tutaj, gdzie innowacje były znacznie mniej potrzebne, dopiero bardzo niedawno pojawiła się nieco wyraźniejsza dążność do ich wprowadzania. Wojna między baronem Kremerem a królem stanowiła chyba jedną z głównych przyczyn tej zmiany.

Tego poranka Dennis i Arth wynajęli magazyn. Rosnący strach przed działaniami wojennymi powodował stopniowe zamieranie nadrzecznego handlu i właściciel magazynu rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek najemcy. Ktoś musiał ten budynek użytkować i utrzymywać go w formie w oczekiwaniu na lepsze czasy. Już w tej chwili ściany zdradzały ślady pierwotnej chropowatości, zaczynając znowu przypominać prymitywne konstrukcje z drewnianych pni.

Arth potrafił znakomicie się targować. Stało na tym, że właściciel będzie im wypłacał niewielką sumę za to, że na jakiś czas wprowadzą się do jego magazynu!

Ostatniej nocy dokonano wielkiej kradzieży filcu. Złodzieje z bandy Artha przybywali do magazynu, wnosząc ukradkiem bele cienkiego materiału. Wkrótce pani Aren oraz kilka jej pomocnic, pochodzących bez wyjątku z rodzin zdeklasowanych przez ojca barona Kremera, miały ręce pełne roboty. A młody Gath właśnie w tej chwili, gdy oni siedzieli sobie w przydrożnej restauracji przy

obiedzie, konstruował przeznaczoną dla dużego balonu gondolę. Chłopak był zachwycony możliwością zrobienia czegoś nowego - czegoś, co będzie użyteczne jeszcze przed pierwszym procesem zużywania.

Arth zapłacił rachunek za obiad, mrucząc pod nosem na widok sumy.

- I co teraz? - spytał.

- A co ma być? - Dennis omiółł dłonią okolicę. - Pokaż mi wszystko!

Arth westchnął z rezygnacją.

Ich pierwszym przystankiem był Bazar Kupców i Zużywaczy.

W odróżnieniu od innych targowisk, oferujących przedmioty wymagające dalszego zużywania we własnym zakresie, na bazarze wystawiano wyłącznie towary o wysokiej jakości. Budynki wokół były błyszczące i dobrze utrzymane. Ich najniższe kondygnacje, otwarte na ulicę, były podtrzymywane przez zakończone łukami, żłobione kolumny. Sprzedawcy - dobrze ubrani mężczyźni i kobiety - głośno zachwalali towary, wyłożone na długich, stojących przed budynkami stołach.

Dennis obejrzał bardzo ostre dłuta i noże, niezwykle lekkie liny o wspaniałej wytrzymałości, łuki i strzały, które najwyraźniej już tysiące razy trafiały w cel i za które na Ziemi można by uzyskać zupełnie okazałe sumy.

Nie trafił jednak na śruby czy gwoździe, niemal nieobecne były również inne wyroby z metalu. Nigdzie też nie dostrzegł czegokolwiek, w czym wykorzystano by koło.

Z jednej strony bazaru wystawione były tańsze towary - prymitywne siekiery lub broje składające się ze zszytych skrawków wyprawionej skóry. Przy każdym stole znajdowało się godło odpowiedniej gildii wytwórców - znak, że „zaczynacz” jest w pełni legalny.

Dennis podniósł głowę, słysząc w górze głuchoe uderzenia. Dwaj mężczyźni spacerowali leniwie wokół parapetu na drugim piętrze, uderzając w ściany drewnianymi maczugami.

- Dzięki temu - wyjaśnił Arth - maczugi lepiej uderzają, a ściany są bardziej odporne na uderzenia. - Mrugnął do Dennisa. - Takie uderzenia, jak nasze.

Włamania do domów zwykle były dokonywane poprzez wybicie dziury w ścianie pod nieobecność właścicieli. Czasami ludzie zapominali, że dzięki samemu faktowi zamieszkiwania budynek stał pewniej na ziemi i lepiej chronił od deszczu, ale nic ponadto.

Właściciele tego domu najwyraźniej o tym nie zapomnieli.

Plac targowy był zatłoczony arystokratami z górnego miasta i z położonych poza murami posiadłości. Każdemu ze szlachetnie urodzonych towarzyszył służący.

Zwykle pan i sługa ubrani byli niemal tak samo, również ich wzrost i budowa ciała były niemal identyczne. Arystokratów można było odróżnić tylko po wielkopańskich manierach, stylu uczesania i metalowej biżuterii, którą niektórzy z nich nosili.

Na Ziemi ludzie bogaci podnoszą swój status poprzez gromadzenie wielkich własności i dużych ilości rzeczy, które tylko z rzadka są używane. Tutaj tego rodzaju majątek szybko zdegradowałby się do swego oryginalnego, prymitywnego stanu. Żeby temu zapobiec, ludzie zamożni potrzebowali służących, którzy nie tylko wykonywali prace domowe, pielęgnowali ogród i tak dalej, lecz również nieustannie „zużywali” należące do pracodawców przedmioty.

Dennis dostrzegał pewne uboczne skutki takiego układu.

Służący, zajęci bez przerwy noszeniem strojów swoich panów, nie mieli czasu na „zużywanie” swoich własnych ubiorów. Prezentowali się bardzo dobrze, jednak okrywające ich piękne tkaniny nie były ich własnością. Jeżeli chcieli opuścić swego pracodawcę, odchodzili, nie posiadając zupełnie nic!

Oczywiście punktem honoru człowieka bogatego, symbolem jego statusu, było to, żeby nigdy nie nosić ani nie posługiwać się czymś, co jeszcze wymagało „zużywania”.

Poza ziemią i żywnością, metalem i papierem, najbardziej cenionym tutaj towarem była ludzka praca. Nawet po wyczerpującym, całodziennym trudzie w polu sługa nie dysponował swoim własnym czasem. Podczas odpoczynku używał krzesła swego pana; jeżdżąc, doskonalił zapasową zastawę stołową pani. Nie mógł oszczędzać i urządzić się na wolności, gdyż wszystko, co by kupił, wymagało zużywania albo wracało do pierwotnego, niemal bezużytecznego stanu.

Nic więc dziwnego, że na wschodzie ludzie coraz śmielej podnosili głowy, że zaczynały się społeczne niepokoje. Połączone rządy gildii, kościoła i arystokracji sprawiały, że wszelkie zmiany były nader trudne, o ile w ogóle możliwe.

„Zużywania Fixxela” był to położony na północnym skraju placu wysoki budynek, który obudził w Dennisie wspomnienia o domu.

Jego ściany były w większości zupełnie przejrzyste, jakby wykonane z najczystszej szkła, lekko zabarwionego, by łagodziło promienie popołudniowego słońca.

Arth powiedział, że ściany rozpoczęły swoje istnienie jako pozszywane płachty papieru i były potem intensywnie używane podczas suchych pór roku, aż stały się przezroczyste i odporne na przeciwności pogody. Po wielu latach takich działań były prawdopodobnie lepsze niż jakiegokolwiek okna na Ziemi.

W stronę ulicy zwrócone były wystawy, pełne kobiecych i męskich ubrań, narzędzi, naczyń i dywanów. „Nic nowego! Tylko rzeczy stare i używane!” - głosiła dumnie wywieszka.

Wystawy bezustannie się zmieniały. Dennis widział pracowników, zdejmujących przedmioty i

zastępujących je innymi. Urządzenie wystaw było oszłamiające. Na realistycznych manekinach udrapowano materiały, wyglądające na znakomite jedwabie i brokaty. Niektóre z ubiorów na Ziemi z pewnością można by sprzedać za niebotyczne ceny.

- Chodźmy - powiedział Arth, szturchając Dennisa. - Nie pomagaj staremu Fixxelowi za darmo.

Dennis potrząsnął głową. Ciągłe znajdował się pod urokiem pięknych przedmiotów na wystawie. Potem nagle zrozumiał, co Arth miał na myśli. Roześmiał się głośno, doceniając dowcip. Przez sam fakt patrzenia na towary, przez zachwycanie się ich pięknem, przyczyniał się nieco do ich ulepszenia! Nic dziwnego, że manekiny wyglądały tak realistycznie. Były „zużywane” przez całe pokolenia przechodniów!

Czystej wody naciąganie na darmową pracę!

Jednak Dennis nie mógł się wyzbyć uczucia żalu, że jego kamera przepadła razem z plecakiem. Same projekty ubrań byłyby warte na Ziemi fortunę.

Wskutek nalegań Dennisa przeszli na tył budynku, żeby przyjrzeć się bliżej samej „zużywalni”. Był to duży, kipiący gorączkową pracą plac.

Grupy kobiet i mężczyzn wlewały i wylewały wodę z długiego rzędu najróżniejszych pojemników, kubków i dzbanów. Inni zajęci byli kopaniem dołów w ziemi za pomocą nowych łopat, a następnie ponownym ich zasypywaniem, jeszcze inni cięli na drobne kawałki wielkie kłody drewna, doskonaląc przy tym błyszczące narzędzia.

Na wydzielonej części placu, w na pół wykończonych fotelach i krzesłach, siedzieli opatuleni kilkoma warstwami ubrań mężczyźni i rzucali nożami do celu. Najbardziej prymitywne noże były rzucane w niemal gotowe, błyszczące zbroje.

Nic dziwnego, że nie rozwinęła się tutaj technologia. Specjalizacja była czymś wysoce nieopłacalnym. Pożądana była natomiast sytuacja, w której jedna osoba mogła używać trzy lub cztery przedmioty jednocześnie. Koncentracja na wykonywanej pracy, na doskonalonym przedmiocie najwyraźniej była mniej istotna niż fakt ciągłego używania tak wielkiej liczby przedmiotów, jak to było możliwe.

Ten plac był odpowiednikiem ziemskiej fabryki, jednak Dennis nie mógł się wyzbyć uczucia, że ta cała praca może okazać się całkowicie daremna. Ogromny wysiłek może zostać zupełnie zmarnowany, jeżeli praca nad przedmiotami ustanie choćby na kilka tygodni czy miesięcy. Każdy z tych produktów pozostawiony sam sobie, prędzej czy później nieuchronnie wróci do swego oryginalnego, prymitywnego kształtu.

„A jednak - myślał Dennis - nie ma tu kopców śmieci, nie ma przestrzeni zarzuconych użytymi, nikomu niepotrzebnymi rzeczami. Niemal wszystko, co ci ludzie tworzą, w końcu wraca nieustannym cyklem z powrotem do natury”.

Później, w innej części miasta, Arth i Dennis przyglądali się religijnej procesji, przechodzącej przez jeden z głównych placów. Trzej ubrani na żółto kapłani nieśli wraz ze swymi wiernymi wyłożoną poduszkami platformę, na której spoczywał błyszczący miecz. W czterech rogach palankinu osadzone były świeżo odcięte ludzkie głowy.

- Kapłani Mlikkina - powiedział Arth. - Krwiożercze bydlaki. Swoimi krwawymi obrządkami przyciągają najpodlejszy element w Zuslik.

Splunął z odrazą.

Dennis zmusił się do patrzenia, chociaż ten ponury widok budził w nim mdłości. Z obserwacji, jakich dokonał w ciągu ostatniego tygodnia wywnioskował, że kapłani prowadzili kampanię, mającą przyzwyczać mieszkańców miasta do myśli o wojnie i śmierci.

Gdy procesja zatrzymała się obok wzniesionego przy końcu placu podestu, główny kapłan uniósł miecz - wyraźnie produkt trwającej całe pokolenia, codziennej pracy akolitów Mlikkina - wysoko nad głowę i zaczął przemawiać do brudnego i hałaśliwego tłumu, który zebrał się wokół niego. Dennis nie wszystko z jego przemowy słyszał, jednak najwyraźniej ten człowiek nie miał zbyt wysokiego mniemania o „hołocie ze wschodu”. Gdy zaczął rzucać gromy na głowę króla Hymiela, niektórzy spośród wiernych zaczęli spoglądać po sobie nerwowo, jednak nie podniósł się żaden głos protestu.

Duża liczba mieszkańców Zuslik, krzywiąc się z niesmakiem, opuściła plac, zostawiając go uczestnikom zgromadzenia.

Z jednym wyjątkiem. Dennis zauważył, że w przeciwległym rogu placu jakaś stara kobieta uklękła przed niewielką niszą, w której stała zakurzona figurka. Wykrzywionymi reumatyzmem palcami staruszka próbowała oczyścić figurkę z warstw brudu, potem przy skręconej, spiralnej podstawie ułożyła świeże kwiaty.

Coś w kształcie kapliczki spowodowało, że Dennis poczuł mrowienie karku. Ruszył w tamtą stronę. Arth poszedł za nim, rozglądając się nerwowo i mrużąc, że to nie jest dla nich najzdrowsza okolica.

- Co to jest?

- To jest miejsce poświęcone Starej Wierze - odpowiedział Arth. - Niektórzy mówią, że ta kapliczka stała tutaj, zanim jeszcze zbudowano Zuslik. Kościoły próbowały ją zburzyć, jednak modlono się tutaj tak długo, że teraz nie można jej nawet zarysować. Wylewają więc na nią nieczystości i płacą gangom, żeby biły ludzi, którzy próbują oddawać jej cześć.

Nic dziwnego, że stara kobieta w trakcie modlitwy unosiła głowę, spoglądając wokół z niepokojem.

- Ale co im zależy...

Dennis zatrzymał się nagle w odległości około dwudziestu metrów od kapliczki. Rozpoznał figurkę na postumencie. To był smok. Widział już raz jego podobiznę - na rękojeści tubylczego noża, który leżał w trawie obok zewatronu.

W wyszczerbionej paszczy smoka siedział demoniczny potworek - „czerniak”, jak go nazwał Arth. Pokryty warstwami brudu, w którym wyskrobano nieprzyzwoite napisy, smok mimo wszystko błyskał na przechodniów nieruchomym wzrokiem. Otwarte szeroko oczy lśniły brylantowym blaskiem.

Jednak uwagę Dennisa przede wszystkim przykuł postument, na którym stała mityczna bestia. Była to żłobiona kolumna, składająca się z dwóch cieńszych, osobnych, jednak skrzyżowanych ze sobą spiralnie, przeplatanych kamiennych prętów, połączonych delikatnie zawężłonymi, krótkimi poprzeczkami, wyglądającymi jak szczeble skrzyżowanej drabiny.

„Jeżeli to nie jest model łańcucha DNA, to od dziś będę się uważał za rodzonego wuja chochlaka!” - pomyślał Dennis.

Poczuł nawrót tego niemiłego uczucia oderwania od rzeczywistości, które nawiedzało go od czasu przybycia do tego świata. Podeszedł powoli do tabliczki, zastanawiając się, w jaki sposób ci ludzie dowiedzieli się o genach, nie mając po temu ani odpowiednich narzędzi, ani podstaw naukowych.

- Psst! - Arth trącił Dennisa łokciem. - Żołnierze!

Skinął głową w kierunku głównej ulicy, którą maszerował ku nim oddział zbrojnych.

Dennis obrzucił kapliczkę tęsknym spojrzeniem, po chwili jednak pośpieszył za Arthem w stronę bocznej alejki. Ukryci w cieniu, przyglądali się przechodzącemu przed nimi patrolowi. Żołnierze szli pewnym krokiem, trzymając przed sobą uniesione „tenery”. Potężny sierżant Gil'm kroczył obok oddziału, wylewając potoki werbalnych nieczystości na głowy cywilów, którzy niedostatecznie szybko usunęli się z drogi.

Ze sposobu, w jaki mieszkańcy uciekali przed oddziałem, Dennis wywnioskował, że północni ziemkowie Kremera ciągle nie uważali się za Zuslikan, mimo iż dorosło już nowe pokolenie od czasu, w którym to miasto zostało siedzibą barona.

Gdy Dennis ponownie skierował wzrok ku kapliczce, stwierdził, że stara kobieta już odeszła, bez wątplenia wystraszona przez nadchodzących żołnierzy. Zniknęła również znakomita sposobność, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat Starej Wiary.

Za żołnierzami podążało około dwudziestu młodych cywilów, przygnębionych i ze związanymi przegubami.

- Łapacze! - szepnął Arth gardłowo. - Kremer tworzy oddziały milicji. Wojna musi być już bardzo blisko!

To przypomniało Dennisowi, że ciągle jest uciekinierem, człowiekiem poszukiwanym. Podniósł wzrok i wysoko na niebie zobaczył parę szerokich, czarnych skrzydeł, unoszonych przez powietrzne prądy. W lekkiej, wiklinowej gondoli, podwieszanej pod dnem szybowca siedziały dwie małe ludzkie figurki, kierując go łagodnym skretem na południe od miasta. Skrzydła szybowca były pomalowane od spodu na podobieństwo smoczy. Baron wykorzystywał w ten sposób tradycyjny szacunek dla smoków.

Na szczęście w tym świecie nie wynaleziono lornetek. Było mało prawdopodobne, żeby powietrzni zwiadowcy zauważyli ich na zatłoczonych ulicach miasta. Jedynym dla nich obu zagrożeniem były patrole piesze.

Jednak sytuacja zmieni się zasadniczo, gdy wreszcie uda im się odfrunąć balonem. Wtedy szybowce będą stanowiły prawdziwy problem.

Tak czy inaczej nawet teraz nie powinni kusić szczęścia Dennis nie protestował, gdy Arth zaczął się oddalać z pełnego ludzi placu, postanowił jednak wrócić tu później, żeby nieco bliżej przyjrzeć się kapliczce.

*

Siedziba Gildii Wytwórców Krzesel była przepelniona dziećmi. Była to najuboższa spośród wszystkich gildii. W odróżnieniu od kamieniarzy, wytwórców drzwi i zawiasów czy papierników, nie miała żadnych pilnie strzeżonych tajemnic. Każdy mógł sobie zrobić „zaczynacz” krzesła czy stołu - wystarczyła deska i kilka patyków. Tylko prawo stało na straży jej monopolu.

Dzieci biegały po całym budynku. Podłogę zaścielały kawałki sznurków i okruchy zeszkrobanej kory. Arth wyjaśnił, że gildie otwarte, jak wytwórcy krzesel, dawały zatrudnienie głównie dzieciom i ludziom starym - nie nadającym się do intensywnej pracy przy zużywaniu, takiej jak w salonie Fixxela.

Pod kierunkiem kilku mistrzów chłopcy i dziewczęta składali zaczynacze mebli, które wędrowały następnie do domów ludzi ubogich. Po roku czy dwóch używania biedacy sprzedawali nieco lepszej już jakości krzesła i stoły zamożniejszym, a sami za część uzyskanej sumy kupowali następne, prymitywne zaczynacze. W miarę jak meble stawały się starsze i lepsze, wspinały się w górę socjoekonomicznej drabiny - awans społeczny dla rzeczy, jednak nie dla ludzi.

Wśród dzieci przechadzał się w towarzystwie dwóch mistrzów ubrany na czerwono kapłan, błogosławiąc gotowe zaczynacze. Dennis nie pamiętał, jakie bóstwo było reprezentowane przez czerwone szaty, jednak ten kolor jakby mu o czymś przypominał.

- Następny patrol, Dennis. - Arth wskazał oddział strażników, przechodzący sąsiednią ulicą. - Może lepiej, żebyśmy już wrócili do domu.

Dennis skinął niechętnie głową.

- Dobrze - odpowiedział - chodźmy.

Minie co najmniej tydzień, zanim będą gotowi do ucieczki, więc na pewno nadarzy się następna okazja dokładniejszego zwiedzenia miasta.

Skręcili w boczną uliczkę i wyszli na szeroką Aleję Cukierników. Arth kupił słodycze, potem ruszyli dalej i Dennis po drodze usiłował zrozumieć, jakimi zasadami rządzi się chaotyczna, jednak najwyraźniej efektywna sieć dróg, po których poruszają się sanie.

Nie mógł jednak otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na nim ubrany na czerwono kapłan. Wspomnienie o nim budziło w nim jednocześnie gniew i niepewność.

Gdy zbliżyli się do okolicy, w której mieściła się ich kryjówka, Arth chwycił mocno Dennisa za ramię, rozglądając się podejrzliwie.

- Chodźmy skrótem - powiedział i skierował Dennisa pomiędzy dwie szopy w stronę innej uliczki.

- Co się stało? Arth potrząsnął głową.

- Być może to tylko nerwy. Jednak jeżeli pięć razy zwęszysz pułapkę i z tego cztery razy się mylisz, to ciągle jesteś do przodu, omijając ten zapach.

Dennis zdecydował się polegać na słowie Artha, który w tych sprawach był ekspertem. Zauważył stertę skrzynek pod ścianą jednego z budynków.

- Chodź - powiedział. - Mam narzędzie, które jest znakomite w wykrywaniu pułapek. Możemy go użyć tam na dachu.

Wdrapali się na pierwszy parapet, potem z pomocą krutek ogrodowych na następne piętro. Dennis sięgnął w głąb pożyczonego od Artha, szerokiego płaszcza i z kieszeni swej własnej kurtki wyjął niewielkie urządzenie - obozowego „strażnika”.

Arth jak oczarowany wpatrywał się w migające na ekraniku światełka. Miał całkowite zaufanie do czarnoksiężskiej mocy Ziemianina, był pewien, że Dennis dzięki swojej magii będzie w stanie powiedzieć, czy bezpiecznie jest wracać na ulice.

Dennis manipulował przez dłuższą chwilę małutkimi pokrętłami, jednak ekran w dalszym ciągu był wypełniony chaosem nie dającego się zinterpretować śmiecia. Strażnik, nie używany już od przeszło tygodnia, uparcie się wyłączał bez względu na to, co Dennis z nim robił.

Dennis westchnął i sięgnął do innej kieszeni. W zawiniątku, które zrzuciła mu Linnora, znajdowała się składana, smukła luneta. Na szczęście Kremer podczas daremnych prób jej otworzenia tylko lekko zarysował obudowę.

Dennis przyjrzał się przez lunetę leżącym w dole ulicom.

Główny bulwar na całej swej długości był wypełniony gęstym tłumem - farmerami, przybyłymi do miasta, żeby sprzedać produkty swojej ziemi i kupić zaczynacze, arystokratami w otoczeniu swych bliźniaczych służących, nielicznymi żołnierzami i kapłanami. Dennis szukał grupki, które mogłyby uznać za podejrzane.

Skupił się na kilku mężczyznach przy końcu ulicy. Stali beczynnie przed wejściem do knajpy, najwyraźniej po prostu się objijając.

Jednak luneta powiedziała co innego. Mężczyźni byli uzbrojeni i uważnie przyglądali się przechodniom. Mieli wydatne kości policzkowe, charakterystyczne dla ludzi z północy.

Dennis poprawił ostrość. Z budynku za plecami czujnej grupki wyszedł wysoki, uzbrojony mężczyzna o wyglądzie arystokraty. Tuż za nim pojawił się zgarbiony osobnik z czarną przepaską na oku. Ci dwaj prowadzili bardzo ożywioną rozmowę. Jednooki wskazywał co chwilę w kierunku nabrzeża, arystokrata zdawał się równie uparcie trwać przy zdaniu, że powinni zostać tu, gdzie w tej chwili się znajdują.

- Arth, hmmm... - Dennis nagle poczuł suchość w ustach. - Myślę, że powinieneś na to popatrzeć.

- Na co, na tę rurkę? Czy ty patrzysz przez nią, czy na coś, co jest w środku?

- Przez nią. To taka magiczna tuba, która sprawia, że rzeczy odległe wyglądają na większe niż w rzeczywistości. Może potrwać chwilę, zanim się do niej przyzwyczaisz, ale gdy to już nastąpi, chciałbym, żebyś spojrział na tę tawernę przy końcu ulicy.

Arth wziął lunetę i przykucnął na krawędzi parapetu. Dennis musiał mu pokazać, jak należy ją trzymać. Arth przyłożył ją do oka, nagle podniecony jak dziecko.

- Hej, to wspaniałe! Mam wzrok jak przysłowiowy orzeł z Crydee!... Mogę policzyć kufle na stole w tej... Wielki Palmi! To jest Perth! I rozmawia z samym lordem Hernem!

Dennis skinął głową. Czuł w piersiach ciężar, jakby wątła nadzieja, która się tam gnieździła, zmieniła się nagle w coś twardego, kamiennego.

- A to łajdak! - przeklinał Arth. - On nas wydaje! A jego ojciec służył razem z moim u starego księcia! Wypruję mu flaki i przerobię je na sznurki! Ja mu...

Dennis osunął się ciężko wzdłuż muru za plecami. W głowie miał zupełną pustkę. Nie było sposobu, żeby ostrzec przyjaciół w mieszkaniu Artha ani w magazynie nad rzeką w którym właśnie zaczęli budowę dużego balonu.

Czuł się tak całkowicie bezradny, że uległ bez sprzeciwu gdy znowu spłynęło na niego to

dziwne uczucie oderwania od rzeczywistości. Nic nie mógł na to poradzić.

Arth z przeklinania uczynił prawdziwą sztukę. Dysponował niezwykle bogatym słownikiem inwektyw i teraz jego wyczerpywanie dostarczyło mu na pewien czas absorbującego zajęcia, podczas gdy Ziemianin po prostu siedział pod ścianą, czując się jak zbity pies.

Potem Dennis zamrugał gwałtownie. Na jednym z położonych w pobliżu dachów zauważył jakiś ruch, szybki i niemal nieuchwytny.

Wyprostował się i spojrzał uważnie. Coś niewielkiego przemykało pomiędzy wylotami rur wentylacyjnych i zaścielającymi dach śmieciami.

- Złapali kogoś! - krzyknął Arth, ciągle przyglądając się przez lunetę scenie przed tawerną. - Wyciągają go z mojego mieszkania... Ale mają tylko jednego! Inni pewnie zdążyli uciec! Perth nie ma zbyt tęgiej miny, wcale nie wygląda na zadowolonego! Ciągnie lorda Herna za rękaw, pokazując w stronę nabrzeża. Ha! Zanim tam dojdą, po naszych ludziach nie będzie już śladu! Ale się wkurzą!

Dennis niemal nie słyszał jego słów. Wstał powoli, przyglądając się sylwetce kilka dachów dalej - pobłyskiwała, przemykając się od jednej kryjówki ku następnej.

Arth mówił dalej z podnieceniem.

- To Mishwa, złapali Mishwę! I... wyrwał się i dopadł Perth! Dołóż mu, Mishwa! Próbuje go odciągnąć, zanim... Hej! Dennis, oddaj to!

Dennis wyrwał lunetę z rąk Artha. Ignorując gwałtowne protesty złodzieja, usiłował opanować drżenie rąk i ustawić ostrość na odległy o sto metrów dach. Coś szybkiego i niewyraźnego przemknęło mu przez pole widzenia.

Dłuższą chwilę zajęło mu odszukanie właściwego miejsca na dachu. Potem przez kilka sekund widział tylko wywietrznik, za którym ta istota się skryła.

W końcu z kryjówki coś się zaczęło wyłaniać - oko, osadzone na końcu cienkiej szypułki, która kołysała się w lewo i w prawo, omiatając najbliższą okolicę.

-No, no... niech się zmienię w różową wiewiórkę, jeśli to nie jest...

- Denzzz! Oddaj mi tę rurkę! Muszę wiedzieć, czy Mish wziął tego szczura w obroty!

Arth pociągał za nogawkę spodni Dennisa. Dennis potrząsnął nogą, dokładniej regulując ostrość.

Istota, która wreszcie w całości wynurzyła się zza rury wentylacyjnej, zmieniła się nieco od czasu, gdy Dennis widział ją po raz ostatni - pewnej ciemnej nocy na drodze dość daleko stąd. Stała się jaśniejsza, przystosowując się znakomicie do koloru okolicznych budynków. Przesuwała się po

dachu, kołysząc chwytnymi ramionami, a soczewkami kamer śledząc tłum na ulicy w dole.

Na grzbiecie niosła pasażera.

- Choch! - Dennis niemal wrzasnął. Mały zwierzak znalazł idealne miejsce na oddawanie się swemu ulubionemu zajęciu - nadzorowaniu przez ramię pracy, wykonywanej przez kogo innego. Jechał na robocie zwiadowczym Instytutu Saharańskiego jak na ulubionym wierzchowcu z własnej stajni!

Ironia tej sytuacji, opartej na wielopiętrowym zbiegu okoliczności, niemal odebrała Dennisowi zdolność logicznego myślenia. W tej chwili wiedział jedynie to, że robot jest kluczem do wszystkiego... do uratowania przyjaciół i księżniczki, do ucieczki z Zuslik, do naprawy zevatronu... do wszystkiego!

Czegóż nie mógłby dokonać człowiek świadomy swoich poczynań, choćby przez proste zastosowanie Efektu Zużycia wobec tak skomplikowanego urządzenia jak to, które stało na sąsiednim dachu! Robot mógłby pomóc w budowie innych maszyn, nawet nowego mechanizmu powrotnego!

Ten robot jest mu niezbędny!

- Choch! - Tym razem był to już prawdziwy wrzask. - Robot! Natychmiast się u mnie zamelduj! Natychmiast! Słyszysz? Już!

Arth chwycił go z wściekłością za ramię. Ludzie na ulicy zaczęli podnosić głowy, patrząc z zainteresowaniem. Dziwna para kilka dachów dalej znieruchomiała na chwilę, potem ruszyła dalej, jakby nic się nie stało.

- Wycofuję poprzednie rozkazy! - wrzeszczał Dennis. - Chodź tu do mnie, zamelduj się, natychmiast!

Pewnie nadal by krzyczał, lecz Arth potężnym wymachem nogi uderzył go z tym za kolanami i Dennis runął jak długi. Mały złodziej był silny i sprężysty. Zanim Dennis zdołał się na tyle oswobodzić, żeby znowu spojrzeć na sąsiedni dach, robot i chochlak zniknęli z pola widzenia.

Arth przeklinał go soczyście. Dennis siedział ogłupiały, pocierając skronie i potrząsając głową. Uczucie oderwania od rzeczywistości zniknęło niemal tak szybko, jak się pojawiło. Jednak już mogło być za późno.

„O, rany - pomyślał. - Co ja narobiłem”.

- Dobra - powiedział do Artha. - Puść mnie! Zwiewajmy stąd. Teraz już możemy iść.

Jednak chwilę potem, gdy zobaczyli głowy wspinających się na dach żołnierzy, Dennis zrozumiał, że znowu się pomylił.

VII. MĘDRZEC NERON

Rankiem, następnego dnia po tym, w którym po raz drugi go uwięziono, Dennis obudził się z bólem karku i ze słomą w nosie. Usiłował usiąść i skrzywił się, gdy ruch podrażnił liczne stłuczenia i zadrapania na jego ciele. Opadł z powrotem na słomiane posłanie i westchnął.

- Ooooch - powiedział zwięźle.

Z zadziwiającą łatwością rozpoznał otoczenie. Jakkolwiek nigdy nie zdarzyło mu się osobiście przebywać w lochach, jednak odwiedzał je po wielokroć dzięki opowiadaniom i filmom. Rozejrzał się po pomieszczeniu, do którego teraz los go rzucił, i stwierdził, że jest pod wrażeniem wręcz podręcznikowej czystości jego formy.

Zapewne było ono długo używane w charakterze więziennego lochu. Było ciemne, wilgotne i najwyraźniej zawszone. Dennis podrapał się gwałtownie.

Nawet dźwięki były tutaj typowe - od powolnego, monotonnego kapania przesiąkającej przez sufit i ściany wody do głuchego stuku butów w korytarzu i grobowych głosów strażników.

- ...nie wiem, dlaczego musieli przysyłać nam tutaj do pomocy tego dziwnie wyglądającego cudzoziemca. Nawet jeżeli ma jak najlepsze referencje - powiedział jeden z głosów.

- Tak - zgodził się drugi. - Przecież radziliśmy sobie zupełnie dobrze... trochę tortur, kilka nieszczęśliwych wypadków w odpowiednim czasie, sama przyjemność. Ale od czasu jak ten Yngvi się tu zjawiał, to miejsce stało się po prostu wstrętne...

Głosy przycichły wraz z oddalającymi się w dół korytarza krokami.

Dennis podniósł się wreszcie, drżąc na całym ciele... Był zupełnie nagi - nie chcieli, pozostawiając czarownikowi jego własność, popełnić drugi raz tego samego błędu. Pomacał wokół dłonią, szukając straszliwie brudnego koca, który zostawili mu strażnicy.

Stwierdził, że jest owinięty wokół współtowarzysza z celi. Dennis trącił stopą leżącą sylwetkę.

- Arth. Hej, Arth! Masz teraz dwa koce! oddaj mi mój!

Żłodej otworzył oczy i przez chwilę, zanim zebrał myśli, patrzył na Dennisa pustym wzrokiem. Potem oblizał wargi.

- A niby dlaczego? To przez ciebie tutaj wylądowałem. Powinienem powiedzieć ci „do widzenia” i puścić cię swoją drogą zaraz po tym, jak uciekliśmy przez palisadę.

Dennis skrzywił się. Oczywiście Arth miał rację. Wtedy na dachu, wrzeszcząc na chochlaka i robota, nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Żaden z książkowych poszukiwaczy przygód

nie zachowały się w ten sposób.

Jednak Dennis był tylko człowiekiem. Znajdował się w ciągłym napięciu psychicznym, wywołanym niezwykle i wysoce niebezpieczną sytuacją. Mógł sobie wmawiać, że już się przystosował do życia w świecie rządzonego dziwnymi zasadami gdzie wrogowie ścigali go z powodów, które ledwo pojmował - a potem jakiś wstrząs burzył jego chwiejną równowagę i nagle Dennis czuł się zdezorientowany, zagubiony, zniechęcony.

Tego wszystkiego nie mógł jednak wytłumaczyć Arthowi. W każdym razie nie w trakcie stopniowego zamarzania. Tak czy inaczej, jeżeli chcieli jakoś się z tej sytuacji wygrzebać, musieli współdziałać. A to oznaczało zmuszenie Artha do respektowania jego, Dennisa, praw.

- Przykro mi z powodu tego zamieszania, Arth. Masz moje czarnoksiężskie słowo, że kiedyś ci to wynagrodzę. A teraz oddaj mi mój koc albo zamienię cię w żabę i wezmę sobie obydwu.

Powiedział to tonem tak obojętnym, tak spokojnie, że Arth wytrzeszczył oczy, kompletnie zaskoczony. Nie było wątpliwości, że zdarzenie na dachu mocno nadszarpnęło pozycję Dennisa, jednak Arth dobrze pamiętał jego wcześniejsze sztuczki.

W końcu złodziej parsknął z niesmakiem i rzucił Dennisowi sporny koc.

- Obudź mnie, jak przyniosą śniadanie, Denzzz. I zobacz, czy przypadkiem nie mógłbyś zmienić go w coś nadającego się do jedzenia!

Odwrócił się pod swoim kocem plecami do Dennisa. Dennis również się owinał, próbując ulepszyć koc podczas czekania, aż baron Kremer zdecyduje o jego losie.

Czas płynął bardzo powoli. Nuda była przerywana od czasu do czasu odgłosem kroków przechodzących korytarzem strażników. Mieli oni zwyczaj nieustannie do siebie mrużyć. W końcu z usłyszanych fragmentów wypowiedzianych przez nich zdań Dennis zrozumiał, że po prostu powtarzają w kółko ponurą ocenę warunków, w jakich przebywają ich klienci.

- Ale tu ciemno i ponuro - komentował pierwszy strażnik, przechodząc obok celi.

- Tak. Ciemno. Ponuro - odpowiadał drugi.

- Nie chciałbym być tu uwięziony. Tu jest okropnie.

- Jasne. Okropnie.

- Czy w końcu przestaniesz wszystko za mną powtarzać? Muszę sam odwalać całą robotę! To mnie wnerwia!

- Tak. Wnerwia. Jasne...

Tak czy inaczej, wyjaśniało to pewną tajemnicę - sposób, w jaki bezustannie „zużywano” te

lochy. Po prostu strażnicy cały czas opowiadali sobie, jak tu ponuro i strasznie. Więźniowie prawdopodobnie byli zbyt przestraszeni, żeby podejmować jakieś poważniejsze próby przeciwdziałania. A może Kremer wynajmował miejscowych masochistów, żeby tu jak najczęściej przebywali i dobrze się bawili.

Było to jedno z takich zastosowań Efektu Zużycia, o jakich Dennis wolałby nigdy się nie dowiadywać.

Przyszli po niego kilka dni później, po wieczornej misce pomyj, która tutaj nazywała się kolacją. Gdy drewniany rygiel został odsunięty i drzwi otworzyły się na całą szerokość, Dennis poderwał się na równe nogi. Arth spoglądał ponuro ze swego kąta.

Do celi swobodnym krokiem wszedł oficer w odznaczającym się surową elegancją mundurze. Za nim stało dwóch potężnych żołnierzy, których wysokie hełmy niemal dotykały stropu korytarza.

Arystokrata wyglądał jakby znajomo. Po chwili Dennis przypomniał sobie, że tego dnia, w którym ich schwytano, widział go na ulicy sprzecząc się ze zdrajcą Perthem.

- Jestem lord Hern - powiedział oficer. - Który z was jest czarownikiem?

Dennis i Arth milczeli.

Lord Hern spojrział na Artha, potem sam sobie udzielił odpowiedzi. Znudzonym gestem nakazał Dennisowi iść za sobą.

- Powodzenia, Arth - powiedział Dennis. - Zobaczymy się jeszcze.

W odpowiedzi złodziej po prostu uniósł oczy ku sufitowi i westchnął.

Gdy znaleźli się pod otwartym niebem, wychodząc na jeden z niżej położonych parapetów, słońce właśnie chowało się za górami na zachodzie. Dennis musiał przesłonić oczy, odzwyczajone od światła po zbyt długim przebywaniu w półmroku podziemi.

Dołączyło do nich dwóch następnych strażników. Poszli bocznymi korytarzami i po pewnym czasie znaleźli się w eleganckim, obszernym przedpokoju. Żaden ze znajdujących się tam służących nawet nie spojrział na mijającego ich, owiniętego w nędzny koc brudasa.

Kolejni dwaj strażnicy stali przy drzwiach na końcu przedpokoju. Otworzyli je na skinienie ręki lorda Herna.

Dennis wszedł w ślad za eskortą do bogato urządzonego pokoju o ślepych, pozbawionych okien ścianach. Stało tu królewskich rozmiarów łóżko, przykryte grubą, brokatową kapą. Młoda i ładna służąca układała na nim ciemnobrązowe ubranie o bufiastych rękawach. Przez drzwi po przeciwnej stronie pokoju wpadały kłęby pary i dobiegał plusk nalewanej wody.

- Będziesz dziś jadł kolację z baronem Kremerem - oznajmił lord Hern. - Pamiętaj, żeby się odpowiednio zachowywać. Baron jest znany z tego, że bardzo nie lubi nieuprzejmych gości.

Dennis wzruszył ramionami.

- Też to słyszałem. Dziękuję. A pan tam będzie? Lord Hern obejrzał czubki swoich butów.

- Niestety, ominie mnie ta przyjemność. Będę w tym czasie w misji dyplomatycznej. Być może kiedy indziej.

- Będę czekał z niecierpliwością. - Dennis skłonił się uprzejmie.

Arystokrata odklonił się nieznacznie i wyszedł, nic już więcej nie mówiąc.

Coylianie byli niezbyt skomplikowanymi i żądnymi wiedzy ludźmi. Strażnicy zupełnie obojętnie, niemal bez ciekawości patrzyli, jak Dennis wykonuje w stronę znikających pleców lorda Herna dziwny gest ramieniem - podnosi je ze zwiniętą pięścią i wyprostowanym środkowym palcem.

Dennisowi nie trzeba było tłumaczyć, że w sąsiednim pokoju przygotowana jest kąpiel. Szerokim gestem odrzucił koc pod ścianę i poszedł w stronę plusku leżącej się wody.

„To są jaskiniowcy” - Dennis powtarzał sobie w kółko, idąc w stronę sali jadalnej. „Pamiętaj, chłopcze, to tylko jaskiniowcy”.

Jednak wcale nie było to łatwe. Ściany szerokich korytarzy lśniły od wielkich luster, wiszących na przemian ze zdobnymi dywanami. Buty Dennisa i eskortujących go żołnierzy stukwały na mozaikowej podłodze, w której odbijało się światło roziskrzonych żyrandoli.

W równych odstępach pod ścianami stali na baczność strażnicy w nieskalanie błyszczących zbrojach, trzymając przed sobą idealnie wypielęgnowane halabardy.

Dennis był szczerze zdumiony. Czy trzymanie tutaj tych ludzi, w sytuacji, w której nawet czas ich odpoczynku mógł być wykorzystany do pożytecznego zużywania najróżniejszych przedmiotów, było tylko butnym pokazem siły i bogactwa?

Potem przyszło mu do głowy, że jednak ci strażnicy coś zużywają - korytarze, w których stoją. Patrzą w lustra, na dywany, na swoje mundury, nieustannie to wszystko podziwiając, dzięki czemu ich otoczenie staje się jeszcze piękniejsze. Ci żołnierze byli zapewne dobierani nie tyle pod kątem swej sprawności bojowej, ile dobrego gustu!

Pomyślawszy o tym, Dennis gwizdnął z uznaniem, przyciągając zaciekawione spojrzenia eskorty. Gdy zbliżyli się do masywnych, podwójnych drzwi, Dennis odprężył się, a przynajmniej próbował to zrobić.

„Jeżeli lokalny władca spodziewa się czarownika, należy zachowywać się jak czarownik.

Może ten baron Kremer nie jest do końca pozbawiony rozsądku. Być może uda mi się zawrzeć z nim jakiś układ - wolność dla mnie i moich przyjaciół oraz pomoc w naprawie zewatronu w zamian za przekazanie którejś z miejscowych gildii wytwórców sekretu koła”.

Dennis zastanawiał się przez chwilę, czy Kremer byłby skłonny wymienić księżniczkę Linnorę na zasadę lotu urządzeniem „lżejszym od powietrza”.

Potężne drzwi otworzyły się bezdźwięcznie i Dennis został wprowadzony do obszernej sali jadalnej o sklepionym, belkowanym suficie. Środek sali był zdominowany przez ozdobny stół, wykonany z jakiegoś nieprawdopodobnie pięknego, ciemnego drewna. Z trzech bogatych kandelabrow padło przyćmione światło świec, iskrząc się w kryształowych naczyniach, stojących na haftowanym obrusie.

Jakkolwiek stół został zastawiony na cztery osoby, w tej chwili w sali widoczni byli tylko służący. Jeden z nich wniósł półmisek wypełniony przekąskami i zaoferował Dennisowi wybór.

Dennis potrzebował czegoś, co by uspokoiło mu nerwy. Ciężko było trwać w przekonaniu, że to wszystko jest własnością dzikusa - jaskiniowca. Każda rzecz w tym pomieszczeniu miała za zadanie przypominanie gościowi o jego miejscu na drabinie klasowego społeczeństwa. Na Ziemi w tego typu komnacie można by oczekiwać na spotkanie z królem.

Dennis wskazał dłonią stół i jeden ze służących nalał mu czegoś do kryształowego kielicha o kolorze płomienia. Dennis wziął kielich i zaczął się przechadzać po pokoju. Gdyby był złodziejem i miał pod ręką działający zewatron, mógłby na Ziemi ze spokojem przejść w stan spoczynku i przez resztę swoich dni żyć wygodnie tylko za to, co zdołałby zabrać w dłoniach.

Zakładając oczywiście, że rzeczy, wyrwane spod wpływu Efektu Zużycia, zachowałyby swój obecny stan. Dennis uśmiechnął się, wyobrażając sobie zirytowanych klientów, których wspaniałe zakupy zmieniały się na ich oczach w wytwory jak z przedszkolnych zajęć robótek ręcznych.

Przez całe lata do sądów napływałyby skargi.

Znowu wróciło uczucie wyobcowania. Było w nim coś nieubłaganego. Jednak tym razem Dennis nie był do końca przekonany, czy nie będzie mu ono pomocne. Tego wieczoru powinien robić wrażenie osoby pewnej siebie, bez cienia strachu, albo na zawsze pożegnać się z tą resztą nadziei na powrót do domu, która mu jeszcze została.

W zamyśleniu przeszedł przez smukłe, zwieńczone hakiem drzwi i znalazł się na balkonie. Spojrzał na rozgwieżdżone nocne niebo, na którym dwa niewielkie księżycy rozświetlały wędrujące leniwie kumulusy i podniósł kielich do ust.

Czarowny nastrój prysnął wraz z pierwszym łykiem płynu z kielicha.

Dennis zakrztusił się i wypluł resztę cieczy na lśniący parkiet. Wytarł usta koronkowym ręcznikiem i spojrział z niedowierzaniem na puchar w swej dłoni.

Znowu dał się złapać w pułapkę poczynionych z góry założeń. Jednak w tak luksusowym otoczeniu mógł przecież spodziewać się win pochodzących z najlepszych roczników, a nie moczu chorego na nerki słonia!

Z cienia po prawej stronie dobiegł dźwięczny, kobiecy śmiech. Dennis odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że oprócz niego na balkonie jest jeszcze jakaś osoba. Ktoś, kto teraz starał się ukryć szczere rozbawienie za szybko podniesioną dłonią.

Dennis poczuł, że rumieni się po czubki uszu.

- Wiem, jak pan się czuje. - W głosie młodej kobiety brzmiało współczucie. - Czy to nie jest straszne? Nie można ulepszyć wina, używając je, nie można go też ugotować. Więc ci kretyni wlewają, co mają pod ręką, do pięknych butelek i są wielce zadowoleni, myśląc, że to już wystarczy.

Z tych spojrzeń z oddali i z opowieści o L'Toff, które dane mu było słyszeć, Dennis stworzył w swojej wyobraźni niemal elfi wizerunek księżniczki Linnory - widział ją jako istotę delikatną, prawie bezcielesną. Oglądana z bliska była, oczywiście, piękna, ale znacznie bardziej ludzka niż to podpowiadała mu wyobraźnia. Gdy się uśmiechała, na jej policzkach robiły się dołeczki, a jej zęby, białe i błyszczące, były lekko nierówne. Chociaż niewątpliwie była jeszcze bardzo młoda, to jednak smutek już wyrysował lekkie linie w kącikach jej oczu.

Dennis skłonił się niezdarnie, rozpaczliwie usiłując wymyślić jakąś błyskotliwą odpowiedź, chociaż nie bardzo był pewien, czy zdoła ją wykrztusić.

- W moim kraju, pani - powiedział w końcu - takiej jakości wina chowalibyśmy na czas pokuty.

- Surowo musicie się karać. - Sprawiała wrażenie poruszonej sugerowaną ascezą.

- Teraz, w tej chwili - ciągnął Dennis - gotów byłbym zamienić ten puchar i wszystkie bogactwa barona na dobre Cabernet z moich rodzinnych stron - żebym mógł je wznieść w uznaniu twej urody i w podzięce za pomoc, którą mi kiedyś okazałaś.

Przyjęła jego przemowę uśmiechem i skinieniem głowy.

- Nieco skomplikowany komplement, jednak chyba mi się podoba. Muszę przyznać, panie czarowniku, że nie oczekiwałam, iż jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę. Czy moja pomoc była aż tak niewystarczająca?

Dennis stanął obok niej przy balustradzie.

- Nie, pani. Dzięki twej pomocy nasza ucieczka z więziennego dziedzińca w ogóle mogła dojść do skutku. Nie słyszałaś tej nocy zamieszania, do którego pośrednio się przyczyniłaś?

Linnora odwróciła lekko głowę, wyraźnie starając się nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Wyraz twarzy mego gospodarza tamtej nocy wystarczy za spłatę wszelkich długów, do jakich możesz się poczuwać. Wolałabym jednak, żeby jego sieć i tym razem pozostała pusta.

Dennis przez chwilę zamierzał powiedzieć coś górnolotnego i wyszukanego w rodzaju - „Nie mogłem przebywać z dala od ciebie, pani, i musiałem tu wrócić”. Jednak szczere, otwarte spojrzenie jej szarych oczu sprawiło, że uznał te słowa za puste i nieodpowiednie. Opuścił wzrok.

- No cóż, wydaje mi się, że nawet czarownik od czasu do czasu ma prawo do pomyłek.

Uśmiech, którym go obdarzyła, powiedział mu, że ta odpowiedź była właściwa.

- Musimy więc po prostu mieć nadzieję, że nadarzy się kolejna sposobność, prawda?

- Chyba możemy mieć taką nadzieję - zgodził się, czując miłe ciepło w sercu.

Stali przez chwilę w milczeniu patrząc, jak światło księżyców odbija się od powierzchni rzeki.

- Gdy baron Kremer pokazał mi po raz pierwszy twoje rzeczy - powiedziała w końcu Linnora - byłem przekonana, że do naszego świata przybył ktoś bardzo dziwny i obcy. Te przedmioty były wyraźnie narzędziami o wielkiej potędze, a jednak prawie w ogóle nie mogłam w nich wyczuć Pr'fett.

Dennis wzruszył ramionami.

- W moich stronach są one bardzo powszechne, Wasza Wysokość.

Spojrzała na niego uważnym wzrokiem. Dennis z zaskoczeniem spostrzegł, że ona również się denerwuje. Jej głos był przyciszony, niemal szeptała.

- Pochodzisz więc z krainy cudów? Z krainy naszych przodków?

Dennis zamrugał gwałtownie. „Kraina naszych przodków?”

- W tych narzędziach było tak niewiele Pr'fett - kontynuowała. - A jednak ich treść była bardzo silna, nieporównywalna z czymkolwiek. Tylko raz zetknęłam się wcześniej z czymś podobnym - na dzikich terenach krótko przed tym, jak mnie złapali.

Dennis spojrzał na nią oszołomiony. Czy to możliwe, żeby porzucane dotychczas bezładnie ślady zaczęły się nagle schodzić w jednym miejscu? Zrobił krok, zbliżając się do Linnory. Jednak zanim zdążył coś powiedzieć, wtrącił się inny, trzeci głos.

- Ja również chciałbym się czegoś dowiedzieć na temat rodzinnych stron czarownika. Jak również bardzo wielu innych rzeczy.

Oboje odwrócili się jednocześnie. Duża, ciemna sylwetka przysłaniała część padającego z sali bankietowej światła. Przez krótką chwilę Dennis miał radosne wrażenie, że patrzy na Stivyunga

Sigela.

Jednak człowiek w drzwiach postąpił krok naprzód.

- Jestem baron Kremer - powiedział.

Miał potężną szczękę, stanowiącą dobre uzupełnienie szerokich ramion. Jego srebrnoblond włosy obcięte były tuż poniżej uszu. Oczy pozostawały w cieniu.

- Siądziemy do posiłku? - Skinął ręką w stronę zastawionego stołu. - Wtedy być może będziemy mogli dokładniej porozmawiać na temat różnych rodzajów treści... a także innych światów.

*

Diakon Hoss'k rozłożył szeroko ręce, niemal potrącając przy tym błyszczący kandelabr.

- Widzisz więc, czarowniku, że rzeczy martwe są w pewnym sensie wynagradzane za przewagi, którymi bogowie obdarzyli materię ożywioną. Drzewo rośnie i rozwija się, rozsiewa swe nasiona, ale w końcu musi umrzeć, rzeka zaś nie. Człowiek myśli, działa i porusza się, ale czas przynosi mu tylko starość i zniedołężnienie. Jednak narzędzia, którymi się posługuje - ci nieożywieni, służący mu przez całe jego życie niewolnicy - z czasem, w miarę używania stają się coraz lepsze.

Przemowa diakona była dziwną mieszanką teleologii, teologii oraz czystej baśni. Dennis usilnie starał się ukryć rozbawienie. Pieczona dziczyzna na jego talerzu stanowiła ogromny skok jakościowy w jadłospisie ostatnich dni i nie miał zamiaru narażać się na powrót do poprzedniej diety tylko dlatego, że szczyrzy zęby, słuchając nadwornego mędrca swego gospodarza.

Baron Kremer, siedzący u szczytu stołu, słuchał w skupieniu drobiazgowego wykładu Hoss'ka, obrzucając Dennisa od czasu do czasu długim, taksującym spojrzeniem.

- Tak więc przedmioty nieożywione - włącznie z tymi, które niegdyś żyły, jak skóra czy drewno - bogowie obdarzyli potencjałem, który pozwala im wyrosnąć ponad to, czym były dotychczas... stać się rzeczami użytecznymi. Ten oto sposób bogowie wybrali, żeby zapewnić obfitość dóbr, niezbędnych dla ich ludu...

Korpulentny mędrzec ubrany był w wytworną, białą szatę. Gdy wykonywał jakiś gest, rękawy rozchyłały się, odsłaniając jaskrawą czerwień ubioru pod spodem.

- Gdy później wytwórca przekształci potencjał tkwiący w rzeczy w treść, wtedy inni mogą tę rzecz poddawać procesowi zużycia. W ten sposób bogowie określili nie tylko styl naszego życia, ale również nasz błogosławiony porządek społeczny.

Księżniczka Linnora, siedząca naprzeciw Dennisa, skubnęła odrobinę pieczeni. Wyglądała na kompletnie znudzoną i chyba trochę rozgniewaną tym, czego musieli słuchać.

- Są tacy - powiedziała - którzy wierzą, że materia żywa również posiada potencjał. Ona również może wznieść się ponad to, czym jest, i zająć wyższe niż dotychczas miejsce.

Hoss'k obdarzył ją pobłażliwym uśmiechem.

- Ten osobliwy pogląd pozostał jako ślad starożytnych przesądów i jest brany na serio tylko przez kilka zacofanych plemion, takich jak twe własne, pani, oraz przez część hołoty ze wschodu. Wyraża on prymitywną nadzieję, że można ulepszyć ludzi, rośliny, a nawet zwierzęta. Lecz rozejrzyj się wokół siebie! Czy króliki, susły albo konie stają się lepsze z każdym mijającym rokiem? A ludzie?

- Nie, to oczywiste - kontynuował - że człowieka jako takiego ulepszyć się nie da. Tylko rzeczy pozbawione życia mogą z ludzką pomocą być zużyte do doskonałości.

Hoss'k znowu uśmiechnął się z pobłażaniem i upił łyk wina.

Dennis nie mógł pozbyć się niejasnego wrażenia, które od początku tego wieczoru nie dawało mu spokoju, że już gdzieś spotkał tego człowieka i że instyktowna niechęć, jaką do niego odczuwa, ma swoje uzasadnienie.

- Dobrze - powiedział - wyjaśnił pan, dlaczego rzeczy nieożywione ulegają poprawie w miarę posługiwania się nimi... ponieważ bogowie życzą sobie, aby tak było. Jednak w jaki sposób kawałek krzemienia, na przykład, staje się siekierą poprzez sam fakt jego używania?

- Ach! Celne pytanie! - Hoss'k przerwał, żeby beknąć z zadowoleniem. Linnora wzniosła błagalnie oczy ku sufitowi, jednak poza Dennisem nikt tego nie zauważył.

- Widzisz, czarowniku, mędrcy już od dawna wiedzą, że ostateczne przeznaczenie takiej siekiery, o jakiej mówisz, jest po części określone treścią, wlaną w nią przez namaszczonego mistrza gildii kamieniarzy podczas jej wytwarzania. Ta treść, nadawana rzeczy na samym początku, jest równie istotna, jak Pr'fett, które właściciel wkłada w przedmiot w trakcie jego używania.

- Chcę przez to powiedzieć - ciągnął - że zużycie jest ważne, ale bezużyteczne, jeśli danej rzeczy na samym początku nie nada się właściwej treści. Choćby próbował z całych sił, robotnik nie zrobi z sań motyki czy nie zużyje kufła tak, żeby stał się latawcem. Przedmiot musi od samego początku być choćby trochę użyteczny w przewidzianej mu pracy - dopiero wtedy można go ulepszać. Tylko mistrzowie wytwórców potrafią wykreować taką użyteczność. Jest to prawda niedostatecznie doceniana przez masy, szczególnie ostatnio, gdy dają się słyszeć te wszystkie bezsensowne narzekania na gildie. Przywódcy hołoty ze wschodu pieją na temat „wartości dodanej” i „znaczenia włożonej pracy”, jednak to wszystko to tylko ignoranctwo i głupota!

Dennis już zdążył sobie uświadomić, że Hoss'k należy do tego typu intelektualistów, którzy w obliczu pilnych i nieuniknionych zmian w swojej społeczności uparcie odsuwaliby od siebie wszelką o nich myśl udając, że nie widzą sił, które rozsadzają wszystko wokół. Ludzie tego typu zawsze bawili się gdy Rzym płonął, a potem wyjaśniali pogorzeliska z pomocą sobie tylko właściwej logiki.

Hoss'k pociągnął z kielicha i uśmiechnął się promiennie do Dennisa.

- Oczywiście, człowiekowi takiemu jak pan nie muszę wyjaśniać, dlaczego ludzi niższych stanów należy utrzymywać pod kontrolą.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi - odpowiedział Dennis zimno.

- Ależ, ależ, czarowniku, nie musi pan udawać innego, niż jest. Po przyjrzeniu się przedmiotom, które tak uprzejmie nam pan... hm... pożyczył, mogę bardzo dużo o panu powiedzieć!

Z pełnym samozadowolenia uśmiechem Hoss'k wbił zęby w jeden z podanych na deser owoców.

Dennis postanowił przemilczeć tę uwagę. Przez cały wieczór odzywał się bardzo niewiele i jadł z umiarem, zdając sobie sprawę, że baron uważnie obserwuje jego zachowanie. Wina niemal nie tknął.

Dennis i Linnora wymieniali znaczące spojrzenia, gdy tylko była po temu okazja. W pewnej chwili, gdy baron wydawał jakieś polecenia służącemu, a uczonego z zapalem przemawiał do sufitu, księżniczka nadęła policzki i poruszyła kilkakrotnie ustami, parodiując Hoss'ka. Dennis musiał siłą powstrzymać się od wybuchnięcia głośnym śmiechem.

Gdy Kremer spojrział na nich z ciekawością, Dennisowi udało się zachować kamienną twarz, a Linnora wyglądała jak wcielenie niewinności.

Dennis uświadomił sobie, że jest na najlepszej drodze do zadurzenia się po uszy.

- Jestem bardzo ciekawy, diakonie - powiedział Kremer - co też wywnioskowałaś o rodzinnej krainie naszego gościa tylko z jego narzędzi i sposobu bycia?

Baron rozparł się wygodnie w swym miękkim, przypominającym tron fotelu. Sprawiał wrażenie człowieka, którego rozpira potężna energia, hamowana jednak w sposób chłodny i wykalkulowany. Uwidaczniała się ona od czasu do czasu na przykład gdy baron zginał orzechy gołymi rękami. Hoss'k wytarł usta rękawem i skłonił lekko głowę.

- Jak sobie życzysz, panie. Jednak powiedz mi najpierw proszę, które z narzędzi Dennisa Nuela są dla ciebie najbardziej interesujące?

Kremer uśmiechnął się nieznacznie.

- Ręczna broń, która zabija na odległość, rurka pozwalająca widzieć z daleka oraz pudełko, w którym poruszają się świecące owady, widoczne jako kropki.

Hoss'k skinął głową.

- A jaką te wszystkie rzeczy mają wspólną cechę?

- To ty nam powiedz.

- Dobrze, panie. Te przedmioty wyraźnie zawierają treści zupełnie tutaj, w Coylii, nieznanne. Obecna tu pani z ludu L'Toff - Hoss'k skłonił głowę w stronę Linnory - potwierdziła nam ten fakt. Jakkolwiek nasz czarownik stara się ukryć szczegóły dotyczące krainy, z której pochodzi, jego oczywista ignorancja w kwestii niektórych z najbardziej podstawowych zjawisk związanych z naszym sposobem życia wskazuje, że przybył tu ze stron bardzo odległych, z pewnością nawet spoza Wielkiej Pustyni za górami - z kraju, w którym badania nad treścią przedmiotów poszły zupełnie innymi drogami niż tutaj.

- Być może sama treść jest tam inna - ciągnął - tak, że narzędzia poddawane przez nich zużyciu są skazane na rozwijanie się w zupełnie inny sposób.

Hoss'k uśmiechnął się, jakby wiedział, że pozwolił sobie na trochę zbyt śmiałe przypuszczenia.

Dennis poprawił się w krześle. „Może ten facet wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda” - pomyślał.

- Pudełko ze światełkami powiedziało mi szczególnie dużo - mówił dalej Hoss'k. - Maleńkie, trenowane owady, które kryją się pod jego przezroczystą pokrywką, należą do gatunku zupełnie w naszych stronach nie znanego. Są mniejsze od najmniejszego świetlika. Jak one się nazywają, czarowniku?

Dennis znowu poprawił się w krześle, niemal wzdychając z rozczarowania. „Jaskiniowcy” - przypomniał sam sobie.

- Noszą nazwę elementów układu punktowego - odpowiedział - Są zrobione z czegoś, co się nazywa ciekłym kryształem, który...

- Żyjące kryształy! - przerwał mu Hoss'k. - Wyobraźcie to sobie! Z początku obawiałem się, że te maleńkie istoty umierają, pod moją opieką. Po pewnym czasie przygasły, a ja nie mogłem znaleźć żadnych otworów, przez które mogłyby oddychać, ani nie wiedziałem, jak je karmić. Jednak w końcu stwierdziłem - muszę przyznać, że niemal przez przypadek - że szybko odżyły, gdy nakarmiłem je promieniami słonecznymi!

Dennis nie mógł powstrzymać się przed uniesieniem brwi ze zdumienia. Hoss'k zauważył to i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Tak, tak, czarowniku. Nie jesteśmy tutaj prostakami ani głupcami. To odkrycie w szczególności sposób ucieszyło pana barona. W tym czasie jego nowa broń, mały „miotacz igieł”, który tak łaskawie przekazałeś w nasze ręce, nagle przestał funkcjonować. Od chwili mego odkrycia, oczywiście, również to narzędzie dostaje codziennie swój słoneczny posiłek.

Otyły uczone rozpromienił się, gdy baron potwierdził jego sukces słabym uśmiechem i skinieniem głowy. Kremer wyraźnie miał jakieś związane z igłowcem plany. Dennis zmarszczył

brwi, ale nadal się nie odzywał.

- Podobnie jak owady w cudownym pudełku - mówił dalej Hoss'k. - Coś wewnątrz tej broni musi od czasu do czasu jeść światło słoneczne. I rzeczywiście - gdy się jej używa, można usłyszeć słabe poruszenia uwięzionych wewnątrz zwierząt.

- Potem znalazłem w tym mechanizmie niewielkie drzwiczki, służące do podawania posiłków. I teraz karmimy znajdujące się w środku istoty metalem, którego najwyraźniej potrzebują oprócz słonecznego światła. Te twoje demony mają kosztowne upodobania, czarownika. Nasz pan zużył już metal o wartości kilku służących tylko na utrzymanie tej broni w dobrej formie.

Dennis starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Ten facet był sprytny, ale jego spekulacje coraz bardziej oddalały się od rzeczywistości. Dennis usiłował nie myśleć o tym w jaki sposób baron „utrzymuje broń w dobrej formie”.

- I co to wszystko powiedziało ci o moich rodzinnych stronach? - spytał.

Hoss'k uśmiechnął się szeroko.

- No cóż, po pierwsze - zauważyliśmy już chyba wszyscy, że częścią twojej magii jest pobieranie treści żywych istot i wkładanie jej w narzędzia, jeszcze zanim rozpocznie się sam proces zużywania. To mi podpowiada, że twoja społeczność ma znacznie mniejsze poważanie dla świętości życia, niż mamy my tutaj, w Coylii.

Dennis nie mógł się powstrzymać od sarkastycznego parsknięcia. Ze wszystkich durnych konkluzji, do których ten facet mógł dojść, musiał wybrać najgłupszą! Zwrócił oczy na Linnorę, żeby sekretnym spojrzeniem podzielić się z nią swymi uczuciami, i zbaraniał, widząc wzrok, jakim na niego patrzyła

Nie miała zbyt wysokiego mniemania o Hoss'ku, jednak jego ostatni wniosek wyraźnie ją poruszył.

- Jakiś czas temu wzięłem część przedmiotów, przywiezionych przez Dennisa Nuela z jego rodzinnych stron - oczywiście tylko te, których pan baron nie potrzebował do innych celów - i umieściłem je w ciemnym pomieszczeniu. Pozbawione tam były zarówno światła słonecznego, jak i podtrzymującego ich jakoś zużywania. Chciałem się przyjrzeć, jak będą wracały do swych pierwotnych postaci, i dowiedzieć się czegoś więcej o początkowej, stanowiącej ich istotę treści.

- Po kilku dniach ku memu ogromnemu zdziwieniu stwierdziłem, że te narzędzia już się nie degenerują! Nóż, będący własnością czarownika, a leżący w tej chwili beczynnym w ciemnym pokoju, jest tak samo ostry jak tydzień temu. Być może częściowo jest to związane z materia, z której został wykonany - metalem w ilości godnej królewskiego skarbcza - jednak zapięcia przy jego ubraniu i plecaku również pozostają zamrożone w swych wyrafinowanych formach. Formach, które z pewnością nie są dziełem rąk żadnego z obecnie żyjących wytwórców!

Dennis spojrzał na Kremera. Baron słuchał uważnie z rękoma założonymi na piersi. Jego oczy były ukryte w cieniu gęstych, krzaczastych brwi.

Pełne wyraźnego niepokoju spojrzenie Linnory wędrowało między Hoss'kiem, Kremerem a Dennisem. Dennis domyślał się, że dzieje się coś szczególnego, jednak nie miał pojęcia co. Czy jest to związane z tym, co mówi ten dureń? Postanowił położyć kres jego wywodom, zanim staną się jeszcze bardziej idiotyczne.

- Nie wydaje mi się, żeby pan...

Jednak Hoss'k nie był człowiekiem, który pozwalał, żeby mu przerywano.

- Znalezione przy naszym czarowniku przedmioty są zaiste zadziwiające - powiedział, zupełnie nie zważając na Dennisa. - Tylko raz udało mi się wcześniej zetknąć z czymś podobnym - w czasie naszej ostatniej ekspedycji w góry leżące na północ od ziem L'Toff. W zupełnie dzikiej okolicy ja i moja eskorta znaleźliśmy maleńki domek, w całości wykonany z metalu...

Dennis wytrzeszczył na Hoss'ka oczy czując, jak jego dłonie zwijają się w pięści. Teraz przypomniał sobie, że rzeczywiście już kiedyś widział diakona - na ekraniku monitora robota zwiadowczego. To on właśnie, to ten kretyn w paradnych czerwonych szatach, nadzorował rozmontowywanie i niszczenie zewetronu!

- Ach! - Uczony uśmiechnął się i skinął lekko głową. - Po pańskiej reakcji widzę, że ten domek należy do pana, czarowniku. To mnie wcale nie dziwi, gdyż w jego ścianie znalazłem małe pudełko, którego wieczko udało się nam wyważyć. Wewnątrz był cały magazyn niezwykłych, maleńkich narzędzi! Wziąłem kilka z nich do domu, żeby w wolnej chwili się im przyjrzeć i chociaż nie udało mi się zmusić ich do zrobienia czegokolwiek, to również one, podobnie jak rzeczy z twego plecaka, nie zmieniły się nawet odrobinę od chwili, w której znalazły się w moim posiadaniu!

Hoss'k sięgnął w głąb swej obszernej szaty i wyjął garść maleńkich przedmiotów.

- Kilka z nich pochodzi z dwóch dość dużych, krwiożerczych demonów, które strzegły domku. Ale oczywiście nie mogły one przeciwstawić się tenerom dzielnych żołnierzy z gwardii pana barona.

Z jego ręki wysypał się na stół błyszczący, kolorowy złom elektroniczny. Dennis zauważył fragment ramienia „krwiożerczego” robota zwiadowczego i złamaną kartę elevatroniczną, której komponenty miały wartość setek tysięcy dolarów!

- Nie mogliśmy oczywiście zostać przy domku dostatecznie długo, żeby przeprowadzić wyczerpujące, całościowe badania, gdyż wtedy właśnie natknęliśmy się na księżniczkę. Nasi ludzie stracili całe dwa dni na...hm... podążanie za nią od metalowego domu do rozpadliny skalnej, w której, biedna, zabłądziła...

- Wcale nie zabłądziłam! Chowałam się tam przed waszymi przeklętymi żołdakami! - zaprotestowała Linnora.

- Hmm. No dobrze. Księżniczka powiedziała nam, że przyszła do tej górskiej doliny, gdyż wyczuła, że w okolicy zdarzyło się w ostatnim czasie coś dziwnego. Wydawało mi się, że właściwe będzie poproszenie jej, żeby przyłączyła się do naszej ekspedycji i towarzyszyła nam do Zuslik... oczywiście dla jej własnego bezpieczeństwa.

Dennis tylko ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał się przed skoczeniem diakonowi do gardła.

- Więc to ty jesteś tym kretynem, który rozwalił mój mechanizm powrotny! - wycharczał.

Hoss'k roześmiał się radośnie.

- Och, panie czarowniku, ja oczywiście skończyłem rozmontowywanie, ale nasza księżniczka L'Toff do chwili mojego przybycia przeprowadziła już pewne własne badania.

Dennis spojrzał na Linnorę, żeby przekonać się, czy jest to prawda, jednak księżniczka patrzyła, wachlując się, gdzieś w bok. W tym momencie dla Dennisa nie były ważne żadne wcześniejsze sympatie. Wzrok, którym patrzył na Linnorę, był równie miażdżący, jak ten, którym obdarzał Hoss'ka. Oboje majstrowali w czymś, co nie należało do nich i od czego powinni trzymać się z daleka!

- Tak czy inaczej, czarowniku - powiedział Hoss'k - jestem przekonany, że w sumie nic złego się nie stało. Gdy nasz pan zdecyduje, że nadeszła właściwa pora na twój powrót do rodzinnego kraju, z pewnością będziemy mogli zwrócić ci metal, który zabrałem, i służyć wszelką niezbędną pomocą w zużywaniu twego małego domku tak, żeby znowu stał się doskonały.

Dennis zaklął miękko po arabsku. Był to jedyny sposób, w jaki w tej chwili mógł wyrazić swoją opinię na temat tego pomysłu.

Hoss'k wyraźnie wyczuł przesłanie jego wypowiedzi, nawet jeśli jej nie zrozumiał. Jego uśmiech przerodził się w zimny grymas.

- A jeżeli pan baron zdecyduje inaczej, no cóż, wtedy poprowadzę następną ekspedycję i zasilę jego skarbiec tym wspaniałym metalem, z którego zbudowany jest twój mały domek.

Dennis poczuł te słowa jak cios maczugi w głowę. Jeżeli śluzza zastałaby choćby o centymetr poruszona, nie wspominając nawet o jej rozmontowaniu, jego los byłby nieodwołalnie przesądzony - na zawsze straciłby szansę powrotu na Ziemię.

Kremer przysłuchiwał się tej wymianie zdań w milczeniu, jednak teraz się odezwał:

- Wydaje mi się, że odbiegliśmy od tematu, mój zacny diakonie. Wyjaśniłeś nam, że ci przypominę, dlaczego narzędzia, które były w posiadaniu czarownika, są tak niezwykle. Powiedziałeś, że nie ulegały zmianom bez względu na to, jak długo pozostawały bezrobotne.

- Tak, panie. - Hoss'k skłonił się lekko. - A istnieje tylko jeden znany sposób zamrożenia narzędzia w nadanym mu kształcie, tak żeby pozostał w nim już na zawsze, nie powracając do swej pierwotnej formy. W naszych stronach ta technika jest znana tylko ludowi L'Toff.

Linnora siedziała sztywno, nie patrząc ani na Hoss'ka, ani nawet na Dennisa.

- Jak wszyscy wiemy, wymaga ona, żeby człowiek z tego ludu dobrowolnie przelał część swych sił witalnych na narzędzie, czyli oddał część swego własnego życia, skrócił je po to, żeby Pr'fett w narzędziu uczynić permanentnym.

- Królewski dar, prawda czarowniku? - powiedział Kremer w zamyśleniu. - Kapłani utrzymują, że L'Toff zostali wybrani przez bogów... błogosławieni umiejętnością sprawiania, że rzeczy piękne zastygają w swym pięknie już na zawsze Jednak wszystkie dary mają swoją cenę, czyż nie, diakonie?

Hoss'k skinął głową z uczonym wyrazem twarzy.

- Tak, mój panie. Ten talent jest dla L'Toff w równym stopniu błogosławieństwem, co przekleństwem. W połączeniu z innymi cechami wyniósł on ten lud ponad inne. Doprowadził jednak również do wielu nieprzyjemnych zdarzeń, które, hmmm... moglibyśmy chyba określić jako wymuszenia.

Dennis spojrzał na niego zdumiony. Te wiadomości były jeszcze zbyt świeże, ale nawet bez głębszego nad nimi zastanowienia potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo L'Toff cierpieli z powodu swego talentu.

Księżniczka patrzyła wyłącznie na swoje dłonie.

- Oczywiście dalsza ich historia jest wszystkim doskonale znana - powiedział Hoss'k z uśmiechem. - Uciekając przed ludzką zachłannością, L'Toff przybyli w góry na zachodzie, w których przodek króla Hymiela nadał im dzisiejsze ziemie, jednocześnie ustanawiając księciów Zuslik ich opiekunami.

A ojciec barona Kremera zastąpił ostatniego z nich, uświadomił sobie Dennis.

- Mówiliśmy o własności obecnego tu czarownika - cicho, ale stanowczo przypomniał Kremer.

Hoss'k znowu się skłonił.

- Oczywiście. A więc, jakie wnioski mogą się nam nasunąć, gdy stwierdzimy, że należące do czarownika przedmioty nie ulegają degeneracji, nie wracają z czasem do formy prymitywnych zaczynaczy? Wnioskiem najbardziej oczywistym jest ten, iż Dennis Nuel należy do arystokracji swego narodu. Narodu, dla którego zarówno metal, jak i życie są bardzo tanie. Co więcej, wydaje się jasne, że lud będący tam odpowiednikiem naszych L'Toff został zniewolony i nakłoniony do zamrażania Pr'fett w zużytych przedmiotach, które dzięki temu pozostają wysoce użyteczne nawet po

długich okresach bezczynności. Wykorzystywanie tamtejszych L'Toff jest tak daleko posunięte, że utrwała się nawet ubrania. Tutaj w Coylii nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby zmuszać L'Toff do pracy nad ubraniami...

- Zaraz, zaraz! - wtrącił się Dennis. - Myślę, że parę rzeczy wymaga tu...

Hoss'k uśmiechnął się dobrotliwie i bezceremonialnie mu przerwał.

- Tak więc w końcu musimy stwierdzić, że ich wiedza na temat różnych rodzajów treści - włączając w to zniewalanie maleńkich zwierząt, czynionych integralną częścią narzędzi - połączona z absolutną władzą nad tamtejszym odpowiednikiem L'Toff - w pełni wyjaśnia czarodziejską moc Dennisa Nuela i zapewne również jego ziomków.

- On sam może być wygnańcem, badającym świat uczonym albo poszukiwaczem przygód - mówił dalej. - Nie mogę tego dokładnie wiedzieć. W każdym jednak przypadku nasz gość należy do rasy potężnych i bezlitosnych wojowników i jako taki, dopóki pozostaje tutaj w Coylii, powinien być traktowany jak członek najwyższej kasty.

Dennis spojrzał na niego z osłupieniem. Miał ochotę ryknąć śmiechem, ale to, co przed chwilą usłyszał, było tak niedorzeczne, że nie zasługiwało nawet na kpinę!

Dwukrotnie otwierał usta, żeby coś powiedzieć, i za każdym razem zamykał je bez słowa. Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinien się wtrącać. Protesty i wyjaśnienia mogły na dłuższą metę wcale nie stanowić właściwej strategii. Jeżeli wywody Hoss'ka miały przyczynić się do zdobycia tutaj wysokiego statusu i poważania, niby dlaczego miałyby udowadniać ich fałszywość?

W czasie gdy zastanawiał się nad tą kwestią, księżniczka podniosła się nagle. Jej twarz była bardzo blada.

- Panie baronie, panowie. - Skinęła głową w lewo i w prawo, jednak nie spojrzała na Dennisa. - Jestem bardzo zmęczona. Zechciejcie mi wybaczyć.

Służący cofnął jej krzesło. Ciągle unikała wzroku Dennisa mimo że on wstał i starał się spojrzeć jej w oczy. Spokojnie zniosła pocałunek, złożony na jej dłoni przez barona, potem odwróciła się i wyszła w towarzystwie dwóch strażników.

Dennis czuł, jak płoną mu uszy. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, co Linnora o nim myśli. Jednak doszedł do wniosku, że - biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności - lepiej będzie na razie milczeć. Musi najpierw wszystko przemyśleć. Wyjaśnienia mogą trochę poczekać.

Odwrócił się i zobaczył, że Kremer uśmiecha się do niego. Baron usiadł już z powrotem i sączył wino z pucharu, na którym lakier z biegiem lat przybrał wspaniałą, błękitny odcień.

- Siadaj, proszę, czarowniku. Palisz? Mam fajki, które były używane codziennie od trzystu lat. Jestem przekonany, że podczas odpoczynku będziemy potrafili dojść do wzajemnie korzystnych

ustaleń.

Dennis nic nie odpowiedział.

Kremer przypatrywał mu się w zamyśleniu.

- I być może dojdziemy do czegoś, co będzie korzystne również dla księżniczki.

Dennis zmarszczył brwi. „Czy tak łatwo mnie rozszyfrować?” - pomyślał.

W końcu wzruszył ramionami i usiadł. W jego sytuacji nie miał wielkiego wyboru poza zgodą na rozmowy i szukaniem jakiegoś układu.

*

- Dobrze, że ten pałac ma tak dużo dobrze zużytych wewnętrznych instalacji - powiedział Arth, starając się połączyć dwie niezbyt do siebie pasujące rurki za pomocą gliny i rzemienia. - Aż mnie ciarki przechodzą, gdy pomyślę, że te wszystkie rury musielibyśmy sami robić z papieru czy gliny, a potem jeszcze własnoręcznie je zużywać.

Dennis za pomocą dłuta dopasowywał drewnianą pokrywę, starając się zmusić ją, żeby szczelnie przylegała do dużego, glinianego kotła. W pobliżu kilka beczek tutejszego „najlepszego” wina oczekiwało na następną próbną destylację. Płatanina rurek nad jego głową mogłaby przyprawić o koszmary każdego hydraulika. Najnędrniejszy bimbrownik nie chciałby nawet spojrzeć na to urządzenie. Jednak Dennis uważał, że zupełnie nieźle spełnia ono zadanie „zaczynacza” destylarni.

Musieli tylko wydusić z rurki wylotowej skraplacza choćby kilka kropel brandy. Odrobina produktu finalnego była wszystkim, czego potrzebowali, żeby urządzenie stało się użyteczne, a więc zaczęło nadawać się do zużywania.

Arth pogwizdywał w czasie pracy. Od czasu gdy został wypuszczony z lochu i mianowany „asystentem czarownika”, zapomniał o wszelkich pretensjach, jakie miał do Dennisa. Teraz, ubrany w stary i wygodny strój roboczy, najedzony i wypoczęty, oddawał się z zapałem pracy, która była nieporównywalna ze wszystkim, co robił dotychczas.

- Myślisz, że Kremer będzie zadowolony z tego płynu? Dennis wzruszył ramionami.

- Za kilka dni będziemy wytwarzali trunek, po którym wyskoczy z tych swoich dwustuletnich skarpet. Powinien czuć się całkowicie szczęśliwy.

- Ja ciągle mam dla niego wyłącznie szczerą niechęć, ale muszę przyznać, że płaci bardzo dobrze. - Arth potrząsnął niewielką skórzaną sakiewką, niemal do połowy wypełnioną cennymi kawałkami miedzi.

Arth sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, ale Dennis ciągle nie mógł się wyżyć poważnych wątpliwości. Budowa destylarni dla Kremera była zajęciem co najwyżej chwilowym. Baron z pewnością będzie wymagał od swego świeżo upieczonego czarownika coraz to nowych dokonań. Wkrótce straci zainteresowanie rzeczami luksusowymi oraz towarami, dzięki którym może robić majątek, i zacznie domagać się broni, którą będzie mógł wykorzystać podczas zbliżającej się wielkimi krokami wojny z królem i L'Toff.

Dennis i Arth pracowali nad aparatem destylacyjnym już niemal od tygodnia. Tutaj, w Coylii, wytworzenie czegokolwiek nigdy nie zajmowało więcej niż jeden dzień. Kremer wyraźnie zaczynał już przejawiać oznaki zniecierpliwienia.

Dennis mocno zastanawiał się, co zrobi, gdy destylarna będzie gotowa. Pokaże baronowi, jak wytapiać żelazo? Nauczy jego rzemieślników posługiwania się kołem? Miał nadzieję zachować kilka z takich podstawowych „treści” w rezerwie, na wypadek gdyby baron postanowił wycofać się ze swej obietnicy. Po spełnieniu przez Dennisa warunków umowy władyka obiecał obsypać go bogactwami, a także, co ważniejsze, dostarczyć wszystko, co będzie potrzebne do naprawy „małego domu”. Ale co mu stoi na przeszkodzie zmienić decyzję?

Dennis wciąż był rozdarty sprzecznymi uczuciami. Kremer wyraźnie był pozbawionym skrupułów sukinsynem. Był jednak bardzo rzeczowy i wcale nie nadmiernie chciwy. Dennis wiedział, że w historii jego własnego świata często zdarzało się, iż ludzie czczeni w legendach, w realnym życiu wcale nie byli tacy przyjemni. Mimo że Kremer bez wątpienia był tyranem, Dennis zastanawiał się, czy rzeczywiście jest dużo gorszy od innych założycieli dynastii.

Być może najlepszą rzeczą, jaka pozostaje mu w tej sytuacji do zrobienia, jest zajęcie przy nim pozycji Merlina. Dennis z pewnością mógłby sprawić, że zwycięstwa barona byłyby przytłaczające - a przez to relatywnie bezkrwawe - i dzięki temu wyrosnąć pod jego boki na człowieka prawdziwie tutaj potężnego.

Na pewno zyskałby dzięki temu większą swobodę, być może nawet zdołałby naprawić zewatron i powrócić do domu.

To wszystko brzmiało jak naprawdę dobry plan. Dlaczego więc czuł na myśl o nim taki niesmak?

Mógł wymienić imię co najmniej jednej osoby, która z pewnością nie zgodziłaby się z jego decyzją. Od czasu pierwszej kolacji widział księżniczkę zaledwie kilka razy i zawsze z odległości przynajmniej dwu pięter. Poza tym niezmiennie zarówno jemu, jak i jej towarzyszyła eskorta. Dennis próbował uśmiechać się do niej i wymieniać z nią spojrzenia, ale zyskiwał jedynie chłodne skiniecie głową.

Teraz uświadamiał sobie, że logika przedstawionego przez Hoss'ka wywodu mogła dla kogoś wychowanego w tym świecie brzmieć bardzo przekonująco. Odczuwał to nieporozumienie tym boleśniej, że przecież wszystkie oskarżenia były zupełnie bezpodstawne.

Jednak na razie nic na to nie mógł poradzić. Kremer trzymał księżniczkę w zasięgu jego wzroku, ale zbyt daleko, by mogli porozmawiać. Przecież nie mógł - niwecząc wszystkie swoje plany - rzucić się na barona w jej obecności tylko po to, by znowu spojrziała na niego łaskawym okiem, prawda? To by było bardzo krótkowzroczne.

Czuł się co najmniej zagubiony.

*

Dennis i Arth postawili swój aparat destylacyjny na obszernym dziedzińcu, niezbyt odległym od zamkniętego więziennego podwórca, z którego uciekli zaledwie kilka tygodni wcześniej. Z wyjątkiem zajmowanego przez nich rogu dziedziniec służył jako plac ćwiczebny dla wojsk barona. W pobliżu zewnętrznego, zbudowanego z zaostrzonych pali muru sierżanci musztrowali oddziały milicji z miasta i pobliskich wiosek - ćwicząc zarówno będącą w fatalnym stanie broń, jak i niewiele lepiej wyglądających poborowych.

Bliżej zamku żołnierze z oddziałów regularnych cięli swoimi toporami i halabardami poście mięsa, zawieszane na wysokich szubienicach. Błyszczące ostrza z równą łatwością przecinały mięso, co i kości. Ochłapy były zbierane do cebrów i odnoszone przez pacholków do zamkowej kuchni.

Nawet dwaj strażnicy, przydzieleni do pilnowania Dennisa i Artha, nie stali beczynniami. Uderzali się wzajemnie styliskami toporów, pracując nad swoimi zbrojami.

Na niebie piloci z patrolu powietrznego barona trenowali skomplikowane manewry. Dennis przyglądał się, jak szybowce nurkują i krążą wokół siebie, lekkie i zwrotne jak najlepsze z konstrukcji powstałych na Ziemi. Pozostawały w powietrzu całymi godzinami, utrzymując się na dziennych prądach występujących w pobliżu zamku. Poza sprawnością lotu, piloci ćwiczyli celność, zrzucając z powietrza chmary małych, śmiertelnych strzałek.

Poza baronem nikt na Coylii nie posiadał podobnych szybowców. Podobno ich pomysł zrodził się, gdy dokonano na Kremera zamachu, odcinając cumę latawca obserwacyjnego na którym baron wznosił się w powietrze. Latawiec, mimo iż perfekcyjnie dopracowany, natychmiast zaczął opadać spiralnie ku ziemi.

Jednak w pewnej chwili, zamiast runąć na ziemię i pogrzebać Kremera, latające skrzydło zostało uchwycone w potężny, zimowy prąd wstępujący. Baron, wykazując niezwykle zimną krew i wielką wyobraźnię, natychmiast zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego i nowego. Zamiast się poddać i czekać na nieuchronną, jak by się zdawało, śmierć, skoncentrował się desperacko na używaniu niesterowalnego latawca. I oto stała się rzecz zadziwiająca. Ku zdumieniu wszystkich obserwatorów zarówno wokół barona, jak i latawca pojawił się na kilka chwil świecący, migotliwy nimb transu felhesz. Urządzenie, które przed chwilą było niczym więcej niż tylko latawcem, na oczach wszystkich zmieniło się w coś, co samodzielnie szybowало!

W rezultacie baron złamał jedynie nogę, odkrywając za to zupełnie nową w tym świecie

zasadę.

Siedemnastu zabitych i okaleczonych „ochotników”, później Kremer miał już dywizjon, składający się z jedno-, dwu-, a nawet czteroosobowych szybowców, które z dnia na dzień stawały się coraz lepsze. I mimo że Kremer nigdy później nie był w stanie powtórnie wprawić się w trans, jego reputacja w całej Coylii została utrwalona.

Dennis przyglądał się szybowcom w zamyśleniu. Szopa, służąca im za hangar, była pilnie strzeżona, podobnie jak wieża, z której startowały. Jednak najlepszym dla nich zabezpieczeniem było to, że Zamek Zuslik był jedynym miejscem na tej planecie, w którym można było znaleźć wyszkolonych pilotów. Nawet jeśli jakiemuś konkurentowi udałoby się ukraść szybowiec, nie byłby w stanie zapewnić mu codziennych lotów i powstrzymać proces jego degeneracji z powrotem w kupę patyków, skór i rzemieni.

Jednak baron nie wie, że na Tatirze jest jeszcze jeden potencjalny pilot.

Nie. Dennis potrząsnął głową. Zdecydowałeś się na określony plan, więc się go trzymaj.

Podszedł Arth, trzymając w dłoni kawałek skraplacza.

- Dennzz, powiedz, gdzie jest ta rzecz, którą nazywasz... wihajstrem... pasuje? Czy ona ma łączyć się z ustrojstwem czy ze śrubsztakiem? - Arth wypowiadał każde z nie znanych mu słów bardzo starannie, niemal z namaszczeniem.

Dennis z westchnieniem wrócił do wprowadzenia tu rewolucji technicznej.

*

- Panie, musisz się już ubrać na przyjęcie.

Dennis podniósł wzrok znad sterty kartek, pokrytych robaczkami wzorów i obliczeń matematycznych.

- Och, to już czas, Dvarach?

Młoda służka uśmiechnęła się i wskazała bardzo stare łóżko pod ścianą. Rozłożyła na nim formalny strój wieczorowy. Charakteryzował się on między innymi bufiastymi rękawami i wielkim, sztywnym kołnierzem.

Dziewczyna dygnęła wdzięcznie.

- Tak, panie. I dzisiaj ubierzesz się w strój odpowiedni dla twojej pozycji. To ubranie ma ponad dwieście lat. Zużywacz, którego dla ciebie znaleźliśmy, nosił je bez przerwy przez cały ubiegły tydzień. Zostało potem uprane i jest gotowe do włożenia.

Dennis spojrział na ubranie i zmarszczył brwi. Nie chodziło mu o to, że rzeczy były zbyt pstrokate i zbytkowe jak na jego gust. Ostatecznie był tu cudzoziemcem i powinien dostosowywać się do lokalnych upodobań.

Nie podobała mu się jednak myśl o tym, że jakiś biedny mieszczanin z Zuslik został zabrany z domu i pewnie wsadzony do więzienia tylko po to, żeby zużył dla niego ubranie.

Dyarach - ładna, drobna brunetka - została przydzielona Dennisowi jako służąca następnego dnia po kolacji z baronem. Przynosiła mu posiłki i dbała o porządek w jego obszernej nowej kwaterze.

Teraz kaszlnęła znacząco.

- Panie, naprawdę nie powinieneś kazać panu baronowi czekać.

Dennis obrzucił papiery na biurku tęsknym spojrzeniem. Bardzo dobrze się bawił, zonglując wzorami i liczbami i próbując w ten sposób znaleźć matematyczne uzasadnienie istnienia Efektu Zużycia. Pograżony w obliczeniach niemal zapominał, gdzie się znajduje, i przez pewien czas mógł sobie wmawiać, że znowu jest naukowcem w spokojnym ziemskim laboratorium, gdzie zupełnie nic mu nie zagraża.

Kremer okazał się dla niego całkiem hojny, oczywiście na swój sposób. Podarował mu, na przykład, tyle papieru, że wystarczyło na wszystkie potrzeby, jednak z drugiej strony nie pozwalał zbliżyć się do żadnej z dawnych, zabranych z Ziemi rzeczy.

Narzekanie na to nie miałoby żadnego sensu. Dennis musiał zdobyć zaufanie barona. Bez choćby niektórych przedmiotów z oryginalnego ekwipunku, na przykład kompasu, wszystkie jego plany były z góry skazane na niepowodzenie. Był pewien, że w końcu Kremer odda mu jego rzeczy.

Wstał zza biurka, żeby zacząć się ubierać. Baron zaprosił na dzisiejszy wieczór całą tutejszą śmietankę - starszych wszystkich gildii, znaczniejszych kupców, arystokratów. Miał zamiar pochwalić się swoim nowym czarownikiem. Dennis powinien wypaść przed nimi jak najlepiej.

Dvarach podeszła do niego i zaczęła rozpinać mu koszulę.

Gdy to się zdarzyło po raz pierwszy, Dennis zachłysnął się powietrzem i odepchnął ją od siebie. Jednak tylko uraził w ten sposób jej uczucia, nie wspominając nawet o profesjonalnej dumie. „Kiedy wlałeś między wrony...” - powiedział sobie w końcu i postanowił się przyzwyczaić do tego, że wyręczano go nawet w najprostszych czynnościach.

Po pewnym czasie stwierdził, że jest to wcale przyjemne. Dvarach ładnie pachniała. W ciągu kilku ostatnich dni najwyraźniej go polubiła i przywiązała się do niego. Dennis podejrzewał, że do jej obowiązków należy znacznie więcej niż tylko to, z czego dotychczas korzystał. W każdym razie robiła wrażenie zaskoczony i zdziwiony jego uprzejmością, także powściągliwością w pełnym korzystaniu z należnych mu przywilejów. Dziewczyna właśnie kończyła wiązać mu chusteczkę na

szyi, gdy rozległo się pukanie.

- Proszę wejść! - zawołał Dennis.

W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Artha.

- Gotowy? Chodź już! Musimy jeszcze zabrać brandy, przeznaczone na przyjęcie.

- Dobrze, Arth. Za chwileczkę.

Dvarach odstąpiła o krok i uśmiechnęła się, zadowolona z eleganckiego wyglądu swego pana. Dennis puścił do niej oko i wyszedł na korytarz do Artha.

Oprócz wiecznie obecnych strażników, na korytarzu czekali czterej krępi mężczyźni z ciężką beczką, spoczywającą na dwóch połączonych drągach. Gdy strażnicy odwrócili się i poszli naprzód, tragarze podnieśli drągi na ramiona i ruszyli za nimi.

Dennis zastanawiał się nad wynalezieniem czegoś, co by ulżyło ich pracy. Potem jednak, pomyślawszy nieco głębiej, postanowił jeszcze się wstrzymać. Koło było zbyt poważną kartą, żeby nią zagrywać zaraz na początku.

- Dostałem wiadomość od żony... - szepnął Arth, gdy przeszli już kawałek drogi korytarzem.

Dennis utrzymał spokojny krok, nie dając nic po sobie poznać.

- I co? - spytał Dennis cicho. - Co z innymi? W porządku?

Arth skinął głową.

- W większości. Strażnicy złapali dwóch moich ludzi... poza tym Maggin dowiedziała się, co się stało z Perthem. - Wypluł to imię jak truciznę.

- Czy Mishwa... - Dennis nie dopowiedział pytania.

- Tak. Dobrze zajął się tym szcurem! Tuż przed tym, jak go związali. Perth nie miał okazji dokładnie im pokazać, gdzie znajduje się magazyn, więc Stiyyung i Gath mogli...

Arth przerwał, gdyż otworzyły się przed nimi wielkie drzwi, prowadzące do sali balowej. Dennis jednak już dowiedział się niemal wszystkiego, co mu było potrzebne.

Poczuł ogromną ulgę, że jego przyjaciółom nic się nie stało. Być może za kilka tygodni albo miesięcy będzie miał na Kremera dostatecznie duży wpływ, żeby wyjednać u niego zwolnienie pozostałych. Teraz jeszcze wolał nie ryzykować takiej prośby. Gath i Stiyyung zasługiwali na to, by im nie odbierano szansy ucieczki na własną rękę.

Dennisowi to przyjęcie natrętnie kojarzyło się z balem gwiazdkowym, uzupełnionym zwyczajami zaczerpniętymi z dworu Króla Słońce - Ludwika XIV.

Lokalna elita przybyła bardzo licznie, jednak było tu mniej tańców i nieskrępowanych rozmów niż na podobnej imprezie na Ziemi. Ich miejsce wyraźnie zajmowała ceremonialna wymiana podarunków. Ten rytuał zadziwił Dennisa. Odniósł on wrażenie, że funkcjonuje tu jakiś skomplikowany sposób podtrzymywania swego statusu społecznego poprzez oddawanie rzeczy. Im darowane przedmioty były starsze i dłużej używane, tym lepiej.

Dennis przypomniał sobie, że kiedyś czytał o podobnych zwyczajach, istniejących na przedatomowej Nowej Gwinei i na wyspach Pacyfiku. Rozdawanie podarunków wcale nie wynikało z bezinteresownej potrzeby serca, ale raczej z agresywnej chętności, mocno wpływającej na pozycję dającego.

W pewnym momencie Dennis zauważył, że kobieta, którą obdarowano wyjątkowo kolorowym, jedwabistym i bezużytecznie wyglądającym strojem, zbladła jak ściana i przez chwilę wpatrywała się w to, co właśnie otrzymała, z niekłamanym przerażeniem. Potem na jej twarzy pojawiła się wystudiowana obojętność i kobieta podziękowała ofiarodawcy przez zęby.

Tak, to w pewnym stopniu przypominało niektóre ziemskie zwyczaje. Jednak wkrótce Dennis zauważył, że i ten obyczaj został w przedziwny sposób wypaczony przez Efekt Zużycia.

Na przykład, utrzymanie narzędzia czy w ogóle jakiegoś przedmiotu w jego szczytowej formie zajmuje wiele godzin kosztownej pracy. Tak więc, w odróżnieniu od podobnych sytuacji na Ziemi, podarunki mogą być przygotowywane tylko przy wielkich nakładach finansowych ze strony ofiarodawcy.

Liczba tych darów jest ograniczona możliwością ich używania, czyli liczbą służących i specjalnie wynajętych ludzi, przed balem takim jak ten służba zapewne pada z nóg, używając podarunki przygotowywane przez ich pana.

Dennis przechadzał się po sali, przypatrując się dyskretnie, jak bogaci ludzie kłaniają się i prawią sobie dwuznaczne komplementy. Podarunki wymieniano pełnymi wyszukanej elegancji gestami, udając przy tym zaskoczenie i radość.

Arth wyjaśnił mu bliżej, na czym to polega. Ten, kto otrzymuje podarunek, w pewnym sensie jest wciągany w pułapkę. Chciwość jest tutaj równoważona obawą. Bogaty człowiek może pożądać jakiejś pięknej rzeczy, ale jednocześnie boi się, że będzie musiał wydać mnóstwo pieniędzy na utrzymanie jej w dobrej formie. Otrzymany podarunek musi być w przyszłości gdzieś zaprezentowany, a każde odstępstwo od tej zasady okrywa obdarowanego hańbą.

To było jak przyglądanie się wykonywanej z gracją pawanie. Jeszcze kilka razy Dennis zauważył głęboki smutek na twarzy obdarowanego, który zrobił krok w niewłaściwą stronę i

otrzymał podarunek zbyt bogaty.

W zajętych przez Artha rogach sali otworzono właśnie beczkę z brandy. Służba roznosiła wśród gości niewielkie kieliszki, wypełnione bursztynowym płynem. Przez salę przebiegła fala głębokich westchnień i nieopanowanych kaszlnięć w ślad za służącymi.

Dennis szukał wzrokiem Linnory. Być może tutaj, na przyjęciu, będzie miał okazję wyjaśnić jej, że wcale nie pochodzi z krainy potworów. Chciał ją przekonać, że grając na zwłokę, może stać się Kremerowi tak niezbędny, iż jeden więzień z ludu L'Toff w porównaniu z nim będzie dla barona naprawdę bez znaczenia. Dennis był pewien, że w ciągu kilku miesięcy zdoła uzyskać uwolnienie Linnory.

Jednak nigdzie jej nie mógł zauważyć. Miał nadzieję, że może pojawi się później.

Pomniejsi arystokraci oraz członkowie gildii - w większości synowie i wnukowie ludzi, którzy pomogli ojcu Kremera zdobyć władzę - przechadzali się po sali z żonami i w otoczeniu osobistych służących, których zadaniem było obnoszenie otrzymanych przez ich pana podarunków. W związku z tym tłum wyglądał jak zbiorowisko bardzo do siebie podobnych rodzeństw, tyle tylko, że brat, niosący na sobie więcej bogactw zawsze szedł za mniej objuczonym a ten, który był ubrany w kilka warstw ubiorów, nigdy nie otrzymywał roznoszonych przez służbę zakąsek i napojów.

Dennisowi udało się uprosić Kremera, żeby nie przydzielał mu „ogona”, czyli służącego, którego zadaniem jest ciągle chodzenie za swym panem. Czuł się wystarczająco źle ze świadomością, że ktoś gdzieś marnuje długie godziny, nosząc jego paradne stroje. Nie miał ochoty zmuszać kogokolwiek do odgrywania przy nim tak poniżającej roli, bez względu na to jak mocno jest to osadzone w tutejszej tradycji.

Przy okazji pomogło mu to zdobyć opinię człowieka dziwnego. Oczywiście wszyscy już wiedzieli, że Dennis jest pochodzącym z odległych stron czarownikiem. Im więcej uda mu się złamać konwencji, myślał, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że będą usiłowali zmuszać go do naginania się do jakichś kolejnych miejscowych zwyczajów.

- Czarowniku!

Dennis odwrócił się i zobaczył, że Kremer kiwa do niego ręką, wzywając do siebie.

Obok barona stał diakon Hoss'k, ubrany w jaskrawoczerwone szaty, oraz tłumek miejscowych notabli. Dennis podszedł, jak tego po nim oczekiwano, i skłonił się Kremerowi z wystudiowaną uprzejmością.

- A więc to jest ten mag, który nam pokazał, jak się zużywa wino w... brandy. - Bogato odziany mężczyzna podniósł swój kieliszek w udawanym toaście. - Powiedz mi, czarowniku, czy skoro już znalazłeś sposób na udoskonalanie rzeczy jadalnych, nauczysz nas, w jaki sposób zmienić kukurydzę w befszytk z polędwicy?

Mężczyzna roześmiał się głośno do wtóru kilku chichotów stojących najbliżej niego osób. Wyraźnie miał już za sobą kilka udanych prób zaznajomienia się z pierwszym produktem Dennisa.

Baron Kremer uśmiechnął się lekko.

- Czarowniku, pozwól, że cię przedstawię Kappunowi Thsee, starszemu gildii kamieniarzy oraz deputowanemu do Rady przy naszym władcy, królu Hymielu.

Dennis skłonił leciutko głowę.

- Jestem zaszczycony.

Thsee odpowiedział kiwnięciem. Wypił reszkę brandy z kieliszka i skinął na służącego, żądając następnej porcji.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, czarowniku - powiedział.

Dennis nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Ci ludzie patrzyli na rzeczy w ściśle określony sposób i każde wyjaśnienie, jakie mógłby tutaj przedstawić, wiązało się z wprowadzeniem pojęć, których zrozumienie raczej przekraczało zdolności pojmowania coylińskich arystokratów. A poza tym w tej właśnie chwili do sali weszła księżniczka Linnora w towarzystwie służącej.

Tłum w pobliżu wejścia rozstał się przed nią. Gdy zatrzymywała się, żeby komuś skinąć głową lub coś powiedzieć, niemal nieodmiennie odpowiedzią był przesadnie uprzejmy, nerwowy uśmiech. Ludzie za jej plecami po prostu się na nią gapili. Błyszczała wśród tłumu jak gwiazda, zimna i niedostępna jak podobno cały górski lud, z którego się wywodziła.

- Obawiam się, że nie na tym to polega, mój drogi Thsee. Dennis odwrócił się szybko i stwierdził, że ta ostatnia uwaga, kończąca długą przerwę w rozmowie, została wypowiedziana przez Hoss'ka. Przez krótką chwilę uległ złudzeniu, że to profesor Marcel Flaster, w jakiś cudowny sposób nagle przeniesiony tu z Ziemi, rozpoczyna jeden ze swych niesławnych, napuszonych wykładów.

- Widzisz - kontynuował Hoss'k - czarownik wcale nie uzyskał brandy poprzez ulepszenie wina. Użył go po prostu w podobny sposób, jak kamieniarze używają kawałków krzemienia. On wytworzył brandy, nadając znanemu nam winu zupełnie nową treść.

Oczy Kappuna Thsee lśniły niezbyt umiejętnie skrywaną chciwością.

- Gildia, która uzyska licencję na tę sztukę... Baron Kremer roześmiał się głośno.

- A niby dlaczego ten nowy, wspaniały sekret miałby zostać przekazany którejś z istniejących gildii? Co, mój drogi przyjacielu, łupanie kamieni ma wspólnego z tworzeniem napoju, który smakuje jak płomień?

Kappun Thsee zmieszał się wyraźnie. Dennis starał się śledzić drogę Linnory przez salę.

Odwrócił się jednak szybko, gdy Kremer położył mu dłoń na ramieniu

- Nie, wielmożny Thsee - powiedział baron, ciągle się uśmiechając. - Nowe treści, ofiarowane nam przez naszego czarownika mogą zostać podzielone między istniejące gildie, ale z drugiej strony - być może każda z nich powinna posiadać gildię własną, odrębną. A któż lepiej by się nadawał na starszego takiej nowej gildii niż ten, który przyniósł nam te sekrety?

Jedna z kobiet krzyknęła cicho. Wszyscy pozostali zamarli w osłupieniu.

Przez chwilę panowała martwa cisza. Nagle Dennis bardzo precyzyjnie uświadomił sobie, co tutaj naprawdę się dzieje.

Kremer w sposób mistrzowski manipuluje tymi ludźmi! Machając im przed nosem możliwością dostępu do całego zestawu nowych „treści”, wykorzystuje w sposób doskonały zasadę marchewki i bata. Już wcześniej przeciągnął monopolistyczne gildie na swoją stronę. Ale teraz wszystkie będą tańczyły tak, jak on im zagra.

Jednocześnie Dennis zrozumiał, że Kremer właśnie ofiarował mu większe bogactwo i potęgę niż mógł dotychczas marzyć.

Zauważył, że nawet żywiłowy Hoss'k wyraźnie przygasł i spogląda na niego tak, jakby go widział w zupełnie nowym świetle - już nie jako swe osobiste, cenne odkrycie, ale jako potencjalnie niebezpiecznego rywala.

Taka sytuacja bardzo się Dennisowi podobała. Ten człowiek był bezpośrednim sprawcą uwięzienia go w tym zwariowanym świecie. Już od dawna obiecywał sobie, że da Hoss'kowi dobrą naukę.

Zauważył, że Linnora podeszła nieco bliżej, ale wyraźnie unika nadmiernego zbliżania się do miejsca, w którym stoi baron.

- Wasza Wysokość - powiedział, odwracając się w stronę Kremera - niektórym może się wydawać, że moja brandy jest tylko mocniejszym rodzajem dobrze znanego wina. Czy mogę przeprowadzić mały pokaz, który udowodni, że w rzeczywistości jest to coś zupełnie innego?

Kremer skinął głową, uśmiechając się lekko.

Dennis kazał sobie przynieść pełen kieliszek oraz mały stolik. Gdy jego życzenie zostało spełnione, postawił brandy na stoliku i sięgnął w głąb jednego z obszernych rękawów swojej koszuli, wyjmując stamtąd kilka małych patyczków, pokrytych z jednego końca powłoką kruchej pasty.

Spędził kilka dni, szukając materiałów, nadających się do przeprowadzenia tego pokazu, a potem je oczyszczając i przygotowując. Żywił nadzieję, że to, co ma zamiar za chwilę zrobić, przyczyni się do znacznego utrwalenia jego reputacji.

- Baron Kremer mówił o smaku płomienia. Ze sposobu, w jaki niektórzy z szanownych gości poruszają się po sali, wnoszę, że krew w ich żyłach nieco nadmiernie się już rozgrzała.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Rzeczywiście kilku miejskich notabli miało już dobrze w czubie. Stali się przez to łatwymi ofiarami w grze w rozdawanie podarunków. Ich służący uginali się pod naręczami wspaniałych, bardzo starych rzeczy, które zapewne poważnie przyczynią się do uszczuplenia zasobów finansowych nowych właścicieli.

Dennis zauważył, że Linnora stanęła przy pobliskiej kolumnie i również ma zamiar przyjrzeć się zapowiedzianemu pokazowi. Uśmiechnęła się, gdy wspomniał o nierozważnych gościach.

Zachęcony tym uśmiechem, ciągnął dalej.

- W porównaniu z tymi wspaniałymi podarunkami, jakie to dzisiaj zostały wymienione, ja, biedny czarownik, niewiele mogę zaoferować. Jednak dla barona Kremera mam w darze nową treść... treść ognia!

Uderzył dwa patyczki o siebie. Ich końce natychmiast stanęły w płomieniach.

Tłum jęknął i cofnął się z przestachem. To były dość prymitywne zapalki, dymiące i śmierdzące siarką i azotanami, ale dzięki temu pokaz był jeszcze bardziej widowiskowy. Dennis oglądał przyrządy, których tutaj używano do rozpalania ognia. Były dość wydajne, ale opierały się na prymitywnej zasadzie okręcanego w hubce patyka. Taka rzecz, jakiej dokonał przed chwilą - natychmiastowe uzyskanie płomienia - była tutaj nieosiągalna.

- A teraz - powiedział dramatycznym tonem, machając zapalkami dla wzmocnienia efektu - smak ognia!

Zbliżył jedną z zapalek do brandy w kieliszku. Na jej spotkanie wyskoczył migoczący, błękitny płomynek. Widzowie westchnęli, a potem zapadła długa cisza.

- Treść ognia... schwytana w napoju? - Dennis odwrócił się i zobaczył, że Hoss'k ma oczy okrągłe ze zdumienia.

- Wspaniały pokaz - powiedział Kremer zupełnie spokojnym głosem. - Zapewne opierał się on na podobnej zasadzie jak ta, dzięki której ziomkom naszego czarownika udaje się uwięzić w pudełkach te maleńkie zwierzęta. Jak widać, znaleźli również sposób na to, by schwycić ogień. To naprawdę godne podziwu.

- Ale... ale... - wyjąkał Hoss'k. - Ogień jest jedną z treści życia! Zgadzą się z tym nawet ci, którzy pozostali przy Starej Wierze. Pozostaje on wyłącznie we władzy bogów, którzy tworzą i udoskonalają ludzi! My potrafimy wyzwolić treść ognia z rzeczy, która niegdyś żyła... ale nie możemy jej uwięzić!

Dennis nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Hoss'k, zupełnie zbity z pantałyku, nerwowo

oblizywał wargi i ten widok dostarczył Dennisowi niemałej satysfakcji. Oto wreszcie choćby odrobinę odpłacił za to, co ten facet mu zrobił.

- Przecież to właśnie przed chwilą powiedziałem! - Kremer roześmiał się głośno. - Dennis Nuel potrafi schwytać w narzędziu każdą treść. Jakich cudów możemy oczekiwać, jeśli tylko zapewnimy mu naszą pełną pomoc?

Tłum potaknął posłusznie, ale Dennis czuł, że wszyscy są mocno przestraszeni. Na twarzach malowała się niepewność i jakby zabobonny lęk.

Dennis spojrział w lewo, ciągle podśmiewając się z miny Hoss'ka, i zobaczył Linnorę. Również ona była zaniepokojona i przestraszona, chyba nawet bardziej niż inni.

Księżniczka zaszczyciła Dennisa tylko jednym, ale za to miażdżącym spojrzeniem, potem odwróciła się i ruszyła ku wyjściu.

Teraz Dennis przypomniał sobie to, co Hoss'k powiedział o ludziach trwających przy Starej Wierze. Najwyraźniej małe przedstawienie, które im tutaj urządził, na nowo obudziło w Linnorze strach przed tymi, którzy bezwzględnie wykorzystują, pokrewną jej rasę. Czy istnieje cokolwiek, co mógłby zrobić, a co nie zostanie przez nią opacznie zrozumiane?

W tym momencie uświadomił sobie, że to Kremer podał taką, a nie inną interpretację tego, co tu się stało. Baron świadomie przedstawił jego działanie w świetle, które dawało mu pewność, że księżniczka wszystko zrozumie opacznie.

Dennis stwierdził ze smutkiem, że ten człowiek wyraźnie go przerasta. W żaden sposób nie zdoła stawić czoła takiemu artyzmowi w manipulowaniu ludźmi. Czy wobec tego ma jakieś inne wyjście poza współpracę?

Żywił tylko nadzieję, że pewnego dnia również Linnora to zrozumie.

*

Następnego ranka Dennis i Arth pojawili się przy aparacie destylacyjnym dość późno, z głowami wciąż ciężkimi po wczorajszym przyjęciu. Stwierdzili, że przydzieleni im do pomocy robotnicy również urządzili sobie uroczystość i to chyba bardziej huczną niż oficjalna, gdyż przy okazji poważnie uszkodzili destylator.

Teraz kulili się, przerażeni perspektywą czarnoksięskiego gniewu.

Dennis jednak tylko westchnął „Och, do diabła!” i zagonił ich do pracy przy naprawie szkód. Był nawet zadowolony znajdując dodatkowe zajęcie, dzięki któremu mógł oderwać się na chwilę od rozpamiętywania swojej sytuacji.

Niewątpliwie poczynił postępy w realizacji planu, zmierzającego do zdobycia wpływu na barona Kremera. Ciągłe uważał takie rozwiązanie za najlepsze - dla siebie, dla przyjaciół dla Linnory, a nawet dla mieszkańców tego kraju.

A jednak wydarzenia ostatniego wieczoru zostawiły w jego duszy niemiły osad. Starał się skoncentrować na pracy i nie myśleć o tym wszystkim.

Wczesnym popołudniem przed frontową bramą rozległo się granie rogu. Niemal natychmiast odpowiedziały mu trąbki z zamkowej wieży. Na dziedziniec wybiegli żołnierze, formując korytarz od bramy do zamku.

Dennis spojrzał pytającym wzrokiem na Artha, który tylko wzruszył ramionami. Mały złodziej, teraz przekwalifikowany na bimbrownika, również nie miał pojęcia, co się dzieje.

Z zamku wyszedł baron Kremer w otoczeniu swoich dworzan. Wszyscy byli paradnie ubrani - od patrzenia na ich błyszczące w promieniach słonecznych stroje niemal bolały oczy.

Zatrzymali się na podwyższeniu w połowie drogi przyglądając się, jak strażnicy otwierają bramę.

Na dziedziniec wjechał niewielki, konny oddział.

- To posłańcy od L'Toff - szepnął Arth z podnieceniem.

Już wcześniej powiedziano im, że ta grupa zbliża się do miasta. L'Toff przyjechali w poszukiwaniu swej zaginionej księżniczki, niewątpliwie podejrzewając, że znajduje się ona w rękach Kremera.

Dennis nie został zaproszony do komitetu powitalnego mimo niewątpliwych względów, jakimi ostatnio cieszył się u barona. Była to następna oznaka znakomitej intuicji Kremera, jego znajomości ludzkiej natury. Z pewnością wiedział, że we wszystkich sprawach, które wiązały się z księżniczką, Dennis nie jest osobą godną zaufania.

Dennis spojrzał na parapet drugiego piętra, po którym Linnora ostatnio często się przechadzała. Oczywiście teraz jej tam nie było. Zapewne podczas całej wizyty jej ziomków pozostanie w zamknięciu i pod czujną strażą.

Dennis podszedł do niskiego płotu, odgradzającego tę część dziedzińca, na której pracowali, i oparł stopę o jeden ze szczebli. Przyglądał się z ciekawością, jak posłowie przejechali wzdłuż szpaleru żołnierzy i zbliżyli się do podwyższenia i czekającego tam barona.

Było ich pięciu, wszyscy w miękkich płaszczach o przygaszonych kolorach. Dennisowi wydawali się zupełnie normalni, wyróżniali się jedynie brodami, niezbyt popularnymi wśród Coylian. Byli nieco szczuplejsi od mieszkańców Zuslik i od przybyszów z pomocy. Jechali, patrząc prosto przed siebie i całkowicie ignorując wrogie spojrzenia mijanych żołnierzy.

Zatrzymali się kilkanaście metrów od podwyższenia, zeskoczyli z koni i wzniesli dłonie, salutując baronowi.

Dennis widział twarz Kremera znacznie wyraźniej niż na wpół odwrócone twarze emisariuszy. Nie słyszał słów, ale odpowiedź barona była zupełnie oczywista. Wzniósł ręce bezradnym gestem i potrząsnął głową, uśmiechając się z niezbyt szczerą sympatią.

- Za chwilę pewnie powie, że jego zwiadowcy nie robią nic innego, tylko dniami i nocami poszukują ich księżniczki - powiedział Arth.

Rzeczywiście Kremer wskazał ręką żołnierzy oraz stojący w pobliżu oddział jeźdźców, potem podniósł ją w górę, ku cierpliwie krążącym ponad miastem szybowcom.

- Ci dwaj L'Toff po prawej wyraźnie mu nie wierzą - skomentował Arth. - Wyglądają tak, jakby chcieli roznieść ten zamek na kawałki, a jego właściciela na samym początku.

Siwobrody dowódca grupy posłów położył dłoń na ramieniu jednego ze swych towarzyszy, młodzieńca w ciemnobrązowej zbroi, starając się go uspokoić. Młody L'Toff wyrwał się i zaczął coś gniewnie do barona wykrzykiwać. Strażnicy w pobliżu poruszyli się niespokojnie, spoglądając na swego dowódcę jakby w oczekiwaniu na rozkaz do ataku.

Młodzieniec popatrzył na nich z wyraźną pogardą i splunął na ziemię.

Arth żuł źdźbło trawy w zamyśleniu.

- Słyszałem, że kiedyś L'Toff byli zdeklarowanymi pacyfistami - powiedział. - Jednak w ciągu ostatnich stu czy dwustu lat musieli, wbrew sobie i mimo opieki króla i starego księcia, nauczyć się walczyć. Ludzie mówią, że niektórzy z nich są tak dobrzy jak Królewscy Zwiadowcy.

Arth wskazał rozgniewanego, młodego L'Toff.

- Przez tego tam mogą mieć trudności w wyjechaniu stąd bez jakiejś rozróby.

Złodziej powiedział to wszystko takim tonem, jakby oceniał szansę koni na wyścigach. Dennis słyszał od kogoś, że jedną z ulubionych rozrywek tutejszych ludzi jest przyglądanie się, jak inni rąbią się na kawałki, i obstawianie zwycięzcy.

Baron nie podjął wyzwania, rzuconego mu przez młodego L'Toff. Uśmiechnął się natomiast i powiedział coś do jednego z doradców, który po chwili szybkim krokiem gdzieś się oddalił.

Kremer skinął ręką i służba wniosła tace z lekkim jedzeniem i napojami. Baron dyplomatycznie poczęstował się jako pierwszy. Wniesiono również krzesła dla wszystkich, strażnicy zaś cofnęli się, tworząc szeroką pustą przestrzeń między podwyższeniem a zamkowym murem.

L'Toff rozglądali się podejrzliwie, ale nie bardzo mogli odmówić. Usiedli nerwowo w pobliżu

swego gospodarza. Dennisowi wydawało się, że dostrzega w odwróconej teraz w jego stronę twarzy młodego, gniewnego L'Toff rodzinne podobieństwo do księżniczki.

Przez chwilę zastanawiał się, czy paranormalna wrażliwość Linnory poinformowała ją, że w odległości zaledwie kilkuset metrów znajdują się jej krewni. Dennis był przekonany, że Linnora rzeczywiście posiada tego typu talent. Ponad miesiąc temu zaprowadził on ją do zewatronu, nieszczęsnym zbiegiem okoliczności przyczyniając się pośrednio do jej uwięzienia. Jakiś czas później bezbłędnie wyczuła jego, Dennisa, obecność na ciemnym więziennym podwórku.

Niestety, ten talent nie uchronił jej przed uwierzeniem w pokrętną logikę wywodów Hoss'ka ani nie pomógł w roszyfrowaniu manipulatorskich zabiegów Kremera.

Dennis podejrzewał, że te wizjonerskie zdolności objawiały się tylko sporadycznie, zapewne nie były również zbyt rozpowszechnione, nawet wśród L'Toff. Kremer w każdym razie najwyraźniej się ich nie obawiał.

Nagle Arth chwycił Dennisa za ramię i wydał zduszony okrzyk. Dennis spojrzał w stronę, w którą wskazywał jego palec.

Od strony jednej z bram zamkowych kilku strażników ciągnęło opierającego się im więźnia. Raz po raz grupa przysłaniana była tumanami kurzu, wznoszonego przez przewracającego się żołnierza, gdyż więzień był bardzo duży i bardzo rozgniewany.

Nagle Dennis uświadomił sobie, że tym ciągniętym jest Mishwa Qan, olbrzym, którego siła odegrała kluczową rolę podczas ich ucieczki z więzienia. Mishwa ryczał obelgi i szarpał krępujące go więzy.

Jednak strażnicy zostali wyraźnie specjalnie dobrani i jakkolwiek nie byli równie potężni jak Mishwa, jednak niewiele mu ustępowali. Dennis zauważył swego starego znajomego, sierżanta Gil'ma, ciągnącego linę okręconą wokół szyi Mishwy.

Kremer powiedział coś do Hoss'ka. Diakon wystąpił przed siedzącymi, uklonił się i zaczął prezentować im jakieś przedmioty. Dennis zauważył, że pierwszym z nich jest jego obozowy, elektroniczny strażnik.

Podczas gdy L'Toff przyglądali się światełkom na ekraniku, Dennis zastanawiał się, jakie zmiany w funkcjonowaniu urządzenia zaszły od czasu, gdy je ostatni raz widział. Hoss'k wspomniął o codziennym jego zużywaniu, co musiało mieć jakiś wpływ na aparat.

Bez wątpienia Hoss'k tłumaczył teraz, że dzięki magicznemu pudełeczku wrogom będzie bardzo trudno podejść niezauważalnie pod mury miasta.

Potem uczony zademonstrował lunetę, wskazując różne obiekty w okolicy i instruując L'Toff jak należy się nim posługiwać. Po oderwaniu lunety od oka przywódca grupy poselskiej był wyraźnie wstrząśnięty.

Dennis poczuł, jak narasta w nim gniew, połączony z palącym wstydem. Mimo planu, który sobie opracował, mimo przyjętej z bardzo dobrych - jak mu się wydawało - powodów strategii, jego sympatia była w całości po stronie L'Toff.

Wcale mu się nie podobało, gdy Hoss'k odwrócił się i wskazał palcem prosto na niego. Kremer uśmiechnął się i lekko uklonił w jego stronę.

Dennis skrzywił się. Gdyby tylko znalazł jakiś sposób, żeby skomunikować się z L'Toff na osobności!

Do tej pory strażnicy zdołali już przyciągnąć Mishwę Qana w pobliże grupy, w której znajdował się baron i przywiązać go do wbitego w ziemię pala. Dennis zdołał już uświadomić sobie, że Kremer ma zamiar dokonać egzekucji Mishwy. W ciągu ostatniego tygodnia był świadkiem wielu podobnych wydarzeń i wiedział, że nic nie może na to poradzić. Również Arth wyraźnie zdawał sobie sprawę, co tu się szykuje, gdyż stał jak skamieniały, patrząc na Mishwę.

Jeden ze strażników, Gil'm, podszedł do swego wodza i skłonił się przed nim głęboko. Kremer wyjął coś spod szaty i wręczył Gil'mowi, który ponownie się skłonił, po czym poszedł z powrotem w stronę więźnia.

Dennis nagle wszystko zrozumiał.

- Nie! - krzyknął.

Gil'm przeszedł połowę drogi, dzielącej go od pala, do którego przywiązany był Mishwa, i zatrzymał się. Potężny złodziej, napinając mięśnie mocno związanych rąk, obrzucił go wrogim spojrzeniem i pełnym głosem, słyszalnym przez każdego na dziedzińcu, rzucił Gil'mowi wyzwanie, proponując walkę na dowolną broń, w której on, Mishwa, będzie miał zawiązane oczy.

Gil'm tylko się uśmiechnął i uniósł dłoń, trzymającą niewielki, czarny przedmiot.

Dennisa zalała fala niepohamowanej wściekłości.

- Nie! - wrzasnął dziko.

Przeskoczył przez niskie ogrodzenie i ze wszystkich sił pobiegł w stronę Gil'ma. Uskoczył przed kilkoma próbującymi go złapać strażnikami, potem przebił się przez kilku innych, którzy zagrodzili mu drogę, przewracając i depcząc jednego z nich. Siedzący na podwyższeniu odwrócili się w jego stronę, zaciekawieni gonitwą. W tym momencie osobisty strażnik Dennisa podciął mu z tym nogi styliskiem halabardy. Jednocześnie Gil'm wycelował igłowiec i pociągnął za spust.

W zamieszaniu tylko kilku ludzi rzeczywiście patrzyło na Mishwę w chwili, w której został uderzony przez chmurę lecących z wielką prędkością skrawków metalu. Jednak wszyscy usłyszeli eksplozję.

Dennis, walcząc z przykrywającymi go strażnikami, zdołał jednak unieść głowę na tyle, żeby zobaczyć okrwawiony kikut w miejscu, w którym stał przecięty teraz na pół słup egzekucyjny. W znajdującym się w pewnej odległości z tyłu drewnianym murze ziała wyrwa wielkości człowieka.

Igłowiec rzeczywiście musiał przejść bardzo intensywnie zużywanie. Gil'm wyszczerzył zęby i uniósł broń ku słońcu.

Dennis niemal zwymiotował z obrzydzenia. Czuł palący wstyd i wściekłość. Warczał i walił na oślep wszystkich wokół, ugryzł nawet jakąś dłoń, która znalazła się zbyt blisko jego twarzy. Potem nagle coś ciężkiego uderzyło go w tył głowy i wszystkie światła zgasły.

*

Linnora przyglądała się maleńkim, widocznym przez płytkę pudełka istotom, które ustawiły się w równe, uporządkowane rzędy. Te po prawej stronie poruszały się i zmieniały swoje pozycje bardzo szybko, wskakując na nowe miejsca z taką prędkością, że niemal nie mogła nadażyć za nimi oczyma. Każda grupa, znajdująca się trochę bardziej na lewo, była wolniejsza od poprzedniej. Przy krawędzi z lewej strony małe insekty były cierpliwe, poruszając się przemyślanymi posunięciami, z których każde, jak się jej zdawało, zajmowało im chyba pół dnia.

Małe pudełeczko miało wymiary nie przekraczające dwukrotnej długości jej kciuka. Z obu jego stron znajdowały się dwa rzemyki, z których jeden kończył się niewielkimi kawałeczkami metalu o jeszcze jej nie znanym przeznaczeniu.

Z pewnym wahaniem Linnora nacisnęła kilka małych guziczków, wystających w dolnej części pudełka, przez którą tańczące owady nie były widoczne. Za każdym razem, gdy dotykała któregoś guziczka, owady za szybką układały się w nowe wzory.

To było bardzo zabawne - chciała śmiać się i bawić, naciskając guziczki i obserwując błazeński taniec zwierzątek.

Nie. Odłożyła pudełko i cofnęła dłoń. Nie będzie przeprowadzała eksperymentów na żywych istotach. W każdym razie nie wcześniej niż będzie miała pełną świadomość tego, co robi, oraz tego, co chce przez swoje działanie osiągnąć. Była to jedna z najstarszych zasad Starej Wiary, przekazywana z pokolenia na pokolenie od najwcześniejszych lat istnienia L'Toff.

Tylko głębokie przekonanie, że owady muszą przebywać wewnątrz pudełka, żeby przetrwać, powstrzymywało ją przed stłuczeniem szybki i wypuszczeniem ich na wolność.

To, a także czająca się gdzieś w zakątku mózgu niepewność, czy one rzeczywiście zostały zniewolone.

Uporządkowane wzory zdawały się coś wyrażać... nie była to być może radość, ale jakby duma. Czuła, że w wytworzenie pudełeczka i umieszczenie w nim jego małych mieszkańców włożono

bardzo wiele pracy. Jeszcze miesiąc temu nie wyobrażała sobie nawet, że może istnieć coś równie skomplikowanego.

„Gdybym tylko mogła mieć pewność”, westchnęła cicho.

Diakon Hoss'k wytłumaczył wszystko w tak zwarty i logiczny sposób! Ziomkowie czarownika musieli posługiwać się? naprawdę bardzo okrutnymi metodami, żeby dokonać takie” cudów... szczególnie żeby utrwalić stan zużycia każdego z tych zadziwiających przedmiotów. Nie podlegająca zmianom doskonałość tych rzeczy kosztowała zapewne życie wielu L'Toff z kraju Dennisa Nuela.

Czy na pewno? Linnora potrząsnęła głową zupełnie zagubiona.

Czy to możliwe, żeby wszystkie zasady wytwarzania i zużywania mogły gdzie indziej tak bardzo różnić się od tych, do których oni przywykli?

Według Starej Wiary kiedyś, dawno temu, życie na Tatirze wyglądało zupełnie inaczej. W starożytnych czasach, przed upadkiem, doskonaleniu podlegało życie, a w martwych przedmiotach nie kryła się żadna moc.

Tak twierdziły stare opowieści.

Oparła łokcie na niewielkim stoliczku i ukryła twarz w dłoniach. Niewiele jej pozostało nadziei od dnia, w którym ludzie Hoss'ka wysypali się z lasu w pobliżu tajemniczego domku Dennisa Nuela. A teraz, gdy Kremer coraz gwałtowniej domaga się spełnienia swoich żądań, gdy grupa poszukiwawcza L'Toff odeszła bez nawiązania z nią jakiegokolwiek kontaktu, nawet ta resztką, która się jeszcze w niej kołatała, zaczyna się ulatniać, pozostawiając tylko rozpacz.

Gdyby tylko mogła uwierzyć czarownikowi! Gdyby tylko rzeczywiście okazał się takim człowiekiem, za jakiego początkowo go uważała! Jednak Dennis Nuel służy Kramerowi w zamian za wygodne życie w swych nowych, luksusowych komnatach, obsługiwany przez tę ładniutką służącą, udowadniając, że jest taki sam jak inni - chce wykorzystać rosnącą gwiazdę Kremera dla własnych, egoistycznych celów!

Otarła oczy, postanawiając już więcej nie płakać. Na stoliku przed nią maleńkie owady krążyły w swym tajemniczym tańcu, wirując po prawej stronie, ledwie pełznąc po lewej, odmierzając upływający czas.

*

Dennis obudził się, mając wrażenie, że jego ciało posłużyło muś jako pomoc w zużywaniu kijów baseballowych. Próbował się poruszyć, jednak początkowo zdołał jedynie niebacznie zakołysać się z boku na bok. Bolało go dosłownie wszystko. W końcu jakoś udało mu się przekręcić i powoli otworzyć oczy. No cóż, nie znajdował się już w luksusowych pomieszczeniach, z których przedtem korzystał. Ale również nie wtrącono go do lochu. Pokój, w którym przebywał, miał surowy,

prymitywny wygląd, charakterystyczny dla górnych kondygnacji zamku.

Przy drzwiach stali strażnicy - dwaj żołnierze z północy. Gdy zauważyli, że się obudził, jeden z nich wyszedł na korytarz i coś tam do kogoś powiedział.

Dennis usiadł na pryczy, pojękując głośno przy ostrzejszych ukłuciach bólu. Miał zupełnie suche gardło, sięgnął więc ku stojącemu przy łóżku chwiejnemu stoliczkowi i z glinianego dzbanka nalał sobie kubek wody. Wypił trochę, czując pieczenie rozciętych warg.

Odstawił kubek i opadł z powrotem na poduszkę, patrząc na przyglądających się mu strażników. Nie odezwał się do nich ani słowem i nie oczekiwał, że oni coś do niego powiedzą.

Z korytarza dobiegł odgłos ciężkich kroków. Potem drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wkroczył baron Kremer. Dennis zmrużył oczy, oślepiony jaskrawością jego stroju, błyszczącego we wlewających się przez drzwi promieniach słońca. Kremer przez chwilę przyglądał się Dennisowi w milczeniu.

- I co ja mam z tobą zrobić, czarowniku? - powiedział w końcu.

Dennis upił trochę wody z kubka i oblizał z ożywieniem piekące wargi.

- Tak, to prawdziwy problem, Wasza Wysokość. Zastanówmy się jednak chwilę. Myślę, że mógłbym zaproponować rozwiązanie. Co by pan powiedział na przykład na to: ja i moi przyjaciele, korzystając z pana szczerzej i jak najdalej idącej pomocy, niezwłocznie wracamy do naszych domów w pełnym zdrowiu zarówno fizycznym, jak i psychicznym?

W uśmiechu Kremera trudno się było dopatrzeć zachwyty.

- To rzeczywiście jest jakiś pomysł, czarowniku. Z drugiej jednak strony właśnie mi się przypomniało, że pałacowy oprawca narzeka ostatnio, iż jego zapasowe narzędzia niszczejną z braku zajęcia. Tylko dla podstawowego ich zestawu znalazła się przez ostatni miesiąc jakaś praca. Zarządzenie tej sytuacji również wydaje mi się dość kuszącym rozwiązaniem.

- Ma pan poważny dylemat - powiedział współczująco Dennis.

- To rzeczywiście jest trudny wybór. - Baron potrząsnął głową.

- Jestem pewien, że coś pan wymyśli.

- Naprawdę? Ach! Takie zaufanie ze strony czarownika bardzo podtrzymuje na duchu. Chyba jednak te dwa pomysły wzajemnie się wykluczają. Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś mi podrzucić jakiegoś trzeciego, kompromisowego rozwiązania. Wystarczy tylko zarys, rozumiesz.

Dennis skinął głową.

- Kompromis, hmmm... - Podrapał się po brodzie. - Coś pośredniego między jednym a drugim...

na przykład, ja szybko i z radością wykonuję pańskie polecenia, dostarczając wszystkiego, czego pan zapagnie, pan zaś w zamian zapewnia mi komfort w rozsądnych granicach i obsypuje mnie mniejszymi nagrodami oraz niejasnymi obietnicami wolności i potęgi?

Kremer uśmiechnął się szeroko.

- Zadziwiające rozwiązanie! Nic dziwnego, że wszyscy uważają cię za czarownika.

Dennis skromnie wzruszył ramionami.

- Och, to naprawdę nic wielkiego.

Kremer rozprostował palce, strzelając stawami.

- A więc postanowione. Masz jeszcze dwa dni na dokończenie pracy nad destylarnią i nauczanie mojej służby, jak ją używać. Potem rozpoczniesz prace nad rzeczami, mającymi większą praktyczną wartość, jak na przykład ta wspaniała, zabijająca z dużej odległości broń. Jeżeli, jak twierdzisz, w naszych stronach nie ma tych zwierzętek, które są niezbędne do jej działania, życzę sobie, żebyś wymyślił coś innego o podobnej wartości militarnej. Mam nadzieję, że zasady naszego kompromisu są zupełnie jasne?

Dennis skinął głową. Myślał intensywnie, poza tym miał na razie dość dowcipkowania, tym bardziej że wcale nie było ono aż tak pomocne.

- I jeszcze jedno, czarowniku. Jeśli kiedykolwiek w przyszłości zdarzy ci się jeszcze raz postawić mnie w tak nie zręcznej sytuacji przed obcymi albo jeśli w ogóle będziesz usiłował mi w czymś przeszkodzić, przekonasz się, że moi zamkowi oprawcy przygotowali dla ciebie coś naprawdę specjalnego. Twoja wczorajsza demonstracja nie może się powtórzyć. Czy mnie zrozumiałeś?

Dennis milczał. Spojrzał na wysokiego, jasnowłosego mężczyznę w jaskrawym stroju i leciutko skinął głową. Baron uśmiechnął się władczo.

- Będziesz tu szczęśliwy, Dennisie Nuelu - obiecał. - Po pewnym czasie - zapewne niezbyt długim, jeśli będziesz się dobrze sprawował - znowu wprowadzisz się do wygodniejszych pomieszczeń. Wtedy ty i ja ponownie będziemy mogli rozmawiać jak dżentelmeni. Z dużym zainteresowaniem dowiedziałbym się, w jaki sposób twoim ziomkom udało się wytłumaczyć krnąbrnym L'Toff, że powinni być posłuszni. Może księżniczka Linnora mogłaby nam posłużyć jako sprawdzian.

Uśmiechnął się szeroko, potem odwrócił się i wyszedł. Drzwi zatrzasnęły się i Dennis został sam na sam z jednym strażnikiem. Na długi czas zapanowała cisza, jedynie daleko z dołu dobiegały odległe okrzyki ćwiczących żołnierzy.

Ziemianin usiadł na pryczy. Niemal mógł sobie wyobrazić, jak zmienia się ona w prawie widoczny sposób, jak z każdą przeleżaną na niej chwilą staje się coraz lepszym i lepszym łóżkiem.

Logicznie rzecz ujmując, ciągle miał taki sam wybór jak przedtem, jedynie realizacja celu mogła się nieco odwlec. Był pewien, że po roku czy dwóch ustawicznego dokarmiania Kremera technicznymi cudeńkami zyskałby pełne zaufanie i wdzięczność, szczególnie gdyby wynalazł dla niego proch strzelniczy, umożliwiając w ten sposób łatwy podbój całej Coylii.

Potrząsnął głową, odrzucając taką możliwość. Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad tym specjalnie, ale teraz przyszło mu do głowy, że w każdym świecie do największych zbrodniarzy można by zaliczyć inżynierów, którzy ochoczo i w pełni świadomie wkładają narzędzia zagłady w ręce tyrana. Nie miał zamiaru, choćby się waliło i paliło, dawać Kremerowi prochu ani koła, ani sekretu wytopu metali, ani w ogóle czegokolwiek, co mogłoby być użyte do prowadzenia działań wojennych.

Więc co w tej sytuacji mógł zrobić, co mu pozostało? Tylko ucieczka. Musi znowu znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać.

*

Rozżarzone żelazne szczypcy zamknęły się na jego palcach. Powietrze wypełnił swąd palonej skóry, kurczącej się, czerniejącej i płatami odpadającej z jego dłoni.

Dennis jęknął. Poczł zimną, spryskującą mu twarz wilgoć. Otworzył oczy, oddychając ciężko.

Zobaczył pochyloną, pełną troski twarz Artha.

- Coś ci się śniło, Dennizz. To musiał być jakiś koszmar. Już wszystko w porządku?

Dennis skinął głową. Zapadł w poobiednią drzemkę, ułożywszy się wygodnie w pobliżu miejsca, w którym pracowali nad destylarnią. Teraz już zbliżał się zmierzch, wyraźnie widoczny w pogłębiających się cieniach pod zamkowymi murami.

- Tak, w porządku. Nic mi nie jest. - Słabo machnął ręką. Wstał i osuszył twarz ręcznikiem. Ciągle nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobił na nim ten koszmarny sen.

- Właśnie wróciłem z więzienia - powiedział Arth. - Uparłem się, że muszę osobiście wybrać facetów do obsługi naszego urządzenia.

Dennis skinął z zadowoleniem.

- I co, dowiedziałeś się czegoś? Arth potrząsnął głową.

- Nikt ich nie widział, ani Stiyunga, Gatha czy Maggin, ani też żadnego z moich chłopców, więc chyba po prostu nie zostali złapani.

Dennis szczerze się ucieszył. Być może Stiyungowi w końcu uda się dotrzeć do żony i syna. Myśląc o tym, się wyraźnie podniesiony na duchu.

- I jaki teraz mamy plan? - spytał Arth cicho, strażnicy nie mogli go usłyszeć. - Spróbujemy zrobić na następny balon? A może myślisz o czymś innym, jak ta piła która przecina mury?

*

Po obejrzeniu egzekucji przyjaciela Arth nie był już tak zachwycony życiem wewnątrz zamkowych murów. W tej chwili pragnął jedynie wydostać się stąd, znowu zobaczyć swoją żonę i jak najmocniej dopieć baronowi Kremerowi Spoglądał na Ziemianina z całkowitym zaufaniem.

Dennis bardzo pragnął podzielać to uczucie.

Gdy zapadł zmierzch, oddział żołnierzy wszedł na podwyższenie na dziedzińcu, na którym podczas dnia trzymany był igłowiec Dennisa. Pistolet chowano na noc, jednak poza tym niemal ciągle wystawiony był na działanie promieni słonecznych. Bez przerwy strzegło go przynajmniej sześciu strażników.

Dennis wykonał w pamięci kilka obliczeń. Igłowiec z pewnością zbliża się już do teoretycznej granicy wydolności tego typu broni. Bez względu na to, jak ostatnio stał się wydajny, może wyrzucać okruchy metalu tylko z taką energią, jaką przedtem udało mu się wchłonąć za pomocą niewielkiej baterii słonecznej.

To stanowiło jeszcze jeden powód do jak najszybszej ucieczki. Kremer wspomniał o zamiarze użycia igłowca do kruszenia murów atakowanych miast. Dennis nie bardzo chciał znajdować się w pobliżu w momencie, w którym baron stwierdzi, że śmiertelna broń może zostać udoskonalona tylko do pewnej granicy.

Uważnie przyglądał się strażnikom ostrożnie zabierającym igłowiec z małego solarium. Nie. Broń była strzeżona zbyt starannie. Z pewnością nie zdołałby jej odzyskać i przebić się z jej pomocą na wolność. Musi wymyślić jakiś inny sposób.

Zastanawiał się nad zbudowaniem wózka i zużyciem go tak żeby stał się pojazdem pancernym. Teoretycznie powinno być to możliwe. Ale prawdopodobnie trwałoby miesiące albo nawet lata, biorąc pod uwagę szybkość, z jaką rzeczy ulegały poprawie. W obecnych okolicznościach to rozwiązanie było zupełnie bezużyteczne.

Gdy zapadł zmierzch, Dennis przyglądał się ściąganiu latawców strażniczych. Dywizjon szybowców już jakiś czas temu zakończył loty treningowe i osiadł na ziemi.

Dennis jeszcze raz pomyślał o szopach, w których trzymano szybowce. Straż przy nich nie była zbyt mocna. Latanie tymi lekkoskrzydłymi maszynami wymagało długiego treningu i baron Kremer zakładał, że ma pod swoją kontrolą jedyny na świecie zespół wykwalifikowanych pilotów.

I miał rację. Dennis nigdy nie leciał nawet ziemskim szybowcem o sztywnych skrzydłach, nie wspominając nawet o tych zrodzonych z latawców konstrukcjach. Jednak miał za sobą kilka lekcji

pilotażu na jednosilnikowym samolocie sportowym. Przed znalezieniem się w tym świecie nosił się z mocnym postanowieniem dokończenia nauki i zdobycia licencji pilota.

Te dwa rodzaje latania nie mogą się aż tak bardzo różnić, prawda?

Tak czy inaczej oglądał mnóstwo filmów i przeprowadził wiele rozmów z szybownikami. Poza tym uczęszczał na wykłady z aerodynamiki. Zasady lotu robiły wrażenie bardzo prostych.

- Znalazłeś już sposób na niezauważalne wychodzenie ze swego pokoju? - spytał Artha.

- Oczywiście - prychnął mały złodziej. - Zamykają drzwi na zasuwę, ale faceta takiego jak ja nie można utrzymać w pomieszczeniu, które nie było używane jako cela więzienna.

- Szczególnie jeśli ma do pomocy trochę tego idealnego smaru.

Arth kiwnął głową. Mógł zbierać cieczerkę tylko wtedy, gdy był pewien, że nikt go nie obserwuje, więc nie miał jej zbyt dużo. Jednak nawet z niewielką ilością smaru można było zajechać bardzo daleko.

- Po zmierzchu mogę się zupełnie swobodnie poruszać po mniej używanych partiach zamku. Najtrudniej jest z murami zewnętrznymi, pełno tam niuchaczy, świateł i strażników. Mógłbym ukraść połowę rzeczy z sali bankietowej Kremera gdybym wiedział, że uda mi się przerzucić je na zewnątrz.

- Myślisz, że udałoby ci się wynieść coś stamtąd? - Dennis skinął w stronę szopy, w której nieco wcześniej piloci starannie składali swoje szybowce.

Arth spojrzał na Dennisa niespokojnie.

- Och, nie wiem. Te szybowce są trochę nieporęczne. - Zagryzł wargę. - Twoje pytanie jest... retoryczne... - starannie wymówił słowo, którego Dennis go nauczył - prawda? Nie ma nic wspólnego z pomysłem na ucieczkę, co?

- Obawiam się, Arth, że jednak ma.

Arth zadrżał.

- Tego się właśnie obawiałem. Dennisz, czy wiesz, ilu ludzi Kremer stracił, zanim skompletował załogi, które umieją posługiwać się tymi rzeczami? W dalszym ciągu ginie niemal połowa nowych pilotów. Rzeczywiście potrafisz poprowadzić taki szybowiec?

Pomoc Artha była Dennisowi niezbędna. Żeby ją sobie zapewnić, musiał wzbudzić w nim wiarę w swoje umiejętności.

- A jak uważasz? - spytał tonem, z którego biła pewność siebie.

Arth uśmiechnął się lekko.

- Tak, jasne. Tylko skończony idiota mógłby próbować wznieść się w powietrze jedną z tych rzeczy, na dodatek w ciemności i nie wiedząc, jak to się robi. Przepraszam Dennizz.

Dennisowi udało się zachować kamienną twarz. Położył dłoń na ramieniu Artha.

- Też tak myślę - powiedział. - Jak uważasz, jakie mamy szansę na ukrycie szybowca do czasu, aż będziemy go potrzebowali? Zdaje się, że ludzie Kremera nie bardzo wiedzą, co to jest spis kontrolny, jednak mimo to mogą zauważyć jego brak.

- To nie problem. - Arth wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Mój pokój jest zawalony górami materiałów do naszych eksperymentów, płócien, drewna. Służba dostała polecenie, żeby dawać nam wszystko, czego będziemy potrzebowali, pod warunkiem że nie jest to ostre albo wykonane z nietalu. Z łatwością mogę ukryć szybowiec u siebie.

- Chcesz, żebym ci pomógł, jak będziesz go wykradał?

Arth wzdrygnął się.

- Och, raczej nie, Dennizz. Pewne rzeczy lepiej zostawić fachowcom. Ty się poruszasz jak stogan, który szuka po zagrodzie swojej samicy. Nie chcę cię urazić, ale lepiej będzie, jeśli zrobię to sam. Ty już się o to nie martw.

- Więc dobrze. - Dennis spojrzał na ciemniejące szybko niebo. - Może dziś trochę wcześniej skończysz pracę, Arth? Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

- Co? Przecież dopiero... ach. - Arth skinął głową. - Chcesz, żebym to zrobił już dzisiaj. - Wzruszył ramionami. - Niby czemu nie? To znaczy, że jutro w nocy uciekamy?

- Tak, jutro albo pojutrze.

Dennis zdawał sobie sprawę, że ma bardzo mało czasu. Nie mógł już dłużej zwodzić Kremera.

- Dobra. - Arth przybrał sugerowany przez Dennisa wyraz twarzy i ziewnął rozziewającą w stronę strażników. Potem głośno powiedział: - Zdaje mi się, że przyszedł czas, żebym trochę popracował nad ulepszeniem mojej pryczy!

Trącił Dennisa łokciem i puścił do niego oko.

- Do zobaczenia rano, szefie! - A ciszej dodał: - Mam nadzieję.

- Powodzenia - powiedział Dennis półgłosem, gdy Arth, w towarzystwie swego strażnika, odszedł już parę kroków.

Dennis nie czuł się najlepiej, zlecając mu zadanie wiążące się z tak dużym ryzykiem. Jednak złodziej dobrze znał swój fach i na pewno z radością wykona wszystko, co jest związane z wykorzystaniem jego profesjonalnych umiejętności. Dennis uważał się za szczęśliwca, że może

zaliczać Artha do grona swoich tutejszych przyjaciół.

Z końcówki skraplacza stojącego obok urządzenia destyla cyjnego zaczął wyciekać niewielki strumyczek mocnego płynu. Jeżeli to się utrzyma, głównym zadaniem obsługi destylatora będzie proste jego doglądanie. Główną trudność stanowiło nauczenie tych ludzi prawidłowego wymieniaania przeznaczonej do destylacji mieszanki winnej.

Dennis stwierdził, że jego myśli wędrują ku górnym piętrům zamku. Teraz, gdy był skazany na rychłą ucieczkę nadszedł czas, żeby wreszcie wyraźnie określić postawę, jaką chciał przyjąć wobec księżniczki Linnory.

Jeśli rzeczywiście zamierzał coś dla niej zrobić, będzie musiał w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin w jakiś sposób porozumieć się z nią, odzyskać jej zaufanie i jakoś wyrwać ją spod kurateli strażników, żeby mogła zjawić się w umówionym czasie na szczycie zamkowej wieży.

To wszystko wydawało się niemal niewykonalne.

Żywił tylko nadzieję, że gdy wreszcie będą mogli porozmawiać, ona pozwoli mu się wytłumaczyć.

Obsługa destylatom tłoczyła się wokół skraplacza, obserwując powoli skapujące do butelki krople brandy.

Dennis chwycił na palce trochę płynu i powąchał. Wzdrygnął się gwałtownie czując, jak budzi się w nim tęsknota za butelką trzydziestoletniego Johny Walkera, prawdopodobnie ciągle stojącą w jego szafce w Instytucie Saharańskim.

Podstawił dłoń pod wylot skraplacza i chwycił jeszcze kilka kropel. Zlizał je z dłoni i niemal się zakrztusił. O tym bimbrze można było wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest słaby.

Zjawiła się wieczorna zmiana zużywaczy, zastępując tych, którzy pracowali w czasie dnia. I tak był już najwyższy czas na zmianę kociołka, więc kilkakrotnie przećwiczył tę czynność z coylliańskimi więźniami, aż nabrał pewności, że będą ją wykonywali prawidłowo.

Gdy wreszcie skończył, na niebie już zaczęły pojawiać się gwiazdy. Upewnił się jeszcze, że wszystko jest w porządku, i podniósł wiszącą na ogrodzeniu pelerynę.

- Chcę trochę rozprostować nogi - powiedział do strażników.

Żołnierze skłonili się lekko i podążyli za nim. Jakkolwiek jego przywileje zostały poważnie zredukowane, ciągle jednak, przynajmniej oficjalnie, był tu czymś w rodzaju gościa... a poza tym czarownikiem. Mógł się swobodnie poruszać po całym zamkowym dziedzińcu, pod warunkiem, że wszędzie towarzyszyli mu strażnicy.

Poszedł najdłuższą trasą, obok szop, w których trzymano szybowce, a potem wzdłuż głównej bramy. Gdy zbliżył się do tej części zamku, w której księżniczka Linnora miała swoją kwaterę, jego wątpliwości powróciły z nową siłą. Parapet każdego piętra otoczony był na skraju rzędem ostro zakończonych kołków, zużywanych każdego dnia przez grupy uzbrojonych w połcie mięsa żołnierzy. Ładowanie szybowcem na któryś z tych parapetów, a potem ponowny start wydawały się przedsięwzięciem równie niewykonalnym, jak wdrapanie się na górę po tych gładkich, błyszczących murach.

Czy powinien przyjmować i tak już ryzykowny plan, a potem zredukować do zera szansę jego powodzenia, podejmując próbę uwolnienia księżniczki? Czy to byłoby w porządku wobec Artha?

Skręcił za róg i poczuł, jak jego serce zaczyna, bić szybszym rytmem. W świetle migoczących lamp ściennych zobaczył smukłą, ubraną na biało dziewczynę, spoglądającą przez kraty trzy piętra wyżej. Księżniczka wpatrywała się w rozgwieżdżone niebo, wiatr targał jej powiewnym strojem. Dennis podszedł bliżej i zobaczył, że księżniczka się odwraca. Na balkon weszła jakaś druga osoba.

Dennis pochylił się, udając przed strażnikami, że poprawia sznurowadła, przekrzywił nieco głowę i dyskretnie spojrział w górę. Zobaczył barona Kremera, podchodzącego energicznie do księżniczki i zatrzymującego się tuż przed nią. W porównaniu z nim Linnora wydawała się maleńka i krucha.

Baron coś powiedział i dziewczyna potrząsnęła stanowczo głową. Próbowwała się odwrócić, ale chwycił ją za ramię znowu coś mówiąc, tym razem ostrzej. Dennis nie słyszał słów, ale łatwo mógł się domyślić tonu tej rozmowy.

Linnora chciała się wyrwać, ale Kremer zaśmiał się tyłu przyciągnął ją do siebie i nie zważając na jej opór, przycisnął do swej szerokiej piersi.

Jeden ze stojących za plecami Dennisa strażników zażartował grubo. Najwyraźniej żołnierze byli przekonani, że ich władca daje wyniosłej L'Toff poczuć smak tego, co i tak nieuchronnie ją czeka.

Dennis wsunął palce pod płócienną szarfę, służącą mu jako pas. Znajdowały się tam cztery starannie wybrane, gładkie kamienie. Niestety, nie miał dotychczas żadnej możliwości żeby chociaż trochę popracować nad swoją bronią. Jej jakość była dokładnie taka sama jak w chwili, w której ją zrobił. W sumie ta nowa proca nie była dużo lepsza od zaimprovizowanej za pomocą paska od spodni na pamiętnym, ostatnim przyjęciu w Instytucie.

A jednak zdążyłby chyba wystrzelić jeden czy dwa kamienie, zanim strażnicy by go dopadli. Poza tym Kremer stanowił taki znakomity, duży cel.

„Gdybym był postacią z Szekspira - pomyślał - pewnie uważałbym, że warto jest umrzeć w obronie niewieściej cnoty. A przynajmniej honoru”.

Opuścił ramiona z westchnieniem. Większość szekspirowskich bohaterów to byli afektowani

idioci. Nawet gdyby mu się udało powalić teraz Kremera, Linnora zyskałaby tylko chwilę oddechu. A on sam straciłby życie.

To była gra niewarta świeczki. Tym bardziej że być może przy odrobinie cierpliwości będzie w stanie całkowicie ją uwolnić. Gotów był ryzykować dla niej życie, ale nie w bezsensowny sposób je oddawać.

W górze rozległ się dźwięk dartej tkaniny.

Dennis odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na to, co się tam dzieje. Mógł przynajmniej, odchodząc stąd i zmuszając strażników do podążenia za sobą, oszczędzić dziewczynie publiczności, świadków jej upokorzenia. Z opuszczoną głową poszedł szybko przed siebie. Strażnicy chichotali, trzymając się w odległości kilku kroków za jego plecami.

Przeszedł kilkanaście metrów i nagle zauważył na niebie, ja południowej jego stronie, jakby przesuający się cień.

Coś przesłaniało gwiazdy na niewielkim obszarze, poruszając się przez ciemności nocy szybciej od chmury, miało też bardziej regularny kształt i powiększało się w miarę zbliżania. Wyteżył wzrok, ale światło lamp na murach uniemożliwiało dokładniejsze widzenie w ciemności.

Nagle jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Czy to możliwe...?

Z południowego krańca dziedzińca dobiegł nagły wrzask, który po chwili rozplątał się w wiele podnieconych okrzyków. Po chwili zostały one przytłumione przez ostry dźwięk dzwonu alarmowego. Z koszar zaczęli wysypywać się żołnierze, w pośpiechu nakładając na siebie przypadkowe części zbroi.

W światło migoczących na wieży pochodni wpłynęła z ciemności nocy ogromna kula. Miała dwoje wielkich, błyszczących i spoglądających gniewnie oczu. U dołu potężnej twarzy ziała paszcza, w której płonął ogień.

- Ha, ha! - Dennis podskoczył i machnął pięścią ponad głowę. - Kremer ich nie złapał! Zużyli mój balon i teraz on lata! Naprawdę lata!

Wielka kula materiału i rozgrzanego powietrza syczała i kołysała się nad zewnętrznym murem, powoli nabierając wysokości. Pod nią, w wyplatanej gondoli, poruszały się na tle płomieni niewyraźne ludzkie sylwetki.

Dennis odniósł wrażenie, że z balonem coś jest nie w porządku. Nie wznosił się tak szybko, jak by można się było spodziewać. A co gorsza, kierował się prosto na najwyższy z zamkowych budynków! Wyglądało na to, że może nawet zawadzić o jego szczyt!

- No dalej, chłopcy! - mruczał Dennis, podczas gdy jego strażnicy pokazywali sobie balon, spoglądając nań pełnymi trwogi oczyma. - W górę! W górę i uciekajcie stąd jak najszybciej!

I rzeczywiście balon zaczął się wznosić jakby trochę szybciej. Małeńkie twarze spoglądały z gondoli na dziedzinie w dole. Kilku żołnierzy rzuciło włóczniami i kamieniami, ale żaden z pocisków nie doleciał dostatecznie blisko, żeby zagrozić pełnemu majestatu, powietrznemu statkowi.

Dennis odwrócił się, żeby zobaczyć, jak na to wszystko reaguje Kremer. Wspaniale byłoby zakłócić jego niezachwiana dotąd pewność siebie.

Baron puścił Linnorę, która teraz kulila się pod murem rozmasowując ramiona i popłakując z cicha.

Jednak Kremer, w odróżnieniu od swoich ludzi, wcale nie sprawiał wrażenia przestraszonego. Przeciwnie - uśmiechał się szeroko, sięgając w głąb szaty.

- Och - powiedział Dennis, uzmysławiając sobie, co za chwilę może nastąpić. - Nie, tego mi, ty sukinsynu, nie zrobisz. - Pośpiesznie zaczął odwijać służącą mu za pas szarfę. Spojrzał przelotnie na kulących się w cieniu balonu strażników. W tym momencie rozległy się dwa głucho uderzenia, potem dwa rzucone z góry worki z piaskiem eksplodowały, obsypując strażników i zmuszając ich do ucieczki.

Starannie dobrane kamienie wypadły zza pasa prosto w nadstawioną dłoń. Dennis pobiegł w stronę pierwszego parapetu, rozprostowując szarfę i modląc się, żeby zdążyć na czas.

Kremer, dzięki Bogu, bawił się igłowcem, delektując się chwilą. Czekał, aż balon podleci do niego jeszcze odrobinę bliżej. Dennis zmierzył długość pasa, wrzucił kamień w złożenie i zaczął okręcać tę prowizoryczną procę nad głową.

Z wyjątkiem tego przypadku na przyjęciu nie używał procy od czasu obozów skautowskich. Gdyby tylko miał tu możliwość trochę nad nią popracować!

Kremer podniósł pistolet i starannie wymierzył w balon. W tej samej chwili Dennis wypuścił kamień.

Pocisk uderzył w zaostrzony kołek tuż przed baronem, odbił się z hałasem i poleciał w ciemność. Kremer odskoczył, wyraźnie zaskoczony. Przez chwilę rozglądał się nerwowo, potem zauważył Dennisa, stojącego w dole na oświetlonym dziedzińcu i przygotowującego się pośpiesznie do następnego strzału.

Baron uśmiechnął się i skierował igłowiec w dół, na Ziemianina. Dennis uświadomił sobie, między jednym uderzeniem serca a drugim, że ma zbyt mało czasu, by wypuścić następny kamień. Proca zatoczyła dopiero drugie koło nad jego głową, gdy Kremer nacisnął spust.

Chmura śmiertelnych okruchów metalu rozorała ziemię kilka metrów na prawo. Dennis zamrugał, szczerze zaskoczony tym, że jeszcze żyje. Jednak przyczyna tego stanu rzeczy była zupełnie oczywista. W barona uderzył sztorm jasnych włosów i paznokci, psując pierwszy strzał i zupełnie uniemożliwiając następne.

Dennis, trochę zdziwiony, jednak niezbyt jeszcze skłonny do rozmyślań nad swym szczęściem, kręcił nadal procą, wypatrując czystej sytuacji strzeleckiej. Nie mógł strzelić, gdyż bał się, że może trafić Linnorę. Księżniczka z furią atakowała Kremera, starając się odebrać mu pistolet.

Dennis poczuł, że jego ramię zaczyna się męczyć. Gdyby choć na chwilę się odsunęła!

Balon znajdował się dokładnie nad nimi, poruszając się dość szybko. Potrzebne było jeszcze może pół minuty, żeby wzniósł się na bezpieczną wysokość i rozplynął w ciemności...

Kremerowi udało się chwycić Linnorę za ramię i przewrócić ją na podłogę. Na jego twarzy widniały wyraźne ślady zadrapań i wreszcie zaczął sprawiać wrażenie zaniepokojonego. Spojrzał na Dennisa, jakby obiecując, że wkrótce nadejdzie jego kolej, potem podniósł igłowiec w stronę balonu.

Dennis zdawał sobie sprawę, że lada chwila zostanie powalony przez strażników. Słyszał szybko zbliżający się tupot ich nóg. Wypuścił kamień i wiedział, że zrobił to dokładnie we właściwym momencie.

Pocisk uderzył Kremera w lewą skroń i w tej samej chwili balon osiągnął zenit, a w plecy Dennisa uderzyło kilkaset funtów w postaci ciał strażników.

„Naprawdę powinienem zrezygnować z takich kontaktów z ludźmi” - pomyślał Dennis, gdy ziemia podnosiła się na spotkanie jego twarzy.

VIII. EUREKAARRG!

To robiło się już naprawdę nudne - te przebudzenia bez wiedzy, gdzie się jest, i z uczuciem, że zostało się przed chwilą wyciągnięty z zsypu na śmiecie.

Nawet bez otwierania oczu Dennis mógł się zorientować, że znowu znalazł się w lochach. Ostre żdźbła słomy wbijały mu się w nagie plecy, nie czuł ich jedynie w miejscach, w których bandaże okrywały poważniejsze skaleczenia i stłuczenia.

Jednak ktoś zdecydował się utrzymać go na razie przy życiu. To już było coś.

I jeszcze jedno. Pomimo znacznie poważniejszych obrażeń - a tym razem musieli nieźle nad nim popracować - Dennis miał dużo lepsze samopoczucie niż przy okazji innych pobić, których doznał tutaj na Tatirze. Tym razem przynajmniej nieco się odgryzł. Wspomnienie barona Kremera, walącego się niczym ścięte drzewo, działało jak dobry środek przeciwbólowy.

Zadrzał z zimna i krzywiąc się, powoli usiadł. Starannie przyjrzał się swemu ciału, nabierając pewności, że nic nie zostało poważnie i na trwałe uszkodzone.

„Na razie” - pomyślał.

Przejmująco wilgotnym korytarzem niosły się niewyraźne, miękkie uderzenia - jakby ktoś coś ciał bardzo ostrym narzędziem. Być może to kat doskonalił swój topór.

*

Płynął czas, odmierzany jedynie niezbyt częstymi posiłkami, wciąż nowymi myślami i wrzaskami jakiegoś biedaka gdzieś w głębi lochu.

Nieco z tego czasu Dennis poświęcił na oględziny swoich bandażów, które wyglądały tak, jakby nigdy nie trzeba było ich zmieniać. Łatwo przepuszczały powietrze, pozostawały wciąż czyste i właściwie w ogóle ich nie czuł. Oczywiście, uświadomił sobie, zapewne były długo i intensywnie używane. Niewątpliwie w czasie pokoju baron zapewnia swoim ludziom bezpłatną opiekę medyczną, żeby po wybuchu wojny materiały opatrunkowe były jak najlepszej jakości. Zapewne w tutejszym, zamkowym szpitalu są takie, które liczą sobie setki lat.

To była bardzo interesująca myśl.

Bandaże koniecznie powinny się znaleźć pośród tych rzeczy, które zabierze ze sobą do domu, na Ziemię. Oczywiście, jeśli kiedykolwiek będzie miał szansę tam wrócić. Nie diamentowe narzędzia ani dzieła sztuki, które prawdopodobnie stracą wartość, gdy znajdą się poza zasięgiem działania Efektu Zużycia, ale rzeczy nadające się do zbadania, a następnie skopiowania przez ziemskich „czarowników”.

Leżąc na pryczy, w ciemnościach układał listę przedmiotów, które powinien zabrać ze sobą. Dla zabicia czasu zastanawiał się nad sposobem, w jaki przedstawi swoje doświadczenia ziemskim niedowiarkom.

Doszedł do wniosku, że jeśli kiedykolwiek uda mu się uciec z tego lochu, jakoś naprawić zewatron i wrócić do domu, lepiej żeby miał ze sobą trochę przekonujących dowodów rzeczowych. Inaczej nikt mu nie uwierzy.

*

Karmili go rzadką zupką, podawaną z nieprzesadną częstotliwością. Dennis stracił rachubę czasu. Po upływie doby, a przynajmniej tak mu się zdawało, umilkły dobiegające z głębi korytarza wrzaski. Jednak potem chyba znaleziono jakiegoś innego nieszczęśnika, na którym kontynuowano używanie tutejszych specjalistycznych narzędzi.

Dennis usiłował przeprowadzać w głowie obliczenia matematyczne, przywoływał zakurzone wspomnienia, przysłuchiwał się intensywnie zamkniętemu światu wokół. Czepiał się wszystkiego, co mogłoby nieco złamać monotonię upływających godzin.

W pewnej chwili usłyszał dobiegającą z korytarza, podnieconą rozmowę strażników więziennych.

- ...najpierw tutaj, potem wysoko na wieży, potem na dziedzińcu, a w końcu znowu tutaj! I nikt nie wie, co to jest!

- A co to może być? - powiedział drugi głos. - To jest potwór, ot co! Pomiot tego wielkiego demona, który powalił naszego barona cztery dni temu. Mówię ci, że trzymanie pod dachem czarowników i L'Toff zawsze sprowadza tylko sam nieszczęście. Już nie mogę się doczekać, kiedy baron dojdzie do sił...

Głosy umilkły w głębi korytarza.

Dennis wstał z trudem i przywarł do krat maleńkiego otworu w drzwiach swojej celi.

- Straż! - zawołał. - Straż! Powiedzieliście, że Kremer żyje?

Poprzednio strażnicy nie odpowiadali na żadne z jego pytań, jednak ta para wydawała mu się trochę inna niż pozostałe. Być może byli to jacyś nowi, którzy niedawno rozpoczęli na zasadzie rotacji służbę w lochach.

Spojrzeli po sobie, ledwie widoczni w migającym świetle pochodni na ścianie. Jeden z nich wzruszył ramionami i wyszczerzył w uśmiechu pniaki rzadkich zębów.

- Tak, czarowniku. Ale nie dzięki demonowi, którego przywołałaś, żeby zrzucił kamienie na

Jego Wysokość. Za kilka dni baron Kremer będzie już zdrow i na chodzie. Do tego czasu wszystkim kieruje tu Lord Hern.

Dennis skinął głową. A więc to tak. Zrozumiał, że ci jaskiniowcy nie mają pojęcia o czymś takim jak proca. Tylko cud mógł sprawić, że znali łuk i strzały. Prawdopodobnie jedynie Kremer dokładnie wiedział, skąd wziął się kamień, który go ugodził.

Wszyscy pozostali dość słusznie obarczali Dennisa winą za stan, w jakim baron się znalazł, jednak z zupełnie błędnych powodów. Uważali, że posłużył się środkami metafizycznymi. Nic mu nie zrobią do czasu, aż Kremer sam zdecyduje o jego dalszym losie.

Dennis nie miał wątpliwości, że jednym z elementów wyroku będzie długa wizyta u specjalistów w sali tortur.

Przeciągnął dłonią po szczecinie na twarzy i spytał strażników, czy mogłby dostać jakieś ostrze do golenia.

Uśmiechnęli się do siebie, jakby dokładnie wiedzieli, co naprawdę z tym ostrzem zamierza zrobić.

- Nie, czarowniku - powiedział ten z zębami jak pniaki, się uśmiechając. - Nawet lord Hern nie przepuściłby niezdarom, którzy przez głupotę pomogli więźniowi w ucieczce. - Wiesz, co ci jednak powiem? - odezwał się drugi. - Jeśli obiecasz, że ochronisz nas przed tym diabelskim pomiotem, który wypuściłeś na zamek, damy ci trochę brandy - wypowiedział to słowo ściszym głosem i z nabożną starannością - Mam przyjaciela przy tej destylarni, który mi jej trochę podrzucił.

Podniósł do góry butelkę, w której coś chlupotało. Nalał trochę do wyciągniętego skądś kubka i precyzyjnie przecisnął go między kratami.

Dennis wzruszył ramionami, przyjmując kubek. Nie miał pojęcia, o czym ten strażnik mówi. Diabelski pomiot? To brzmiało jak jakiś przesądny nonsens.

Upił łyk wspaniale ohydneho trunku. Gdy ogień spłynął w dół, rozgrzewając żołądek, spytał strażników o Artha.

Powiedzieli, że mały złodziej został postawiony na czele grupy obsługującej bimbrownię. Dennis podejrzewał, że ta brandy pochodzi właśnie od niego i że Arth przekupił strażników, żeby przekazali mu całą butelkę.

Następny łyk straszliwego napitku wywołał atak gwałtownego kaszlu, jednak Dennis postanowił, że kiedyś się za to Arthowi odwdzięczy.

O Linnorze strażnicy nic nie wiedzieli. Wspomnienie księżniczki L'Toff wyraźnie ich spłoszyło. Nagle stwierdzili, że czekają na nich ważne obowiązki gdzie indziej, i odeszli, wykonując dłońmi nieznaczące, odczyniające zło gesty.

Dennis westchnął i wrócił do zarzuconej słomą pryczy. Przynajmniej ona, w miarę upływu spędzonych na niej godzin, stawała się coraz bardziej wygodna.

Zajął się zużywaniem niewielkiego kamyka, usiłując przetworzyć go w dłuto do obluzowania głązów w ścianie celi. Jednak zdawał sobie sprawę, że naprawdę udoskonala jedynie to więzienie. Kamyk z pewnością nie był tak dobry jak dłuto, jak ściana jako ściana. Bez wątplenia w tym świecie to historia znana i wielokrotnie powtarzana. Jeśli nie uda mu się wymyślić czegoś niezwykłego, naprawdę znajdzie się w kropce.

*

Obudził się gwałtownie ze snu o potworach.

Zamrugał w ciemnościach, przerażony obrazami, które wciąż nie chciały zniknąć z jego wyobraźni... skradającymi się sylwetkami, uzbrojonymi w ostre, połyskujące złowieszczo pazury. Jeszcze długą chwilę po przebudzeniu czuł w sercu niemiły ucisk.

Po chwili odniósł wrażenie, że z ciemności dobiega jakiś dźwięk, jakby delikatne skrobanie. Nie uwierzył w nie, mówiąc sobie, że to pozostałość koszmarne snu.

Po chwili jednak dźwięk uległ zmianie i stał się miękkim sykiem.

Dennis potrząsnął głową, żeby uwolnić się od oplatającej mu umysł pajęczyny. W ciemnościach odwrócił głowę i zamarł. W jednym z dolnych rogów drzwi do jego celi pojawił się ognisty punkcik, jaskrawa iskra, wyraźnie widoczna w niemal idealnej czerni.

Iskra wspinała się powoli, pozostawiając za sobą płomienną linię. Doszła w ten sposób do wysokości nieco przekraczającej pół metra. Potem skręciła w prawo. Przez jej wyżarzony ślad wpadało przytłumione światło z korytarza.

Dennis cofnął się, nagle przypominając sobie to, co strażnicy mówili o grasującym w zamku „diabelskim pomioście”. Uważali, że to jego robota, ale przecież w rzeczywistości nie miał i nie ma nic wspólnego z demonami. Coś jednak wycinało sobie drogę do jego celi i nie mógłby powiedzieć, że mu się to podoba!

Wypalona linia znowu skręciła o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, powoli spływając w stronę podłogi. Dennis ścisnął w dłoni zaostrzony kamyk. Patrzył, jak wycięty fragment przewraca się, tworząc w drzwiach prostokątny otwór tuż nad podłogą.

Chciał krzyknąć, przywołać strażników - albo kogokolwiek - ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Przez chwilę otwór pozostawał pusty. Potem coś go przysłoniło, coś, co miało dwoje wielkich, czerwonych oczu - zbyt dużych, żeby mogły należeć do istoty naturalnej. Przez chwilę te oczy

błyszczały nieruchomo, patrząc wprost na niego.

Potem wyposażona w nie istota zaczęła powoli wciskać się do celi.

Dennis, na wpół zagłodzony, z mięśniami wciąż jeszcze odrętwiałymi od snu wcale nie czuł się zwarty i gotowy do walki. Gdy świergoczący z cicha potwór podpełzał powoli ku niemu, wbrew swej woli zacisnął powieki i wstrzymał oddech udając, że go tu nie ma.

Potwór zatrzymał się. Dennis czuł jego bliskość, słyszał ciche, powolne mamrotanie.

Czekał. Potem płuca zaczęły go palić z braku powietrza. Nie mógł już wstrzymywać oddechu ani chwili dłużej. Otworzył jedno oko, przygotowany na każdy widok...

...i wypuścił powietrze w długim westchnieniu.

- O Boże...

Przed nim, na zimnej, kamiennej podłodze czekał cierpliwie mały robot zwiadowczy Instytutu Saharańskiego. Przycupnął spokojnie, cicho bucząc czujnikami, gotowy wreszcie wypełnić otrzymane polecenie - zdać sprawozdanie.

Nawet w tak niewyraźnym świetle Dennis zauważył, że robot się zmienił. Stał się nieco niższy, mniej kanciasty, na jego plecach pojawiły się maskujące kolory. Stał się bardziej... zużyty... lepiej przystosował się do zadania, które polecono mu spełnić. Ostatnia instrukcja, którą otrzymał, pośpiesznie wykrzyczana przez Dennisa kilka tygodni temu, nakazywała mu po wypełnieniu głównego zadania zgłosić się i złożyć sprawozdanie. W obecnych okolicznościach żaden z ziemskich robotów nie byłby w stanie jej zrealizować. Jednak, jak widać, ten robot nie był już całkowicie „ziemski”.

Najwyraźniej podążał śladem Dennisa od tamtego spotkania na dachach Zuslik, cierpliwie, jedna po drugiej, pokonując wszystkie przeszkody.

Jak to jednak było możliwe? Żeby narzędzie mogło skorzystać z dobrodziejstw Efektu Zużycia, musi się nim ktoś posługiwać, prawda? Czy można powiedzieć, że on, Dennis był użytkownikiem robota znajdującego się poza zasięgiem jego wzroku i myśli?

Niemal całkowicie burzyło to jego teorię, twierdzącą, że Efekt Zużycia jest przynajmniej w części wywołany siłami parapsychicznymi tutejszych ludzi.

Potem sobie przypomniał. Podczas ostatniego spotkania robot nie był sam, rzeczywiście towarzyszyła mu żywa istota - ktoś, kto uwielbiał obserwować narzędzia podczas ich użytkowania, im bardziej skomplikowane, tym lepiej.

- Wejść wreszcie, Choch - szepnął. - Wszystko zostało wybaczone.

W prostokątnym otworze w drzwiach pojawiły się dwa jasne, zielone punkciki. Zamrugały i po

chwili dołączył do nich szeroki, ostrożny uśmiech.

Niewielki zwierzak odbił się od podłogi i poszybował nisko, lądując na kolanach Dennisa. Mruczał i mościł się, jakby je opuścił zaledwie kilka godzin temu.

Dennis siedział nieruchomo, głaszcząc futerko chochlaka i słuchając cichego buczenia robota. Niespodziewanie jego oczy wypełniły się łzami. To było zbyt piękne - znowu mieć przy sobie przyjaciół po tak długim czasie w ciemnej samotności...

*

W korytarzu znalazł jednego ze strażników, leżącego bez przytomności obok swojej ławki. Zdjął z niego ubranie i wrzucił go, związanego i zakneblowanego, do swej celi. Udało mu się jakoś umocować na dawnym miejscu wycięty kawałek drzwi, dość prowizorycznie, ale najlepiej jak mógł w obecnych warunkach.

Na ławce strażnika stała miska zupy z opartym o nią kawałkiem chleba. Dennis pożarł łąpczywie ten najbardziej obfity od długiego czasu posiłek, jednocześnie wciągając na siebie zdobyczne ubranie - nieco za ciasne w ramionach i zbyt luźne w pasie. Kiedy uporał się z tym wszystkim, chochlak wskoczył mu na ramię, zajmując swoje dawne miejsce i po dawnemu szczerząc do wszystkiego zęby.

W oryginalnym wyposażeniu robota znajdował się niewielki pistolet ogłuszający, pomyślany jako pomoc przy chwytności próbek życia zwierzęcego. Niewątpliwie robot udoskonalił go, wielokrotnie używając i teraz był w stanie ogłuszyć każdego, kto stał między nim a spełnieniem wyznaczonego mu zadania. Ta zdolność może się okazać bardzo pomocna w ciągu najbliższej godziny.

Dennis ukląkł i zaczął mówić do maszyny powoli i starannie:

- Nowe instrukcje. Notuj. - Robot zafurkotał w odpowiedzi.

- Masz mi teraz towarzyszyć i pozbawić przytomności każdego, kogo wskażę w ten sposób. - Pokazał, odciągając kciuk i imitując strzał z pistoletu. Było to dość skomplikowane, ale Dennis zakładał, że maszyna stała się już dostatecznie sprawna, żeby wszystko właściwie zrozumieć.

- Potwierdź, czy zrozumiałeś i czy jesteś w stanie wypełnić to polecenie.

Zielone światełko na szczycie robota mrugnęło dwa razy. Jak na razie wszystko szło dobrze.

- Polecenie drugorzędne. Jeżeli zostaniemy rozdzieleni, masz chronić swoje istnienie i zrobić wszystko, co będzie potrzebne, żeby mnie znowu odnaleźć.

Światełko ponownie mrugnęło.

- Wreszcie - szepnął - jeśli stwierdzisz, że jestem martwy, albo w każdym przypadku po upływie trzech miesięcy, wrócisz do zewatronu i będziesz obok niego czekał na przybycie kogoś z Ziemi. Jeżeli ktoś taki się zjawi, zdasz mu sprawozdanie z tego, co zaobserwowałeś.

Robot potwierdził. Potem na jego małym ekraniku pojawiła się prośba o pozwolenie na rozpoczęcie encyklopedycznego sprawozdania na temat mieszkańców Tatiru. Wyraźnie czekał z niecierpliwością na okazję do wywiązania się ze zleconych mu poprzednio obowiązków.

- Jeszcze nie teraz - odpowiedział Dennis. – Najpierw musimy się stąd wydostać. Muszę również uratować dwoi przyjaciół. A przynajmniej jednego przyjaciela oraz osobę, o której bardzo chciałbym myśleć jako o przyjacielu... Zdał sobie sprawę, że zaczyna pleść bzdury. Nadzieja była dobrodziejstwem ze skutkami ubocznymi. Stwierdził, że znowu jest zdolny do odczuwania niepokoju.

- Dobrze. Wszyscy gotowi? - Jego dwaj mali towarzysze nie sprawiali wrażenia armii, z którą można ruszyć na podbój tej fortecy. Chochlak prawdopodobnie ucieknie przy pierwszej oznace jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

Dennis wygładził na sobie mundur strażnika, opuścił hełm niżej na oczy, potem ruszył naprzód.

Nie musiał pomagać robotowi nawet przy wejściu na schody. Ta maszyna rzeczywiście zaczęła mieć niemal cudowne zdolności.

„Muszę ją zabrać na Ziemię, gdy to wszystko się skończy, i dokładnie zbadać, co się z nią stało! - pomyślał.

*

Księżniczka Linnora nie miała wielkiego wyboru - musiała w końcu zacząć korzystać z niektórych ze zgromadzonych w jej pokoju wspaniałych przedmiotów.

Usiadła przy bardzo starej toalecie i spojrzała na swoje odbicie w liczącym setki lat lustrze. Nie chciała pomagać w doskonaleniu rzeczy należących do człowieka, który ją więził, ale tak niewiele miała tutaj, w tym eleganckim pokoju, zajęć. Stwierdziła, że szczotkowanie włosów jest zupełnie dobrym sposobem zabijania czasu.

Poprzednio ten pokój był zajmowany przez jedną z metres barona. Gust tej wiejskiej dziewczyny odcisnął się ciężkim piętnem na jego wyglądzie. Po miesiącu uwięzienia Linnora miała już dość jaskrawych kolorów i przesadnych dekoracji. Usunęła najbardziej krzykliwe z nich i skoncentrowała się na swym własnym wyobrażeniu tego pokoju.

Używanie niewielkiej części mocy, żeby uczynić to więzienie nieco bardziej znośnym, było dla niej jakby formą obrony. Kremer wyraźnie chciał ją złamać metodą małych kroków. I Linnora wcale nie była pewna, czy potrafi temu zapobiec. Był człowiekiem o bardzo silnej woli, poza tym trzymał w swych rękach jej życie.

Podniosła wspaniałą, antyczną szczotkę i przeciągnęła nią po włosach, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze i próbując wymyślić jakiś sposób na obronienie się przed zalotami Kremera, gdy wreszcie wstanie z łóżka, a gdyby jej się to udało - na zapobieżenie sytuacji, w której zostałaby użyta przeciw własnemu ludowi jako zakładniczka.

Skoncentrowała się na widzeniu w lustrze Prawdy. Była to taka drobna zemsta. Następne osoby, które będą się w nim przeglądać, zobaczą więcej niż tylko przelotne odbicia swych postaci.

Patrzyła na młodą kobietę, która popełniała błędy. Od tego dnia, w którym odjechała samotnie na poszukiwanie tej dziwnej rzeczy, która, jak wyczuła, pojawiła się w ich świecie - od tego dnia, w którym została schwytana przez ludzi barona Kremera - popełniła mnóstwo błędów.

Przypomniła sobie, jakim wzrokiem patrzył na nią Dennis Nuel w czasie, który upłynął między przyjęciem a pojawieniem się powietrznego potwora. Została przekonana logicznym wywodem diakona Hoss'ka, uwierzyła, że czarownik jest złym człowiekiem. Ale być może do kogoś, kto przybył z tak daleka, należy stosować inną logikę niż ta najbardziej oczywista?

A jeżeli istnieją inne sposoby na tworzenie rzeczy nie podlegających rozkładowi niż zamykanie w nich ludzkiej energii życiowej?

Czy zły człowiek mógłby walczyć w ten sposób w jej obronie?

Tej nocy, gdy pojawił się powietrzny potwór, czarownik zaatakował Kremera. Linnora wciąż nie bardzo mogła zrozumieć, co naprawdę się stało. Czy Dennis Nuel przyzwał latającą, ognistą bestię widząc, co się dzieje na balkonie kilka pięter wyżej? Chciałaby uwierzyć, że tak właśnie było, ale w takim razie dlaczego czarownik musiał ciskać kamieniami, żeby wreszcie powalić Kremera? I dlaczego potwór odleciał pozwalając, żeby strażnicy schwytali jego pana?

Odłożyła szczotkę, potrząsając głową do swego odbicia w lustrze. Prawdopodobnie nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. Strażnicy sprzed jej drzwi powiedzieli, że Nuel jest w ciemnicy i że właściwie można go już uważać za martwego.

Ujęła klasmodion i zaczęła bezmyślnie potrącać struny, wyzwalając pojedyncze, nie łączące się w żadną całość nuty. Nie bardzo była w nastroju do śpiewu.

W wieczornej ciszy pałacu było jakieś napięcie, jakby miało się coś wydarzyć. W ciemności nocy wisiało niebezpieczeństwo, coraz silniejsze i bardziej realne! Przestała grać, wyęzając zmysły.

Zza drzwi jej pokoju dobiegł dziwny, wysoki dźwięk. Potem coś upadło ciężko na podłogę korytarza. Linnora podniosła się. Odłożyła instrument, z powrotem biorąc szczotkę do włosów, jedyny pod ręką przedmiot wystarczająco ciężki, żeby mógł służyć jako broń.

Chwilę później rozległo się ciche pukanie do drzwi. Linnora cofnęła się w cień. Przed drzwiami stał ktoś znajomy - miała to samo niejasne uczucie jak tydzień temu, gdy wiedziała, że Proll, jej brat, znajduje się gdzieś w pobliżu.

Jednak w korytarzu znajdowało się również coś innego - coś tak obcego, że przyprawiało o dreszcze.

- Kto tam? - Chciała, żeby jej głos brzmiał pewnie i dostojnie, jednak niezbyt się to udało. - Kto tam jest?

- To ja, księżniczko - szepnął ochryple głos w korytarzu - Dennis Nuel! Przyszedłem, żeby ci zaproponować ucieczkę stąd, jeśli cię to interesuje. Musimy się jednak pośpieszyć!

Linnora podbiegła do drzwi i otworzyła je.

Smród niemytego męskiego ciała niemal zwałił ją z nóg. Dennis Nuel, niesamowicie brudny, posiniaczony i zarośnięty, uśmiechnął się do niej, ściskając w dłoni fałdy zbyt obfitego w pasie munduru strażnika.

Ten widok wystarczył aż nadto, żeby poczuła się zaskoczona. Jednak zmartwiała, gdy zobaczyła to, co stało w korytarzu za plecami Nuela.

Szczotka do włosów upadła ze szczękiem na podłogę i Linnora zaczęła się osuwać, omdlała, w ślad za nią.

No cóż - pomyślał Dennis, łapiąc ją w pół drogi - nie można chyba oczekiwać bardziej schlebiającego męskiej dumie powitania. Chciałbym mieć pewność, że to nagła wdzięczność pozbawiła ją zmysłów, a nie mój odór”.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jest ogromnym wyzwaniem dla zmysłów żyjącego w normalnych warunkach człowieka. Jego siniaki miały wciąż barwę purpury i od dwóch tygodni nie mył się ani nie golił.

Za jego plecami robot pochylał się nad leżącymi bez przytomności strażnikami. Oczekując na dalsze rozkazy, przystąpił do wykonywania swych funkcji drugorzędnych i pobierał, do celów porównawczych, próbki ich krwi.

Mdlejące księżniczki były wspaniałe - ale tylko w bajkach. Szczupła czy nie, osłabionemu Dennisowi Linnora wydawała się naprawdę ciężka. Wniósł ją do pokoju i położył na łóżku.

- Księżniczko! Linnora! Ocknij się! Poznajesz mnie? Linnora otworzyła oczy, szybko dochodząc do siebie. Uniosła się na łokciu.

- Oczywiście, że cię poznaję, czarowniku... i naprawdę się cieszę, że żyjesz. Jednak czy mógłbyś, proszę, wypuścić moją dłoń? Ściskasz ją trochę zbyt mocno.

Dennis pośpiesznie rozwarł palce, potem już delikatniej pomógł księżniczce wstać z łóżka.

- Czy ucieczka naprawdę jest możliwa? - spytała. Starannie unikała patrzenia na korytarz, w

którym stał towarzysz Dennisa. „Jeżeli jest to jeden z jego demonów, z pewnością nie będzie próbował mnie zjeść” - stwierdziła w końcu.

- Nie jestem pewien - odpowiedział Dennis. - Idę teraz do wieży, żeby się o tym przekonać. Zatrzymałem się tutaj, żeby zaproponować ci zabranie się ze mną. Nie przypuszczam, żeby którekolwiek z nas miało jeszcze coś do stracenia.

Linnora zdobyła się na ironiczny uśmiech.

- Nie, rzeczywiście nie mamy. Poczekaj więc chwilę zaraz wracam.

Pobiegła pośpiesznie do szafy.

Dennis wciągnął nieprzytomnych strażników do pokoju. To była szarpiąca nerwy wspinaczka, najpierw z lochów do piwnic, potem do kuchni i wyżej, odbywana nieustannymi przeskokami z jednego cienia w drugi. Udało się im dotrzeć do pierwszego piętra, zanim zostali wykryci. Dwaj strażnicy zobaczyli Dennisa, gdy zbliżył się do drzwi prowadzących na spiralne, wspinające się na sam szczyt wieży schody. Krzyknęli i natychmiast rzucili się w ich stronę.

Oczywiście chochlak, czego zresztą Dennis się spodziewał uciekł dokładnie w tej samej chwili, w której Dennis został zauważony.

Jednak robot dzielnie trwał na posterunku. Czekał wraz z Dennisem tuż za drzwiami, aż w końcu strażnicy wpadli pomiędzy nich.

Dennis usłyszał, że drugi strażnik pada na podłogę, gdy on sam dopiero w połowie uporał się z pierwszym. Wcisnęli strażników, związanych i zakneblowanych, pod schody i ruszyli dalej.

Pięć minut później miał okazję dokładniej przyjrzeć się robotowi w akcji.

Jeszcze ze schodów wskazał w odpowiedni sposób dwóch żołnierzy, stojących na warcie przed drzwiami do pokoju Linnory. Mała maszyna wyjechała na korytarz, szybciej i ciszej niż Dennis byłby skłonny uznać za możliwe. Strażnicy dopiero zaczęli się odwracać, gdy robot przycupnął za nimi i dotknął po kolei ich nóg. Krótka, ze zdziwieniem jęknęli i zwalili się na podłogę.

Dennis naprawdę zaczynał być pełen podziwu dla nowych możliwości dobrze znanej, ziemskiej maszyny.

Gdy Linnora wybierała rzeczy na drogę, Dennis związał strażników. Oczywiście ktoś z pewnością zauważy ich zniknięcie sprzed drzwi księżniczki, jednak przecież nie mógł po prostu zostawić ich na korytarzu.

- Jestem gotowa - oznajmiła Linnora po chwili. - Znalazłam płaszcz, który chyba będzie na ciebie pasował. Dręczyła mu ciężką, opatrzoną kapturem pelerynę z lśniącego, czarnego materiału. Z zadowoleniem zauważył, że zmieniła strój, rezygnując ze swej ulubionej bieli na rzecz barw

ciemniejszych.

- Ten aparat również, jak przypuszczam, należy do ciebie, nadzieję, że nie wyrządziłam mu szkody, patrząc na niego. Jego przeznaczenie nadal pozostaje dla mnie tajemnicą.

- Mój naręczny komputer! - krzyknął Dennis, biorąc urządzenie z dłoni Linnory.

Księżniczka patrzyła ze zdziwieniem, jak zapina go na przegubie, przyciskając do siebie opatrzone „rzepami” końce pasków.

- Ach, więc to do tego służą te paseczki! - powiedziała.

- Pokażę ci wszystkie zastosowania komputera, gdy wreszcie się stąd wydostaniemy - obiecał Dennis. - Teraz już lepiej chodźmy. Jeżeli Arth nie zajmuje tego samego pokoju w wieży co przedtem, to będzie bardzo krótka wycieczka.

*

Gdy Arth usłyszał dobiegające z korytarza głuchoe odgłosy upadających ciał, złapał kawałek drewna jak maczugę i otworzył gwałtownie drzwi, gotowy na wszystko. Uśmiechnął się jednak szeroko, zobaczywszy przed sobą Linnorę i Dennisa, stojących nad nieprzytomnymi strażnikami.

Zaczął z taką werwą poklepywać Dennisa po plecach, że niemal na nowo otworzył jego ledwo zablźnione rany. Mały złodziej, zwykle cichy i spokojny, teraz z trudem panował nad rozpierającą go radością.

- Dennizz! Wejdz, proszę! Pani też, księżniczko! Wiesz, wiedziałem, że się tu któregoś dnia pojawisz. Dlatego zostałem w tym pokoju nawet wtedy, gdy lord Hern awansował mnie na kierownika destylarni. Wejźcie i napijcie się mojej brandy!

Nogą odsunął bezwładne ciało strażnika, żeby zrobić przejście Linnorze. Potem nagle zamarł, zauważywszy robot turkoczącego spokojnie za plecami ludzi. Głośno przełknął ślinę. Szklane oczy cierpliwie odwzajemniły jego spojrzenie

- Och, czy to jakiś twój przyjaciel, Dennizz? - spytał nie odrywając wzroku od maszyny.

- Tak, tak, spokojnie. - Dennis niemal wepchnął Linnorę do środka, potem wciągnął również Artha, ciągle stojącego nieruchomo ze wzrokiem wbitym w robota.

Linnora weszła do pokoju z prawdziwym zadowoleniem że może znaleźć się nieco dalej od błysków szklanych soczewek. Jakkolwiek przyglądała się robotowi w akcji, pomagającemu Dennisowi powalić po drodze czterech następnych strażników, wciąż jednak czuła się w jego obecności mocno nieswojo.

Zastanawiała się, kim jest ten człowiek mający tak dziwnych pomocników. Nigdy przedtem nie zetknęła się ze zjawiskiem podobnym do tego robota, z czymś, co łączyłoby w sobie takie ładunki zarówno Pr'fett, jak i treści zwykłego przedmiotu. Czowała, że robot jest normalną, martwą rzeczą... jednak poruszał się on i działał jakby był żywy!

Dennis kazał maszynie zostać na warcie w korytarzu i zamknął drzwi.

Pokój został zamieniony w skład pełen drewna, skóry, tkanin i prymitywnie skleconych przedmiotów, które jedynie w przedszkolu mogłyby stanowić powód do dumy.

- Wiesz, Dennizz - powiedział Arth, nalewając z brązowej butelki trzy filiżanki brandy - próbowałem trochę swoich sił w wytwarzaniu, tak jak ty! Chcesz zobaczyć moje projekty? Wydaje mi się, że wymyśliłem na przykład całkiem niezły sposób łapania myszy.

- Hmm, nie sądzę, żebyśmy teraz mieli na to czas, Arth. W każdej chwili mogą ogłosić alarm.

Linnora zakrztusiła się. Osłupiałym wzrokiem popatrzyła na filiżankę w swojej dłoni. Powąchała ostrożnie znajdującą się w niej ciecz, potem upiła następny łycecz.

Złodziej skinął głową.

- Przypuszczam, że w takim razie chcesz teraz zobaczyć szybowiec?

Dennis bał się sam o to zapytać.

- Udało ci się! Wiedziałem, że dasz radę!

- Och, to nic wielkiego. - Arth zarumienił się. - Prawdziwa łatwizna, dzięki smarowi. Jest tutaj, pod tą stertą śmieci. Narobili sporo zamieszania, kiedy się zorientowali, że zniknął. Ale bez barona nie potrafili zorganizować porządnego poszukiwań.

Dennis pomógł mu odrzucać niepotrzebne przedmioty. Wkrótce zobaczyli starannie zwiniętą belę jedwabistego materiału i smukłych, drewnianych żeber.

- To bardzo dobrze, że udało ci się wydostać tak szybko - powiedział Arth, spoglądając na szybowiec krytycznie. - Jeszcze kilka tygodni, a to urządzenie znowu stałoby się zwykłym latawcem. Jednak nie sądzę, żebyś w tej chwili miał z nim jakieś kłopoty.

„Powtarzaj mi to bez przerwy” - myślał Dennis, pomagając Arthowi wnieść ciężki, dwuosobowy szybowiec na dach pałacu.

*

Z rozłożeniem szybowca Dennis musiał uporać się niemal zupełnie samodzielnie. Pozostała dwójka starała się pomóc, ale Linnora była zbyt przestraszona wielkimi, łopoczącymi na wietrze

skrzydłami, a Arth ograniczył się do mało znaczących podpowiedzi i zupełnie niepotrzebnych ponagleń.

Nasilający się wiatr szarpał materiał, wielokrotnie niemal wrywając go Dennisowi z rąk. Dennis zdołał rozprostować skrzydła i właśnie poszukiwał mechanizmu blokującego, gdy na dole wreszcie zabrzmiał alarm. Rozpoczął się w jednym z rogów pałacu, na najniższym piętrze, potem się rozszerzał, aż noc rozbrzmiewała chaosem dzwonek, okrzyków i tupotu biegnących stóp.

Znaleziono zapewne jedną z par strażników, pozbawionych przytomności przez niego i przez robota.

W końcu znalazł blokadę. Łopoczące dotychczas skrzydła napięły się z głośnym trzaskiem,

Dennis usłyszał zaniepokojone nawoływanie, dobiegając z parapetu dwa piętra niżej. Oczywiście strażnicy przy drzwiach Artha nie odpowiedzieli. Wkrótce kroki rozległy się już bardzo niedaleko.

- Nie ma czasu na eksperymenty - mruknął Dennis do siebie. - Arth! Wskocz na tylne siedzenie, żeby go trochę obciążyć!

Gdy Arth się usadowił, wielki szybowiec przestał szarpać się i podskakiwać tak gwałtownie jak dotychczas. Jednak w dalszym ciągu nie stał spokojnie. Dennis skinął do robota. Ukłął przed nim, ciągle trzymając krawędź skrzydła.

- Instrukcje! - powiedział do małej maszyny. - Idź na dół i powstrzymaj tych, którzy tu nadchodzą, aż my odlecimy. Potem postaraj się stąd wydostać i w miarę możliwości pójść za nami. Będziemy próbowali lecieć na południowo-południowy zachód.

Zielone światelko mrugnęło potwierdzająco. Robot odwrócił się i odjechał, sprawnie i szybko pokonując deskę, której użyli, żeby dostać się na najwyższy poziom dachów. Dennis usłyszał tupot butów na spiralnych schodach piętro niżej. Nie zostało im zbyt wiele czasu.

Arth, zgodnie z poleceniem Dennisa, siedział już w wyplatany siodełku, z całkowitym zaufaniem oddając swój los w ręce Ziemiańszczyzny. Widział przecież balon, sprawnie szybujący po nocnym niebie, więc przekonał się, że Dennis rzeczywiście potrafi sobie radzić z latającymi mechanizmami. Różnica między balonem a szybowcem nie miała dla niego żadnego znaczenia.

- Ten szybowiec jest przeznaczony dla dwóch osób - powiedział Dennis - ale wasza dwójka waży łącznie niewiele więcej niż jeden duży mężczyzna. Linnora może siedzieć z tyłu razem z Arthem. Tak czy inaczej musimy tylko wylecieć poza obręb miejskich murów.

Jednak Linnora stała nieruchomo, owijając się peleryną i patrząc ze strachem na wielkie, napinające się w podmuchach skrzydła.

„Nie mogę jej za to winić - pomyślał Dennis. - Jest dzielną dziewczyną, ale zupełnie na to

wszystko nie była przygotowana”.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że ta ucieczka zakończy się śmiercią całej ich trójki. Ktoś mógłby powiedzieć, że co Kremer dla nich szykował, było losem gorszym od śmierci, jednak póki serce w piersiach biło, zawsze istniała nadzieja.

Linnora przytulała do piersi swój klasmodion patrząc, jak porywy wiatru szarpia wielkim latawcem, niemal ciągnąc Artha i Dennisa wzdłuż dachu. Szybowiec przypominał potężnego ptaka, napinającego krępujące go więzy, wyrywającego się w powietrze.

Nagle na sąsiedniej, nieco niższej części dachu wybuchło zamieszanie - dobiegły ich przestraszone okrzyki i odgłosy padających ciał. Robot zajął pozycję obronną u szczytu schodów.

Dennis spojrzął na księżniczkę i ich oczy się spotkały. Wiedział, że ona bardzo chce mu zaufać. Jednak to wszystko było dla niej zbyt obce, działo się tak szybko. Nie mógł przecież ciągnąć jej za sobą siłą. Jednocześnie nie potrafił się zmusić do zostawienia jej tutaj samej.

Linnora zobaczyła go pierwsza, gdy tylko mała postać chochlaka pojawiła się, wślaząc na krawędź dachu. Księżniczka otworzyła usta ze zdumienia, patrząc na lewo. Dennis odwrócił się szybko i zobaczył znajomy pyszczek - parę błyszczących, zielonych oczu i dwa rzędy ostrych, wyszczerzonych w uśmiechu zębów.

- Krenegee! - powiedziała Linnora z westchnieniem.

Chochlak wyszczerzył się jeszcze bardziej. Przelazł do końca przez krawędź i, rozkładając membrany, poszybował leniwie ku Dennisowi. Wylądował mu na ramieniu, ostrymi pazurkami czepiając się peleryny.

Dennis walczył o utrzymanie równowagi, zmagając się tańczącym szybowncem i przeklinając wiatr oraz durnego zwierzaka, który mrucał mu z zadowoleniem do ucha.

Jednak Arth patrzył na niego z nabożnym zdumieniem, a Linnora powiedziała ledwie słyszalnym poprzez wiatr, cichym głosem:

- Krenegee wybiera kogo zechce, a wybrany przez niego tworzy oblicze świata...

Zabrzmiało to jak litania. Być może zwierzaki z gatunku chochlaka były dla tutejszych ludzi czymś w rodzaju świętych krów, jakimś totemem. Być może dzięki temu Choch wreszcie się na coś przyda!

Wyciągnął dłoń do Linnory i tym razem księżniczka ujęła ją chętnie, nawet jeśli sprawiała wrażenie nieco oszołomionej. Poprowadził ją do tylnego siedzenia, umieszczając przed Arthem i nakazując mu trzymać ją, jakby od tego zależało jego własne życie.

Z dołu dobiegła następna seria wrzasków i głuchych uderzeń - widomy znak, że żołnierze

przystąpili do kolejnego ataku na szczyt schodów.

Dennis poczuł ukłucie winy, że zostawia robota, kazać mu toczyć samotną walkę. Oczywiście to tylko maszyna. Ale tutaj, na Tatirze, to „tylko” nie było tak oczywistym usprawiedliwieniem jak na Ziemi.

Żołnierze wyraźnie zaczęli działać w sposób bardziej zorganizowany. Dennis słyszał oficerów, wykrzykujących rozkazy, tupot nóg na schodach świadczył też o ściągnięciu tam chyba całych plutonów. To już nie mogło potrwać długo.

Wiatr znowu się nasilił. Dennis, spoglądając poza dach, na ciemny, nierówny krajobraz, poczuł się nagle bardzo niepewnie. Wysokie budynki Zuslik przycupnęły na tle gór czerniejących w oddali na nocnym niebie. Poza miastem wiała się rzeka, błyszcząc odbitym światłem księżyca. Port jeżył się prostymi kreskami masztów.

Spojrzał w tył na swoich pasażerów. Chochlak mruczał jak zwykle, a oczy Linnory błyszczały teraz zaufaniem, którego nie potrafił pojąć, ale które podnosiło na duchu.

Gdzieś w dole kapitan o przenikliwym głosie przekleństwami zagrzewał żołnierzy do ataku. Stanowczo był już ajwyższy czas, żeby się stąd zabierać.

-No dobrze - powiedział do Artha i Linnory – teraz chcę żebyście bardzo usilnie myśleli o locie, przechylali się w tę samą stronę, w którą ja się będę przechylał i wyskoczyli wraz ze mną, gdy wypowiem magiczne słowo „Geronimo!”.

W tej samej chwili, w której znaleźli się w powietrzu, Dennis poczuł przemożną i dość usprawiedliwioną chęć powrotu i pomyślenia o jakimś innym sposobie ucieczki.

- Dennizz! Uważaj na ten budynek!

Z ciemności, dokładnie na ich drodze wyłoniła się wysoka wieża. Dennis rzucił się całym ciężarem ciała w lewo.

- Przechylcie się! - krzyknął, mając nadzieję, że Arth i Linnora będą naśladowali jego zachowanie. Szybowiec powoli opuścił jedno skrzydło. Górne piętro jednego z wyższych budynków w mieście mignęło zaledwie kilka metrów po prawej. Dennis zdążył spojrzeć w jasno oświetlone okno i uchwycić jakby zamrożoną scenę wesołej zabawy, jakiegoś przyjęcia czy balu. Usłyszeli, cichnący szybko z tyłu, wysoki kobiecy śmiech. Zdaje się, że nikt z uczestników zabawy nie zauważył ciemnego kształtu, który przemknął za ich oknem.

Dennis z trudem wyprostował szybowiec, chwycony nagle w turbulencję nad zboczem wzgórza. Maszyna kołysała i podskakiwała, lecąc równoległe do stoku ku właściwemu, dolnemu miastu.

Zamek za ich plecami rozbrzmiewał podnieconymi głosami. Dennis nie ośmielił się odwrócić

głowy, ale miał gorącą nadzieję, że robotowi udało się jakoś wywinąć z sytuacji, w którą go wpakował.

Wielowarstwowe, podobne do weselnych tortów budynki Zuslik migały szybko pod nimi. Zewnętrzny mur znajdował się nie dalej niż milę od nich, a poza nim błyszczała wstążka rzeki. Niestety, ciągle tracili wysokość. Dennis już teraz widział, że będzie im bardzo trudno się zmieścić.

Szybowiec zakołysał się, nagle wytracony z równego lotu przez wznoszący się z jakiegoś komina słup ciepłego powietrza. Gdy Dennis odzyskał kontrolę, z pewnym zdziwieniem stwierdził, że mur jest już znacznie bliżej i pędzi ku nim z wielką prędkością.

- No, dalej! - powiedział do szybowca. - No, mały wyżej! Jeszcze trochę!

Przemawiał do swojej maszyny jak niemal każdy pilot. Jednak w tym przypadku zachęty rzeczywiście mogły rnieć pozytywny skutek. Szybowcowi nie mogło zaszkodzić nieco bardziej intensywne zużywanie.

Chochlak złapał jego ramię przednimi łapkami i rozłożył szeroko membrany, unosząc tylne nogi w powietrze. Czyżby tym razem, dla odmiany, rzeczywiście chciał pomóc? Zwierzak uśmiechał się po swojemu, z uwagą obserwując, jak Dennis radzi sobie z wymijaniem co wyższych budynków między nimi a murem.

„Hej! wcale nie jestem w tym taki najgorszy! - pomyślał Dennis, gdy szybowiec gładko przeleciał obok szczytu jakiejś miejscowej świątyni. - Chyba nawet mógłbym to polubić!”

Chwilę później zmienił jednak zdanie. „Nie uda nam się, w żaden sposób nie przeskoczymy nad tym murem”.

Miasto Zuslik było labiryntem splątanych uliczek i zwężających się ku górze budowli. Nie mogło być mowy o tym, żeby udało mu się w ciemności znaleźć tam jakieś bezpieczne lądowisko. Wyglądało na to, że jednak sprowadził na nich wszystkich zagładę. Tylko chochlak będzie miał szansę, dzięki swemu wbudowanemu spadochronowi, wyjść z tego cało.

Nagle uliczki wyprostowały się i mur miejski był wprost przed nimi, odległy jeszcze o sto czy dwieście metrów, ale szczytem niemal sięgający pułapu ich lotu. Czekał, żeby ich zdmuchnąć z powietrza.

Dennis spojrział na Artha i Linnorę. Złodziej uśmiechnął się do niego. Wyraźnie miał całkowite zaufanie do magicznych umiejętności Dennisa i chyba uważał, że właśnie uczestniczy w najlepszej zabawie w swym życiu.

Oczy Linnory były zamknięte, na jej twarzy gościł głęboki spokój. Coś cicho szeptała. Jakkolwiek jej usta znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od jego twarzy, szum wiatru skutecznie uniemożliwiał Dennisowi zrozumienie jej słów.

Szept Linnory zlewał się jakby w całość, znajdował odbicie w mruczeniu chochlaka. Na chwilę otworzyła oczy, zobaczyła, że Dennis na nią patrzy, i uśmiechnęła się do niego radośnie.

Chochlak zamruczał wyraźnie głośniej.

Dennis poprowadził szybowiec obok ostatniej przeszkody j przed nimi była już tylko pusta przestrzeń, zakończona murem.

- No, dawaj! - Dennis zachęcił maszynę.

Ziemia szybko uciekała do tyłu. Szept Linnory i mruczenie chochlaka zdawały się splatać, łączyć z koncentracją Dennisa. Rzeczywistość wokół nich zaczęła tracić ostre kontury, migotać. Drewniane żebra i linki delikatnie, niemal muzycznie drżały. Dennis odniósł wrażenie, że szybowiec zmienia się mu pod palcami. Było to, z jakichś przyczyn, uczucie jakby znajome.

Dennis zmrużył oczy. Mur był już w odległości dwudziestu metrów. Jego szczyt patrolowali żołnierze z pochodniami, jednak ich uwaga była zwrócona w dół, ku miastu.

„Może...” - W duszy Dennisa zatliła się iskierka nadziei.

Szybowiec sprawiał wrażenie żywej istoty, mrużącej napiętym, podnieconym głosem. Dennis czuł moc promieniującą z księżniczki L'Toff. Moc, która odbijała się potężnym, zwielokrotnionym echem od siedzącej na jego ramieniu istoty!

Miał wrażenie, że szybowiec jest naładowany elektrycznością, po linkach i krawędziach przepływały strumyki delikatnego światła. Napięte płótno skrzydeł zadrżało nieznacznie, gdy przelecieli ponad górnym skrajem muru z dwumetrowym najwyżej zapasem wysokości. Jeden ze strażników spojrzał w górę, otwierając usta ze zdumienia. Chwilę potem mur zniknął z tyłu, połknięty przez ciemność.

Nagle pod nimi pojawiła się powierzchnia rzeki, błyszcząca odbitym światłem księżyca i gwiazd.

Krótki trans **felhesz** gasł szybko. Dzięki niemu przefrunęli cali i zdrowi ponad murem. Jednak Dennis zdał sobie sprawę, że żaden tutejszy cud nie pomoże im przeskoczyć wody. Lecieli szybowcem, czyli urządzeniem, które w zimnym nad wodą powietrzu musi opaść, bez względu swoją doskonałość.

Po lewej stronie ciemnymi krechami masztów jeżył się port. Dennis wątpił, żeby udało im się przelecieć nad nim ku leżącym dalej polom.

- Czy wszyscy umieją pływać? - spytał. - Mam na dzieję, że tak, bo za chwilę czeka nas kąpiel.

Nabrzeże był niemal zupełnie ciemne, tylko tu i ówdzie błyszcząły pojedyncze, oświetlone okna.

- Przetnijcie pasy - powiedział do Artha - i skaczcie od razu, gdy wam powiem!

Złodziej podporządkował się natychmiast, tnąc nożem skórzaną uprząż. Linnora owinęła klasmodion w pelerynę i skinęła głową, że też jest gotowa.

Dennisowi udało się skierować szybko tracący wysokość szybowiec na kurs równoległy do nabrzeży. Woda rozmazaną smugą uciekała do tyłu zaledwie dwa metry pod ich stopami.

- Teraz! Skaczcie!

Linnora uśmiechnęła się do Dennisa przelotnie, Arth skinął głową, potem oboje wyskoczyli. Szybowiec podskoczył i pochylił się do przodu. Dennis zaczął z nim walczyć. Maszyna była używana do noszenia dwóch pasażerów i teraz jej równowaga została poważnie zachwiana.

„Środek ciężkości - przypomniał sobie Dennis, wychylając się maksymalnie do tyłu. - Gdzie teraz jest twój środek ciężkości?”

Usłyszał w tyle dwa pluśnięcia, potem zajął się już tylko swoim własnym losem.

Było zbyt późno, żeby skakać. Będzie musiał wodować. Zaczął manipulować przy swoich pasach i udało mu się odpiąć je w chwili, w której jego stopy dotknęły wody.

Podkurczył nogi, zauważając nagle, że chochlak zniknął z jego ramienia. Jakoś wcale go to nie zaskoczyło.

Chwilę potem jego kolana zaczęły pruć wodę, zostawiając za sobą spienione ślady. Szybowiec opadł wokół niego i rzeka wzięła go w swoje mokre objęcia.

*

- Dennizz!

Arth zanurzał wiosła ukradzonej łódki tak cicho, jak to było możliwe. Owinął ich pióra skrawkami materiału, ale i tak z ogromną niechęcią myślał o wypływaniu na otwarte wody. Oddziały poszukiwawcze wyruszyły już z zamku i wkrótce piesze i konne patrole będą przetrząsać całą okolicę.

- Widzisz go?

Linnora wpatrzyła się w ciemność.

- Jeszcze nie. Ale on gdzieś tutaj musi być! Wiosłuj dalej!

Mokre ubranie lepiło się do jej ciała, drżała w chłodnych podmuchach wiejącego wzdłuż rzeki wiatru. Myślała jednak tylko o rzece i o człowieku, którego musieli uratować.

- Czarowniku! - zawołała. - Jesteś tam? Odezwij się! Czarowniku!

Jednak jedyną odpowiedzią było ciche skrzypienie wiosł i dobiegające z oddali nawoływania żołnierzy barona Kremera. Arth wiosłował wytrwale.

- Dennis! - Głos Linnory niemal się załamał. - Nie możesz umrzeć! Daj nam jakiś znak!

Nastłuchiwali przez chwilę w bezruchu, wstrzymując oddech. Tym razem z zalegającej rzekę ciemności dobiegł cichy dźwięk, jakby odpowiedź.

- Tam! - Linnora chwyciła Artha za ramię, wskazując kierunek.

Złodziej mruknął potwierdzająco i pociągnął za wiosła.

- Dennis! - krzyknęła. Usłyszała dobiegający z przodu, zduszony kaszel. Potem ochryply głos powiedział:

- Łądownik z bluskiem wodował w oceanie... na szczęście mój gwiazdolot bływa. A wy, chłopcy, jesteście z miejscowej Straży Brzybrzeżnej?

Linnora westchnęła. Nie zrozumiała więcej niż dwa słowa z tego, co powiedział, ale to nie miało znaczenia. Czarownicy z natury bywają nieodgadnieni.

- Koniecznie muszę jakoś zadzwonić do domu - mruknął głos w ciemności. Potem nad wodą poniosło się głośnie kichnięcie.

*

Dennis pływał, uczepiony szybowca. Maszyna utrzymywał się na powierzchni dzięki bąblom powietrza pod skrzydłami zmniejszającymi się jednak z każdą chwilą. Na brzegu oddziały poszukiwawcze podchodziły coraz bliżej. Wreszcie, Dennisowi udało się dostrzec na tle odległych latarni poruszający się po rzece, smukły cień.

Łódka podpłynęła i zatrzymała się. Z postaci siedzącego za wiosłami złodzieja Dennis dostrzegał wyłącznie szeroki uśmiech. Nie mógł jednak pomylić sylwetki Linnory, pochylającej się ku niemu z wyciągniętą ręką. Nie zważając na swą sytuację, poświęcił chwilę na podziwianie tego, co woda zrobiła z jej strojem.

W końcu wspiął się do łódki, drząc jak w febrze. Linnora w braku czegoś lepszego, narzuciła mu na ramiona znalezione tutaj płótno żaglowe. Jednak gdy Arth ponownie pochylił się nad wiosłami, Dennis go zatrzymał.

- Sbróbujmy wyciągnąć z wody ten szybowiec - powiedział, usiłując opanować szczykanie zębów. - Wolałbym, żeby nie byli całkowicie bewni, w jaki sposób uciekliśmy. Niech raczej

bodejrzewają, że za pomocą magii.

Linnora uśmiechnęła się. Jej dłoń spoczywała na jego ramieniu.

- Masz zadziwiający sposób wysławiania się, Dennisie Nuelu. Nie wyobrażam sobie, żeby komukolwiek przyszło do głowy określenie tego, przez co właśnie przeszliśmy, inaczej niż właśnie jako magię.

IX. DISCUS JESTUS

Farma wyraźnie zaczynała już ulegać rozkładowi.

Dennis patrzył z otwartej bramy przez podwórzec ku domowi Stivyunga Sigela. Budynek, który jeszcze kilka miesięcy temu sprawiał wrażenie tak zadbanego i wygodnego, teraz wygląd miejsca od dawna opuszczonego i zostawionego pastwę żywiołów.

- Zdaje się, że nikogo nie ma - powiedział do Artha i Linnory.

Pomógł księżniczce oprzeć się o płot, żeby mogła zdjąć rękę z jego ramienia. Dziewczyna uśmiechnęła się dzielnie, ale Dennis wyraźnie widział, że była zupełnie wykończona.

Gestem nakazał Arthowi mieć szeroko otwarte oczy, potem szybkim krokiem przeszedł podwórze i spojrzął do wnętrza budynku przez jedno z mętniejących okien.

Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Wspaniałe, stare meble zaczynały już nabierać prymitywnego wyglądu. Było to bardzo smutne, ale znaczyło, że farma jest zupełnie opuszczona, że żołnierze, przeczesujący w pogoni za nimi całą okolicę, nie umieścili tu posterunku.

Dennis wrócił do bramy i pomógł iść Linnorze, podczas gdy Arth dźwigał rozmontowany szybowiec. Wszyscy troje padli wyczerpani na prowadzące do domu schody. Przez chwilę jedynym poza ich ciężkimi oddechami zakłócającym ciszę dźwiękiem było natrętne bzyczenie owadów.

Siedząc poprzednim razem na tych schodach, Dennis nie mógł nadziwić się stojącym w skrzyni przy drzwiach narzędziom, z których część wyglądała jak z filmu o Bucku Rogersie, pozostałe zaś robiły wrażenie przeniesionych z późnej Epoki Kamiennej. Teraz zauważył, że ponad połowa tych narzędzi zniknęła... ta lepsza połowa. Wspaniałe instrumenty, doprowadzone przez Stivyunga Sigela do doskonałości, znajdowały się prawdopodobnie wraz z Tomoshem w domu ciotki chłopca. Podobnie jak najlepsze przedmioty z wyposażenia domu Siegla.

Pozostałe narzędzia ze skrzyni zostały tu zostawione, ponieważ nie miał ich kto używać. Większość wyglądała już jak rekwizyty z niskonakładowego hollywoodzkiego filmu o jaskiniowcach.

Arth oparł się o schody z założonymi na piersi rękoma i niemal natychmiast zaczął donośnie pochrapywać.

Linnora ostrożnie zdjęła buty. Pomimo intensywnego w ciągu ostatnich dwóch dni ich używania, ciągle nie nadawały do chodzenia po nierównym, dzikim terenie.

Księżniczka nabawiła się kilku okropnych bąbli, a ponadto w nocy skrzyła sobie kolano i przez ostatnie kilkanaście godzin mocno utykała. W sumie bardzo ją to bolało, jednak nie poskarżyła się ani słowem żadnemu ze swych towarzyszy.

Dennis podniósł się powoli. Ciężkim krokiem powlókł się za róg domu, podszedł do studni i wrzucił do niej wiadro. Po chwili usłyszał z dołu plusk. Wyciągnął wiadro, odczepił je i poniósł z powrotem na ganek, rozchlapując wodę.

Arth obudził się na wystarczająco długą chwilę, żeby wypić kilka głębokich łyków, potem znowu usnął. Linnora piła bardziej umiarkowanie, zmoczyła jednak chusteczkę i otarła kurz z twarzy.

Dennis obmył jej stopy, najdelikatniej jak potrafił, usuwając zakrzepłą krew. Linnora skrzywiła się, jednak dzielnie milczała. Gdy skończył i usiadł obok niej na zakurzonym schodku, oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy.

Uciekali, kryjąc się przed patrolami, już niemal trzy dni. Jedli ptaki, które Dennisowi udało się trafić ze swej procy, i ryby, wyławiane z niewielkich strumieni przez zręczne ręce Linnory. Dwukrotnie niemal zostali wykryci - za pierwszym razem przez żołnierzy na koniach, potem przez szybki, niemal bezgłośny szybowiec. Baron albo jego regent, szukając ich, przewracał całą okolicę do góry nogami.

Linnora poruszyła głową, układając ją wygodniej obok jego policzka. Dennis czuł słodki zapach jej włosów, nawet tak splątanych po trzech dniach ucieczki po bezdrożach. Wreszcie, choćby na chwilę, mieli odrobinę spokoju.

- Nie możemy tutaj zostać, Dennizz - powiedział Arth, nie poruszając się ani nie otwierając oczu.

Z początku złodziej chciał ukryć się gdzieś w pobliżu Zuslik do czasu, aż będzie mógł wśliznąć się z powrotem do miasta. Nie czuł się dobrze na otwartej przestrzeni. Jednak szum, jaki podniesiono wokół ich ucieczki i staranność prowadzonych poszukiwań, skłoniły go w końcu do pójścia razem z Linnorą i Dennisem w stronę okolic, w których zamieszkiwali L'Toff.

- Wiem, że nie możemy. Jestem pewien, że ludzie barona tu byli. I z pewnością wrócą. Jednak stopy Linnory a jej kolano spuchło jak bania. Musieliśmy znaleźć jakieś miejsce, w którym mogłaby chwilę odpocząć, i tylko ta farma przyszła mi do głowy.

- Dennis, ja mogę iść dalej. Naprawdę. - Linnora usiadła prosto, jednak niemal natychmiast zaczęła się chwiać. - Wydaje mi się, że mo...

Jej oczy stanęły w słup i Dennis musiał ją chwycić, żeby nie upadła.

- Wrzaśnij, jeśli wroga armia nadciągnie - powiedział do Artha, biorąc Linnorę na rękę. Wstał niepewnie, wszedł na kilka pozostałych schodków i otworzył drzwi kopnięciem. Zaskrzypiały przeraźliwie.

Wewnątrz domu dosłownie wszystko było pokryte kurzem. Dennis niemal czuł starania i miłość, jakie Sigel i jego żona wkładali w ten dom, a teraz był on na najlepszej drodze do zamienienia się z powrotem w stertę pni, gliny i papieru.

Dennis zastanawiał się, co się stało z wysokim farmerem i z Gathem, bystrym młodzieńcem, który chciał zostać uczniem czarownika. Czy wyszli cało z przygody z balonem? Może Sigel właśnie w tej chwili szuka swojej żony gdzieś w lasach L'Toff?

Dennis przeniósł Linnorę przez wąski przedpokój, wszedł do sypialni Sigelów i delikatnie położył ją na łóżku. Potem niemal zwałił się na stojące obok krzesło.

- Tylko chwilę, potrzebuję tylko minuty... - wymamrotał. Zmęczenie kładło mu się na ramionach jak ołowiany koc. Usiłował wstać, ale mu się nie udało.

- Och, do diabła! - Spojrzał na młodą kobietę, śpiącą spokojnie tuż obok. - To zdaje się nie w ten sposób powinno wyglądać, gdy bohater po raz pierwszy zanoszą piękną księżniczkę do łóżka...

*

Umysł Dennisa wędrował na wpół uśpiony. Stwierdził, że rozmyśla o chochlaku i robocie... wyobraża sobie, jak jakiś przypadkowy przechodzień mógł na nich patrzeć kilka tygodni temu - mały, różowy zwierzak o błyszczących zielonych oczach w towarzystwie maszyny z innej planety pojawiający się nagle na zatłoczonych ulicach Zuslik, przemykający po dachach i balkonach, szpiegujący mieszkańców miasta.

Nic dziwnego, że rozszalały się plotki o „diabelskim pomociu” i o duchach.

Linnora powiedziała, że gatunek Krenegee potrafi, podobnie jak ludzie, wsączać Pr'fett w przedmioty, jednak sam nie posługuje się narzędziami, nie jest też rozumny w ludzkim znaczeniu.

Czasami dziki Krenegee pozostaje przez dłuższy okres z jednym człowiekiem. Gdy to się zdarza, taki człowiek staje się bardzo potężnym zużywcem. Potrafi w kilka godzin udoskonalić przedmiot w sposób, który normalnie zająłby całe miesiące. Nawet L'Toff, niedoścignieni mistrzowie w sztuce zużywania, nie potrafią dorównać człowiekowi, któremu towarzyszy Krenegee, szczególnie jeśli potrafi on wprawić się od czasu do czasu w trans felhesz.

Jednak Krenegee są niezwykle płochliwe. Ludzie, którzy widzieli Krenegee chociaż raz w życiu, już uważają się za szczęściarzy. Te nieliczne osoby, którym udało się na dłużej z którymś z tych zwierzaków związać, określane są mianem „twórców świata”.

Dennis wyobraził sobie chochlaka, zwiedzającego dachy miasta na grzbiecie robota, nieustannie pchającego go ku doskonałości w jego zaprogramowanych funkcjach - funkcjach, które pierwotnie zostały mu wyznaczone przez Dennisa. Rezultat może być zadziwiający.

Być może chochlak rzeczywiście jest niestały i płochliwy, jednak Dennis wyrządził mu krzywdę, nazywając go bezużytecznym.

Nie mógł się uwolnić od poczucia winy względem robota, chociaż wiedział, że jest ona

irracjonalna. Widział go w swej wyobraźni, dzielnie broniącego dachu przed nacierającymi żołnierzami.

Dennis drzemał spokojnie, śniąc o zielonych i płonących czerwienią oczach, aż na ramię opadła mu jakaś dłoń i zaczęła nim potrząsać.

- Dennizz! - Dłoń była bezlitosna. - Dennizz! Obudź się!

- Co to...? - Dennis usiadł gwałtownie, otwierając oczy. - Co się stało? Żołnierze?

Arth był tylko niewyraźną sylwetką w mrocznym pokoju. Potrząsnął głową.

- Nie, nie sędzę. Słyszałem jakieś głosy na drodze, ale tylko ludzkie, żadnych zwierzęcych. Zmyłem się, zanim otworzyli bramę.

Dennis wstał ciężko, podszedł do okna i wyjrzał przez szczelinę między zasłonami. Okno, zakurzone i pożółkłe, wychodziło na podwórze farmy. Z prawej strony, na granicy pola widzenia, dostrzegł jakiś ruch. Usłyszał kroki, dobiegające z ganku.

Jedynе wyjście na zewnątrz prowadziło przez największy pokój, spełniający w tym domu rolę salonu. Nie mieli wyboru - będą musieli stawić czoło ludziom, którzy się tu zjawili, bez względu na to kim oni są. A niestety żadne z nich nie było w odpowiedniej do tego kondycji.

Dennis gestem kazał Arthowi ustawić się za drzwiami, sam podniósł z podłogi niewielkie krzesło. Teraz kroki dobiegały już z przedpokoju.

Klamka poruszyła się i drzwi, skrzypiąc, powoli się uchyliły. Dennis podniósł szybko krzesło nad głowę.

Zachwiał się i niemal przewrócił na plecy. W tej samej chwili drzwi otworzyły się do końca, odsłaniając krępą, niemłodą już kobietę.

Kobieta zobaczyła Dennisa i - błyskawicznie otrząsną-[wszy się ze zdumienia - odskoczyła niemal dwa metry do tyłu, prawie przewracając małego, stojącego za jej plecami chłopca.

Poczekaj! – krzyknął Dennis.

Kobieta chwyciła ramię chłopca i pociągnęła gwałtownie w stronę wyjścia. Jednak dziecko stawiało jej opór.

- Dennzz! Mamo, to tylko Dennzz!

Dennis odstawił krzesło, dając Arthowi znak, żeby pozostał na miejscu. Potem wybiegł do przedpokoju.

Kobieta stała niepewnie przy otwartych frontowych drzwiach. Silnie, aż do pobielenia kostek,

ściskała ramię chłopca, którego Dennis spotkał na samym początku swego pobytu w tym świecie.

Dennis zatrzymał się w drzwiach do przedpokoju, podnosząc do góry puste dłonie.

- Cześć, Tomosh - powiedział spokojnie.

- Hej, Dennzz! - Chłopiec był wyraźnie uszczęśliwiony, jednak jego matka szarpnęła go w tył, gdy próbował podbiec do Dennisa. W jej oczach ciągle mieszały się strach i podejrzliwość.

Dennis usiłował sobie przypomnieć jej imię. Stiyyung wymienił je kilkakrotnie, gdy byli razem. Przecież jakoś musi ją przekonać, że jest przyjacielem!

Wyczuł ruch za swymi plecami.

„Cholerny Arth! Mówiłem mu, żeby się nie ruszał! Następny obcy w tym domu to aż za wiele, żeby ją do końca przerazić!”

Oczy pani Sigel rozszerzyły się ze zdumienia. Jednak zamiast uciekać, westchnęła z ulgą.

- Księżniczka!

Dennis odwrócił się, nie mogąc powstrzymać zdumienia. Nawet z rozczochranymi włosami, zaspanymi oczyma i bosymi, zakrwawionymi stopami, Linnora potrafiła wyglądać dostojnie. Uśmiechnęła się łaskawie.

- Masz rację, dobra kobieto, chociaż nie sędzę, żebyśmy się już spotkały. Muszę ci podziękować za gościnność twego pięknego domu. Masz wdzięczność moją i wszystkich L'Toff aż do końca naszych dni.

Pani Sigel zarumieniła się i skłoniła z zażenowaniem. Jej twarz zmieniła się, nie była już twarda i nieufna.

- Mój dom jest twoim domem, Wasza Wysokość - powiedziała skromnie - i twego przyjaciela, oczywiście. Chciałabym tylko, żeby nieco lepiej się prezentował.

- Dla nas jest on równie wspaniały jak najokazalszy pałac - zapewniła ją Linnora. - I znacznie miłszy niż zamek, w którym ostatnio przebywaliśmy.

Dennis ujął ramię Linnory, pomagając jej usiąść na krześle. Księżniczka spojrzała mu w oczy i mrugnęła znacząco.

Pani Sigel zaaferowała się ogromnie, gdy zobaczyła, w jakim stanie znajdują się stopy dziewczyny. Pośpieszyła w róg pokoju i wyjęła deskę z podłogi, odsłaniając wejście do ukrytej spiżarni. Wyniosła z niej czyste, liczące chyba dziesiątki lat płótna i pojemnik z maścią. Postanowiła natychmiast zająć się pęcherzami na stopach Linnory i odsunęła Dennisa na bok delikatnie, ale bardzo stanowczo.

Tomosh podszedł do Dennisa i przyjaźnie poklepał go po nodze, chwilę potem zasypując go lawiną gorączkowych, nie skoordynowanych pytań. Dziesięć minut zajęło Dennisowi, zanim zdołał uwolnić się od nich na tyle, żeby powiedzieć pani Sigel, że ostatnio widział jej męża w powietrzu, lecącego na wysokości stu metrów wielkim balonem.

Oczywiście w końcu musiał wyjaśnić, co to takiego jest ten „balon”.

- Możemy spróbować znaleźć wam tu jakąś kryjówkę - powiedziała Surah Sigel Dennisowi, gdy wszyscy poszli już spać. - Oczywiście, to będzie niebezpieczne. Baron zmobilizował milicję i jego ludzie wkrótce tu wrócą. Ale spróbować można.

Surah sprawiała wrażenie, jakby sama nie bardzo wierzyła w swoją propozycję. Dennis już wiedział, na czym polega problem.

- Niuchacze - stwierdził po prostu. Niechętnie przytaknęła skinieniem głowy.

- Tak. Kremer wypuścił ich całe mnóstwo, żeby was tropiły. Jeżeli da im się dość czasu, potrafią każdego odnaleźć po zapachu.

Dennis w czasie swojego pobytu na zamku widział pomieszczenie, w którym trzymano te wielkonose stworzenia. Wyglądały trochę tak, jakby były w odległy sposób spokrewnione z psami, ale Dennis nie mógł sobie przypomnieć żadnej prawdziwej ziemskiej analogii. Były wolniejsze od ogarów ale miały trzykrotnie czulszy węch. Arth wspominał mu, że w mieście były sposoby zmylenia niuchaczy, ale na otwartej przestrzeni te zwierzęta były niezawodne. Dennis pokręcił przecząco głową.

- Musimy jak najszybciej wyruszyć. Jesteś rzeczywiście tak dzielna i ofiarna, Surah, jak mówił Stiiyung. Ale nie mogę ponosić odpowiedzialności za to, co stałoby się z tobą i Tomoshem, gdyby nas tu znaleźli. Odejdziemy pojutrze.

Prawdę mówiąc, Dennis w głębi duszy uważał, że to i tak za długo.

- Ale przecież stopy księżniczki nie zagoją się do tej pory! Jej kostka wciąż jest opuchnięta!

Pani Sigel już wcześniej zaproponowała, że weźmie Linnorę do swojej siostry i spróbuje jakoś ją przebrać. Ale księżniczka nawet nie chciała o tym słyszeć. Wynikało to nie tylko z obawy przed narażeniem niewinnych osób na niebezpieczeństwo. Była zdecydowana pozbawić Kremera najmniejszej nawet możliwości posłużenia się nią jako zakładniczką. A poza tym jej lud musiał zostać ostrzeżony o nowych rodzajach broni, będących w dyspozycji Kremera. Zamierzała wdrapać się na zachodnie góry, nawet gdyby miała pełznąć.

- Nie zostałamby nawet ten jeden dodatkowy dzień - powiedział Dennis. - Ale muszę spróbować coś wytworzyć... coś, co może pozwoli nam zabrać Linnorę ze sobą, nawet jeżeli jej stopy się nie zagoiły.

Pani Sigel ustąpiła z westchnieniem. W końcu czarownik jest czarownikiem. Z podziwem słuchała opowiadanych przez Artha historii o cudach dokonywanych przez Dennisa.

- No cóż, zgoda. O pierwszym brzasku pójdę przynieść potrzebne ci narzędzia z domu Bissa. Tomosh będzie obserwował drogę i ostrzeże was, gdyby pojawili się żołnierze. Narysuję plan, żeby pokazać wam drogę do L'Toff, ale macie najlepszego przewodnika na świecie, więc sądzę, że nie będzie wam potrzebny.

Linnora i Tomosh opuścili towarzystwo po spartańskim, ale pożywnym posiłku sporządzonym z tajnych zapasów Sigelów. Arth chrapał delikatnie w fotelu i używał go, odwdzięczając się w ten sposób za gościnę. Dennis, choć nie był wcale zaprzysięgłym palaczem, z tego samego powodu z namaszczeniem pykał z fajek Stivyunga Sigela.

Surah opowiedziała Dennisowi swoją przygodę, która właśnie dobiegła końca - podróż w góry L'Toff. Jej oczy rozświeciły się, gdy zaczęła mówić o tej wędrowce.

Stiyyung często opowiadał jej o służbie w Królewskich Zwiadowcach. Surah, wychowana w społeczeństwie, które wciąż bardzo ograniczało stojące przed kobietami możliwości wyboru, była zafascynowana snutymi przez jej męża opowieściami o przygodach na dzikich, przygranicznych terenach,

O spotkaniach z obcymi ludźmi, w tym również i z tajemniczymi L'Toff.

Z jego opisu wiedziała, że nie są to diabły czy nadprzyrodzone postacie, ale ludzie, w których bogowie połączyli dobre i złe cechy. Od czasu exodusu za panowania króla Foss'ta żyli dość osamotnieni w swych górskich ustroniach. Po obaleniu starego księcia, ich ostatniego potężnego protektora na zachodzie, jedynymi Coylianami, którzy utrzymywali z nimi jakieś kontakty, byli zwiadowcy i nieliczni kupcy.

Kiedy ludzie barona zabrali Stivyunga, Sarah nagle zaczęła zachowywać się jak nigdy dotąd. Pobiegnęła do swojej siostry i poprosiła ją, aby wzięła do siebie Tomosha. Potem szybko spakowała plecak i skierowała się na zachód, bez jakiegoś określonego planu, lecz myśląc jedynie o tym, żeby znaleźć jakichś dawnych kolegów Stivyunga i uzyskać ich pomoc.

Niewiele mogła sobie przypomnieć z tej podróży w góry poza niemal nieustannym uczuciem strachu. Choć wyrosła na skraju dzikich ziem, nigdy dotąd nie spędzała samotnie nocy pod drzewem. Było to przeżycie, którego nigdy nie zapomni.

Potwierdzenie, że znalazła się w kraju L'Toff, nastąpiło, gdy spotkała niewielki patrol składający się z surowych, groźnie wyglądających żołnierzy, których włócznie lśniły śmiertelnie żółtym światłem. Byli poruszeni, przesłuchali ją dokładnie, ale ostatecznie pozwolili jej przejść. Dopiero później, kiedy minęła już zewnętrzne wioski i dotarła wreszcie do głównego miasteczka L'Toff, dowiedziała się, że zniknęła księżniczka Linnora.

Niewątpliwie tłumaczyło to niepokój straży granicznej. Surah zaczęła sobie uświadamiać, że

jej kłopoty są słabymi podmuchami, zapowiadającymi nadciągającą wielką burzę.

Ojciec Linnory, książę Linsee, był władcą właściwie niepodległego państwa i ze swych działań odpowiadał jedynie przed samym królem Coylii. Drażniło to możnowładców i świątynie. Ale L'Toff byli chronieni zarówno przez tę luźną zależność od króla, jak i trudny dostęp do ich górskich siedzib.

W zamian za to korona zmonopolizowała handel unikatowymi, trwającymi w niezmiennym stanie zużycia skarbami - przedmiotami, w których Pr'fett został „zamrożony”. Każdy z nich kosztował któregoś z L'Toff jakąś część jego sił witalnych - tydzień, miesiąc albo rok życia. Nie ulegające rozkładowi przedmioty były wielką i powszechnie pożądaną rzadkością.

Stosunki między L'Toff i możnowładcami pogorszyły się po ustąpieniu starego księcia, a zwłaszcza gdy baron Kremer zaczął organizować spisek wśród szlachty i gildii, przygotowując bunt przeciwko królowi.

Oczywiście arystokratom bardzo przydałby się jakiś środek nacisku na L'Toff, najsilniejszego sojusznika króla na zachodzie. Gdyby posiadali zakładnika - gwaranta neutralności księcia Linsee, mogliby całkowicie poświęcić się obleganiu miast na wschodzie i żyjącej w nich rojalistycznej, nastawionej wrogo do gildii ludności.

Los dostarczył Kremerowi takiego zakładnika tego samego dnia, w którym żołnierze przybyli, by zabrać męża Surah.

Kiedy pani Sigel przybyła w góry, L'Toff przewracali cały kraj do góry nogami w poszukiwaniu ukochanej księżniczki. Prawie dwa tygodnie wcześniej Linnora wymknęła się damom dworu i eskorcie, gdyż, jak poinformowała w zwięzłej notatce, wyczuła, że w ich świecie pojawiło się „coś obcego”.

Choć wszyscy wiedzieli, jak wielką mocą Linnora jest obdarzona, jednak książę obawiał się skutków porywczosci swej córki. Słusznie podejrzewał, że wpadła w ręce barona Kremera.

Podobnie również myślał Demsen, wysoki, sympatyczny dowódca Królewskich Zwiadowców, który przybył tuż przed Surah. Demsen był przekonany, że Kremer trzyma Linnorę ukryciu, gdyż chce, posługując się nią jako zakładniczką, zapewnić sobie bierną postawę L'Toff na swoich tyłach.

Surah wiedziała to wszystko, gdyż znalazła się w samym centrum wydarzeń. Ponieważ знаła nieco sytuację w Zuslik, została zaproszona do stołu, przy którym siedzieli Linsee, Demsen, dowódcy i starszyzna. Wszyscy z uwagą słuchali jej zdeprymowanych odpowiedzi na ich pytania.

W czasie tej narady młody książę Proll zażądał pozwolenia na przeprowadzenie szturmu Zuslik i odbicie Linnory siłą. Odwaga i charyzma Prolla zjednały mu spore poparcie. Młodszy L'Toff nie byli w stanie myśleć o niczym poza swą piękną księżniczką, która cierpiała w więzieniu.

Ale Linsee zdawał sobie sprawę, że w otwartej walce siły Kremera zdecydowanie

przeważały, zwłaszcza od momentu udoskonalenia przerażającego korpusu szybowcowego barona. Powtórzenie tego osiągnięcia wymagałoby wielu lat niebezpiecznych eksperymentów. O wiele wcześniej doszłoby do wojny.

Linsee wysłał poselstwo, na którego czele stali naczelnik Rady Starszych i ksiązę Proll. Miało ono odwiedzić Kremera i zasięgnąć informacji. Nie spodziewał się, żeby poselstwo coś osiągnęło, ale to było wszystko, co mógł uczynić. Z oporami polecił również, by wzmocniono obronę granic tymi szczupłymi siłami, jakie miał w dyspozycji.

Surah słuchała tego i doszła do odbierającego nadzieję przekonania, że nikt tu nie pomoże w rozwiązaniu jej osobistego problemu. Jeżeli L'Toff i Królewscy Zwiadowcy nie byli w stanie nic uczynić, żeby ocalić Linnorę, to co dopiero mówić o prostym farmerze - nawet jeżeli był to emerytowany sierżant zwiadowców - którego uwięził kaprys barona Kremera?

Ksiązę Linsee dał jej osła, trochę żywności i dołączył swoje najlepsze życzenia. Nikt poza strażą graniczną nie zauważył jej odejścia.

Wróciła i zastała kraj w stanie wrzenia. Przygotowania do wojny były w pełnym toku, a cały rejon przeczesywano w poszukiwaniu ważnych zbiegów.

Bez względu na skalę rozgrywających się wokół wydarzeń, życie musiało toczyć się nadal. Odebrała syna od swojej siostry i skierowała się do domu. Chciała zająć się farmą najlepiej jak potrafiła, wierzyła bowiem mimo wszystko, że Stiyyung jednak kiedyś do niej powróci.

A w domu znalazła zbiegów ukrywających się w jej własnej sypialni.

Surah Sigel westchnęła i ponownie napełniła kubek Dennisa gorącym thahem.

- Nie miałam wiele do powiedzenia o tym, co się dzieje - stwierdziła na zakończenie. - Jestem tylko żoną farmera, mimo że Stiyyung uczył mnie czytać, pisać i tak dalej. Wydaje mi się jednak, że byłam świadkiem i mam jakiś niewielki udział w tych wydarzeniach.

Popatrzyła na Dennisa. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że wpadła na jakiś pomysł. Mówiła o nim nieśmiało, jakby obawiając się, że ją wyśmieje.

- Wiesz, może kiedyś napiszę książkę o tym, co widziałam, i opowiem o ludziach, z którymi się spotkałam, zanim wybuchła wojna. Czy nie byłoby to coś?

Dennis przytaknął skinieniem głowy.

- To byłoby coś.

Westchnęła i odwróciła się, żeby przegarnąć węgle.

Dennis od lat nie zajmował się stolarką i nie przywykł do narzędzi, którymi obecnie pracował. Mimo to wczesnym rankiem przystąpił do pracy.

Ostrugał dwa długie, mocne drążki, które przedtem były trzonkami znalezionych na ganku na wpół zużytych motyk, a następnie wyciął kilka płaskich desek ze żłobu na siano. Kiedy pani Sigel wróciła od swojej siostry z lepszymi narzędziami, Dennis wywiercił cztery otwory w bokach lekkiego do pojenia i przesunął drążki przez otwory.

Linnora siedziała z obandażowanymi stopami na stercie siana i przygotowywała skórzaną uprząż. W zaznaczonych przez Dennisa miejscach zgrabnie wierciła sztyłem otwory w skórzanych paskach, a potem łączyła je rzemykami. Nuciała cicho i uśmiechała się do Dennisa, gdy tylko unosił głowę znad swojej pracy. Dennis odpowiadał uśmiechem. Przy takim duchowym wsparciu trudno było czuć się zmęczonym.

Arth sapiąc wszedł do stodoły. Niósł niewielki fotelik, który Surah Sigel poświęciła na zrealizowanie projektu. Postawił fotel i uważnie przyjrzał się konstruowanemu przez Dennisa urządzeniu.

- Zrozumiałem! – Mały złodziej strzelił palcami. - Wstawimy fotel do koryta i księżniczka wsiądzie do środka. Potem schwycimy te drągi i podniesiemy ją! Słyszałem już o takich rzeczach. Nazywają je „lektyka”. Kiedy wiele lat temu cesarz zza morza przybył z wizytą do naszego króla, podobno noszono go w czymś takim. Paru naszych arystokratów próbowało skopiować to urządzenie i zanim zrezygnowali, niemal doszło do zamieszek.

Dennis tylko uśmiechnął się i pracował dalej. Za pomocą wspaniałej piły o diamentowym brzeszczocie wyciął z płaskiego kawałka pnia cztery identyczne kręgi. Miały około metra średnicy i cal grubości.

Arth przez minutę myślał, a potem zmarszczył brwi.

- Ale żeby to nieść, trzeba będzie czterech mężczyzn! A jest nas tylko dwóch, no i osioł z L'Toff, którego dała nam Surah! A kto będzie podtrzymywał z czwartej strony? - Podrapał się w głowę. - Chyba jednak dalej nic nie rozumiem.

Dennis ostrym świdrem wywiercił otwory w każdym z czterech kręgów.

- Chodź, Arth - powiedział, kiedy już skończył. - Pomóż mi z tym, dobrze?

Pod kierunkiem Dennisa przywódca złodziei uniósł jeden z drągów przechodzących przez ściankę koryta. Dennis wsunął krąg na jego koniec, a potem zdjął go z powrotem, żeby powiększyć nieco otwór. Kiedy przymierzył ponownie, krąg wsunął się kilka cali głębiej na ośkę. Owiniętym w szmatę młotkiem wbił go jeszcze dalej.

Arth opuścił koryto. Spoczęło pochylone pod dziwnym kątem, z jednej strony oparte na

postawionym na sztorc kręgu. Linnora odłożyła swoją pracę i przesunęła się na skraj stogu siana, żeby móc lepiej widzieć.

- Co to takiego, Dennis? - spytała.

- To się nazywa koło - odpowiedział. - Kiedy wszystkie cztery znajdą się na swoich miejscach, przy pomocy osła Surah będziemy mogli zabrać się stąd jutro w nocy niemal tak szybko, jakbyś szła pieszo. Oczywiście zmusi nas to początkowo do korzystania wyłącznie z dróg, ale nic się na to nie poradzi. A poza tym przełęcz można przejść tylko drogą.

Dennis polecił Arthowi, żeby po kolei podnosił każdy róg i wciskał koła na każdą końcówkę osi.

- Całe to urządzenie nazywa się „wózek”. W moim kraju ten prymityw wytrzymałby najwyżej parę godzin. Sądzę, że początkowo nie będzie to o wiele lepsze niż ciągnięcie tego koryta brzuchem po ziemi. Przede wszystkim między kadłubem i oškami nie ma żadnego łożyska. Współczynnik tarcia tocznego będzie koszmarny. Oczywiście, w miarę zużycia można przypuszczać, że pojawi się efekt smarowania...

Arth i Linnora spojrzeli po sobie. Czarownik znowu zaczął wyrażać się mętnie. Ale już do tego przywykli.

- Mógłbym zrobić lepszy zaczynacz - stwierdził Dennis, mocując ostatnie koło. - Ale nie mamy czasu. Teraz jeszcze błądzą po całej okolicy, szukając nas, ale gdy tylko niuchacze trafią na nasz trop, zaczną się koncentrować. Lepiej będzie, jeżeli do tej pory znajdziemy się już w górach. Musimy zakładać, że Efekt Zużycia udoskonali wózek. Tej nocy Arth i ja będziemy kolejno toczyć go po obejściu. Może do jutra...

Dennis cofnął się i popatrzył na wózek. Dostrzegł oszołomienie na twarzy Artha. Ale Linnora była niezwykle skupiona. Miała zmrużone oczy i poruszała ręką w powietrzu, jakby próbowała wyobrazić sobie coś, czego nigdy dotąd nie widziała.

Nagle klasnęła w dłonie i roześmiała się głośno.

- Pchnij to! Och, Dennisie, popchnij to, niech pojedzie!

Dennis uśmiechnął się. Linnora nie miała intelektu jaskiniowca. Jej zdolność przedstawienia sobie sposobu działania wózka była, biorąc pod uwagę jej pochodzenie, wręcz zdumiewająca.

Uniósł stopę i popchnął wózek. Z głośnym piskiem kół potoczył się, grzechocząc, po zwirowej ścieżce i wyjechał z wrót stodoły.

Ktoś wrzasnął głośno i na zewnątrz rozległ się głośny łomot. Dennis wybiegł i ujrzał Surah, siedzącą na ziemi i spoglądającą szeroko otwartymi oczyma na jego dzieło. Wózek potoczył się jeszcze trochę i zatrzymał w odległości kilku stóp. Obok Surah leżała płócienna torba z żywnością.

Jej zawartość była do połowy rozsypana.

- Kiedy to wyskoczyło na mnie, pomyślałam, że jest żywe! - Spojrzała na wózek, mrugając oczyma.

- To tylko maszyna - zapewnił Dennis, pomagając jej wstać. - Będziemy mogli przewieźć w tym księżniczkę...

- Widzę!- Surah odepchnęła jego ręce i wygładziła ubranie. Zaczęła zbierać rozsypaną żywność - suszone mięso, owoce, woreczki z mąką - ale gdy Dennis chciał jej pomóc, przegoniła go.

- Tomosh właśnie wrócił z wiadomością od moich kuzynów, którzy mieszkają dalej przy drodze - powiedziała. - Przez tydzień kwaterowało u nich czterech żołnierzy barona. A teraz żołnierze powiedzieli, że pojutrze mają wyruszyć. Nie powiedzieli dokąd, ale mój kuzyn przypuszcza, że na północ.

Dennis zaklął cicho. A więc będą musieli przekroczyć przełęcz, zanim wojska dotrą do gór. Jeżeli poczekają do jutrzejszej nocy, będą znajdować się jeszcze w drodze, podczas gdy główne siły barona zablokują przejście!

- A więc dzisiejszej nocy - oznajmił. - Musimy wyruszyć dziś w nocy.

Od strony domu nadbiegł Tomosh. Zatrzymał się i wytrzeszczył oczy na wózek.

Arth podtrzymał Linnorę, kiedy kuśtykała, żeby zająć miejsce w wózku. Śmiała się, kiedy Arth i chłopiec pchali go wolno naokoło dziedzińca.

Dennis pokręcił głową z niezadowoleniem. „Mały, czerwony wózek, który miałem w dzieciństwie - pomyślał- byłby tu bardziej przydatny niż to piszczące pudło”.

*

Wyruszyli tuż po zapadnięciu zmroku, jeszcze przed wschodem księżyców. Zaniepokojony osioł parsknął, ciągnąc rozklekotany wózek. Gdy zatrzymał się przy bramie i wyglądało na to, że chce się zbuntować, Linnora uderzyła w struny swego klasmodionu i zaczęła opornemu zwierzęciu śpiewać.

Uszy osła poruszyły się. W miarę jak śpiewana przez dziewczynę melodia uspokajała zwierzę, jego oddech stawał się wolniejszy i bardziej równy. Wreszcie zareagował na delikatne ponaglenia Artha i pociągnął swój niezgrabny ciężar. Dennis popychał wózek do momentu, kiedy znaleźli się na właściwej drodze. Zatrzymali się na niej, żeby pożegnać się z Sigelami.

Linnora szepnęła coś Tomoshowi, kiedy Dennis ścisnął dłoń pani Sigel.

- Powodzenia - powiedziała kobieta. - Jeśli spotkacie Stivyunga, powiedzcie mu, że mamy się dobrze.

Surah spojrzała z powątpiewaniem na dziwną grupę. Dennis musiał w duchu przyznać jej rację, że nie sprawiają wrażenia sił, które mogłyby się uporać z patrolami Kremera.

- Oczywiście - rzekł, kiwając głową.

- Wrócisz tu, Dennzz! - obiecał Tomosh, klepiąc przyjaźnie Ziemianina w udo. - Ty, mój tata i Królewscy Zwiadowcy wrócą tu i załatwią starego Kremera na dobre!

Dennis rozczochrał chłopakowi włosy.

- Bardzo możliwe, Tomosh.

Arth cmoknął na osiołka. Prymitywny wózek z piskiem ruszył wzdłuż ciemnej, pochyłej drogi. Dennis musiał go popychać przez cały wiodący pod górę odcinek.

Kiedy spojrzął za siebie, Surah i chłopiec zniknęli.

Czarna noc przecięta była jedynie wąskim, skupionym światłem ich niewielkiej lampki oliwnej. Wiatr szumiał wśród drzew rosnących wzdłuż drogi. Nawet na gładkiej, superelastycznej nawierzchni wózek trząsał się, podskakiwał i łomotał. Linnora znosiła to dzielnie. Trącała delikatnie struny klasmodionu z rozmarzonym, nieobecny wyrazem twarzy.

Pracowała ciężko, wykorzystując swoje talenty L'Toff, żeby przyspieszyć zużycie wózka.

Na Ziemi ta prymitywna konstrukcja najprawdopodobniej rozpadłaby się w ciągu kilku minut albo najwyżej kilku godzin od chwili jej zmontowania. Tu jednak był to wyścig między zniszczeniem a zużyciem. Jeżeli wózek wytrzyma wystarczająco długo, zacznie stawać się coraz lepszy. Może.

Dennis popychał hałaśliwy pojazd i bardzo pragnął, żeby chochlak tu był i im pomagał.

*

Murris Demsen, dowódca kompanii Zielony Lew Królewskich Zwiadowców, nalał księciu Linsee kolejną czarę zimowego wina i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze chce dolewki.

Chłopak z Zuslik, młody Gath, uśmiechnął się i skinął głową. Zimowe wino L'Toff było chyba najlepszą rzeczą, jakiej próbował w życiu. Wyraźnie zaczynał mieć już w czubie.

Stiyyung Sigel przykrył swój kubek dłonią. Znał moc tego trunku z czasów, kiedy służył w Królewskich Zwiadowcach.

- Ostatnia informacja, jaką otrzymaliśmy, mówi, że patrole Kremera zwiększają napór na całej

długości granicy - powiedział Demsen. Odstawił przepiękną, starożytną karafkę i wydobyl z teczki plik notatek. - Dostaliśmy również doniesienia, że baroni Tarlee i Tabool mobilizują wojska i zakładają przyczółki na terytorium L'Toff. Nawet baron Feif-dei chyba szykuje się do wojny.

- To rzeczywiście zła nowina - stwierdził książę Linsee. - Uważałem go za przyjaciela.

Stiyyung Sigel wstał powoli. Skłonił się księciu Linsee, Demsenowi i synowi księcia Linsee, księciu Prollowi.

- Panowie, jeszcze raz jestem zmuszony prosić o pozwolenie na powrót do domu. Mojej żony już tu nie ma. Muszę więc pójść do niej i mojego syna. A gdy przekonam się, że są bezpieczni, będę musiał dopomóc przyjaciołom, którzy tkwią w tej chwili w lochach tyrana.

Książę Linsee popatrzył na Demseną, a potem znowu na Sigela.

- Sityyungu - westchnął. - Czyż nic do ciebie nie dotarło? Granica jest zamknięta! Możemy oczekiwać ataku w każdej chwili! Nie będziesz w stanie przejść przez przełęcz, kiedy będzie zapchana wojskiem!

- Usiądź, Sityyungu - przytaknął Demsen. - Twoje miejsce jest tutaj. Wszyscy cię potrzebujemy - ja, książę Linsee, twój król. Nie możemy dopuścić, żebyś oddał życie na marne.

Siedzący przy końcu stołu książę Proll postawił z hukiem swój puchar.

- Dlaczego go zatrzymujecie? - spytał. - Dlaczego stajecie mu na drodze?

- Synu... - zaczął książę Linsee.

- W końcu chce podjąć ryzyko... chce uczynić wszystko, żeby ocalić tych, których kocha! A w tym samym czasie my pozwalamy Linnorze cierpieć w pazurach tego amoralnego pomiotu trzech jaszczurek, Kremera! Powiedzcie mi, co dobrego wyniknie z czekania, podczas gdy maszerują na nas wojska wszystkich baronii na zachód od Fingal? Och, na litość bogów, pozwólcie Sigelowi odejść! I pozwólcie mi uderzyć, dopóki można jeszcze zaatakować każdego z baronów osobno!

Linsee i Demsen popatrzyli na siebie z irytacją. Ostatnio zbyt często musieli tego wysłuchiwać.

- Uderzymy, synu - odezwał się wreszcie Linsee. - Ale najpierw musimy się przygotować. Stiyyung i Gath dostarczyli nam ten „balon” obcego czarownika...

- Który jest niczym w porównaniu z bronią, którą ten obcy dał Kremerów!! A poza tym jaki z niego pożytek? Został podarty w strzępy, kiedy Sigel lądował!

- Owszem, został uszkodzony, książę - rzekł Demsen. - Ale jest już prawie naprawiony. Tworzone są jego kopie i zużywane. Cóż, to może być właśnie to, czego szukaliśmy - możliwość zneutralizowania szybowców Kremera! Wprawdzie jeszcze nie wiem, w jaki sposób możemy ich

użyć, ale w obecnej sytuacji musimy jak najbardziej zyskać na czasie. Moi zwiadowcy i pańskie oddziały, książę, muszą dać księciu Linsee czas! Tymczasem młody Gath i Sigel, mój dawny towarzysz broni, muszą wykonać swoje zadanie, czyli nadzorować wytwarzanie jeszcze większej liczby balonów...

- Wytwarzanie! Co można zdziałać tworząc? - Młody książę odwrócił się i splunął w ogień. Opadł z powrotem na krzesło.

- Synu, nie bluźnij. Stara Wiara głosi, że wytwarzanie jest równie czcigodnym zajęciem jak zużywanie. Czyż niegdyś nie dysponowaliśmy mocą tworzenia samego życia? Zanim czerniawiec cofnął nas do stanu barbarzyństwa?

Proll wpatrywał się w ogień, aż wreszcie skinął głową.

- Spróbuję zapanować nad sobą, ojczu.

Wiedzieli jednak, że Proll w jednym ma rację. Wytwarzanie rzeczy wymagało czasu. A zużycie, nawet wśród L'Toff, pochłaniało go jeszcze więcej. A czas był tym, czego Kremer nie miał zamiaru im podarować.

Dręczyła ich również stała obawa o to, w jaki sposób Kremer zamierza wykorzystać zakładniczkę. Czy wystawi Linnorę na widok publiczny na polu walki? Jeżeli Kremer wybierze właściwy moment, może to całkowicie zdemoralizować oddziały. A baron od dawna był mistrzem w wybieraniu właściwych momentów.

Rozmowa urwała się. Wreszcie Demsen rozwinął wielką mapę i wraz z księciem zaczęli szukać nowych sposobów zagrodzenia swymi szczupłymi siłami drogi hordom, których nadejścia wkrótce się spodziewali.

*

Młody Gath nie zwracał szczególnej uwagi na rozmowy o strategii. Nie był żołnierzem. Ale był, był... inżynierem. Dennis Neul nauczył go tego słowa i spodobał mu się jego dźwięk.

Gath był pewien, że kluczem do uratowania L'Toff - i być może uwolnienia Dennisa, Artha i księżniczki - jest udoskonalenie balonów. Jak dotąd Gath zajmował się jedynie nadzorowaniem reperowania już istniejących oraz budowaniem i sprawdzaniem nowych modeli. Ale zastanawiał się również nad nowymi rozwiązaniami.

Na przykład nad tym, jak używać ich w czasie bitwy! Jak skierować balon tam, gdzie się chce, i utrzymać go w tym miejscu? Sterowanie balonem w czasie ich ucieczki z Zuslik było właściwie niemożliwe. Tylko dzięki cudownej zmianie kierunku wiatru dotarli w góry, czyli tam, gdzie obaj z Stivyungiem chcieli się dostać. Szukanie twierdzy L'Toff zajęło im wiele dni.

„Musi być jakiś sposób” - pomyślał.

Papier był zbyt cenny, by rysować na nim próbne szkice. Więc Gath zanurzał palec w winie i wodził nim po cudownie starym, werniksowanym blacie.

*

Baron Kremer siedział w łóżku otoczony stertami porozrzucanych na jedwabnej, starożytnej narzucie raportów. Utrudzony czytał wiadomości od innych wielkich panów z zachodu, którzy mieli się wkrótce zjawić na zwołanym przez niego spotkaniu.

Listy od nich były satysfakcjonujące, żaden z zachodnich baronów czy książąt nie ośmielił się mu odmówić.

Ale cała reszta tego śmiecia! Rachunki za sprzęt wojenny. Rachunki od setek wolno urodzonych zużywczy, zatrudnionych na czas wojny, skargi od gildii na jego żądania większych danin, mających finansować kampanię przeciwko liberalnemu królowi.

To go zniechęcało. Jedynym, czego Kremer się obawiał w tym świecie, były papiery.

Jeśli nawet ktokolwiek zauważył, że baron porusza ustami w czasie czytania, nic nie powiedział. Trzech asystujących mu pisarzy starało się również nie patrzeć na czerwoną pręgę, biegnącą przez lewą skroń ich pana. Kremer rzucił na ziemię długi zwój.

- Słowa, słowa, słowa! Czy na tym polega rządzenie imperium! Podbić tylko po to, by zanurzyć się po szyję w papierach?

Pisarze spuścili głowy wiedząc, że pytanie ich pana jest retoryczne.

- To! - Kremer potrząsnął zwojem, który rozwinał się jak długa, cienka flaga łopocząca ponad podłogą. Sam papier wart był tyle, ile chłop mógł zarobić w ciągu roku.

- Gildie narzekają na te nędzne daniny. To cena, za którą kupują sobie bezpieczeństwo, a ja koronę! A może chcą Hymieła i jego rebeliantów tu, na wschodzie?

Kremer ryknął i odsunął papiery na bok. Raporty pofrunęły ponad podłogą. Pisarze rzucili się, żeby je ratować.

Sprawiało mu przyjemność przyglądanie się im, kiedy zbierali papiery i zwoje. Ale jakże marne było to oderwanie od uciążliwych drobnych irytacji, przykrości, które mnożyły się w przeddzień jego triumfu!

Gildie są użyteczne, przypominał sam sobie - nie tylko dlatego, że służą jako bogaci sprzymierzeńcy. Na przykład monopol gildii papierniczej powoduje, że ich produkty są rzadkie i

drogie. Gdyby papier był tani, prawdopodobnie liczba raportów podwoiłaby się lub nawet potroiła!

Kremer wytarł czoło. Jego nadworny lekarz polecił mu pozostać w łóżku - stary dżentelmen, który traktował go jak dziecko, i jeden z niewielu żyjących ludzi, którego szanował. W nadchodzącym tygodniu, kiedy zaczynała się główna kampania przeciwko królowi, musiał czuć się dobrze. Nie mógł, bez ważnego powodu, nie posłuchać lekarza. Natarcie na L'Toff było działaniem ubocznym, z czym jego dowódcy mogli sobie sami poradzić.

Wszystko zdawało się iść zgodnie z planem. On jednak miał wciąż cień nadziei, że stanie się coś niespodziewanego, co da mu wymówkę i pozwoli wyjść z komnaty!

Kremer walnął pięścią w udo. Napięcie przywróciło ból w skroni. Skrzywił się i uniósł rękę, ostrożnie dotykając bolącego miejsca.

„O, za to też będzie wystawiony rachunek” - pomyślał. „I to słony”.

Wyciągnął spod poduszki metalowy nóż Dennisa Nuela, niezwykle ostry wskutek długiego używania. Przyglądał się lśniącej stali, podczas gdy pisarze czekali w milczeniu, by wrócił do przerwanej pracy.

Tym, co wyrwało barona z zadumy, była eksplozja, która szarpnęła zasłonami, strzelając z nich jak z bata. Delikatne okna zadrżały w ramach, kiedy detonacja przetoczyła się jak grzmot.

Kremer odrzucił narzutę, powtórnie wprawiając papiery w wir. Ruszył szybkim krokiem pomiędzy fruującymi zasłonami w stronę balkonu, żeby wyjrzeć na dziedziniec. Zobaczył ludzi biegnących w kierunku miejsca przy murze poza zasięgiem jego wzroku. Słyszał było stamtąd krzyki.

Kremer złapał swój liczący dwieście lat płaszcz. Głównego lekarza nie było, ale jego asystent zaprotestował twierdząc, że baron nie jest jeszcze na tyle silny, żeby wychodzić.

Podniesiony za przód koszuli i przerzucony przez pokój, zmienił zdanie. Szybko ogłosił, że jego pan jest już zdrow, i uciekł.

Kremer pośpieszył na dół w nocnej koszuli, trzepoczącej mu koło kostek. Czterech członków jego straży osobistej, bardzo lojalnych przedstawicieli pomocnych klanów, ruszyło w krok za nim. Zszedł szybko na dół i na dziedziniec. Tam znalazł diakona Hoss'ka przepychającego się przez stos zwęglonego drewna i potrzaskanych skorup.

Kremer stanął jak wryty, patrząc na to, co zostało z destylarni, którą zbudował Dennis Nuel. Z poskręcanych, osmalonych rurek unosiła się para. Pośrodku stał diakon, kaszląc i opędzając się od dymu. Jego jasnoczerwono szaty były nadpalone i pokryte sadzą.

- A co to ma znaczyć? - zapytał Kremer. W jednej chwili gapiący się na zniszczenia żołnierze odwrócili się, stając na baczność. Słudzy, którzy pracowali przy destylatorze, padli strachliwie na kolana.

Wszyscy poza trzema, którzy go nie zauważyli. Jeden był najwyraźniej nieżywy. Pozostałych dwóch zwijało się na ziemi nie ze strachu przed Kremerem, ale z bólu. Ich ręce i nogi były mocno poparzone. Kobiety z pałacowej służby opatrywały im rany.

Hoss'k pokłonił się nisko.

- Mój panie, poczyniłem odkrycie.

Wygląd Hoss'ka wskazywał, że był na miejscu, kiedy zdarzyło się nieszczęście. Znając go, można było założyć, że właśnie on je w jakiś sposób spowodował, grzebiąc w produkującym brandy urządzeniu.

- Ty spowodowałeś katastrofę! - krzyczał Kremer, patrząc na zgliszcza. - Jediną rzeczą, którą wycisnąłem z tego czarownika, zanim odrzucił moją gościnność i uciekł, była ta destylarnia! Liczyłem, że jej produkcja przyniesie mi duże zyski! A teraz ty, ty i to twoje gmeranie...

Hoss'k uniósł dłoń w proszącym geście.

- Mój panie... to ty poleciłeś mi zbadać istotę obcych, czarodziejskich urządzeń. A ponieważ nie potrafiłem sobie poradzić z innymi, postanowiłem zobaczyć, czy potrafię odkryć, jak działa destylator.

Kremer przyglądał mu się ze złowieszczym wyrazem twarzy. Pozostali w milczeniu wymienili spojrzenia wążąc, ile życia jeszcze pozostało diakonowi.

- Lepiej byłoby dla ciebie, żebyś odkrył, co się za tym kryje - groził Kremer - zanim to zniszczyłeś. Dużo bowiem zależy od tego, czy potrafisz to urządzenie odbudować. Trudno ci będzie zużywać twoje fikuśne ubrania, kiedy zabraknie ci na ramionach głowy.

- Jestem duchownym - zaprotestował Hoss'k. Wystarczyło jedno spojrzenie Kremera, by pochylił głowę i zaczął energicznie przytakiwać.

- O, nie martw się, mój panie. Nie będzie trudno odbudować to urządzenie, mój panie. W istocie zasada była diabelnie sprytna i prosta. Widzisz, ten kocioł tutaj... eee... to, co zostało z kotła... zawierał wino, które miało się powoli gotować, ale para była zatrzymywana...

- Daruj sobie szczegóły - uciszył go Kremer. Głowa bolała go coraz bardziej. - Ustal to z innymi. Chcę wiedzieć kiedy urządzenie będzie znowu działać!

Baron zrobił krok nad rannym żołnierzem. Pałacowa akuszerka, opatrująca rany jęczącego mężczyzny, umknęła mu z drogi.

Nawet idąc pomiędzy ruinami, Kremer nie potrafił oderwać myśli od swego głównego problemu - jak rozłożyć siły, by pojmać czarownika, księżniczkę Linnorę i równocześnie rozpocząć kampanię przeciwko L'Toff.

Przymierze nabierało właściwego kształtu. Oddział szybowców Kremera wyruszył w drogę, budząc szacunek u szlachty w zasięgu setek mil na wschodzie, północy i południu oraz - poprzez wykorzystanie tradycyjnych przesądów na temat smoków - zastraszając krnąbrnych wieśniaków.

Wkrótce wszyscy znaczni panowie przybędą na spotkanie. Kremer planował pokaz, który i na nich zrobi odpowiednie wrażenie.

Chociaż poparcie baronów może nie wystarczyć. Będzie potrzebował także i kupców, a sam pokaz to zbyt mało, żeby ich pozyskać!

Pieniądze, oto klucz! I nie żadne tam papierowe śmieci, których sztuczna wartość jest ledwo utrzymywana, ale prawdziwe, metalowe pieniądze! Mając wystarczająco dużo pieniędzy, Kremer mógłby kupić usługi wszystkich wolnych grup i przekupić każdego znacznego szlachcica! Żadne pokazy ani gadanie o magicznej broni nie działają tyle co zimny, twardy pieniądz!

A teraz ten idiota diakon zniszczył to, co mogło Kremerowi przynieść największy dochód.

- Mój panie? Kremer odwrócił się.

- Słucham.

Hoss'k, zbliżając się do barona, jeszcze raz się uklonił. Jego czarne włosy ubrudzone były sadzą.

- Mój panie, nie miałem zamiaru zniszczyć destylatora podczas badania... Ja...

- Ile czasu to zajmie? - warknął Kremer.

- Już za parę dni zaczniemy otrzymywać niewielkie ilości...

- Nie obchodzi mnie, ile czasu potrzeba na zrobienie urządzenia, ale jak długo nowy kocioł trzeba zużywać, żeby działał tak jak ten?

Hoss'k wyglądał bardzo blado pod smugami sadzy.

- Dziesięć... dwadzieścia... - Jego głos się łamał.

- Dni? - Kremer skrzywił się z bólu, klucie wróciło. Ścisnął rękami głowę, nie będąc w stanie nic powiedzieć. Ale świdrował Hoss'ka oczyma i chyba ten niewyobrażalny ból głowy przedłużył diakonowi życie.

W tym momencie przez pałacową bramę wbiegł chłopiec. Zobaczył barona, podbiegł i skwapliwie zasalutował.

- Panie, lord Hern przesyła ci pozdrowienia i wiadomość, że zwiadowcy trafili na trop zbiegów!

Kremer klasnął w dłoń.

- Gdzie są?

- Na południowo-zachodnim przejściu. Gońcy zostali rozesłani do wszystkich obozów u podnóża gór, by ogłosić stan pogotowia!

- Wspaniale! Wyślemy też kawalerię. Idź i poleć komendantowi Pierwszego Pułku Włóczników, żeby zebrał swoje oddziały. Ja też tam zaraz będę.

Chłopiec zasalutował znowu i ruszył dalej. Kremer odwrócił się w stronę Hoss'ka, który najwyraźniej rozmawiał ze swymi bogami.

- Diakonie - powiedział łagodnie.

- Tttak, mój panie?

- Potrzebuję pieniędzy, diakonie. Hoss'k przełknął ślinę i skinął głową.

- Tak, mój panie.

Kremer uśmiechnął się zimno.

- Czy możesz wskazać mi miejsce, gdzie mógłbym znaleźć dużo pieniędzy i to szybko?

Hoss'k zastanawiał się przez chwilę, a potem znowu skinął głową.

- Metalowy dom w lesie?

Kremer uśmiechnął się mimo bólu głowy.

- Tak jest.

Wcześniej Hoss'k sugerował, że ten obiekt może być wart znacznie więcej, niż wynikałoby to z ceny znajdującego się tam w ogromnych ilościach metalu. Zagraniczny czarodziej dał jasno do zrozumienia, że metalowy dom musi być pozostawiony w spokoju, jeżeli on ma coś zrobić dla Kremera.

Ale Dennis Nuel zdradził i Hoss'k nie miał tu już dużo do powiedzenia.

- Wyruszysz natychmiast z szybkim oddziałem kawalerii - powiedział Kremer. - Chcę mieć cały metal tutaj za pięć dni.

Hoss'k po prostu raz jeszcze przełknął ślinę i skinął głową.

W półtora dnia po wyruszeniu z farmy Sigelów Dennis prawie uwierzył, że uda im się niepostrzeżenie przejść przez kordon. Pierwszej nocy mała grupka uciekinierów minęła migające światła obozowisk na wzgórzach - oddziały zbierającej się zachodniej armii barona Kremera. Arth i Dennis pomagali osiołkowi ciągnąć wóz, podczas gdy Linnora skupiała się na zużywaniu go, by jechał cicho.

W pewnej chwili musieli przejść koło posterunku. Wartownik na służbie chrapał, ale Dennisowi wydawało się, że wóz robi tyle hałasu co czarownice w czasie sabatu, i uspokoił się, dopiero gdy skryli się w lesie.

Nadchodzący poranek zastał ich wysoko na przejściu. Główne jednostki szykującej się do ataku na ziemie L'Toff armii pozostawili szczęśliwie za sobą.

Między nimi a otwartymi terenami znajdowało się co najwyżej kilka oddziałów.

Mimo to poruszanie się za dnia byłoby szaleństwem. Dennis ukrył niewielką grupkę w rosnącej przy górskiej drodze gęstwinie, gdzie odpoczywali, na zmianę śpiąc, rozmawiając przyciszonymi głosami i posilając się z koszyka, który przygotowała dla nich pani Sigel.

Dennis zabawiał Linnorę, pokazując jej różne sztuczki na swoim komputerku. Wyjaśnił jej, że nie mieszkają w nim żadne żywe istoty i zademonstrował kilka zastosowań liczb. Bardzo szybko zorientowała się, o co chodzi.

Musieli być bardziej zmęczeni, niż Dennis przypuszczał, kiedy bowiem się obudził, było już znowu ciemno. Dwa małe księżyce stały wysoko na niebie, rozjaśniając lesisty teren niesamowitym, niebezpiecznie intensywnym blaskiem.

Obudził Artha i Linnorę - oboje usiedli raptownie, wpatrując się ze zdumieniem w ciemności, a potem wstali i wspólnie załadowali mały wózek. Dennis uparł się, żeby Linnora w dalszym ciągu w nim jechała. Stan jej stóp uległ wyraźnej poprawie, lecz księżniczka z pewnością nie była jeszcze w stanie daleko na nich zajść.

Wyruszyli w całkowitej ciszy, podejmując na nowo wędrowkę między mrocznymi wzgórzami.

Dennis przypominał sobie, jak trzy miesiące temu szedł tędy po raz pierwszy, nie mając jeszcze pojęcia, co go czeka. Spodziewał się ujrzeć rzeczną dolinę pełną zdumiewających stworów i jeszcze bardziej zdumiewającej technologii.

Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej niezwykła niż wszystko, co sobie wyobrażał. Nawet teraz od czasu do czasu ogarniało go zwątpienie, czy ten zadziwiający świat naprawdę istnieje.

Przypominał sobie obliczenia prawdopodobieństwa, które przeprowadził w Zuslik. Być może z pomocą naręcznego komputerka uda mu się wyliczyć szansę na zaistnienie tak zdumiewającej planety

jak Tatir i jeszcze bardziej niezwykłego Efektu Zużycia.

Jeśli jednak dobrze się zastanowić, rozmyślał, wchodząc pod czarny baldachim drzew, to czy Ziemia również nie jest zdumiewającym miejscem? Zasada przyczyny i skutku wydaje się prosta i zrozumiała, ale co począć z entropią? Niemal wszyscy inżynierowie, jakich znał, w głębi serca wierzyli święcie w duchy, skrzaty i prawo Murphy'ego.

Dennis nie mógł się zdecydować, który z tych dwóch światów zasługuje na miano bardziej perwersyjnego. Na dobrą sprawę zarówno Ziemia, jak i Tatir były po prostu nie do zniesienia. Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Przede wszystkim należało przeżyć. Miał zamiar wykorzystać Efekt Zużycia do ostateczności, jeśli zajdzie taka konieczność.

Pomagając pchać mały wózek zauważył, że wymaga to coraz mniejszego wysiłku. Koła nie skrzypiały już potępieńczo, Linnora zaś nie podskakiwała i nie obijała się niczym worek ziemniaków.

Księżniczka uśmiechnęła się do niego w blasku księżyców, a on odpowiedział jej tym samym. Wszystko będzie dobrze pod warunkiem, że uda się dostarczyć bezpiecznie Linnorę do jej ludzi w górach. Bez względu na potęgę, jaką rozporządzał Kremer, powinni utrzymać się wystarczająco długo, żeby on zdołał w tym czasie przywołać na pomoc jakieś ziemskie czary.

Pod warunkiem, że zdążą na czas.

Świt nadszedł wcześniej niż się spodziewał. W przybierającym z każdą chwilą na intensywności świetle ujrzeli przed sobą przełęcz. Dennis pogonił osła. Był pewien, że natrafią tam na posterunek.

Jednak w miarę jak posuwali się coraz dalej, nie napotykając na żadne kłopoty, zaczęła ożywać w nim nadzieja. Dotarli do siodła przełęczcy i Dennis chciał właśnie zarządzić przerwę na odpoczynek, kiedy z lewej strony rozległ się jakiś okrzyk.

Arth zaklął głośno, wskazując przed siebie wyciągniętą ręką. Na zboczu wzgórza płonęło ognisko, które umknęło ich uwadze mimo wzmożonej ostrożności. W świetle poranka dostrzegli wyraźnie ludzi w brązowych mundurach milicji terytorialnej Kremera. Przez gęstwinę krzewów przedzierał się już w ich stronę zwarty oddział.

Droga biegła tutaj nieco w dół, okrążając wypukłość wzniesienia. Dennis uderzył zmęczonego osła.

- Uciekajcie, ja ich powstrzymam! Arth zatoczył się w ślad za wózkiem.

- Sam? Czyś ty oszalał, Dennizz?

- Zabierz stąd Linnorę! Dam sobie radę.

Linnora skierowała na Dennisa zaniepokojone spojrzenie, ale nic nie powiedziała, kiedy

mruczący coś pod nosem Arth zmusił osła do ospałego truchtu. Wózek wkrótce zniknął za zakrętem drogi.

Dennis znalazł odpowiednie miejsce i stanął na samym jej środku. Na szczęście milicja terytorialna nie należała do najlepszych oddziałów Kremera - byli to w ogromnej większości zwyczajni farmerzy dowodzeni przez garstkę zawodowców. Niemal wszyscy z pewnością woleliby siedzieć spokojnie w domu.

Mimo to blef musiał być bardzo dobry.

Kiedy patrol wypadł z krzaków na drogę, Dennis ujrzał jedynie miecze, włócznie i tenery. Na szczęście nie było łuczników. W tych rejonach należeli do rzadkości, dobry łuk wymagał bowiem wiele uwagi i ćwiczenia, a na to nie każdy mógł lub chciał sobie pozwolić.

Plan miał szansę powodzenia.

Dennis czekał na środku drogi, trzymając w dłoniach garść kamieni i pasek jedwabnego materiału.

Jego postawa najwyraźniej wprawiła żołnierzy w zakłopotanie, gdyż zamiast biec, zbliżali się wolnym krokiem, poganiani chrapliwymi komendami sierżanta. Wiedzieli chyba, kim był główny uciekinier, i nie mieli zbyt wielkiej ochoty atakować obcego czarownika.

Kiedy zbliżyli się na jakieś sto stóp, Dennis umieścił kamień w procy, zakręcił nią trzy razy wokół głowy i wypuścił pocisk.

- Abrakadabra! Ugabuga! - wrzasnął.

Z takiej odległości nie sposób było nie trafić w ciasno zbitą gromadę ludzi. Jeden z żołnierzy zawył i upuścił z brzękiem broń.

- O, demony powietrza - wrzeszczał dalej Dennis, wznosząc twarz ku niebu. - Ukarajcie tych głupców, którzy usiłują schwytać czarownika.

Zakręcił procą i posłał kolejny kamień. Drugi żołnierz jęknął nagle, złapał się za brzuch i usiadł ciężko na drodze. Kilku ludzi odłączyło się od oddziału, najwyraźniej przypomniawszy sobie o pozostawionym przy ognisku śniadaniu. Inni przestępowali niezdecydowanie z nogi na nogę, wpatrując się w niego wybałuszonymi ze strachu oczami. Kiedy ubrany w szary płaszcz sierżant obrzucił ich wyzwiskami i rozdzielił kilka celnych kopniaków, ponownie ruszyli z wahaniem do przodu.

Dennis nie mógł na to pozwolić. Oczywiście, jeszcze jeden kamień powstrzymałby ich na kolejnych kilka chwil, ale wkrótce z pewnością zauważyliby, że tylko nieliczni z nich doznają obrażeń, a i to niezbyt groźnych. Zorientowaliby się, że zmasowanym atakiem będą mogli go z łatwością pokonać.

Schowwał procę i wyciągnął zza paska długi rzemień z przywiązanym do jednego końca, wydrążonym w środku kawałkiem stalodrewna.

- Uciekajcie! - ryknął swym najdonośniejszym, filmowym głosem. - Nie każcie mi wzywać na pomoc moich demonów!

Postąpił krok naprzód i zaczął wywijać rzemieniem nad głową.

Wydrążony klocek przecinał powietrze z coraz większą prędkością, wydając ponury, zawodzący odgłos. Nie miał czasu go odpowiednio zużyć, więc musiał mu służyć taki, jakim go wytworzył. Po chwili zawodzenie zamieniło się w przeciągłe, mrozące krew w żyłach wycie.

Rzecz jasna wiele ryzykował, bo nie wiedział, czy przypadkiem to urządzenie nie jest tutaj znane. Fakt, że nigdy go nie widział ani o nim nie słyszał, bynajmniej o niczym nie świadczył.

Jednak w miarę jak się zbliżał, żołnierze zaczęli nerwowo przełykać ślinę i cofać się krok za krokiem. Kolejna grupka odłączyła się od oddziału i pośpiesznie zrejterowała.

Sierzant zaklął ponownie i wzmógł swoje krzyki. Jego akcent był podobny do tego, z jakim mówili pochodzący z północy ludzie Kremera. Narastające wycie budziło w lesie liczne echa, sprawiając wrażenie, jakby w panującym pod gałęziami półmroku czaiły się jakieś zwierzęta, odpowiadające na wezwanie swego władcy.

Dennis starał się ze wszystkich sił uczynić przyrząd lepszym, choć wiedział, że nie dysponuje umiejętnościami pozwalającymi na tak szybkie doskonalenie przedmiotów. Mógł tego dokonać jedynie nadzwyczaj utalentowany L'Toff lub szczęśliwiec, któremu udało się zyskać przychyłość Krenegee. Mimo to wycie przybrało jeszcze bardziej na sile, aż wreszcie Dennis poczuł, że jemu samemu włosy jeżą się na głowie.

Pomimo przekleństw sierżanta żołnierze cofali się coraz szybciej, rzucając na siebie przerażone spojrzenia. Wreszcie dowódca wyrwał jednemu z nich włócznię i cisnął nią w Dennisa.

Dennis widział to, ale nie zareagował. Gdyby odwrócił się lub uchylił, straciłby niewielką przewagę, jaką udało mu się uzyskać. Musiał udawać, że nic go to nie obchodzi, wierząc w to, że sierżant okaże się niezbyt wprawnym oszczepnikiem.

Włócznia wbiła się w ziemię kilka cali od lewej nogi Dennisa. Kiedy ją mijał, jej drzewce jeszcze lekko wibrowało.

Wydawało mu się, że nogi ma zrobione z waty. Roześmiał się głośno, choć jemu samemu ten śmiech wydawał się raczej histeryczny niż zabawny.

Żołnierze jak jeden mąż jęknęli z przerażenia, rzucili broń i uciekli.

Sierzant zdobył się na wyzywający grymas, ale gdy Dennis huknął niespodziewanie „Buuu!”,

odwrócił się na pięcie i co sił pomknął za swymi ludźmi drogą prowadzącą do Zuslik.

Dennis pozostał sam przy stosie lśniącej broni, wywijając nad głową przywiązany do kawałka rzemienia, wydrążonym klokiem. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się opuścić rękę i przerwać potępieńcze wycie.

*

Wkrótce po tym, jak ruszył przed siebie drogą, wołając głośno Artha i Linnorę, ujrzał ich wychodzących spomiędzy drzew. Arth przyjrzał się uważnie Dennisowi, po czym uśmiechnął się z zakłopotaniem, jakby wstydząc się, że w ogóle mógł w niego wątpić. Oczy Linnory błyszczały, jakby chciała mu w ten sposób powiedzieć, że ona cały czas w niego wierzyła.

Kiedy podjęli na nowo wędrówkę, dotknęła strun swego klasmodionu. Wkrótce potem Dennis dostrzegł przypadkowo jak szarpnęła Artha za łokieć i wyciągnęła otwartą dłoń, a ten wzruszył ramionami i wręczył jej zwitek pogniecionych banknotów.

*

Niebawem dotarli do kamieniołomów, które Dennis widział podczas pierwszych dni swego pobytu na planecie. Teraz już rozumiał, czemu wówczas nikogo w nich nie spotkał. Przygotowania do wojny objęły swym zasięgiem także góry, na Tatirze zaś uciekający ludzie zabierali ze sobą wszystko, co posiadali, nie pozostawiając dosłownie nic.

Poruszali się w dobrym tempie. Wózek z każdą chwilą stawał się coraz lepszy. Jednak w miarę jak zbliżało się południe, Dennis martwił się coraz bardziej. Bez wątplenia uciekający żołnierze zdążyli już o nich donieść i Kremer na pewno wysłał za nimi lepsze oddziały.

Dotarli do rozwidlenia drogi - jedna jej odnoga biegła dalej wzdłuż górskiego zbocza, druga natomiast prowadziła na zachód, w kierunku kopalni krzemienia.

Linnora zeszła z wózka i pokuśtykała w stronę mniej używanego odgałęzienia, prowadzącego na południe.

- To szlak handlowy. Tędy właśnie przybyłam, kiedy po raz pierwszy poczułam, że w naszym świecie pojawił się mały, metalowy domek.

Zmarszczyła z niesmakiem czoło, jakby niezadowolona z poziomu zużycia nawierzchni. Podczas ostatnich kilku lat wymiana handlowa zmalała niemal do zera. Gdyby ten stan miał trwać dalej, doskonale gładka powierzchnia zaczęłaby zamieniać się stopniowo w ledwo udeptany trakt.

Dennis odwrócił się i spojrzał na północny zachód. Właśnie tam, o kilka dni marszu od głównej drogi, znajdował się jego „mały, metalowy domek”.

Gdyby miał pewność, że uda mu się jakoś sklecić nowy zewatron i odpowiednio go zużyć, może nawet zdecydowałby się podjąć ryzyko. Zaproponowałby Linnorze i Arthowi, że zabierze ich z tego świata wypełnionego niebezpiecznym szaleństwem na planetę, gdzie może życie było trudne, ale przynajmniej toczyło się według sensownych reguł.

Niestety, nie miał na to czasu, a poza tym podjęli przecież pewne zobowiązania. Westchnąwszy ciężko, chwycił osła za uzdę i ruszył drogą prowadzącą na południe.

- W porządku, musimy wspiać się na jeszcze jedną przełęcz.

*

Szli w niezłym tempie. Dzięki delikatnym staraniom Linnory, z pomocą Artha i Dennisa, wózek zaczął się zamieniać w naprawdę wygodny pojazd. Osie obracały się w płytkich rowkach w kadłubie, smarując się w taki sam sposób, w jaki czyniły to płozy sań sunących wyżłobionymi w drogach koleinami. Zamontowane przez Dennisa skórzane pasy pozwalały Linnorze coraz lepiej kierować przednimi kołami, co okazało się bardzo przydatne na ostrych, górskich zakrętach.

Od przełęczki dzieliła ich już nie więcej niż mila, kiedy Arth dotknął dłonią ramienia Dennisa.

- Spójrz - powiedział, wskazując wstecz.

Poniżej, jakieś dwie mile z tyłu, po prowadzącej między drzewami drodze sunęła szybko zwarta kolumna przyrodziaków w ciemne stroje postaci. Dennis zmrużył z wysiłkiem oczy żałując, że nie ma swojej lunety.

- To są biegacze - poinformowała ich Linnora unosząc się, żeby spojrzeć swoim byстрыm wzrokiem z ich wysokości. - Mają szare uniformy pomocnych oddziałów Kremera.

- Czy mogą nas dogonić? Linnora pokręciła głową niepewnie.

- Dennis, to są żołnierze, dzięki którym ojciec Kremera pokonał starego księcia. To niezmordowani w biegu zwiadowcy.

Linnora niewątpliwie podziwiała Dennisa za jego wyczyny, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jego możliwości są ograniczone. Tym razem to nie byli kmiecie, których można odstraszyć kamieniami i hałasem.

Wysiadła z wózka.

- Chyba lepiej będzie, jeśli dalej pójdę na piechotę.

- Nie rób tego! Znów ci spuchną nogi!

Linnora uśmiechnęła się.

- Nawet kulejąc, pójdę pod górę szybciej, niż bylibyście w stanie mnie ciągnąć. Czas, żebym i ja coś zrobiła. - Wzięła Dennisa pod ramię.

Arth cmoknął na osła, który dzielnie pociągnął lżejszy teraz wóz.

Dennis obejrzał się na szereg ciemnych postaci z tyłu i w dole. Chyba już się powiększyły. Żołnierze biegli truchtem, słońce odbijało się w ich broni.

Zbiegowie odwrócili się i kontynuowali wspinaczkę ku południowej przełęczy.

*

Zarówno uciekający, jak i pogoń zwolnili przed szczytem. Teraz, kiedy Linnora szła o własnych siłach, Dennis zastanawiał się nad porzuceniem wózka, a przynajmniej małego szybowca, zajmującego jego tył. Jednak mimo że poważnie by im to ulżyło, nie zdecydował się na ten krok. Za dużo pracy włożono w doskonalenie tych przedmiotów. Mogą się jeszcze przydać. Zresztą i tak ich tempo było ograniczone możliwościami Linnory. Ona też o tym wiedziała. Jej twarz stężała od wysiłku. Dennis nie śmiał zmuszać jej do odpoczynku. Liczyła się każda chwila.

Jego też bolały nogi, a płuca odmawiały posłuszeństwa w rozrzedzonym powietrzu. Wydawało się, że ich męka ciągnie się już godzinami.

Zaskoczyło ich, kiedy nagle od południa otworzył się przed nimi nowy widok, nowy dział wodny. Wycieńczeni padli na ziemię w najwyższym punkcie przełęczy.

Linnora spojrzała na łańcuch wzgórz stojących półkolem od południa jak olbrzymi rycerze. Północną stronę szczytów pokrywały cienie, słońce powoli zniżało się po ich prawej stronie.

- Tam - powiedziała, wskazując grupę śnieżnych wierzchołków. - To jest mój dom.

Dennisowi górskie królestwo L'Toff wydawało się równie odległe, jak łagodne wzgórza z jego okolic na Ziemi. Czy możliwe, żeby tam doszli, mając pogoń na karku?

Dennis stał przez chwilę w zadumie, łapiąc oddech, podczas gdy Arth i Linnora popijali z manierki, podarowanej przez Surah Sigel.

Dennis spojrzał na ścieżkę, opadającą zakosami po południowym stoku góry. Obejrzał się i popatrzył na wózek, który tak im się dotąd przydawał. Zagwizdał pod nosem, czując rodzący się pomysł.

Czy to mogło się udać? Krok był niewątpliwie desperacki, mogli wszyscy zginąć.

Spojrzał na swoich towarzyszy. Byli półżywi ze zmęczenia. Bez wątpienia nie mieli szans w

wyścigu z oddziałem, który deptał im po piętach.

- Arth - powiedział - idź i stań na straży. Mały złodziej jęknął, ale pokuśtykał kawałek do tyłu. Rozejrzawszy się pod pobliskimi drzewami, Dennis znalazł dwa tęgie kije. Odciął kawałki sznura ze zwoju, który im dała Surah i umocował drągi do wózka przy tylnych kołach. Ledwo skończył, kiedy usłyszał okrzyk. - Dennizz! To Arth machał gorączkowo z północnego skraju przełęczy.

- Dennizz! Oni są już prawie tutaj!

Dennis zaklął. Liczył na nieco więcej czasu. Baron miał niewątpliwie znakomitych żołnierzy. Żeby utrzymać takie tempo, musieli osiągać granice ludzkich możliwości.

Podsadził Linnorę na wózek. Arth dobiegł do nich i zaczął szarpać wyczerpanego osła, obrzucając go przy tym przekleństwami.

- Daj mu spokój - powiedział Dennis.

Podszedł i przeciął uprząż, ku zdumieniu Artha uwalniając zwierzę.

- Wsiadaj z tyłu - powiedział do niego Dennis. - Od tego miejsca jedziemy wszyscy.

*

Dowódca kompanii Niebieski Gryf z garnizonu w Zuslik ciężko dysząc, biegł na czele swoich ludzi. Miał kolkę, płuca bolały przy każdym wdechu. Dowódca zacisnął szczęki. Nie mógł pozostać w tyle za swoimi podkomendnymi, z których większość stanowili młodzi ochotnicy z dobrych rodzin. Tylko nieliczni z nich przekroczyli dwudziesty rok życia.

On sam w wieku lat trzydziestu dwóch czuł się za stary na „takie wyczyny”. „Może - pomyślał, ocierając pot zalewający mu oczy - może powinienem przenieść się do kawalerii”.

Obejrzał się na swoich ludzi. Ich twarze były spocone i napięte. Co najmniej dziesięciu z jego czterdziestki już odpadło i teraz leżeli, ciężko dysząc, przy ścieżce, rozrzucony na całej długości zbocza.

Dowódca pozwolił sobie na lekki uśmiezek w przerwie między dwoma haustami rozrzedzonego powietrza.

Może jeszcze poczeka z tym przeniesieniem.

Chwile cierpienia zdawały się przeciągać w nieskończoność, a potem wreszcie byli na przełęczy. Na równym gruncie stopy dowódcy nagle nabrały lekkości i prawie wpadł na żołnierza przed nim, który niespodziewanie stanął, wskazując coś ręką.

- Tam! Prosto... przed nami!

Dowódcę rozpierała duma. Baron Kremer niewątpliwie okaże hojność komuś, kto przyprowadzi z powrotem egzotycznego czarownika i księżniczkę L'Toff. Jego sława będzie ugruntowana!

Na przełęczu gromadka żołnierzy, ciężko dysząc, z rękami wspartymi na kolanach wpatrywała się w dół. Dowódca też stanął i nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczył południowy stok góry.

W odległości zaledwie paru kroków pasł się mały osiołek, z którego zwisała odcięta uprząż.

Na drodze, w odległości może stu kroków trójka ludzi siedziała stłoczona w małym pudle. Natychmiast rozpoznał zbiegów, których ścigał. Wyglądało, że po prostu siedzą czekając, aż zostaną schwytani.

Dopiero po chwili dowódca zauważył, że skrzynia się rusza! Żadne zwierzę jej nie ciągnęło, a jednak się ruszała!

Jak?

Nagle olśniło go, że to musi być sprawka czarownika.

- Za nimi! - Chciał krzyknąć, ale tylko zaskrzeczał. Mniej więcej połowa jego ludzi z trudem podniosła się na nogi i chwiejnym krokiem ruszyła za nim w dół.

Ale skrzynia z każdą chwilą przyspieszała. Dowódca zobaczył, że najmniejszy ze zbiegów, złodziejasek, o którym słyszał, że znacznie przyczynił się do ucieczki z zamku, odwraca się i posyła mu złośliwy uśmiezek.

*

- Uważaj na ten zakręt!

- Nie martw się o cholerny zakręt! To ty uważaj na hamulce!

- Jakie znów hamulce?

- No, te dwa drażki. Kiedy zbliżamy się do zakrętu, dociskaj je do kół!

- Dennis, zdaje się, że teraz zakręt będzie bardzo ostry...

- Co mówisz, Linnora? Gdzie? O rany! Trzymajcie się!

- Dennizz!

- Dennis!

- Wychylcie się! Nie, w drugą stronę! Księżniczko, nic nie widzę! Nie zasłaniaj mi oczu!

Z przeraźliwym, rezonującym w kościach zgrzytem wózek pokonał ostry zakręt, podskoczył i popędził stromą drogą. Obok nich śmigwały kłujące krzewy i poskręcane drzewa.

- Eeej! Czy to już koniec? Czy mogę puścić te drągi? Czuję się niezbyt dobrze...

- A ty, Linnora? Nic ci nie jest?

- Nie, Dennis. Czy widziałeś, jak blisko przepaści byliśmy?

- Na szczęście nie. Bądź tak dobra i zajmij się Arthem. Zdaje się, że zemdlał.

Przez chwilę droga biegła prosto. Dennisowi udało się zapanować nad wózkiem.

- Dennis, Arth odzyskuje przytomność, ale jest bardzo zielony.

- Uderz go w twarz, jeśli nie można inaczej! Nabieramy znów szybkości i chcę, żeby pilnował hamulców.

Mały złodziej zaczął sypać przekleństwami, dając znać, że powraca do zdrowia.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - westchnął z ulgą Dennis.

- Nie ma za co. Ale muszę ci powiedzieć... Zdaje się, że przed nami jest następny ostry zakręt.

- Wspaniale! Czy taki, jak ten poprzedni?

- Hm, chyba gorszy.

- O rany, masz rację! Trzymajcie się!

*

Kiedy pochyłość wreszcie się skończyła, przejechali z rozpędu spory odcinek po płaskim, a nawet wjechali na przeciwległe zbocze. Tymczasem osie wozu tak się udoskonaliły, że działały prawie bez tarcia. Przynajmniej jakiś pożytek z tej szalonej jazdy.

Zatrzymali się w końcu pośrodku wąskiej doliny, służącej za letnie pastwisko. Niedaleko drogi stał opuszczony szałas pasterski. Siła bezwładności doprowadziła ich prawie pod same drzwi.

Arth zacisnął hamulce, żeby wózek sam nie odjechał. Dopiero wtedy wyskoczył i padł na trawę, rycząc ze śmiechu.

Linnora poszła w jego ślady, nieco mniej zmęczona, ale równie rozbawiona. Ona też upadła na

bujną trawę, trzymając się za boki i zanosząc śmiechem jak dzwoneczki. Z oczu ciekły jej łzy.

Dennis siedział na swoim miejscu, drżąc na całym ciele i wciąż zaciskając w dłoniach rzemienie, za pomocą których kierował wózkiem przez kilkanaście najbardziej przerażających mil w swoim życiu. Rzucił ponure spojrzenie na Artha i Linnorę. Choć byli jego najlepszymi przyjaciółmi, mieli szczęście, że nie miał siły wstać, podejść do nich i udusić ich na miejscu!

Pohukiwali jak dzieci, naśladując rękami szaleńczy pęd. Zachowywali się tak od pierwszych przerażających chwil na zboczu. Z chwilą, kiedy doszli do przekonania, że „czarownik” znowu znalazł sposób, ani przez moment nie przyszło im do głowy, że jest się czego bać.

Przez ich radosne wrzaski kilkakrotnie niemal stracił kontrolę nad pojazdem, co groziło wpadnięciem na ostre jak brzytwa skały.

Powoli, ostrożnie Dennis uwolnił dłonie od rzemieni. Powracające krążenie krwi spowodowało ostry ból. Wróciła też „choroba komunikacyjna”, którą z trudem pokonał podczas szaleńczego zjazdu. Niepewnie uniósł się na nogach i ostrożnie wysiadł ze zwariowanego małego pojazdu, przytrzymując się jego burty.

- Och, Dennis. - Linnora kulejąc podeszła i zawisła na jego ramieniu. Nie mogła przestać się śmiać. - Och, mój wielki czarowniku, ale ich wystrychnąłeś na dudka! Pędziliśmy szybciej niż wiatr! Jesteś cudowny!

Dennis zajrzał w jej szare oczy i zobaczył w nich miłość i podziw, których nieraz tam szukał. Nagle uświadomił sobie, że są sprawy, które mają pierwszeństwo nawet przed zrealizowanym marzeniem.

„Muszę zapamiętać tę myśl” - pomyślał zataczając się.

Potem odsunął od siebie księżniczkę, zrobił kilka chwiejnych kroków za najbliższą kępę krzaków i potężnie zwymiotował.

X. SIC CIASTECZKUS DISINTEGRATUM

Pokaz odbywał się wieczorem, przy świetle księżycy i migotaniu setek jasnych pochodni. Wysoko urodzeni widzowie, coraz bardziej podenerwowani obserwowali przygotowania. Szereg za szeregiem szwadrony zapełniały plac parad. Wtem werble zamilkły.

Nastąpiła długa cisza, a potem nagle przerwał ją głośny przerażający dźwięk. Po eksplozji znowu zapadła cisza, gdy goście w zadziwieniu i oszołomieniu patrzyli na to, co się stało. I wtedy tysiąc mężczyzn pozwoliło sobie na jeden krwiożerczy ryk aprobaty.

Sierżant Gil'm zrobił zwrot i pomaszerował zwawo w stronę podium. W pewnym oddaleniu od placu, na końcu przejścia dla skazańców widniała w murze zewnętrznym nowa dziura. W miejscu, gdzie jeszcze przed paroma chwilami stał hardy więzień L'Toff, wykrzykując epitety w kierunku barona Kremera i jego szlachetnie urodzonych gości, leżał zakrwawiony pniak.

Kremer przyjął igłowiec z rąk sierżanta. Odwrócił się do wielkich lordów z zachodu, którzy zebrali się, żeby przedyskutować końcowy kształt przymierza przeciwko autorytetowi króla.

Książęta i baronowie pobledli. Paru wyglądało nawet, jakby byli chorzy. „Tak - pomyślał Kremer - pokaz się udał”.

- No i cóż, panowie? Widzieliście w akcji siły powietrzne. Pokazałem wam pudełko dalekiego ostrzegania. A teraz widzicie, co może dokonać moja najwspanialsza, najnowsza broń. Czy jest jeszcze wśród was ktoś, kto by wątpił w powodzenie mojego planu?

Książę Bas-Tyra zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- Nie pozostaje nam nic innego, tylko podziwiać to... chociaż może dobrze byłoby zobaczyć cudzoziemskiego czarownika, który stworzył dla ciebie te cuda i o którym tak wiele się mówi.

Spojrzał na Kremera wyczekująco. Ale władca Zuslik po prostu milczał i nic nie mówiąc, patrzył spod ciemnych brwi.

- No cóż - ciągnął dalej książę - niewątpliwie zgadzamy się, że nasz król Hymiel powinien dowiedzieć się o prawach swoich wasali. Chociaż niektóre proponowane przez ciebie metody...

- Chyba nadal nie rozumiesz, jak naprawdę wygląda sytuacja - powiedział Kremer wzdychając.
- Trzeba ci będzie pokazać.

Odwrócił się do swego kuzyna, lorda Herna.

- Każ przyprowadzić specjalnych więźniów - polecił. Lord Hern przekazał rozkaz.

Wielcy panowie zaszeptali pomiędzy sobą. Najwyraźniej byli głęboko poruszeni. Dostali więcej, niż prosili. Niektórzy zerkali na barona Kremera nerwowo, jakby zaczynali podejrzewać, o

co mu chodzi.

Posłaniec lorda Herna wrócił na miejsce i wkrótce na dziedzińcu wprowadzono szereg związanych mężczyzn.

Zebrani notable krzyknęli ze zdziwienia.

- Toż to Królewscy Zwiadowcy.

- W rzeczy samej. To wojna, czy to się wam podoba, czy nie!

- I spójrzcie! Pełnomocnik króla.

Pomiędzy Zwiadowcami znajdował się mężczyzna noszący barwy królewskie, błękit i złoto, którego podpis miał tę samą wagę, co królewski.

- Kremer! - krzyknął mężczyzna. - Jak śmiesz traktować mnie, zastępującego samego króla, w ten sposób? Przybyłem tu jako emisariusz pokoju! Kiedy mój pan dowie się o tym, będzie miał twoją...

- Będzie miał moją figę! - wrzasnął Kremer, przerywając pełnomocnikowi. Jego oddziały, jak jeden mąż, zawiwatowały.

Kremer odwrócił się do zebranych. Wskazał na więźniów.

- Powieście ich - powiedział. Zaszokowany książę Bas-Tyra zapytał:

- My? Chcesz, żebyśmy powiesili królewskich posłańców? Osobiście?

Kremer przytaknął.

- Teraz.

Szlachta popatrzyła na siebie. Kremer widział, że zerkają również na widoczne w świetle pochodni, krążące ponad głowami szybowce, na stojące w zwartych szeregach oddziały - załedwie część tego, czym dysponował - i na igłowiec w jego dłoniach. Widział, że zaczynają rozumieć.

Jeden po drugim skłaniali głowy.

- Jak sobie życzysz... królu.

Jeden po drugim ruszyli, by wykonać jego rozkaz. Kremer patrzył, jak podchodzili, biorąc skazańców za sznury.

Na podniesieniu pozostali z nim jedynie najemni dowódcy. Odwrócił się i przyjrzał się im - sześciu weteranów zaprawionych w wielu różnych, małych wojenkach. Oni nie posiadali ziemi ani

własności, o którą mogliby dbać. Ich oddziały w razie niebezpieczeństwa mogły się po prostu rozpierschnąć, więc nie obawiali się ani szybowców, ani magicznej broni. W razie wątpliwości mogli po prostu odjechać.

Kremer potrzebował ich, jeżeli chciał oblegać miasta na wschodzie i stłumić „demokratyczno-rojalistyczne” pospólstwo.

A na długą kampanię potrzebował pieniędzy.

- Panowie - powiedział - co byście powiedzieli na kieliszek brandy?

*

- Dennis?

- Mmmm ? O c...o co chodzi, Linnora? - Dennis uniósł głowę. Przetarł oczy. Na zewnątrz nadal było ciemno. Po drugiej stronie pasterskiego szalasu Arth cicho pochrapywał.

Linnora spała zwinięta obok Dennisa, pod tym samym kocem. Teraz usiadła, wpatrując się swymi szarymi oczyma w blady księżyc.

- Dennis, poczułam to znowu.

- Poczułaś co?

- Że ktoś lub coś zjawilo się w naszym świecie. Tak jak wtedy, gdy wiedziałam, że pojawił się twój metalowy domek, wiele miesięcy temu., i kiedy wyczułam twoje przybycie na Tatir.

Dennis potrząsnął głową, starając się oprzytomnieć.

- Chodzi ci o to, że ktoś użył zevatronu? Linnora nie rozumiała. Patrzyła w noc.

To było niewiarygodne. Czyżby naprawdę Linnora mogła stwierdzić, kiedy zevatron działał? Jeśli tak, czy oznaczało to, że ktoś użył maszyny, wyruszając za nim?

Dennis westchnął. Żal mu było biednego frajera, ktokolwiek to był. W każdym razie na pewno w tej chwili nie mógł w żaden sposób mu pomóc. Faceta czekało parę nieprzyjemnych wstrząsów.

- Nie ma sensu się tym martwić - powiedział do księżniczki. - Chodź i prześpij się trochę. Czeka nas trudny dzień.

*

Kiedy światło poranka rozlało się po halach, domek z innego świata rozblęsnął królewskimi

kolorami. Mędrzec Hoss'k szepnął do swych strażników, żeby zachowali ciszę.

Hoss'k przyglądał się domkowi w zamyśleniu. Bogowie tylko wiedzieli, jak miał rozebrać na części tę cholerną rzecz. Istniał powód, dla którego powstrzymał się przed zabranie jej parę miesięcy wcześniej. I nie była to konieczność odprowadzenia złapanej księżniczki do Kremera.

Chociaż cała sprawa mogła okazać się dyskusyjna. Tak samo jak poprzednim razem ktoś go uprzedził! Samotna postać kręciła się wokół domku, mówiąc coś do siebie po cichu i wynosząc ze środka jakieś pudełko.

W słabym świetle Hoss'k prawie mógł wyobrazić sobie, że jest to sam czarownik! Pomimo wszystko metalowy dom był jednym z miejsc, gdzie powinno się go szukać.

Może Nuel da się przekonać i rozłoży dla niego dom na części? A w każdym razie uwięzienie i przyprawienie go Kremerów! zmniejszy gniew władcy.

Hoss'k poczuł zawód, widząc w świetle poranka, że intruz ma jasne włosy. To wcale nie był Dennis Nuel, chociaż wzrostem dorównywał czarownikowi.

Hoss'k i jego strażnicy nasłuchiwali ukryci wśród drzew, jak mówił do siebie z jakimś okropnym akcentem.

- ...cholerny bałagan!... mechanizm powrotny wyrwany... wszystko porzucane... idiotyczna notatka o miejscowych inteligentnych stworzeniach! - Mężczyzna sapał, podnosząc części porzucane po ziemi.

- ...zadziiera nawet ze mną, ot co. Tylko dlatego, że poszedłem po to jego urządzenie do supermarketu, a nie jak chciał do tego idiotycznie drogiego sklepu... pewnie postanowił po bawić się w odkrywcę, więc poprzerabiał ten cholerny zewatron tylko po to, żeby nikt inny nie potrafił go naprawić, musiał wiedzieć, że Flaster wybrał mnie na następnego...

To, co Hoss'k usłyszał, wystarczyło mu. Jeden czarownik zastąpi drugiego. Może ten okaże się bardziej uступliwy!

Wskazał strażom, by otoczyły niczego nie podejrzewającego przybysza.

*

- Co robisz, Dennizz?

Dennis podniósł wzrok. W półmroku budzącego się dopiero dnia wyglądał na zmęczonego i poirytowanego. Arth powinien być z Linnora, pomagając jej przygotować pokrzepiające śniadanie przed czekającym ich ciężkim dniem.

- A jak sądzisz, Arth?

- Nooo... - Arth potarł policzek w geście, który przybierał, gdy chodziło o jakieś „inżynieryjne” sprawy. Najwyraźniej zrozumiał pytanie Dennisa jako wyzwanie, nie wyczuwając w nim sarkazmu.

- Hmm, to wygląda, jakbyś łączył szybowiec z wozem, skrzydła zastępują żagle, to jest trochę jak łódź.

Dennis wzruszył ramionami.

- No pewnie. Dlaczego nie? Na tej wysokości wieją silne wiatry. Może to nam ułatwi wspinaczkę! - Arth odwrócił się i zawołał w stronę chaty: - Księżniczko, zobacz, z czym wyskoczył czarownik.

Dennis westchnął i wrócił do pracy. Wkrótce musieli ruszać. Poprzedniego popołudnia sporo wyprzedzili oddziały Kremera, ale nie na tyle, żeby czuć się bezpiecznie. Chciałby być tak pewien jak Linnora i Arth, że wyciągnie ich z każdej kolejnej kabały. Nie mógł znieść myśli, że zobaczy kiedyś zawód na ich twarzach.

*

- Ojczy, rozpoczął się atak!

Księżę Linsee podniósł wzrok znad wielkiego stołu-mapy, kiedy jego syn Proll wbiegł do sali konferencyjnej.

- Gdzie uderzyli?

- Wszystkie przejścia od wschodu są szturmowane przez sprzymierzeńców Kremera, płaszcących się przed nim. Atak zgrali kurierzy na tych przeklętych szybowcach. Oczekujemy, że drugi trzon wojsk uderzy na nas od północy jeszcze dzisiaj.

Linsee spojrzał na Demsen. Dowódca oddziału Królewskich Zwiadowców potrząsnął głową.

- Jeżeli wszyscy lordowie z zachodu połączyli się z Kre-merem, nie otrzymam wiadomości od króla, szczególnie gdy szybownicy są w górze. Równina Darb jest zbyt szeroka, żeby przebyć ją w ciągu nocy, nawet na szybkim koniu.

- Może w balonie? - zasugerował Linsee. Demsen wzruszył ramionami.

- Ryzykować te kilka sztuk, które mamy? Sigel i Gath ^starają się, jak mogą, ale póki jeden z twoich ludzi nie zwabi jKrenegee do pomocy, wątpię, żeby flotylla była gotowa na Iczas.

Księżę Linsee wyglądał na załamane.

- Nie martw się, stary przyjacielu. - Demsen klepnął siecią po ramieniu. - Będziemy walczyć. I coś zawsze może wydarzyć.

*

- Myślałem, że te żagle nam pomogą! - gderał Arth, Ciągnąc wózek. Dennis pchał z tyłu.

- Może to nie działa! Nie każdy dobry pomysł się sprawdza. Niech będzie, że to moja wina.

Pchali wózek po stromym nachyleniu i wreszcie dotarli do długiej, płaskiej półki, gdzie mogli odpocząć.

Dennis otarł pot z czoła i kazał Linnorze wdrapać się znowu na wózek.

- Mogę jeszcze iść, Dennis, naprawdę. - Linnora wyglądała na złą, że zmuszano ją do jazdy i patrzenia, jak obaj mężczyźni odwalają całą robotę.

Dennis podziwiał jej spokój i odwagę. Na pewno ból w stopach i kostkach musiał się jej dawać we znaki. A mimo to właśnie ona najbardziej parła do przodu i nie chciała szukać jakiegoś schronienia w górach, by przeczekać zbliżające się bitwy.

- Jasne, że mogłabyś się jeszcze trochę przejść - powiedział Dennis stanowczo. - Ale niedługo będziesz pewnie musiała biec. Chcę, żebyś miała na to siły, kiedy nadejdzie czas.

Linnora wyglądała, jakby postanowiła się upierać. Jednak wreszcie westchnęła.

- Och, niech będzie. Trochę pozużywam wóz i popracuję nad twoimi żaglami.

Sięgnęła ręką, złapała Dennisa za włosy i pocałowała go mocno. Po czym skinęła głową z głośnym „Ufff, jakby ustaliła coś ważnego. Wreszcie wdrapała się na wóz i zajęła zwykłe miejsce, patrząc prosto przed siebie.

Dennis przez chwilę stał oszołomiony, ale zdecydował, że nie będzie psuć jakimiś pytaniami tak miłego zdarzenia.

- Hmm, Dennis?

Dennis obejrzał się. Arth wskazywał w dół, na podnóże góry za nimi.

Ten zwyczaj wskazywania na jakieś czekające ich nieszczęścia wywoływał już u Dennisa uczucie mdłości. Odwrócił się i spojrzał tam, gdzie pokazywał mały człowiek.

Na skraju niewielkiego górskiego pastwiska widać było dużą kolumnę szybko poruszających się kształtów. Oddział kawalerii, który przejeżdżał właśnie obok chaty, gdzie spędzili ubiegłą noc, liczył przynajmniej dwustu jeźdźców. Część oddziału zatrzymała się, żeby przeszukać szalas. Reszta

spieszyła do przodu, ich szare proporce trzepotały w powietrzu, kiedy sunęli w trop za zbiegami.

Dotarcie do miejsca, gdzie om się znajdowali, zajmie im najwyżej dwadzieścia minut.

Dennis potrząsnął głową. Na wiele mil przed nimi nie widać było miejsca, gdzie mogliby się ukryć.

„No dobrze - pomyślał - i kto nas wyciągnie z tej kabały?”

Arth i Linnora patrzyli na niego. Dennis poczuł się bardzo zmęczony i wyprany z wszelkich pomysłów.

Miał właśnie odwrócić się i powiedzieć im to, kiedy kątem oka zobaczył coś, jakby ruch w krzakach porastających północno-wschodni stok, od strony Zuslik. Przyjrzał się uważniej. Coś sunęło w ich kierunku z dużą prędkością.

- Co to...? - Linnora i Arth odwrócili się w tę stronę. Nie było sposobu, żeby zdążyli uciec, jeżeli nawet miało

się to okazać groźne. Otrząsało suche krzaki, wzbijając kurz w powietrzu, i poruszało się z niesamowitą szybkością.

Arth i Linnora spojrzeli po sobie równie zakłopotani co Dennis.

- Wiecie - myślał na głos Dennis. - Myślę, że to może być...

Krzaki nagle przestały się ruszać w odległości jakichś dwudziestu jardów od nich. Przez krótką chwilę nic się nie działo, jakby to coś w krzakach, cokolwiek to było, zastanawiało się. Potem ruszyło szybko prosto na nich!

Arth cofnął się, wyciągając jeden z mieczy, zabranych przez Dennisa milicjantowi z oddziału, który mijali poprzedniego dnia. Dennis przesunął się, stając między tym czymś a Linnora, chociaż zaczynał podejrzewać...

Krzaki przy drodze rozsunęły się przy fontannie drzazg. Chmura śmieci wreszcie powoli opadła.

Z cichym jękiem otworzyła się wieżyczka robota Saharyjskiego Instytutu Badawczego. Para zielonych oczek błysnęła spod wewnętrznej kopułki. Dwa rzędy ostrych jak brzytwy zębów zaśniły pod metalowym kapturem.

- No cóż - odezwał się Dennis. - Trochę czasu wam zabrało, żeby nas znaleźć. - Ale mimo to uśmiechnął się szeroko.

Robot bipnął. Chochlak również uśmiechnął się w odpowiedzi. Potem potrząsnął energicznie głową i kichnął, wzniecając kolejny kłęb kurzu.

Na trzecim zakręcie rzeki Ruddik bitwa nie toczyła się pomyślnie dla żadnej ze stron.

Dla barona R'ketts i księcia Feif-dei zdobywanie wąskiego wąwozu było przedsięwzięciem żmudnym i niebezpiecznym marnotrawstwem zarówno czasu, jak i ludzi. Siedząc na koniach, przyglądali się ze szczytu niewielkiego wzgórza na środku dużej stromizny, jak ich siły rozdzielają się na dwie kolumny.

Większa część wyruszyła na zachód, jeszcze wyżej w góry, kamienistą drogą, wzdłuż której toczyło się najwięcej potyczek w tej polegającej na szybkim ataku i jeszcze szybszej ucieczce wojnie.

Wzgórze, na którym stali dowódcy, powstało dopiero tego dnia rano, kiedy lawina otoczków spadła na to miejsce, grzebiąc dwudziestu żołnierzy pod kamiennym gradem.

Straty mogły być dużo większe, ale szybowce nowego króla walczyły bardzo dzielnie. Oddziały Kremera spadały z powietrza, atakowały brawurowo, nie zważając na zmienne prądy powietrza i rażąc ludzi L'Toff burzą śmiertelnych strzał. Szybko oczyściły wzgórze z obrońców, pozwalając armii posuwać się dalej.

Baron R'ketts przyglądał się sunącym naprzód kolumnom z ponurą satysfakcją. Nawet baron... niech będzie król Kremer... nie mógł narzekać na ich postępy. Przynajmniej jeśli jest przy zdrowych zmysłach.

Na przekór początkowym przeciwnościom baron R'ketts nadal spodziewał się łatwego zwycięstwa i wybiegał myślą w przyszłość, rozkoszując się plonami, jakie przyniesie ta kampania. Słyszał cudowne historie o bogactwach znajdujących się u L'Toff. Mówiło się, że L'Toff potrafią zużyć narzędzia i broń do perfekcji w ciągu kilku minut, a potem przedmiot pozostaje w tym samym kształcie na zawsze! Mówiło się także, że kobiety z L'Toff mają dar zużywania mężczyzn... przywracając im męskość, jaką kiedyś posiadali.

Po drugich godzinach w siodle dokuczał mu krzyż. Ale powtarzał sobie, że warto. Kremer obiecał bogactwa i przyjemności, o jakich się nie śniło.

Oblizwał wargi na myśl o tym. Potrafił bowiem wyśnić strasznie dużo!

Książę Feif-dei przypatrywał się postępowi wojsk trzeźwiejszym okiem. Tam, gdzie jego brat dostrzegał jedynie żołnierzy prących w górę, Feif-dei widział coraz większą rzeszę sunącą w drugim kierunku - wieśniaków, gospodarzy, zużywaczy, a nawet najemnych robotników, z obandażowanymi ranami, opierających się na kulach lub jeden na drugim i schodzących do punktów opatrunkowych.

Feif-dei wiedział, że najlepsze, najbardziej zużyte bandaże chowane były dla szlachty. Wielu, może nawet wszyscy ci ludzie umrą - jeśli nie z utraty krwi, to z zakażenia.

Oddziały nie wykazywały już tego szalonego entuzjazmu, z jakim zaczynały kampanię. Ludzie w większości byli zmęczeni i głodni, a także nieco przestraszeni.

Jednak nadal tu i tam trafiał się ktoś w podnieceniu rozprawiający o bogactwach, które przypadną im w udziale, kiedy zdobędą twierdzę wroga. W swoich w błękit odzianych oddziałach widział już takich samochwałów. Mówili dużo, ale widać było, że mają również wielki talent w dekowaniu się najdalej od miejsc, gdzie toczyła się rzeczywista walka.

Książę Feif-dei zaklął cicho. Wojna jest czymś okropnym, a baron R'ketts jest zbyt głupi, żeby to zrozumieć. On, Feif-dei, odwiedził kiedyś ziemie L'Toff i był goszczony przez księcia Linsee. Kilka razy starał się wytłumaczyć R'kettsowi, że L'Toff nie są tak strasznie zasobni. Jedynym celem tej kampanii jest osłona tyłów wojsk Kremera w czasie prawdziwej wojny na wschodzie.

Ale R'ketts nie słuchał żadnych opowieści Feif-deia o tym, co zastaną u L'Toff, wołał wierzyć w swoje fantazje.

Książę Feif-dei westchnął głęboko. No cóż. Dzięki temu zamieszeniu R'ketts przynajmniej przez jakiś czas nie będzie siedział jemu na karku. Pod panowaniem nowego króla jego ziemia i lud powinni być równie bezpieczni jak pod rządami starego.

Oby tylko było to czyste zwycięstwo, z jak najmniejszą liczbą ofiar.

Gdzieś z przodu dobiegł chrapliwy, ostrzegawczy sygnał trąbki, a w chwilę potem łoskot spadających skał.

- Och, nie! Nie znowu! - jęknął baron R'ketts, zasłaniając dłonią oczy. Siedział bez ruchu na wierzchowcu i potrząsał głową.

- Pędźcie z powrotem do sygnalizatorów - zwrócił się Feif-dei do swej świty. - Poinformujcie ich o nowej zasadzce i kaźcie wezwać wsparcie powietrzne.

Posłaniec ruszył z kopyta. Baron R'ketts w dalszym ciągu roztkliwiał się nad sobą, nie czyniąc nic, żeby zbadać sytuację. Książę Feif-dei pokręcił z niesmakiem głową i skierował konia w stronę, z której dobiegały odgłosy walki.

*

- Uderzamy i cofamy się, uderzamy i cofamy... - mówił kurier ochrypłym głosem. - Zatrzymaliśmy ich na wszystkich innych frontach, ale w Dolinie Ruddik są ich całe masy i wciąż napływają nowi!

Książę Proll podziękował wyczerpanemu posłańcowi, polecił, aby się nim zaopiekowano, po czym zwrócił się do swojego ojca.

- Panie, czy wolno mi będzie wyruszyć na czele naszych rezerw i zmiażdżyć nieprzyjaciela w Dolinie Ruddik?

Książę Linsee sprawiał wrażenie zmęczonego. Siedział w cieniu zamaskowanego baldachimu, rozpiętego pod drzewami w pobliżu wschodniego frontu. Z zewnątrz dobiegały głosy przybywających kurierów i tętent rumaków, na których gońcy dopiero wyruszali w drogę. W zewnętrznym pawilonie zebrał się sztab, obradując nad sposobem rozlokowania sił L'Toff i ich nielicznych sojuszników.

Siwowłosa książę potrzęsął głową.

- Nie, mój synu - powiedział. - Twoje oddziały muszą pozostać na północy, wraz ze zwiadowcami Demsen. Tam właśnie Kremer uderzy swoimi głównymi siłami.

Nie dodał, że najprawdopodobniej tam również zbuntowany baron ogłosi w dobrze wybranym momencie, że ma w rękach księżniczkę, aby w ten sposób osłabić morale przeciwnika.

Kiedy to się stanie, będą potrzebowali najlepszych dowódców, żeby poprowadzili ludzi do najważniejszej walki ich życia. Starzy, doświadczeni stratedzy doskonale nadawali się do prowadzenia długotrwałych bojów na wschodnich rubieżach, szczególnie wtedy, gdy w każdej chwili mógł przybyć im z pomocą korpus balonowy, ale tylko młodzi i energiczni, tacy jak Proll i Demsen, będą w stanie dodać żołnierzom serca i otuchy. Proll zdawał się to rozumieć. Nie protestował, tylko skinął głową i zaczął na nowo przechadzać się wzdłuż płóciennej ściany, oczekując najświeższych wieści.

Po pewnym czasie Linsee przemówił ponownie:

- Poślijcie po Stivyunga. Muszę się wreszcie dowiedzieć, czy jego projekt przyniesie na czas owoce.

*

- Kim jesteście, do cholery? Puśćcie mnie! Dokąd mnie prowadzicie?

Strażnicy chwycili mocniej wysokiego cudzoziemca i zaciągnęli go przed oblicze uczonego Hoss'ka, odzianego w czerwoną szatę i siedzącego pod drzewami na stuletnim, przenośnym fotelu.

Jasnowłosa przybysz zmierzył go spojrzeniem i wyprostował się.

- Czy to ty jesteś tu najważniejszy? Radzę ci, żebyś mi powiedział, co się tutaj dzieje! Nie obchodzi mnie, co zrobiliście z Nuelem, ale muszę wiedzieć, co się stało z naszym zevatronem!

- Zamilcz - powiedział Hoss'k.

Obcy zamrugał ze zdumieniem powiekami, po czym ryknął co sił w płucach:

- Posłuchaj, tłusciochu! Jestem dr B. Brady z Saharyjskiego Instytutu Technologicznego. Reprezentuję doktora Marcela Flastera, który...

Rozległ się głuchy łoskot, kiedy cudzoziemiec runął jak długi na ziemię, powalony celnym ciosem na odlew przez jednego ze strażników.

- Mędrzec kazał ci być cicho!

Mężczyzna przewrócił się z trudem na plecy i rozejrzał dookoła, mrugając raptownie powiekami. Nie powiedział już ani słowa.

Hoss'k uśmiechnął się z zadowoleniem. Wyglądało na to że ten osobnik okaże się znacznie bardziej uległy niż Dennis Nuel. Jego gwałtowana paplanina świadczyła o tym, że posiadał niewiele wewnętrznych rezerw i szybko się złamie, kiedy zobaczy, jak mają się sprawy. Wykazywał już tego pierwsze oznaki.

Chyba jednak strażnik włożył w uderzenie zbyt dużo siły, obcy przybysz bowiem bardzo powoli odzyskiwał przytomność.

„Nieważne” -pomyślał Hoss'k. - „Kiedy będziemy wracać, przełęczę znajdą się już w rękach mojego pana. Wolę przedefilować dumnie przed jego oddziałami z moją zdobyczą, niż jeszcze raz odbyć podróż tą pustą, niesamowitą drogą”.

*

- Czy już odeszli?

Linnora odwróciła się i syknęła na Artha, który zamilkł i szybko skrył się ponownie w krzakach.

Dennis przyglądał się z niepokojem księżniczce wychylającej się ostrożnie spomiędzy krzewów porastających pobocze drogi. Kurz wzbity w powietrzu kopytami koni powoli osiadał na ziemi.

Linnora uparła się, że to właśnie ona uda się na rekonesnas. Dennisowi niezbyt to się podobało, ale musiał przyznać, że miała rację; nie wiązało się to ze zbytnim obciążeniem dla jej stóp, była na pewno mniej zmęczona od obu mężczyzn, a w dodatku dysponowała nieprawdopodobnie bystrym wzrokiem.

Położył się ponownie na suchych gałązkach i igłach tuż koło ich niewielkiego wózka.

Wepchnęli go w gęstwiny mniej więcej kwadrans temu - jak się okazało, w samą porę, zaraz potem bowiem zza wypukłości wzgórza wyłoniła się szpica kawalerii Kremera.

Dennis i Arth padli bez sił na ziemię, ledwo zauważając nie mającą końca, wydawałoby się, procesję galopujących tuż obok nich jeźdźców. Dopiero teraz łomotanie krwi w uszach i chrapliwe, głębokie oddechy uspokoiły się na tyle, że dwaj mężczyźni mogli cokolwiek słyszeć.

Ktoś pociągnął Dennisa za rękaw. Odwróciwszy się ujrzał stojącego tuż obok niego robota z wyciągniętym w jego kierunku manipulatorem. W korpusie płonęło czerwienią światło mające za zadanie zwrócić na siebie uwagę. Dennis uniósł się na łokciu i przeczytał tekst, który pojawił się na małym ekranie.

- Nie teraz, do diabła! - warknął.

Robot w dalszym ciągu pragnął spełnić pierwsze zadanie, jakie otrzymał po przybyciu na planetę, to jest poinformować go o wszystkim, czego dowiedział się o jej mieszkańcach. Bez wątpienia dowiedział się bardzo dużo, ale to nie był odpowiedni czas na wykłady!

Dennis poklepał maszynę po kadłubie.

- Później. Obiecuję ci, że wysłucham wszystkiego, co masz mi do powiedzenia.

Robot zamrugał w odpowiedzi światłem.

- Okay - odezwała się Linnora, używając ziemskiego słowa, którego nauczyła się od Artha. - Jeźdźcy zniknęli. Nie przypuszczam, żeby następny oddział pojawił się wczas-niej niż za godzinę, nawet gdyby to również była kawaleria.

- W porządku. - Dennis usiadł i jęknął rozdzierająco. - Zaryzykujemy znowu wyjście na drogę.

Tylko tędy mogli dotrzeć głębiej w góry, a musieli tam iść, jeśli chcieli zdążyć na czas do obleżonych L'Toff.

Dennis wstał i wyciągnął przed siebie rękę. Chochlak zeskoczył na nią z wysokiej gałęzi, skąd obserwował przejeżdżających kawalerzy sto w. Jego uśmiech mógł świadczyć o tym, że całe to zdarzenie odebrał jako znakomity kawał. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że gdyby nie on i robot, nie udałoby im się dotrzeć tak daleko.

Kiedy po raz pierwszy dostrzegli zbliżającą się pogoń, od gęstwiny, w której teraz się kryli, dzieliły ich jeszcze ponad trzy mile. Arth i Dennis nigdy nie daliby rady dopchać tu na czas wózka. Na szczęście robot okazał się doskonałą siłą pociągową, przynajmniej równie dobrą jak osioł, dzięki czemu przebyli te trzy mile w znakomitym tempie.

W pewnej chwili Dennis odniósł graniczące z pewnością wrażenie, że znowu czuje, jak między ludźmi i Krenegee nawiązuje się po raz kolejny niezwykła więź, mająca na celu szybkie

udoskonalenie używanych przez nich przedmiotów. Przypominało to nieco łagodną wersję transu felhez. Był gotów dać głowę, że nawet na tak krótkim dystansie robot i wózek znowu trochę się zmienili.

Wydał rozkaz i robot wpełził pod pojazd, dwoma spośród swoich trzech ramion chwytając mocno za jego podwozie.

Teraz ramiona zaczęły sprawiać wrażenie przygotowanych do czekających ich zadań.

Dennis wraz z Linnora wypchnęli pojazd przez lukę w krzakach, podczas gdy Arth wybiegł do przodu rozejrzeć się. Kiedy znaleźli się już na drodze, Linnora weszła do środka i przestawiła żagle utworzone ze skrzydeł szybowca. Dennis chciał ją powstrzymać, potem jednak wzruszył ramionami i pozwolił jej skończyć. Kto wie? Trzepoczący materiał był w stanie wystraszyć oddziały, na które mogli się natknąć.

Przybiegł Arth.

- Cała armia idzie w tę stronę, Dennizz! Przy ich szybkości marszu mamy nie więcej niż godzinę przewagi.

- Dobra. Ruszajmy.

Linnora przypasała się w kabine pojazdu, którego gładkie, niemal opływowe kształty połyskiwały w świetle słonecznym. Arth wspiął się do środka i zajął hamulcami, których klocki tarciovowe i dociskowe śruby wyglądały prawie jak rezultat maszynowej produkcji.

Dennis pozostał na zewnątrz, aby móc popychać pojazd. Wskoczy do środka, kiedy zaczną zjeżdżać w dół.

Linnora zaczęła już swoje medytacje zużycia. Może Dennis stał się bardziej wrażliwy, a może wpływała na to obecność chochlaka, ale od razu zaczął to wyczuwać.

Chochlak dostrzegł dla siebie lepsze miejsce od jego ramienia, porzucił Dennisa i wspiął się na szczyt podwójnego masztu. Żagle obwisły nieco pod jego ciężarem, ale stworzon-jjo wyraźnie poczuło się szczęśliwe. Jego mruczenie wzmagало odczucie, że zaczęły już działać dziwne moce, pomagając przekształcić pojazd w coś jeszcze lepszego.

„Doskonale - pomyślał Dennis - ale mimo wszystko ciągle jeszcze wolałbym mieć tu transporter opancerzony wytworzony od początku przez Zakłady Chatham w Anglii”.

Z westchnieniem skinął głową swej tak różnorodnej załodze i dał robotowi znak, żeby włączył pełną prędkość.

Dennis popychał pojazd, gdy jechali pod górkę, i biegł obok niego, gdy zjeżdżali w dół, podczas gdy Arth zajmował się hamulcami, a Linnora sterowaniem. Robot brzęczał, a żagle łopotały.

Ponad ich głowami mały Krenegee mruczał, zwiększając dziwaczny rezonans, który zdawał się płonąć wokół nich niczym aura. Popołudniowe powietrze sprawiało wrażenie kryształu, wielofasetowego klejnotu, używanie pojazdu zaś zaczynało przypominać skomplikowany taniec wykonywany przy akompaniamencie niesłyszalnej muzyki.

Najwyraźniej zaczęli radzić sobie coraz lepiej w doprowadzaniu do stanu, w którym zaczął działać trans zużycia.

Wywoływało to u Dennisa uczucie dziwnej radości. Za pośrednictwem chochlaka niemal czuł myśli koncentrującej się Linnory. Wyglądało na to, że wytwarza to między nimi jakąś więź, że stają się sobie bardziej bliscy, niż mogłoby to być możliwe w innych okolicznościach. Arth również stawał się częścią tego wzoru, choć Krenegee nie skupiał się aż tak silnie na małym złodzieju.

Dennis zerkał od czasu do czasu na chochlaka siedzącego na obwisłych żaglach. Stworzonko krzywiło się w uśmiechu, radując się przepływem celowości przechodzącym przez nie do maszyny, od której zależało ich życie.

I maszyna zmieniała się. Dennis popychał pojazd do chwili, gdy przekonał się, że musi biec, aby po prostu za nią nadążyć! Na szczycie stromego wzniesienia polecił robotowi zatrzymać się i wspinał na przód, żeby przejąć od Linnory wodze.

Spostrzegł, że rzemienie stały się bardziej miękkie i łatwiej było je trzymać.

Właśnie miał zamiar znowu ruszyć, kiedy Arth trącił go w ramię i wskazał ręką. Na drodze za nimi unosiły się kłęby kurzu. Mniej więcej w odległości mili dostrzegli kolejny oddział kawalerii, za którym po zboczu góry widać było pozornie nie mającą końca kolumna piechoty.

Byli w pułapce! Nie mogli jechać szybciej, bo wpadliby na oddziały podążające przed nimi. Ale zwolnienie tempa jazdy mogło okazać się w równym stopniu katastrofalne!

- Mam zamiar ściągnąć te cholerne żagle - oznajmił Dennis. - Zobacz, jak obwisły. Zwracają tylko uwagę, a poza tym nigdy nie było do tej pory wystarczająco silnego wiatru.

Linnora powstrzymała go.

- Nie, Dennisie. Jestem pewna, że pomogły nam zachować równowagę i wytracić pęd na tych paru stromych zjazdach, choć przyznaję, że nie rozumiem dlaczego. Jestem pewna, że wóz zużył się już z nimi. Jeżeli je usuniemy, to tylko nam to zaszkodzi.

Dennis musiał zaufać wróżce. Pocałował ją szybko, a potem odwrócił się i polecił robotowi ruszać. Popędzili w dół górskiej drogi.

*

Po przejechaniu mniej więcej mili mineli za zakretem pluton odnaczyniawej kawalerii. Gdy

wózek przemknął obok nich z łopotem jak wielki, biegnący ptak, naliczyli przynajmniej dziesięć rozmazanych pędem, zdziwionych twarzy. Ludzie rozprysnęli się na obie strony, usiłując uciec im z drogi. Niektórzy potoczyli się w dół po zapyłonym zboczach. Za plecami uciekinierów rozległy się okrzyki i wkrótce z tyłu pojawili się galopujący jeźdźcy.

Dennis całą uwagę skupił na prowadzeniu pojazdu. Wóz pędził ze świstem o wiele szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Tym razem jednak czuł, że całkowicie nad nim panuje. Ogarnięty transem zużycia czuł jasność myśli i drzemiacą w nim potęgę.

Niech ich ścigają! Najedzą się kurzu!

Usłyszał dobiegający z tyłu wozu śmiech Artha naigrawa-jącego się z ich prześladowców. Linnora śpiewała cicho starą pieśń wojowników o równym rytmie i wyzywającej nucie. Wszystko to wplatało się w przeżywany przez nich wspólnie trans. Dennis krzyczał z uniesieniem.

Potem droga zakreśliła i zobaczyli toczącą się bitwę.

Na wprost przed nimi, na płaskiej polanie między wzgórzami, trwała pierwsza potyczka.

Wszystko wskazywało na to, że najeźdźcy zdołali zaskoczyć oddział L'Toff. Około pięćdziesięciu kawalerzystów Kremera krążyło wokół znękanego grupy wojowników ubranych w spłowiałą zielen. Górale sprawnie bronili się swymi długimi włóczniami i żaden z jeźdźców nie ważył się podejść zbyt blisko. Ale jednocześnie nie pozwalali piechurom się wycofać. Z rzucanych przez osaczonych L'Toff nerwowych spojrzeń ku pomocy można się było zorientować, że wiedzą, iż pozostała część wrogiej armii jest już niedaleko.

Kiedy pojazd Dennisa pojawił się na szczycie wzgórza, obrońcy popatrzyli z zaskoczeniem. Paru kawalerzystów, którzy od tej strony spodziewali się wsparcia, krzyknęło z tryumfem.

Krzyki te przerodziły się we wrzaski przerażenia, gdy łopoczący, wielki kształt runął wprost na nich. Dennis nie miał innego wyjścia, musiał kierować się w największy tłum. Teren z prawej strony był zbyt kamienisty, a po lewej, w odległości zaledwie dwunastu metrów, rozpoczął się gwałtowny spadek.

Konie kawaleryjskie były dobrze wyszkolone, ale nikt nie przygotował ich na spotkanie z warczącą i łopoczącą machiną! Z dzikim rżeniem zaczęły ponosić, rozbiegając się we wszystkich kierunkach ze swymi nieszczęsnymi jeźdźcami na grzbietach.

Dennis czuł, jak Arth stojący na tyle podskakującego pojazdu uderza drągiem na prawo i lewo i wrzeszczy co sił w płucach. Jeden z rycerzy zdołał utrzymać swego rumaka przy burcie wózka i usiłował uderzyć toporem w szerokie żagle, ale Arth w ostatniej chwili zrzucił go z siodła szerokim machnięciem drąga.

Rzut oka do tyłu przekonał Dennisa, że nadciągają dalsi żołnierze Kremera. A ćwierć mili przed nimi duży oddział ubranych na zielono wojowników zbliżał się od południa, aby przyjść z

pomocą swoim osaczonym towarzyszom. Zanosiło się na poważną bitwę.

Kazał robotowi przyspieszyć. Ich jedyną szansą było wydostać się z rejonu walk i to szybko!

Dennis zakręcił ostro w lewo, starając się uniknąć zderzenia, i zostawił za sobą kolejną parę spłoszonych koni.

Jeżeli ich nagłe pojawienie się wybiło najeźdźców z uderzenia i pozwoliło paru obrońcom uciec, to dobrze. Ale podstawowym zadaniem Dennisa było doprowadzić ich niewielki pojazd w nienaruszonym stanie na drugą stronę tej dolinki. Gdy dokonają tego, znajdą się bezpiecznie za własnymi liniami. Będą mogli podążać bez najmniejszych trudności do samego domu Linnory!

Poczuł coś między stopami. Spojrzał w dół i zobaczył chochlaka uśmiechającego się doń z bezpiecznego wnętrza pojazdu. Mały Krenegee doskonale wiedział, jak dbać o własną skórę.

Kiedy Dennis ponownie spojrzął przed siebie, zaklął gwałtownie i skręcił mocno w lewo. Wóz przemknął obok grupki przeróżnych oszczepników, mijając ich o grubość żagla.

- Dennizz! - Arth zaczął wymachiwać rękami. Cisnął swoją pałkę i zeskoczył do środka wozu.
- Dennizz, dokąd jedziesz?

- A dokąd uważasz, że... O nie! Robot! Cała wstecz! Niewielka maszyna usiłowała spełnić rozkaz. Jej gaśienice zawyły. Z tyłu za nimi wzniosły się tumany kurzu.

Wąły żywopłot, rosnący wzdłuż drogi ukrywał za sobą stromo spadające w dół zbocze. Przebili się przez wąską przegrodę wśród odskakujących na wszystkie strony gałęzi, a potem zaczęli sunąć na łeb, na szyję w dół nachylonego pod kątem czterdziestu pięciu stopni stoku.

- Aaach! - Usłyszał okrzyk Artha.

- Ooooj! - zawtórowała mu Linnora.

Dennis starał się opanować podskakujący i mknący w dół zbocza pojazd. - Zwolnij! - rozkazał głośno. Starał się ze wszystkich sił zużywać zmniejszanie prędkości, z jaką zjeż-j^ali w dół, i wyczuwał, że inni robią to samo.

- Zwolnij!

W odległości niecałych stu metrów przed nimi znajdował się skraj przepaści. I wszystko wskazywało na to, że nie ma sposobu, dzięki któremu mogliby zatrzymać się w porę.

XI. ET DWA TUU TUUT!

- A teraz pamiętajcie, co wam mówiłem! - zawołał Gath do pozostałych aeronautów. Z gondoli dziesięciu tańczących w górę i w dół balonów rozległy się potwierdzające okrzyki.

Gath odwrócił się i uniesionym kciukiem dał znak Stivyungowi Sigelowi, który znajdował się we flagowym balonie południowego zespołu. Potężny farmer skinął głową i uniósł obie dłonie do ust.

- Cumy rzuć! - Rozległy się dwa sygnały trąbką. Siekiery przecięły liny. Worki z piaskiem poleciały w dół.

Załogi dorzuciły węgla na ognie płonące pod otwartymi wlotami powłok. Jaskrawo pomalowane balony jeden po drugim wzniosły się obok wysokich drzew i wbiły w niebo.

Długo musieli czekać na sprzyjający wiatr. Wreszcie nadszedł taki, który wiał we właściwą stronę, ale zarazem nie był na tyle silny, żeby zbyt szybko przenieść ich nad polem bitwy.

W dole pod nimi jechał konwój z oddziałami wsparcia, które gotowe były schwycić liny kotwiczne, gdy tylko zajdzie potrzeba zacumowania tej lżejszej od powietrza flotyli.

Gatha ogarnęło podniecenie. To było wspaniałe uczucie - po tak długim oczekiwaniu znalazł się w powietrzu i podązał do boju. Było to zadośćuczynienie za trud, jaki on i Stiyung włożyli w pracę z budowniczymi i zużywaczami L'Toff.

Płynęli z wiatrem na wschód. Wydawało się, że mijają całe godziny, ale w rzeczywistości wkrótce znaleźli się nad wzgórzami Ruddik, gdzie nieprzyjacielowi udało się dokonać najgłębszego jak do tej pory przełamania linii obronnych. Zespół Stiyunga nadpłynął nad południową grań zamykającą tę stronę kanionu. Tam aeronauci Stiyunga rzucili kotwice oczekującym ludziom. Znajdujący się w dole żołnierze L'Toff starali się je schwycić i umocować.

Gdy oddział Gatha znalazł się nad pomocną granią, wszystkie te czynności zostały powtórzone.

Aeronauci nie mieli okazji przeciwżyć techniki cumowania. Na szczęście, zdryfował tylko jeden balon z południowego zespołu. Nie zdołał się zakotwiczyć i teraz wznosił się gwałtownie, odpływając na wschód.

Straty były więc mniejsze, niż Gath oczekiwał. I tak mieli zamiar wysłać jeden balon na wschód z meldunkiem dla króla Coylii. Jeżeli ten balon zdoła we właściwym czasie wnieść się na wystarczająco dużą wysokość, nawet szybowce Kremera nie zdołają przeszkodzić w przekazaniu meldunku.

O ile naziemne oddziały L'Toff zaczęły wiwatować, widząc balony unoszące się nad nimi, o tyle znajdujący się w dole wrogowie spoglądali w górę z przerażeniem. Rozeszły się już słuchy o

wielkim, okrągłym potworze, który parę miesięcy temu z rykiem przeleciał nocą nad Zuslik. A teraz mieli przed sobą dziesięć takich olbrzymów, które patrzyły na nich w dół z wściekłością. Atakujący wycofali się w panice z wyżej położonych redut i szeptali nerwowo między sobą, gdy tymczasem ich dowódcy zastanawiali się nad nową sytuacją.

W miejscu, które L'Toff wybrali na swoją główną linię obrony, teren był niezwykle trudny. Szereg przygotowanych z góry, śmiercionośnych lawin kamiennych mógł sprawić, że każdy czołowy szturm drogo by kosztował atakujących.

Ale przy tym systemie obrony, aby zapewnić spokój walczącym na górze wojownikom L'Toff, należało powstrzymać szybowce Kremera.

W tym właśnie celu wysłany został oddział balonowy. Czas próby nie dał na siebie długo czekać.

- Tam! - Wskazał młody łucznik w gondoli Gatha. Na tle oświetlonych słońcem chmur, wysoko w niebie południa rysowały się wyraźnie przynajmniej dwa tuziny czarnych kształtów. Szybowce wyglądały w oddali jak sokoły i nagle pochyliły się w zakręcie jak te wielkie, drapieżne ptaki.

- Przygotować się! - krzyknął kapitan sąsiedniej gondoli.

Przez pozornie długi czas wydawało się, że nieprzyjacielskie maszyny są małe i oddalone. Aż nagle, w jednej chwili spadły na nich! Wszędzie wokół Gatha łucznicy wołali:

- Tam! Strzelajcie!

- Nadlatują zbyt szybko!

- Przestań narzekać, chłopie! Staraj się ich powstrzymać!

Kakofonia głosów niemal w równym stopniu wyprowadzała z równowagi jak ohydne, czarne skrzydła przemykające między balonami.

- Jahuu! Mam jednego!

- Wspaniale! Ale nie podniecaj się!

- Uważajcie na dziiryty!

W ciągu kilku zaledwie sekund rozległy się wrzaski bólu i okrzyki triumfu. Wtem, niemal równie błyskawicznie jak nadleciały, szybowce zaczęły oddalać się szybko, sunąc wzdłuż krawędzi grani w kierunku precyzyjnie zaznaczonych na mapach prądów wznoszących. Trzy maszyny dywizjonu leżały w dole roztrzaskane na rumowisku skalnym.

Jeden szybowiec z rozdartym smoczym skrzydłem nie zdołał wyjść z nurkowania i obserwowany przez Gatha rozbił się o stok urwiska. Obrońcy zarówno na górze, jak i na dole zaczęli

wiwatować.

- Dobra! - wrzasnął ochryple Gath, gdy tylko zdołał złapać oddech. - Oni powrócą i następnym razem nie zdołamy odeprzeć ich tak łatwo! A dopóki nie powrócą, zajmijmy się nieprzyjacielem na ziemi. Wybierzcie cele i niech każda strzała trafi.

Zdobycie nowej amunicji stwarzało trudności. Uzupelnienie jej byłoby powolne i ryzykowne. A obecnie nieprzyjacielscy dowódcy wojsk naziemnych z całą pewnością rzucą wszystkie siły na miejsca, w których zakotwiczone były balony osłonowe. Już w tej chwili Gath widział, że najeźdźcy przegrupowują swe oddziały do szturm na przeciwległy stok wąwozu, gdzie umocowane były cztery balony Stiyyunga Sigela.

Od tej chwili ataki następowały co godzina. Łucznicy zadali najeźdźcom na ziemi straszliwe straty. Ale każda utracona strzała była bezcenna - ze względu na proces tworzenia, na utracone zużycie i trudność w dostarczaniu uzupełnień pod ogniem.

Gdy bitwa trwała dalej, obrońcy ginęli również - pojedynczo, po dwóch. Wojownicy L'Toff, którzy walczyli na ziemi, starali się utrzymać pozycje i obronić kotwiczowiska. Wojska baronów równie desperacko chciały zająć granie.

Popołudnie minęło jak długa, śmiertelna męczarnia. Po kilku godzinach sytuacja zaczęła się wyjaśniać.

Tu, na północnej grani, jak na razie obrona uwieńczona była sukcesem. Łucznicy Gatha zadali ciężkie straty szturmującym, którzy próbowali wspiąć się na zbocza i odparli trzy kolejne ataki szybowców.

Ale na południu sytuacja zaczęła układać się źle. Zanim słońce zaszło za najwyższe szczyty, południowa grupa Sigela straciła dwa balony. Jeden, którego powłoka została przedziurawiona, opadł wolno na ziemię. Drugi, gdy zdobyto miejsce, w którym był zakotwiczony, zdryfował ponad wschodnią równinę. Opadając, poruszał się zbyt wolno i wreszcie został strącony deszczem dziryków z szybowców Kremera, które okrążyły go ze wszystkich stron jak wilki ranną owcę.

Gath zastanawiał się, czy Stiyyung zdoła utrzymać się do zapadnięcia nocy. Pozostałe dwa balony południowej grupy niezbyt mogły wspierać się nawzajem.

Z uczuciem bezsilny obserwował przybyłe późnym popołudniem nieprzyjacielskie posiłki... w tym tuzin nowych szybowców. Można było odnieść wrażenie, że Kremer ma ich niewyczerpaną ilość! Albo to, albo jego generałowie ogołacali inne fronty ze wsparcia lotniczego, aby zlikwidować sprawiający im kłopoty punkt w centrum.

Kiedy popołudnie zbliżało się do końca, Gath spostrzegł, jak całe stado szybowców spłynęło na dwa balony na samotnym zboczu. I w żaden sposób nie mógł im przyjść z pomocą!

- Zwolnij! Zwolnij!

Dennis uświadomił sobie, że Arth i Linnora przyłączyli się do jego śpiewu. Rezonans zużycia zależał całkowicie od nich.

Wydawało się, że srebrzysty ogień tańczy wokół korpusu wózka i pęd, z jakim mknęli w dół pokrytego skalnym rumowiskiem zbocza, rzeczywiście zdawał się maleć. Ale mimo to nieubłaganie zbliżali się do krawędzi urwiska. Widniało dziesięć, pięć, dwa metry przed nimi.

W ostatniej chwili wirujące gaśienice robota odzyskały przyczepność i podnosząc skłębioną chmurę pyłu zatrzymały pojazd. Śtanął, kołysząc się na skraju przepaści.

Arth złapał za cieniutki pień roztrzaskanego drzewka, które częściowo wyhamowało ich pęd. Mały złodziej trzymał się go z całych sił.

Dennis otarł z oczu unoszący się w powietrzu pył i zmusił się, żeby nie patrzeć w dół. Miał właśnie poprosić grzecznie robota, żeby zdwoił swoje wysiłki i cofnął ich od krawędzi urwiska. Jednak w tej chwili wózek uznał za stosowne przesunąć się kilka cali do przodu. Osunął się z łoskotem i gaśienice robota zawisły nad pustką.

- Dobra - zawołał Dennis, tym razem nieco wytrącony z równowagi. - Linnora? Arth? Jesteście cali? Mam pewien pomysł. Przesuńmy się wszyscy do tyłu, delikatnie i ostrożnie. - Poczul, że Linnora zaczyna rozpinąć swój pas. Najwidoczniej wpadła na ten sam pomysł. Była najwyższa pora wynosić się stąd do diabła.

Coś świsnęło koło głowy Dennisa. Początkowo pomyślał, że to jakiś duży owad, ale gdy się odwrócił, dostrzegł, jak druga strzała przecina powietrze w miejscu, które przed sekundą zajmowało jego ucho.

- Hej! - zawył Arth. W pniu drzewka, kilka cali od jego palców drżała strzała.

Dennis dostrzegł, że przynajmniej tuzin odzianych na szaro łuczników barona Kremera spuszcza się ostrożnie w dół ze szczytu pokrytego osypiskiem zbocza, starając się dotrzeć do miejsca, z którego będą w stanie zadać ostatni cios. Widocznie wzięcie Dennisa i jego towarzyszy do niewoli nie wchodziło już w tym momencie w grę.

Dennis uświadomił sobie, że na dobrą sprawę łucznicy nie powinni robić sobie kłopotu. Artha najwyraźniej opuszczały już siły i wkrótce będzie zmuszony puścić albo drzewo, albo szybowiec. On zaś wraz z Linnora w żaden sposób nie zdołają przesunąć się do tyłu wystarczająco szybko, by odniosło to jakiś skutek.

Czy rzeczywiście? Dennis rozejrzał się, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji, podczas gdy strzały świstały wokół nich albo z bzyknięciem wbijały się w burty wózka.

Linnora usiłowała namacać nóż. Dennis zastanawiał się, co ma zamiar zrobić. Aż nagle go olśniło.

Szybowiec! Jeżeli uda im się odzepić go w porę od wózka, będą mogli nim uciec!

Najpierw jednak trzeba pozwolić opaść skrzydłom. Sterczały do góry, związane kawałkiem mocnej liny w pionowej pozycji jak żagle łodzi. Linnora miała zamiar przeciąć ją swym nożem. Niemal pół sekundy zajęło mu uświadomienie sobie, jak bardzo napięta jest ta lina. - Nie! Linnora, nie rób tego! - zawołał z przerażeniem.

Było już jednak za późno. Przecięła sznur. Skrzydła gwałtownie opadły w dół, strącając po drodze dwie śmiertelne strzały.

Możliwe, że była to w pełni świadoma decyzja, ale Arth nigdy nie był w stanie wytłumaczyć, dlaczego puścił drzewo, a nie wózek. Kiedy jednak maleński pojazd podskoczył gwałtownie jak oszalały ogier, Arth poleciał do tyłu, za wielkie skrzydła. Linnorę i Dennisa odwróciło gwałtownie twarzą do przodu, dziwny pojazd zaś zachybotał się niebezpiecznie, kołysząc się niepewnie na krawędzi.

Chochlak wskoczył z podłogi na kolana Dennisa. Małe stworzonko miało minę kogoś, kto tym razem ma już zupełnie wszystkiego dosyć. Ta podróż przestała być zabawna.

„Ma zamiar znowu nas opuścić” - pomyślał Dennis, nie będąc w stanie skupić się na czymś innym.

Krenegee wzruszył ramionami, jakby go zrozumiał. Rozprostował błoniaste skrzydła, szykując się do odlotu. A potem po raz pierwszy spojrział uważnie nad krawędzią wózka w głąb leżącego pod nimi kanionu.

- !! - pisnął głośno i zadrżał. Jego małe błoniaste skrzydełka wcale nie były przystosowane do prawdziwego latania. Przy upadku z takiej wysokości nie uchroniłyby Krenegee przed rozbiciem się na miazgę! Dennis prawie roześmiał się w głos widząc, jak ta maleńka, wiecznie z siebie zadowolona istota okazała wreszcie zakłopotanie.

Wszystko to zajęło mniej więcej sekundę, aż nagle wózek zakołysał się, a potem zsunął z krawędzi. Gdy ich wierna maszyna runęła w przepaść, o kilka zaledwie cali chybiła ich chmura strzał. Chochlak zawył. Arth krzyknął. Dennis, gdy zobaczył otwierającą się pod nimi czeluść kanionu, nie wydał żadnego dźwięku.

I w tym właśnie momencie ocaliła ich Linnora.

Zaczęła śpiewać.

Pierwsza, wysoka nuta była tak przedziwnej czystości, że odwróciła ich uwagę od hipnotyzującego widoku pędzącego w ich stronę dna kanionu. Od dawna pracowali wspólnie jako

zespół zużywczy. Jej śpiew zmusił ich do skupienia. Wywołany instynktownie, szybciej niż aktem woli, ogarnął ich trans felhesz.

Dennis poczuł umysł Linnory. Potem poczuł Artha, a nawet Krenegee, traktując go bardzo poważnie - po raz pierwszy od chwili, w której poznał tę zadufaną w sobie istotkę. Przestrzeń wokół nich wydawała się rozbłyskiwać i płonąć energią. Była w niej moc i rozpaczliwa wola przemiany rzeczywistości.

Niestety, nie było punktu zogniskowania. Ktoś musiał użyć czegoś, aby Efekt Zużycia zaczął działać!

Świadomość Dennisa nie była w stanie dostarczyć rozwiązania. Na szczęście jednak wkroczyła podświadomość i przejęła kontrolę.

I w tej samej chwili Dennisowi widzącemu pędzącą na ich spotkanie ziemię wydało się, że czuje, jak czas zagęszcza się wokół nich. W mgiełce energetycznego chaosu, która dziwnie przypominała pole wokół zewatronu, mrugnął raz, potem drugi i wreszcie zamknął oczy.

*

Gdy otworzył je znowu, okazało się, że siedzi obok młodego, ciemnowłosego mężczyzny o gęstych, nawoskowanych włosach. Jegomość ten miał na sobie biały, skórzany płaszcz trzepoczący na silnym wietrze, oczy zaś przysłaniały mu staroświeckie, okrągłe okulary lotnicze.

Siedzieli obydwaj w dziwacznej konstrukcji z białego płótna i drewnianych drążków powiązanych strunami fortepianowymi. Choć czuł owiewający ich pęd powietrza, rozmyta realność wokół nich wydawała się całkowicie nieruchoma i szara.

- Wie pan, najtrudniej było znaleźć odpowiednie podejście do problemu wichrowania się skrzydeł - tłumaczył jegomość, przekrzykując szum powietrza i warkot silnika. - Wie pan, Langley na dobrą sprawę nigdy tego nie rozumiał. Pędził naprzód i nie sprawdzał swoich projektów w odpowiednim tunelu ze sztucznym wiatrem, tak jak robiliśmy to obaj z Wilburem...

Zaskoczony Dennis zamrugał oczyma. A ponieważ przy tej okazji musiał je zamknąć, to kiedy otworzył powieki, jego otoczenie zmieniło się całkowicie.

- ...musiałem więc osobiście oblatać X-10, rozumiesz? Silnik zajmował ponad połowę długości tej cholernej maszyny! Rozwaliła parę pierwszych testowanych śmigieł w drzazgi! Nazwali to latającą bombą! Rozumiesz więc, że nie mogłem prosić kogoś innego, żeby ją oblatał?

Wąsaty mężczyzna w goglach zniknął, a na jego miejscu pojawił się człowiek z cienkimi wąsikami, sardonycznym uśmiechem i w miękkim, filcowym kapeluszu z podwiniętym rondem. Pokręcił głową i roześmiał się.

- Kosztowało mnie to wiele ciężkiej pracy. Oczywiście, odziedziczyłem pieniądze i pomogłem sobie, stając na barkach gigantów. Przyznaję to! Ale każdy z moich projektów zawiera w sobie mój pot i krew.

Przestrzeń wokół nich wciąż była rozmytym, na wpół realnym drżeniem, przypominającym obrzeża snu. Ale krucha konstrukcja z drewna i płótna została zastąpiona wibrującym kokonem z nitowanego metalu i szkła, który dygotał w rytm pracy silnika o mocy tysięcy koni mechanicznych.

- I możesz mi wierzyć, że ja sam czuję już niekiedy buty późniejszych wynalazców. - Uśmiechnął się pilot jednopłatowca. - O tutaj. - Poklepał się po ramieniu i roześmiał w głos.

Ten gość wydawał się znajomy, ale Dennis nie mógł go zidentyfikować - był podobny do kogoś, o kim czytał gdzieś w podręczniku historii. Dennis ponownie mrugnął i kiedy znowu otworzył oczy, przypominająca sen sceneria zmieniła się znowu. Ciemnowłosy mężczyzna i ciasna kabina zniknęły.

Tym razem wizja trwała sekundę. Ryk silnika był bardziej stłumiony. W powietrzu unosił się zapach chryzantem i w ciągu tej chwili, gdy Dennis miał otwarte oczy, dostrzegł kobietę w słomkowym kapeluszu i jaskrawo różowym szaliku. Uśmiechnęła się do niego znad przyrządów sterowniczych i mrugnęła. Za oknami kabiny zobaczył rozciągającą się aż po horyzont wodę. A potem znowu nastąpiło przemieszczenie.

Tym razem siedział w fotelu drugiego pilota wielkiego, dwusilnikowego samolotu - z wyglądu sądząc, bombowca. Pachniało benzyną i gumą. Wolant w jego dłoniach pulsował mocnym rytmem. Łysiejący mężczyzna w mundurze khaki wyszczerzył do niego zęby znad drugiego wolantu.

- Postęp. - Uśmiechnął się szczupły mężczyzna. - Chłopcze, łatwo ci to przyszło, słowo daję. Powiadam ci, my, starzy, potrzebowaliśmy lat i wiader potu, żeby zająć tak wysoko.

Po raz pierwszy w tym zwariowanym śnie Dennis pomyślał, że rozumie, o czym mowa. Poznał tego mężczyznę. - Aha, wiem. Przypuszczam, pułkowniku, że mógłby pan zastosować Efekt Zużycia w swoich czasach.

Oficer pokręcił przecząco głową. - Nie. O wiele ciekawiej było robić to samemu, nawet jeżeli trwało dłużej. Proszę wszechświat, żeby tylko postępował ze mną uczciwie i wcale nie proszę, żeby okazywał mi jakieś szczególne względy.

- Rozumiem.

Pułkownik skinął głową. - Cóż, każdy z nas robi to, co do niego należy. Słuchaj, czy chciałbyś posiedzieć tu jeszcze trochę? Właśnie wystartowaliśmy z „Horneta” i szykuje się niezła zabawa.

- Cóż, myślę, że lepiej będzie, jeżeli wrócę do moich przyjaciół, sir. Ale w każdym razie dziękuję. Było mi bardzo miło spotkać pana i wszystkich innych.

- Nie myśl o tym. Szkoda tylko, że nie możesz jeszcze się tu pokręcić, żeby spotkać się z chłopakami z odrzutowców i astronautami. To dopiero piloci! - Pułkownik gwizdnął. - Aha, jeszcze jedno. Właśnie sobie przypomniałem, chłopcze. Nic nie zastąpi ciężkiej pracy.

Dennis skinął głową. Jeszcze raz zamknął oczy. Znowu rozległ się ryk wiatru i sen, w którym przebywał, rozpułynał się jak mgła o poranku.

*

Sekundy, które zdawały się rozciągać w lata, ulotniły się i gdy krystaliczne migotanie wreszcie ustało, Dennis zorientował się, że leci.

Nie był do końca pewny, ile czasu minęło, ale w połączeniu wózka z szybowcem zaszło wiele poważnych zmian, których potwierdzeniem był również fakt, że wciąż żyli.

Jeszcze gdy rozglądał się, blade, migoczące światło zniknęło z zastrzałów i poszycia wygiętych zawadiacko jak u jerzyka skrzydeł, które obecnie były przytwierdzone do przypominającego wóz kadłuba. Sam pojazd jakby stał się dłuższy i wyrósł mu niewielki ogon. Wąski dziób był dumnie wzniesiony i skierowany we wznoszącą termikę, która wolno windowała ich ku górze.

Musiał to być jeden z najpotężniejszych transów **felhesz** w historii Tatiru. Chochlak opadł wyczerpany na kolana Dennisa. Oddychał ciężko i rozglądał się wokoło z niedowierzaniem. Dennis czuł się jeszcze zbyt niepewnie przy sterach szybowca, aby zaryzykować wykonanie zakrętu, ale mógłby się założyć, że Arth i Linnora byli w podobnym stanie ducha.

Dennis wciąż błąkał się między snem a jawą. Niemal czuł znowu zapach benzyny, smarów i drżenie metalu.

Gdyby pozostał pogrążony w tym śnie, niewątpliwie spotkałby innych bohaterów lotnictwa, przywołanych przez podświadomość, by stworzyć punkt zogniskowania dla intensywnego transu zużycia. Sen trwał jednak wystarczająco długo i zasiał w nim niewyraźne poczucie dumy. Tacy mężczyźni i kobiety stanowili dziedzictwo Ziemi. Dzięki odwadze i pomysłowości przekształcali realność w cuda - z wysiłkiem i trudem.

Dennis wychylił się przez burtę i rozejrzał naokoło. Wznoszący prąd powietrza zanikał i nie był już w stanie wydzwignąć ich z powrotem do poziomu górskiej drogi, z której spadli. Musiał znaleźć w zasięgu lotu ślizgowego inne, nadające się do lądowania miejsce.

Niedaleko widniał płaskowyż, wzniesienie odchodzące na wschód od pasma górskiego. Dennis ostrożnie pochylił się w lewo i położył statek powietrzny w łagodny zakręt. Na płaskim szczycie wzniesienia dostrzegł odpowiednie miejsce. Musiało im wystarczyć. Poza nim jak okiem sięgnąć widniało skłębione rumowisko głazów.

Ale przecież nie mogli bez końca pozostawać w górze.

Dennis bardzo by pragnął przenieść robota do kokpitu. Nie chciał, by uległ jakiemuś uszkodzeniu w trakcie lądowania. Wszystko wskazywało jednak na to, że będzie musiał podjąć to ryzyko. Zawołał do maszyny w dole, żeby przygotowała się do zetknięcia z ziemią najlepiej jak potrafi.

Uświadomił sobie, że te środki ostrożności były najprawdopodobniej zbędne. To krępkie maleństwo może w gruncie rzeczy stać się jedynym członkiem ich gromadki, który przeżyje spotkanie z ziemią.

Wykorzystał zapas wysokości, żeby odlecieć dalej nad równinę. Zajął mu nieco czasu, aby zająć pozycję wzdłuż, miał nadzieję, odpowiedniej ścieżki schodzenia. Potem zawrócił i zaczął podejście do lądowania. Musiało być wykonane właściwie, nie będą bowiem mieli drugiej szansy.

Gdy już przygotował się, pozwolił sobie zerknąć do tyłu na pozostałych. Arth był spocony jak mysz, ale dodawał mu otuchy, pokazując wzniesiony kciuk. Linnora wyglądała po prostu na wniebowziętą, jakby nie marzyła o niczym więcej niż o tym, czego właśnie doświadczyli. Pochyliła się nieco do przodu i przytknęła do niego swój policzek. Dennis odpowiedział pełnym nadziei uśmiechem i odwrócił się, aby przygotować się do lądowania.

- W porządku. Lądujemy.

„Równe miejsce”, które pędziło im na spotkanie, było właściwie piaszczystym wałem o przynajmniej dziesięciostopniowym kącie nachylenia z lewej strony na prawą. Znajdowało się najwyżej dwanaście metrów od północnej krawędzi płaskowyżu. Boczny wiatr wiał z siłą dwudziestu stopni z lewej strony dziobu. Dennis starał się utrzymać stan równowagi, w której siła nośna obu skrzydeł była mniej więcej taka sama. Poczował, jak ramiona Linnory obejmują go mocno. W ostatniej chwili uniósł kolana ku górze i zaparł się z całej siły.

Płócienne skrzydła zatrzepotały lekko, gdy szybowiec opadł w dół jak siadający albatros i wylądował łagodnie na miękkim piasku. Jedna końcówka skrzydła dotknęła na chwilę ziemi, obracając ich nieco, gdy jechali podskakując wzdłuż nasypu. Żwir trysnął za nimi w górę, gdy Arth z całej siły nacisnął hamulce i gąsienice robota zaczęły obracać się wściekle.

Kurz był wszędzie! Oślepiiony Dennis sterował, kierując się wyłącznie instynktem.

Wreszcie przestali się toczyć. Kiedy piasek opadł, a łzy zmyły nieco suchy pył z oczu, Dennis popatrzył i ujrzał, że szybowiec zatrzymał się blisko krawędzi płaskowyżu. Następny, prawie pięćdziesięciometrowy spadek był zaledwie sześć stóp przed nimi.

Kolejno - najpierw Arth, potem Linnora, a wreszcie Dennis - rozpięli pasy i wyszli na zewnątrz. Ledwo mogąc utrzymać się na nogach, pokuśtykali w stronę niewielkiego spłachetka trawy pod rzadkimi drzewami.

Arth i Linnora upadli tam oszołomieni na ziemię i zaczęli się śmiać. Tym razem Dennis przewrócił się obok nich i też zaczął zanosić się ze śmiechu.

Kilka minut później chochlak wysunął głowę z kokpitu pojazdu. Ciągłe jeszcze drżał i podrygiwał ze strachu, a także pod wpływem potężnego transu, w którym zmuszony był wziąć udział. Przez długą chwilę tylko patrzył na zwariowanych ludzi.

Wreszcie, gdy słońce opadło za szczyty gór na zachodzie, parsknął z oburzeniem, opadł w dół, sadowiąc się koło delikatnie pomrukującego robota i natychmiast zasnął.

*

Mimo dość spacerowego tempa marszu, Bernald Brady zdążył już dorobić się odparzeń od siodła, zanim tęgi jegomość w czerwonych szatach rozkazał zatrzymać się na nocleg.

Była to jego pierwsza w życiu jazda wierzchem. Jeżeli będzie miał szansę odmówić dalszym propozycjom, żywił głęboką pewność, że zarazem będzie to jazda ostatnia. Niezgrabnie zsiadł z konia. Strażnik podszedł, rozluźnił mu więzy na rękach, a potem gestem polecił, by pokuśtykał i siadł pod wysokim drzewem nie opodal obozowiska.

Wkrótce zapłonął ogień i w powietrzu zaczęły unosić się zapachy jedzenia.

Jeden z żołnierzy nałożył sobie solidną porcję gulaszu i podszedł, wręczając Brady'emu przepiękną, lekką jak piórko ceramiczną miseczkę. Ziemianin jedząc podziwiał naczynie. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Stanowiło to wyraźne poparcie teorii, z którą tu przybył.

Choć ci, co go „pojмали”, odgrywali doskonale swą rolę rzekomych prymitywów, nie potrafili ukryć swej prawdziwej istoty. Takie rzeczy jak ta wspaniała, świadcząca o wysoko rozwiniętej technologii misa zdradzały ich z kretesem.

Ci ludzie niewątpliwie byli przedstawicielami społeczeństwa o wysokim poziomie kulturalnym. Wystarczyło popatrzeć na drogę, na wspaniałe sanie o samosmarujących się płozach, aby się o tym przekonać. To, co się tu działo, można było wytłumaczyć w jeden tylko sposób.

Najwidoczniej Nuel spędził ostatnie trzy miesiące, żyjąc wśród miejscowych ludzi. I przez cały czas knuł intrygę wiedząc, że jeśli poczeka wystarczająco długo, Flaster niewątpliwie przyśle jego, Brady'ego, aby podjął kolejną próbę naprawienia zevatronu. Przez cały ten czas Nuel na pewno wkradł się w łaski tych ludzi, obiecując im być może prawa na handel z Ziemią! W zamian za to mieli jedynie dopomóc mu przygotować ten jeden, wielki dowcip.

Zgadzało się to zupełnie z przyjętą przez Nuela hierarchią wartości!

Niewątpliwie członkowie rozwiniętej cywilizacji mogą dysponować dużymi ilościami wolnego czasu. Brady znał doskonale „średniowieczników” na Ziemi, którzy lubili jeździć konno i posługiwać się starodawną bronią. Nuel musiał wynająć grupę fanatyków średniowiecza, którzy dopomogli mu wyciąć numer kolejnemu facetowi, mającemu pojawić się przy zevatronie!

Ci faceci grali dość ostro. Rzeczywiście napędzili mu początkowo niezłego stracha, szczególnie kiedy ten grubas przesłuchiwał go, wypyując o każdy szczegół wyposażenia.

Brady parsknął. Tu posunęli się już za daleko! No bo pomyślałby kto, ludzie, którzy potrafią robić miecze o głowniach z drogocennych kamieni, byli zaskoczeni, widząc jego karabin i mikrofalówkę!

Och, niewątpliwie znali Nuela. Gdy tylko wspomniał jego nazwisko, wielki „kapłan” zrobił dziwną minę. Żołnierze najwidoczniej również wiedzieli, o kogo mu chodzi, choć nie zdradzili się ani słowem.

Tak, skinął głową Brady, w pełni przekonany. Wszyscy byli w jednej paczce. Nuel mścił się na nim za przestawienie żetonów na tabeli zmian.

Ale co za dużo, to niezdrowo! Trzeba położyć temu kres! Ta zabawa przybrała już zbyt brutalny charakter. Miał poobcierane do krwi ręce, był cały poobijany i posiniaczony...

Brady uznał, że najwyższa pora wystąpić w obronie swoich praw. Z zaciśniętymi zębami odstawił opróżnioną misę i zaczął się podnosić.

I w tej właśnie chwili jeden z „żołnierzy” wrzasnął.

Brady zamrugał, widząc koło ogniska człowieka słaniającego się ze strzałą tkwiącą w gardle. Wszyscy nagle zaczęli szukać jakiegokolwiek osłony!

To był już zdecydowanie za daleko posunięty realizm! Brady widział, jak trafiony żołnierz zabulgotał i umarł, uduszony własną krwią. Przełknął ślinę i przez chwilę miał nieprzyjemne wrażenie, że być może jego teoria wymaga pewnych poprawek.

- Partyzanci! Przemykają się przez nasze linie! - Usłyszał czyjś okrzyk.

Jeden z „oficerów” wydał jakiś rozkaz. Grupa ludzi popędziła na wschód, między rosnące przy drodze drzewa. Nastąpiło długie wyczekiwanie, po którym rozległy się szczęki broni i głośnie wrzaski. A nieco później do obozu przybiegł łącznik.

Posłaniec pospieszył w stronę odzianego w czerwień, tęgiego mężczyzny, który skulony obok rosnącego nie opodal drzewa starał się jak mógł chronić własną skórę.

Brady podczołgał się do miejsca, z którego mógł słyszeć ich rozmowę.

- ...zasadzka była urządzona na zakręcie drogi. Przypuszczam, że jeden z nich musiał się znecierpliwieć długim oczekiwaniem i pospieszył się. To był dla nas szczęśliwy traf. Ale jesteśmy tu zablokowani do chwili, gdy przekazemy wiadomość naszym oddziałom.

Tęgi mężczyzna w czerwieni, którego nazywano Hoss'k, oblizał nerwowo wargi.

- Ostatniego gołębia użyliśmy, żeby zawiadomić barona Kremera o ujęciu kolejnego cudzoziemskiego czarownika! Jak więc zdołamy przesłać mu wiadomość?

Oficer wzruszył ramionami. - Po zapadnięciu zmroku roześlę tuzin ludzi w różnych kierunkach. Wystarczy, żeby przedostał się tylko jeden...

Brady wycofał się na poprzednie miejsce za pnem i siedział tam skonsternowany przez długą chwilę. Jego przyjemne teorie rozsypały się i pozostał twarzą w twarz z niebezpieczną, zagmatwaną rzeczywistością.

- Od początku nie chciałem tu przychodzić! - Poskarżył się milcząco wszechświatowi.

Westchnął. Nigdy nie powinienem dać się namówić Gabbie, by zgłosić się na ochotnika!

*

- Panie, otrzymaliśmy wiadomość od diakona Hoss'ka. Jest w drodze do Północnej Przełęczy. Twierdzi, że znalazł...

Baron Kremer odwrócił się i warknął: - Nie teraz! Wyślij temu głupcowi rozkaz, żeby został tam, gdzie jest, i nie wszedł w drogę północnej armii!

Posłaniec skłonił się szybko i wymknął z namiotu. Kremer ponownie odwrócił się do swoich oficerów. - Dalej. Powiedzcie mi, co zostało uczynione, by oczyścić Dolinę Ruddik z tych latających potworów.

Kremer właśnie zjawił się, przylatując o świcie trzymiejs-cowym szybowcem. Bolała go głowa i czuł lekkie nudności. Jego podwładni czuli, że jest na granicy eksplozji, i starali się pospiesznie wykonać rozkazy.

- Panie, wczoraj zatrzymało nas nadejście nocy. Ale oddziały księcia Feif-dei zbliżają się już do dwóch potworów, które pozostały na południowym skraju kanionu. Mamy zamiar zapewnić silne wsparcie z powietrza, wzmocnione posiłkami, które rozkazałeś przerzucić z innych frontów.

Gdy tylko zostaną wyeliminowane ostatnie dwa potwory z południowego stoku, będziemy mogli przeprowadzić szturm na położoną niżej grań. Zostanie to okupione wieloma stratami, ale wtedy pozycje zajmowane przez siły L'Toff staną się niemożliwe do utrzymania. Zmusi ich to do wycofania, a wtedy okrążymy cztery monstra pozostałe na północnym stoku.

- A ile szybowców stracimy do tej pory? - spytał baron.

- Och, niewiele, panie. Piętnaście lub dwadzieścia. Kremer opadł bezwładnie w fotelu. - Niewiele... - Westchnął. - Moi dzielni, szczęśliwi piloci... tak wielu. Jedna czwarta, prawie jedna trzecia stracona i nie mam już żadnego, aby wesprzeć północną armię.

- Ależ Wasza Miłość, nie będzie już żadnego potwora. A nawet w tej chwili L'Toff i zwiadowcy są całkowicie związani walką na wszystkich frontach. Dokonamy przełamania, w dowolnym miejscu, i będziemy ich mieli! Szczególnie tutaj. Jeżeli przebijemy się dziś na zachód, rozetniemy siły naszych wrogów na dwie części!

Kremer podniósł głowę. Dostrzegł entuzjazm malujący się na twarzach swoich oficerów i ponownie dał się mu porwać.

- Tak! - oznajmił. - Sprowadźcie posiłki. Chodźmy na cypel Ruddik i bądźmy świadkami historycznego zwycięstwa!

*

Gdy nadszedł poranek, Dennis i Linnora siedzieli obok siebie na piaszczystym nasypie owinięci w jeden z koców Surah Sigel i patrzyli na słońce wstające nad ławicą chmur nad wschodnim horyzontem.

Dennis miał wrażenie, że jego mięśnie są kłębkami wiotkich, do cna zużytych szmat. Z tą tylko różnicą, że tu na Tatirze szmaty, które by używano tak wydajnie, nie znajdowałyby się w tak fatalnym stanie jak on. Od ciągłego zmywania stawałyby się jeszcze lepsze.

Słyszał, jak niedaleko od nich Arth robi co w jego mocy, aby przygotować śniadanie z resztek, które pozostały z zapasów Surah.

Linnora westchnęła, opierając głowę na piersi Dennisa. Był szczęśliwy, mogąc na wpół rozbudzony pogрузić się w delikatnym, słodkim aromacie jej włosów. Wiedział, że wkrótce będą musieli zacząć myśleć o sposobie wydostania się z płaskowyżu. Ale w tej chwili nie miał ochoty zakłócić spokoju.

Arth kaszlnął w pobliżu. Dennis słyszał go, jak powłóczy nogami niedaleko skraju przepaści, mruczy coś zmartwionym głosem przez chwilę, a potem kieruje się z powrotem w stronę drzew.

- Hej, Dennizz?

Dennis nie uniósł ramienia, którym przykrył twarz. - O co chodzi, Arth?

- Dennizz, chyba będzie lepiej, jeśli na coś popatrzysz. Dennis odsłonił oczy. Ujrzał, że Arth wskazuje na zachód.

- Czy mógłbyś wreszcie przestać - zapytał, gdy usiedli wraz z Linnora. Nie mógł stłumić uczucia irytacji, jakie budziła w nim skłonność Artha do wyszukiwania złych nowin.

Arth pokazywał w stronę grani, z której spadli wczoraj o zmierzchu przy akompaniamencie świszczących wokół nich strzał. Zgodnie z tym co wskazywał naręczny komputer Dennisa, minęło

niecałe dziesięć letnich godzin od chwili, gdy runęli z tego urwiska.

Z tej strony dobiegały do uszu Dennisa słabe odgłosy walki. Pióropusz kurzu bitewnego wznosił się z widniejącej nad nimi grani. Chmura ta zdawała się przesuwać powoli i nieubłaganie na południe.

Oddziały L'Toff były wyraźnie spychane do tyłu.

Ale nie to niepokoiło Artha. Wskazywał na coś bardziej z tyłu i poniżej bitewnego pyłu. Dennis spojrzał uważnie na oświetlony wstającym słońcem stok grani. I nagle zobaczył ich.

Niewielki oddział odłączył się od walczących na górze. Spuszczali się po zboczu wzdłuż zlebu wypłukanego przez lata wiosennymi wodospadami. Schodzili ostrożnie, asekurując się linami w bardziej stromych partiach.

A więc ludzie Kremera jeszcze nie zrezygnowali. Wiedzieli, jak bardzo ich władca chce dostać zbiegów w swe ręce, i wysłali oddział, żeby ich ścigał nawet na tym pustynnym płaskowyżu.

Dennis obliczył, że będą tu nie później niż za dwie, może trzy godziny.

Linnora dotknęła jego ramienia. Dennis odwrócił się i skrzywił widząc, że ona również na coś wskazuje ręką.

- Ty też? - Spojrzał na nią oskarżycielsko. I dopiero potem podążył wzrokiem za jej gestem.

Daleko na południu, na tle nieba poruszał się jakiś jaskrawy przedmiot. Kilka przedmiotów. Zawsze zazdrościł Linnorze jej doskonałego wzroku.

- Co?...

I nagle wiedział. Większy obiekt był balonem, dryfującym w świetle poranka. Jego ogromna powłoka stała w ogniu, a kilka ciemnych, groźnych kształtów przemykało i nurkowało koło niego, zbliżając się, by zadać śmiertelny cios.

A więc tak. Pomimo tej krótkiej, pełnej spokoju chwili wytchnienia, bitwa wciąż wrzała wokół nich na wielu frontach. Najlepiej byłoby wydostać się z płaskowyżu o urwistych zboczach, zanim opuszczą się na niego zwiadowcy Kremera. Byłoby również pożądane sprawdzić, w jaki sposób ich niewielka grupka ryzykantów mogłaby pomóc walczącym w słusznej sprawie.

I nagle Dennisowi przyszło do głowy pewne rozwiązanie.

Wyciągnął ostry, stuletni nóż, który dała mu Surah Sigel i odwrócił się w stronę Linnory i Artha.

- Chciałbym, żebyście mi znaleźli duży kawał mocnego drewna. Mniej więcej takiej grubości i takiej długości. - Pokazał rękami wymiary.

Gdy Arth zaczął zadawać pytania, Dennis jedynie wzruszył ramionami. - Mam zamiar trochę sobie porzeźbić - powiedział tylko.

Linnora i Arth popatrzyli po sobie. „Jeszcze więcej magii” - pomyśleli, kiwając głowami. Odwrócili się bez słowa i szybkim krokiem skierowali się w zarośla, aby poszukać tego, co potrzebował czarownik.

*

Kiedy wrócili, zastali Ziemianina pogrążonego w rozmowie... częściowo z sobą samym, częściowo zaś z jego metalowym demonem. Przeciągnął szybowiec tak, że ten znajdował się kilka stóp od krawędzi urwiska i ponownie umieścił robota pod spodem. Obok maszyny leżał na piasku stos narzędzi.

- Znaleźliśmy kij - oznajmił Arth.

- Chyba taki, jakiego chciałeś - dokończyła Linnora. Dennis skinął głową. Wziął od nich gałąź i natychmiast zaczął jej obróbkę. Zestrugiwał korę i długie, zakrzywione strużyny i z roztargnieniem mruczał do siebie pod nosem. Ani Linnora, ani Arth nie śmieli mu przerwać.

Chochlak zbudził się ze swej drzemki wewnątrz wozoszybowca i siedząc na przedniej owiewce, obserwował, co się dzieje.

Linnora z namysłem zmarszczyła brwi. - Chyba chce ponownie wystartować - szepnęła do Artha. Zdążyła już zauważyć, że zaczął opróżniać maszynę, chcąc ją odciążyć. - Chodź i pomóż mi - rzekła do złodzieja i zaczęła szarpać się z fotelem i ławką, aby wyciągnąć je z szybowca.

Z rzadka tylko spoglądali w górę sprawdzając, jak daleko zwiadowcom Kremera udało się opuścić w dół zbocza. Ciągłe się zbliżali.

Arth i Linnora prawie zakończyli swoją pracę, kiedy i Dennis ukończył swoją.

Linnora sądziła, że nic z tego, co kiedykolwiek czarownik uczyni, już jej nie zdziwi. Ale zmieniła zdanie, kiedy Dennis skończył rzeźbić, przez chwilę podziwiał swoje dzieło, a potem schylił się pod szybowiec i podał kij robotowi.

- Masz - powiedział mu. - Chwyć go mocno w środku swoim centralnym manipulatorem. Tak. A teraz zacznij kręcić nim zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Nie, chcę, żeby był to ruch obrotowy wokół osi twojego ramienia. Właśnie tak!

- Początkowo nie wysilaj się zbyt mocno, ale obracaj nim tak szybko, jak potrafisz. Twoim celem - podkreślił z naciskiem - jest wywołać wiatr, który będzie dał do tyłu, w naszym kierunku i wytworzy siłę nośną.

Odwrócił się do nich i uśmiechnął. Gdy w odpowiedzi tylko wytrzeszczyli na niego oczy, spróbował im wytłumaczyć. Ale tak naprawdę zdołali jedynie przyswoić sobie nazwę nowego narzędzia... nazwał to śmigłem.

Kij obracał się coraz szybciej. Wkrótce utworzył wirujący krąg i zaczęli czuć wiejący w ich stronę silny wiatr.

Dennis poprosił Artha, żeby pozostał na ziemi i przytrzymał tylną część maszyny, by nie posuwała się do przodu. Linnora wspięła się do środka i zajęła swoje stałe miejsce.

Dennis podniósł Krenegee, który popiskiwał cichutko z wycieńczenia. - No chodź, Choch. Masz jeszcze coś do zrobienia. - Wszedł do środka, usiadł przed Linnora i skinieniem głowy dał jej znak, żeby rozpoczęła trans zużycia.

- Śmigło - wysylabizowała nowe słowo, żeby lepiej je zapamiętać. Wzięła do ręki swój klasmodion i uderzyła w struny.

Na Tatirze zużycie niekiedy nawet ludziom wychodziło na dobre. Cała czwórka zapadła w kolejny trans felhesz, jakby była do tego stworzona. Nie był nawet w podobnym stopniu tak intensywny jak potężna burza przemian, którą desperacko wywołali dzień wcześniej, wkrótce jednak w powietrzu koło dzioba szybowca pojawiło się znajome migotanie powietrza i wiedzieli już, że przemiany zaczęły zachodzić.

Teraz był to wyścig z czasem.

*

Ostatni balon z południowej grani odplynał tuż po wschodzie słońca, gdy obrońcy liny kotwicznej padli pod naporem porannego ataku. Aeronauci wyciągnęli jednak właściwe wnioski z poprzednich niepowodzeń. Natychmiast wyrzucili za burtę worki z piaskiem, broń, odzież, wszystko, co dało się odczepić. Balon wystrzelił gwałtownie do góry, mijając oczekujące, podobne do sępów szybowce. Aparat lżejszy od powietrza osiągnął szybki pęd ku wschodowi i był już względnie bezpieczny.

Gath obserwował to i miał nadzieję, że na pokładzie balonu jest jego przyjaciel Stivyung.

No cóż, w każdym razie zdołali opóźnić nieuchronne o cały dzień. W ciągu nocy migotliwy blask z palenisk balonów przypominał zgromadzonemu w dole wojskom, że Kremerów! nie wszystko idzie po myśli.

- Szybowce będą mogły teraz zaatakować nasze oddziały na tamtej grani - powiedział znajdujący się z nim w gondoli łucznik L'Toff. - Oczyszczą południowe ramię i pozwolą atakującym wojskom oskrzydlić nasze siły w dolinie.

Gath musiał przyznać mu rację. - Potrzebujemy wsparcia!

- Niestety, nasze rezerwy zostały wycofane, żeby zamknąć wyłom na północnym froncie.

Gath zaklął. Gdyby tylko balony mogły poruszać się pod wiatr. Wtedy przydałyby się i w czasie walki na północy. Nie musiałyby siedzieć tu teraz jak tarcza strzelnicza dla tych przeklętych szybowców!

- Znowu nadlatują! - krzyknął jeden z żołnierzy.

Gath spojrzał do góry. Nowy zagon tych diabłów o smoczych skrzydłach leciał w ich stronę. Skąd się one tu biorą? Kremer musiał ściągnąć wszystkie, jakie posiada, żeby ich tu wykończyć.

Wziął swój łuk i przygotował się.

*

Arth wyęczał wszystkie siły, aby utrzymać ogon wozoszybowca. Jego obcasy ślizgały się w miążskim piasku. Powietrze wokół nich pełne było unoszonego wiatrem pyłu.

- Nie mogę go utrzymać!

- Jeszcze tylko trochę! - prosił Dennis, przekrzykując szum strumienia zaśmigłowego. Wiatr wytwarzany przez wirujący kij ryczał, szarpiąc wściekle ich włosy. Wózek trząsał się i podskakiwał, gdy pędzące powietrze napinało grające wibracją skrzydła.

Linnora ze wszystkich sił naciskała hamulec, długie blond włosy trzepotały wokół jej głowy.

- Czuję, że się przesuwa! - znowu krzyknął Arth.

- Kazałem robotowi, żeby obracał gaśnicami wstecz - wrzasnął w odpowiedzi Dennis. - Za minutę będziesz mógł wskoczyć do środka. Linnora zwolni hamulce, a ja każę robotowi startować!

- Co komu każesz? - Arth wysiłał się, jak tylko mógł.

- Powiedziałem - krzyknął Dennis - że każę robotowi ruszać! Wtedy będziesz mógł...

Nie ukończył już tego zdania. Wycie pod szybowcem zmieniło gwałtownie ton, kiedy gaśnice przestały obracać się wstecz i natychmiast przełączyły się na pracę do przodu.

- Nie! Jeszcze nie teraz! - Dennis został gwałtownie rzucony do tyłu na Linnorę, kiedy pojazd ruszył gwałtownie do przodu jak koń wyścigowy wypuszczony z maszyny startowej.

Trafiony strugą piasku Arth puścił ogon w samą porę. Wylądował nosem w ziemi, zaledwie kilka cali przed krawędzią urwiska. - Hej! - Zakaszłał, wypłuł piasek i usiadł. - Hej! - zaprotestował.

- Poczekajcie na mnie!

Ale „wózek” był już poza zasięgiem głosu. Koziółkował w powietrzu nad zasypanym głazami kanionem.

Zafascynowany Arth obserwował, jak latająca maszyna wzbija się pionowo w górę, wali się na skrzydło i zaczyna opadać w ostrym wirażu, by wreszcie przejść w serie wykonywanych na pełnej mocy silnika pętli.

Arth pomyślał sobie, że te powietrzne ewolucje są rzeczywiście wspaniałe. Czarownik pewnie musi się popisywać przed swoją ukochaną. I któż mógłby mieć mu to za złe? Serce Artha szybowało w powietrzu w ślad za dzikim tańcem samolotu.

A mimo to w pewnej chwili, gdy maszyna przelatowała koło płaskowyżu, wydawało mu się, że doleciało do niego głośne, z wściekłością rzucone przekleństwo.

Jego zachwyty trwały do chwili, gdy hałas przypominał mu o żołnierzach. Kiedy szybko rozejrzał się po urwistym cyplu, przekonał się, że oddział zwiadowców właśnie przybył. Arth uznał, że lepiej będzie, jeżeli znajdzie sobie jakąś kryjówkę.

*

Linnora znowu się śmiała. I jak poprzednio, niewiele to pomagało.

Dennis czuł, jak puls mu łomocze. Z trudem łapał powietrze. Księżniczka obejmowała go tak mocno, że trudno mu było oddychać.

Pociągnął za jeden ze sznurów, które przymocował do robota, żeby móc sterować tym prymitywnym samolotem ręcznie, bez potrzeby wykrzykiwania rozkazów. Pociągnął łagodnie, żeby nie przesterować maszyny. Przekonał się już na własnej skórze, co to znaczy. Kilkakrotnie omal nie spowodował utraty sterowności albo gwałtownego, nie kontrolowanego korkociągu.

Wreszcie ten przeklęty samolot uspokoił się. Robot z równą prędkością obracał śmigłem i Dennis doprowadził do tego, że maszyna odleciała spokojnie z niebezpiecznego sąsiedztwa urwisk, skalnych ścian i zstępujących prądów powietrza. Ustawił stery na niewielkie wznoszenie, a potem odchylił się do tyłu w miękkie, mocne objęcia Linnory. Miał tylko nadzieję, że nie robi mu się niedobrze.

Linnora roześmiała się głośno i przytuliła go do siebie z radością.

- O mój Czarodzieju! - westchnęła. - To było wspaniałe! Jakże wielkim władcą musisz być w swojej ojczyźnie. I jakież musi to być kraj cudów!

Dennis poczuł, że wraca mu możliwość oddychania. Pomimo niedawnego przerażenia i prawie

katastrofy, wszystko tym razem ułożyło się mniej więcej tak, jak zaplanował. Chyba zaczynał dawać sobie radę z Efektem Zużycia!

Czuł się szczęśliwy, siedząc wygodnie, podczas gdy Linnora masowała mu mięśnie karku i delikatnie trącała wargami jego ucho. Pilotował samolot lekkimi ruchami steru, pozwalając mu uzyskiwać w miarę pracy dalsze zużycie.

Chochlak wyglądał przez burzę, patrząc płonącymi ciekawością oczyma, jak krążą leniwie po niebie.

Dennis, choć w tej chwili czuł się wspaniale, spoczywając w ramionach księżniczki, uświadomił sobie, że wkrótce będzie musiał wyjaśnić jej pewną sprawę. Pokładała w nim stanowczo zbyt wiele zaufania. Nie miał co do tego żadnej wątpliwości. Bardzo często zakładała, że Dennis wie, co robi - podczas gdy właściwie improwizował, by przeżyć!

Pod nimi rozpościerały się lasy i równiny Coylii - morze zieleni, błękitu i odcieni bursztynu. Miękkie, białe chmury sunęły szeregami jak okiem sięgnąć.

Dennis przesunął dłonią po gładkim boku maszyny, w której lecieli... dzieło stworzone przy pomocy dwójki towarzyszy w ciągu zaledwie dwóch dni! Podziwiał cudowne transformacje, które przekształciły rozklekotany, mały, ręcznie wykonany wózek w wysmukłą, latającą maszynę.

Prawdę mówiąc, w normalnych warunkach nie dałoby się tego osiągnąć. Nawet tutaj. Wymagało to połączenia jego osobistej pomysłowości z rezonansem zużycia - powstałym z zespolenia umiejętności człowieka, L'Toff i Krenegee. Mimo to jednak...

Choch wskoczył mu na kolana. Najwyraźniej postanowił mu wybaczyć. Zaczął mruścić, a Dennis głaskał jego miękkie futerko. Spojrzał na Linnorę, przypomniał sobie jej ostatnią uwagę i uśmiechnął się.

- Nie, kochanie. Mój świat wcale nie jest bardziej cudowny od waszego, w którym przyroda jest tak łaskawa. Zazwyczaj życie jest tam dość trudne. I jeżeli w ciągu paru ostatnich pokoleń stało się mniej okrutne i bezcelowe, to tylko dzięki ciężkiej pracy milionów. Każdy mężczyzna czy kobieta na Ziemi, gdyby tylko mieli taką szansę, na pewno woleliby mieszkać tutaj.

Popatrzył na leżące pod nim równiny i uświadomił sobie, że podjął zaskakującą decyzję. Pozostanie tu, na Tatirze.

Och, może na jakiś czas powróci na Ziemię. Miał obowiązek wobec swej macierzystej planety. Powinien udzielić jej pomocy, dzieląc się tym, czego się tu dowiedział. Ale jego domem stanie się Coylia. Przede wszystkim jego dom był tam, gdzie Linnora. I jego przyjaciele...

- Arth! - Poderwał się gwałtownie. Samolot zakołysał się.

- Ojej, rzeczywiście! - zawołała Linnora. - Musimy wrócić!

Dennis skinął głową i położył maszynę w łagodny skręt.

A poza tym jeszcze ta wojna. Szaleństwo, z którym trzeba będzie się uporać, zanim pomyśli znowu o tym, żeby się osiedlić na tej ziemi i żyć tu długo i szczęśliwie.

*

Ze swej kryjówki pod przewróconym drzewem Arth słyszał głosy żołnierzy. Przez długi czas stali na płaskowyżu i słyszał ich pełne zdumienia wołania. Dobiegały go zabobonne okrzyki i wciąż powtarzane słowo w starej mowie - „smok”.

Mijały minuty. A potem rozległy się jeszcze bardziej podniecone wrzaski. Arth usłyszał przerażający ryk, a po nim odgłosy panicznej ucieczki. Powtórzyło się to kilka razy. Za każdym razem ryk był coraz głośniejszy, pełne przerażenia okrzyki dobiegały z coraz większej odległości.

Wreszcie wyczołgał się ze swojej dziury i ostrożnie rozejrzał się wokoło.

Zobaczył zwiadowców Kremera biegnących w stronę swoich lin i próbujących rozpaczliwie uciec z płaskowyżu. Sprawiali wrażenie, jakby ścigał ich sam diabeł.

Nawet on cofnął się w pierwszym odruchu, gdy wielki, ryczący kształt zaczął nurkować spod chmur w jego stronę. A potem zobaczył, jak dwie małe postacie machają do niego ze środka.

Arth był w stanie zrozumieć przerażenie żołnierzy. Jego serce również przyspieszyło rytm na widok tej rzeczy, mimo że wiedział, co to takiego!

Zrozumiał, że próba ponownego lądowania na pochyłym piaszczystym zboczu może być niebezpieczna. Było to zbyt ryzykowne, kiedy należało jeszcze wygrać przegraną wojnę. Czuł jednak wdzięczność dla Dennisa i Linnory za to, że poświęcili trochę czasu, by odpędzić zwiadowców, zanim zajęli się ważniejszymi sprawami.

Pomachał na pożegnanie swym przyjaciółom i patrzył, jak latająca maszyna oddala się szybko na południe. Przysłonił oczy ręką i spoglądał, jak kieruje się w stronę toczącej się dalej wśród gór bitwy.

Wreszcie, kiedy stała się już tylko kropką na horyzoncie, zajął się przeglądaniem stosu zapasów, które Linnora wyrzuciła na piaszczystą wydnię w czasie opróżniania samolotu. Obok leżało również kilka plecaków porzuconych przez uciekających w panice żołnierzy.

Westchnął i zaczął grzebać w zdobyczy. Mogło tego wystarczyć na dość długo.

„Dam im parę dni na wygranie tej wojny i wyciągnięcie stąd - pomyślał. - Jeżeli długo nie będą wracać, to może sam spróbuję stworzyć taką latającą sztukę!”

Mruczał pod nosem, przygotowując posiłek. Wyobrażał sobie, jak szybuje w powietrzu, niezależny od wiatrów.

*

Bitwa przybierała zły obrót. Koło południa Gath rozkazał wyrzucić cały zbędny balast za burtę i przygotować się do desperackiej próby ucieczki.

Nie dało to wiele. Następna grupa szybowców zasypała ich gradem dzirytów, które podziurawiły powłokę. Na spotkanie czarnych kształtów wyleciało mniej niż zwykle strzał. Wielka kula balonu zaczęła flaczeć, w miarę jak uciekało z niej gorące powietrze.

Przy odpięciu ataku zginął kolejny łucznik. Jego ciało bezceremonialnie wyrzucono za burtę. Nie było czasu na nic więcej.

Pod nimi żołnierze broniący lin cumowniczych byli silnie naciskani przez wroga. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że odwrót atakowanych z powietrza oddziałów na południowej krawędzi jest tylko kwestią czasu. A wtedy całe skrzydło wojsk zostanie odsłonięte.

Kremer najwyraźniej zdawał sobie sprawę, jaką przewagę może dać mu opanowanie cypla górującego nad wąwozem Ruddik. Ściągnął posiłki z pomocnego frontu, gdzie zwiadowcy Demseny stawiali twardy opór. Ale Gath widział też, że parę minut przed ostatnim nalotem szybowców przybyło kilka grup najemników wraz z oddziałami ubranych na szaro wojowników Kremera. Ostateczny szturm skalnego cypla nie da na siebie długo czekać. A gdy przedrą się tutaj, samo serce krainy L'Toff stanie przed nimi otworem.

Balon stale tracił powietrze. Gath nie mógł nawet w przybliżeniu obliczyć, jak długo, bez względu na proces zużycia, pozostaną jeszcze w powietrzu.

I nagle, jakby jeszcze nie dość było nieszczęść, jeden z żołnierzy schwycił go za ramię i wskazał ręką.

- Co to? - zapytał.

Gath zmrużył oczy. Początkowo wziął to za kolejny przeklęty szybowiec. Ale w jaskrawym świetle popołudnia zobaczył, że to chyba coś nowego wkroczyło do powietrznej bitwy... wielka, skrzydlata rzecz o rozpiętości płatów przewyższającej nawet aerodynamikę Kremera.

Ta rzecz warczała i leciała w taki sposób, do jakiego nie był zdolny żaden szybowiec. W sposobie, w jaki mknęła po niebie, kryła się jakaś moc.

Ludzie Gatha zaczęli szemrać z przestachem. Jeżeli Kremer rzucił do bitwy nową broń...

Ale nie! Obserwowana przez nich rzecz wzbiła się wysoko, a potem zanurkowała prosto w

prąd wznoszący u wylotu kanonu i zaatakowała nabierającą powoli wysokości formację szybowców!

Gath patrzył z podziwem. Intruz runął między niezdarne skrzydła, mącąc równy prąd powietrza, na którym się wspierały. Zawirowania wywołane jego przelotem sprawiły, że piloci tracili panowanie nad szybowcami. Czarne kształty jeden po drugim zaczynały dygotać, wpadały w korkociąg i spadały.

Większość szybowników ostatecznie odzyskiwała kontrolę nad swoimi maszynami, ale nie mieli już możliwości dotarcia do następnego wznoszącego prądu. Zręczni piloci desperacko wyszukiwali równych miejsc i lądowali przymusowo na nierównych stokach.

Wściekli lotnicy wyskakiwali albo gramolili się kulejąc ze swych rozbitych latających machin i patrzyli w górę na brzęczący samolot, który stracił je z taką łatwością, jak ręka strąca muchy.

Kilka szybowców Kremera zdołało utrzymać się w prądzie wznoszącym. Uniknęły pierwszego ataku warczącego potwora, uzyskały odpowiednią wysokość i nurkowały na intruza.

Ale machina o sokolich skrzydłach z łatwością wymknęła się poza zasięg śmiertelnych dziurów. Potem zawróciła zręcznie i zaatakowała swych prześladowców, przepędzając ich na pustynną równinę. Niezmiennym rezultatem każdego ataku było rozbicie kolejnego szybowca albo zmuszenie go do lądowania na pokrytej rumowiskiem głazów pustyni.

W ciągu paru minut niebo było czyste! L'Toff rozglądali się, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. A potem na pozycjach zajmowanych przez obrońców rozległy się wiwaty. Atakujący - nawet odziani na szaro zawodowcy - cofnęli się ogarnięci zabobonnym przerażeniem, gdy ta brzęcząca rzecz zawróciła i przeleciała wysoko nad kanionem.

Jakby tego nie było dosyć, w tej samej chwili rozległy się dźwięki rogów odbijające się echem od skalistych brzegów wąwozu. Na wzgórzach pojawił się oddział okrytych zbrojami żołnierzy. W nasilających się podmuchach wiatru rozwinęli królewski sztandar Coylii. Wielki smok o szeroko rozpostartych skrzydłach obramowanych zieloną lamówką zatrzepotał na wietrze i wytrzeszczył kły na walczących w dole.

Gath wiedział, że na położonych wyżej zboczach kryje się zaledwie tuzin Królewskich Zwiadowców. Mieli pojawić się w jakiejś odpowiedniej chwili, taktycy liczyli bowiem, że reputacja zwiadowców pozwoli w jakimś kluczowym momencie opóźnić akcję wroga.

Efekt przeszedł najsmielsze przewidywania Demsena i księcia Linsee. Skojarzenie nieznannej latającej rzeczy z latającymi smokami było nieuniknione. W zgromadzonej w dole armii musiały niewątpliwie nastąpić liczne, gwałtowne nawrócenia na Starą Wiarę.

I wtedy właśnie wielki, ryczący potwór uznał za stosowne zanurkować na armię mieszkańców równin.

Na jego spotkanie nie wzbila się żadna str/ąła, choć bowiem nie ciskał śmiertelnych

przedmiotów, jego basowy jęk zasiał lęk w sercach najeźdźców. Rzucili broń i uciekli, nie oglądając się za siebie.

Gath pierwszy raz tego dnia odetchnął z ulgą. Nie miał właściwie żadnych wątpliwości, kto pilotuje ten hałaśliwy, przypominający smoka szybowiec.

*

- Wasza Miłość! Wszystko stracone! - Jeździec w szarym płaszczu przygalopował przed oblicze swego pana.

Kremer ściągnął wodze konia. - Co? O czym ty mówisz? Słyszałem, że mam ich już w garści!

A potem spojrzał do góry i zobaczył paniczną ucieczkę. Zielone, czerwone i szare mundury spływały kanionem jak górską powódź. Posłaniec nieznacznie tylko wyprzedził biegnących.

Wódz i jego adiutanci zostali pochłonięci przez tłum ogarniętych paniką żołnierzy. Bardzo szybko okazało się, że krzyki i płazowanie ludzi mieczami nikogo nie powstrzyma. Kremer i jego oficerowie musieli dać ostrogi swym przestraszonym wierzchowcom, by wydostać się na stok wąwozu, poza lawinę uciekających wojsk.

Najwyraźniej coś musiało pójść na opak. Kremer rozejrzał się, szukając wzrokiem swego najważniejszego oręża, ale na niebie nie było ani jednego szybowca!

Nagle usłyszał niewyraźny hałas, odwrócił się i ujrzał nieznamy kształt lecący nisko wzdłuż kanionu i pędzący przed sobą jego ludzi! Z doświadczenia wiedział, że żaden szybowiec nie jest w stanie lecieć w ten sposób, nie zwracając uwagi na drobne, ale niebezpieczne wstępujące i opadające prądy powietrzne. Ta rzecz wydawała dźwięk jak wielki, rozwścieczony, drapieżny ptak, a wokół niej migotała ledwo widoczna poświata felhesh.

Wojska uciekły, najwyraźniej bowiem miały już dość niespodzianek w czasie tej kampanii. Najpierw te obrzydliwe, podrygujące, unoszące się nad głowami potwory zwane „balonami”, a teraz to!

Wódz mruknął gniewnie. Gdy latająca machina zbliżyła się, dotknął kolby przywieszzonego na biodrze igłowca. Żeby zechciała nieco się zbliżyć. Jeśli udałoby mu się ją strącić, mogłoby to podnieść ducha w jego wojskach.

Potwór jednak nie poszedł mu na rękę. Najwidoczniej uznał, że jego zadanie zostało już wykonane, więc wzbił się w górę i zakręcił na północ. Kremer nie miał najmniejszych wątpliwości, że ruszył w stronę bitwy toczącej się na pomocnych przełęczach.

Widział to wszystko oczyma wyobraźni - dokonał tego zagraniczny czarownik, a on nie potrafił go powstrzymać.

Nie mógł walczyć z tą nową rzeczą - przynajmniej na razie. Jego plany walki zbyt silnie uzależnione były od szybowców, a te nie były w stanie stawić czoła potworowi.

Oczywiście, gdy tylko wieść o klęsce dotrze na wschód, wielcy możnowładcy popędzą tłumnie do króla Hymiele. Po kilku dniach na zachód zaczną podążać armie, prześcigając się w próbach zdobycia nagrody za jego głowę.

Kremer odwrócił się do swoich adiutantów. - Pędźcie na stację sygnalizatorów. Wydajcie rozkaz odwrotu - tu i na pomocy. Niech moi górale zbierają się w Dolinie Wysokich Drzew, w górach Flemming. Starożytne umocnienia są silne. Nie będziemy musieli się tam obawiać ani armii, ani latającego potwora czarownika.

- Wasza Miłość? - Oficerowie popatrzyli na niego z niedowierzaniem. Przed paroma chwilami służyli przyszlemu, wedle znaków na niebie i ziemi, władcy ziem od gór aż do morza. A teraz nagle on sam powiada im, że będą żyli podobnie jak ich dziadowie, w północnych ostępach!

Kremer rozumiał, że niewielu ludzi jest w stanie pojąć sytuację tak szybko i jasno jak on. Nie mógł mieć im za złe, że poczuli się jak ogłuszeni. Ale nie mógł też zgodzić się na zwłokę w wypełnianiu rozkazów.

- Ruszajcie! - krzyknął. Dotknął wiszącej u boku kabury z igłowcem i spostrzegł, że cofnęli się.

- Chcę, żeby wiadomość przekazana była natychmiast. W następnej kolejności wyślijcie rozkaz do naszego garnizonu w Zuslik. Niech ogołocą miasto z żywności i bogactw... Będą nam potrzebne w czasie przyszłych miesięcy i lat.

Wicher dmący wokół niego pełen był unoszącego się w powietrzu pyłu.

Było już późno, nawet jak na letni dzień na Tatirze, kiedy cudowny „smok” powrócił do centrum L’Toff. Powitalna grupa na ziemi musiała podążać zygzakami aż do chwili, gdy i oni, i pilot latającej maszyny znaleźli wystarczająco dużą polanę. Do tej pory zapewne połowa ludności - ci, którzy nie ruszyli za wycofującymi się armiami - zebrała się, aby pozdrowić swoich zbawców.

Maszyna nadlatywała nisko. Jej połyskliwy kształt błyszczał w złocistym zmierzchu. Dotknął lekko ziemi, potoczył się i wreszcie zatrzymał przed wysokimi dębami.

Tłum dosłownie eksplodował radością, gdy ujrzał, jak szczupła postać ich księżniczki wstaje w kabinie samolotu. Zgromadzili się wokół niej wiwatując, a niektórzy usiłowali nawet wziąć ją i nieść na ramionach.

Ale nie pozwoliła na to. Gestem nakazała im się cofnąć i odwróciła się, żeby pomóc wstać następnej osobie. Jak na cudzoziemca, był to wysoki mężczyzna. Miał ciemne włosy, brodę i wyglądał na bardzo zmęczonego.

Największe jednak zdziwienie spotkało ich, gdy zobaczyli to, co siedziało na ramieniu

mężczyzny - małego stworka o błyszczących, zielonych oczach i szelmowskim uśmiechu. Krenegee zaczął mruczeć, tłum zaś cofnął się i zapanowała nagła, pełna szacunku cisza.

A potem L'Toff westchnęli niemal jak jeden mąż, gdy cudzoziemski czarownik wziął księżniczkę w ramiona i zaczął bardzo długo ją całować.

XII. SEMPER UBI SUB UBI

Kiedy Dennis wreszcie się obudził, poczuł się jakoś dziwnie, jakby upłynęło bardzo dużo czasu albo jakby bardzo dużo śnił. Usiadł i przetarł oczy.

Słońce sączyło się przez powiewne zasłony kolorowego namiotu. Odrzucił jedwabne prześcieradło i wstał z miękkiego posłania. Stwierdził, że jest nagi.

Z zewnątrz barwnej kopuły dobiegały podniecone okrzyki i tętent przybywających i odjeżdżających w galopie posłańców. Dennis rozejrzał się za czymś, w co mógłby się ubrać i znalazł na krześle bryczesy z miękkiej jeleniej skóry i zieloną jedwabną koszulę. Obok leżały wysokie czarne buty. Dennis nie przejął się brakiem bielizny. Ubrał się czym prędzej i wybiegł na zewnątrz.

W niewielkiej odległości ksiązę Linsee prowadził ożywioną rozmowę z kilkoma oficerami. Władca L'Toff wysłuchał raportu zdyszanego posłańca, roześmiał się i na znak wdzięczności poklepał go po ramieniu.

Dennis odetchnął, kiedy usłyszał śmiech księcia. We śnie Dennisa prześladowała uporczywa myśl, że powinien być na nogach i umacniać zwycięstwo, które dał L'Toff. Kilkakrotnie walczył ze snem, chcąc zająć się wynajdywaniem nowych broni albo nękaniem nieprzyjaciela swoim samolotem, ale jego wyczerpane ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

Wcale nie znaczyło to, że przez cały czas coś go wrywało ze snu. Kilkakrotnie śniła mu się Linnora i to było przyjemne.

- Dennizz!

Jeden z oficerów uśmiechnął się na jego widok. Dennis przyglądał mu się przez chwilę. Tylu ludzi przedstawiano mu wczoraj o zmierzchu... Czy to było wczoraj, czy przedwczoraj?

- Dennizz! To ja, Gath!

Dennis zamrugał. Ależ tak! Chłopak chyba się rozrósł w ciągu ostatniego miesiąca. A może to była sprawa munduru?

- Gath! Czy miałeś jakieś wiadomości od Stiyyunga? Chłopak uśmiechnął się.

- Dotarli przed godziną. Wszystko w porządku. Jego balon wylądował w baronii wiernej koronie. Wraca na czele oddziału, żeby włączyć się w pościg za Kremerem!

- Więc Kremer...

Dennis urwał w połowie kwestii, ponieważ ksiązę zauważył go i zbliżył się w jego stronę. Linsee był wysokim, szczupłym człowiekiem z siwą bródką. Uśmiechnął się i uściśnął dłoń Dennisa.

- Czarownik Nuel. Miło cię nareszcie widzieć. Mam nadzieję, że wypocząłeś należycie?

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Ale teraz drzę z niecierpliwości, żeby usłyszeć...

- Tak - roześmiał się Linsee. - O mojej córce i za moją zgodą twojej narzeczonej. Linnora jest w pobliskim zagajniku. Zaraz po nią pošlemy. - Na skinienie księcia młody pazik pośpieszył z wiadomością.

Dennis ucieszył się. Bardzo chciał zobaczyć Linnorę. Tego wieczoru, kiedy wylądowali, był zdenerwowany jak każdy starający się, gdy Linnora przedstawiła go księciu. Kamień spadł mu z serca, kiedy Linsee z radością zaakceptował ich narzeczeństwo.

Teraz jednak najważniejsze były sprawy wojny. Oglądając owego pamiętnego wieczoru bitwę z góry, widział szare oddziały tyrana cofające się na wszystkich frontach. Pstrokaci sojusznicy - poddani innych baronów i oddziały zaciężne - rozpierzchli się po pierwszym przelocie jego latającej maszyny, a oddziały Północy wycofywały się jeszcze szybciej, oglądając się trwożnie za siebie.

Ale szare wojska nie zostały złamane. Mimo lęku cofały się we wzorowym porządku. Byli to znakomici żołnierze, którzy z zaciętością osłaniali odwrót swoich kolegów.

Kiedy zapadający zmrok zmusił go wreszcie wraz z Linnorą do lądowania na terytorium L'Toff, Dennis obawiał się, że następnego dnia przeciwnik może się przegrupować i wrócić.

- A co z Kremerem? - spytał.

- Bądź spokojny - uśmiechnął się Linsee. - Wszyscy jego sojusznicy przeszli do króla. A z ludnego wschodu ciągnie ochotnicza milicja. Kremer ogołocił Zuslik ze wszystkiego, co się dało, i jest w drodze do swoich rodzinnych stron w górach. Obawiam się, że nawet armie całego królestwa wspomagane twoimi hałaśliwymi, latającymi potworami nie potrafią wykurzyć go z tych skalistych kryjówek.

Dennis poczuł ulgę. Nie wątpił, że Kremer da jeszcze o sobie znać w przyszłości. Człowiek tak inteligentny i pozbawiony skrupułów na pewno nie zrezygnuje ze swoich ambicji, uważając to, co się stało, za chwilowe niepowodzenie.

Na razie jednak niebezpieczeństwo było zażegnane.

Dennis cieszył się, że mógł pomóc Linnorze. Jeszcze bardziej cieszył się, że nie będzie musiał na rozkaz tyrana pracować nad wynalazkami, do których ten świat nie dojrzał.

Trzeba na to uważać. Już obdarzył Tatir kołem i lżejszym od powietrza pojazdem latającym. A Gath pewnie już rozgryzł zasadę śmigła po obejrzeniu wozoszybowca.

Zanim Dennis obdarzy ich jakimiś nowymi cudami, będzie musiał zobaczyć, jak Efekt Zużycia działa na wynalazki po uruchomieniu masowej produkcji.

Paź podbiegł do księcia Linsee. Książę pochylił się, żeby go wysłuchać.

- Moja córka prosi, żebyś spotkał się z nią na łące, na której wylądowałeś przedwczorajszej nocy - powiedział Dennisowi. - Jest tam, przy twojej cudownej maszynie. Nikt jej nie dotykał, odkąd przybyłeś - zapewnił go książę. - Rozpowszechniłem wiadomość, że każdy, kto dotknie wielkiego, ryczącego smoka, zostanie żywcem pożarty!

Dennis poznał po jego krzywym uśmiechu, że jest on równie bystry jak jego córka. Bez wątpienia podczas jego snu księżniczka poinformowała ojca o wszystkim, co się zdarzyło od czasu jej porwania.

- Hm, to wspaniale, Wasza Wysokość. Czy mogę otrzymać kogoś, kto mnie tam zaprowadzi?

Linsee przywołał młodą dziewczynę, która podeszła i ujęła Dennisa za rękę.

*

Linnora oczekiwała Dennisa na łące przy lśniąącym samolocie. Ubrana w skórzany mundur L'Toff siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed dziobem maszyny, a trzy damy dworu w sukniach szeptały między sobą na skraju lasu.

Przechodząc koło nich, Dennis z zasłyszanych urywków rozmowy usłyszał, że panny mają za złe swojej księżniczce wojskowy strój, nie mówiąc już o siadaniu na trawie tuż przy maszynie nie z tego świata.

Damy dworu zamilkły i odwróciły się pośpiesznie, kiedy Dennis powiedział im dzień dobry. („Dobry wieczór” - poprawił się w myśli, uświadomiwszy sobie położenie słońca.) Damy dygnęły i cofnęły się. Zachowywały się z należyty szacunkiem, ale widać było, że nie zdziwiłyby się, gdyby mu nagle wyrosły rogi albo uniósł się w powietrze. Wyraźnie przeciętni L'Toff pod względem cywilizacyjnym nie przewyższali aż tak bardzo przeciętnego Coylianina.

„To się jednak może wkrótce zmienić” - pomyślał Dennis, zmierzając w stronę samolotu.

Czekała go tam niespodzianka. Linnora w dziwnej pozycji zaglądała pod to, co kiedyś było przodem wozu. Podziwiając figurę i sprawność dziewczyny, jednocześnie zastanawiał się, co ona może tam robić.

- Linnora - zawołał - co ty tam...

Usłyszał odgłos uderzenia i okrzyk zduszony podwoziem samolotu. Dennis zaczerwienił się, kiedy w ślad za okrzykiem pośpieszyła wiązanka wyrazów, których Linnora mogła się nauczyć tylko z jednego źródła. Niewątpliwie nie pochodziły one z coylińskiej odmiany angielskiego!

Księżniczka wyczołgała się spod maszyny i usiadła, rozcierając głowę. Urwała w połowie

kolejne przekleństwo, kiedy zobaczyła, kto przed nią stoi.

- Dennis! - zawołała i w następnej chwili była w jego ramionach.

Po chwili, nieco zdyszany, zdołał ją wreszcie zapytać, co tam robiła.

- A, to! Mam nadzieję, że to nic złego. To znaczy, mam nadzieję, że nic nie zepsułam. Ale spałeś tak długo i ktoś doniósł ojcu, że jestem ubrana na wojnę, a on kazał mnie śledzić, żeby mieć pewność, że nie wyprawię się po uszy Kremera czy coś takiego. Nudziłam się, tak się nudziłam, że postanowiłam sprawdzić...

Była czymś wyraźnie poruszona, ale Dennis nie nadążał za potokiem słów.

- Twoje damy, Linnora, sprawiały wrażenie zaszokowanych widząc, jak grzebiez pod maszyną.

Linnora spojrzała na swoje zabłocone kolana. Próbowwała się otrzepać, ale zrezygnowała i wzruszyła ramionami.

- A, tam. Będą musiały się przyzwyczaić. Chcę być nie tylko twoją żoną, ale chcę się też nauczyć czarnoksięstwa. A sądząc z tego, czego dotąd doświadczyłam, nie jest to czysta robota.

Błysk w jej oku zdradził mu, że było to coś, czego oczekiwała od swego męża. Nie będzie musiał szukać ucznia daleko od domu.

- Przyszłam tutaj - kontynuowała - i znalazłam wszystko tak, jak zostawiliśmy po lądowaniu. Twój Krenegee też tu był, ale potem gdzieś poszedł, pewnie na polowanie. Siedziałam pod maszyną tak długo, że mogłam stracić rachubę czasu.

Dennis zważył już, że jego ukochana kiedykolwiek dojdzie do sedna.

- Ale co tam robiłaś? - powtórzył. Linnora umilkła na chwilę, żeby pomyśleć.

- Robot! - oświadczyła nagle. - Nudziło mi się, postanowiłam więc porozmawiać z tą cudowną istotą - narzędziem, którą przywiozłeś ze swojego świata.

- Rozmawiałaś z... - Dennis nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Pokaż mi - powiedział po chwili.

Damy dworu przeżyły jeszcze większy szok, kiedy zobaczyły, jak czarownik i ich księżniczka razem kładą się na ziemię. Gotowe były odwrócić się skromnie, gdyby miały się sprawdzić ich najgorsze podejrzenia.

Westchnęły z ulgą. Linnora nie została aż tak zdemoralizowana w czasie pobytu na nizinach. Tylko co oni w takim razie robili, tłocząc się pod maszyną?

Damy dworu zrozumiały, że świat już nie będzie taki jak dawniej.

*

Właściwie wcale nie trzeba było wpełzać pod samolot, żeby obejrzeć robota. Dennis uświadomił sobie później, że mógł kazać automatowi odłączyć się od śmigła i podwozia, a potem wyjść na zewnątrz. Ale teraz tak bardzo wyglądał na nieodłączną część samolotu, że początkowo nie przyszło to Dennisowi do głowy. Seria potężnych seansów doskonalenia wzmocnionych magiczną siłą Krenegee tak przetworzyła maszynę, że zlała się ona w jedno z błyszczącym, drewnianym szybowcem.

„Rozmowa” Linnory z robotem polegała na tym, że ona mówiła, a robot odpowiadał na swoim małym ekranie.

Dennis zmarszczył czoło, patrząc na perłowy ekran pokryty rzędami coyliańskiego pisma. Nie nadążał z czytaniem w niezemskim alfabecie. Poza tym zastanawiał się, jakim cudem robot nauczył się...

No tak, zreflektował się. Prawie od pierwszej chwili pobytu na Tatirze maszyna miała polecenie zbierać informacje o mieszkańcach. Co, oczywiście, obejmowało miejscowy alfabet.

- Podzielić ekran - polecił. - Coyliański po lewej, angielskie tłumaczenie po prawej.

Tekst natychmiast podzielił się na dwie wersje tego samego sprawozdania. Musieli z Linnora wczołgać się nieco głębiej pod wózek, żeby mogli czytać oboje, ale to tylko ich do siebie zbliżyło, na co nie miał zamiaru się skarżyć.

Natychmiast zauważył coś interesującego. Chociaż litery coyliańskie były elementem sylabariusza, angielskie zaś, czyli łacińskie stanowiły prawdziwy alfabet, to te dwa systemy łączył wyraźnie jakiś wspólny styl. Dźwięk „th” w coyliańskim, na przykład, wyglądał jak nieco zmienione i połączone litery „t” i „h”.

Dennis przypomniał sobie pewne spekulacje, którym się oddawał podczas swego uwięzienia. Z narastającym uczuciem podniecenia zaczął podejrzewać, że jedna z teorii, jakie wówczas wysnuł, może okazać się prawdziwa.

Przez chwilę wczytał się w tekst. Było to streszczenie najdawniejszej coyliańskiej historii znalezionej na jakichś starodawnych zwojach, które robot podkradł na chwilę z jednej ze świątyń w Zuslik. Zwoje wspominały o Starej Wierze, ongiś powszechnej na Tatirze, ale teraz wyznawanej tylko przez L'Toff i mało gdzie poza tym. Pozornie składała się ona z mitów i legend, ale Dennis czuł, że za barwnymi opowieściami kryje się jakiś głębszy sens.

Dennis polecił robotowi wrócić do wcześniejszych danych, potem znów przeskoczyć do przodu. Linnora przyglądała się temu zafascynowana i co jakiś czas proponowała fragmenty, które

widziała wcześniej. Czasem wyjaśniała znaczenie słów, z którymi Dennis się wcześniej nie zetknął.

Spędzili wspólnie dużo czasu pod wózkiem, czytając skorelowaną historię tego świata.

Dennisa rozboleły już mięśnie karku, kiedy wreszcie poczuł, że zgromadził dość danych. Nasuwał się wniosek nie do podważenia.

- To jest nie tylko inna planeta! - oświadczył. - To jest również przyszłość!

Linnora przewróciła się na wznak i spojrzała na niego.

- Tak, dla ciebie to przyszłość, mój czarodzieju z przeszłości. Czy to coś zmienia? Czy mimo to ożenisz się z kimś, kto może się okazać twoim dalekim potomkiem?

Dennis pochylił się i pocałował ją.

- Nie byłem zbyt przywiązany do swojego czasu - powiedział. - A moim potomkiem nie możesz być, bo nie miałem dzieci.

Linnora westchnęła.

- Cóż, to jeszcze da się naprawić.

Dennis miał ją właśnie znów pocałować, jeszcze bardziej gorsząc damy stojące na skraju zagajnika, kiedy nagle tuż nad ich głowami usłyszeli okrzyk.

- Dennizz! Księżniczko!

Rozległy się dwa głucho uderzenia i zaraz po nich dwie serie przekleństw. Linnora i Dennis wyłonili się spod wózka, rozcierając sobie głowy, ale oboje rozjaśnili się uśmiechem na widok przybysza.

- Arth!

Był to rzeczywiście mały złodziej. Na skraju polany zebrała się gromadka pełnych podziwu widzów, gdyż na ramieniu Artha siedział mruczając Krenegee.

Dennis objął przyjaciela.

- Więc ludzie Prolla jednak cię znaleźli! Obawiałem się, że nasz opis płaskowyzu nie był dość dokładny i że będziemy musieli lecieć po ciebie samolotem. Martwiliśmy się o ciebie.

Arth podrapał pod brodą mruczącego chochlaka.

- Nic mi nie groziło - powiedział nonszalancko. - Spędziłem ten czas, próbując sklecić jeszcze jeden latający wóz. Nie zdążyłem go wypróbować, bo przyszli po mnie zwiadowcy.

Dennis zadrżał na samą myśl. Będzie musiał odbyć z Arthem zasadniczą rozmowę, także z Linnora, Gathem i w ogóle każdym, kto żywi iluzję, że ziemską technologię można klecić. Niezależnie od Efektu Zużycia pewne urządzenia muszą działać od pierwszego razu!

- Najważniejsze, że nic ci się nie stało.

- Jasne, że nic mi się nie stało. Wysłałem wiadomość do Maggin w oddziałach Demseny. Zaprosiłem małą damę, żeby spędziła tutaj wakacje - oczywiście za pozwoleniem jej wysokości. - Tu skłonił się przed Linnora. Linnora roześmiała się i objęła małego złodzieja.

- Nawiasem mówiąc - ciągnął Arth - me wiem, czy słyszeliście o tym, bo jak nie, to sędzę, że powinno was to zainteresować. Podobno chłopcy Demseny starli się koło Przełęczu Północnej z kompanią ludzi Kremera i wiecie, kto był z nimi? Nikt inny, tylko nasz stary przyjaciel Hoss'k!

- Hoss'k!

- Tak jest. Diakon, niestety, zdołał uciec. Ale za to zwiadowcy złapali dziwnego osobnika, który był z Hoss'kiem. Chyba jako więzień. Doprowadzono go przed chwilą do namiotu Linsee. Dziwna rzecz. Mówi podobnie do ciebie, Dennizz. Z tym twoim śmiesznym, gardłowym akcentem. Niektórzy więźci do niewoli górale mówią, że on też jest czarownikiem.

Dennis i Linnora wymienili spojrzenia.

- Myślę, że powinniśmy się tym zainteresować - powiedziała księżniczka.

- Cześć, Brady. Więc to ciebie Flaster przysłał po mnie. Trzeba mu przyznać, że nie zdradzał pośpiechu.

Płowowłosa mężczyzna siedzący ponuro na polowym krześle zerwał się i spojrzał z niedowierzaniem.

- Nuel! To ty! O Boże, jak miło spotkać kogoś z Ziemi! Bernald Brady wyglądał na zaszczutego i wyczerpanego.

Miał pokaleczone czoło, a jego zwykły pogardliwy grymas ustąpił przed wyrazem ulgi i prawdziwej radości na widok Dennisa.

W ślad za Dennisem do namiotu weszli Linnora i Arth. Oczy Brady'ego, rozszerzyły się na widok stworzenia siedzącego na ramieniu Artha.

Brady cofnął się o krok. Chochlak widocznie też zapamiętał Brady'ego, bo parsknął ze złością i szczerzył zęby. Arth musiał go w końcu wynieść na zewnątrz.

Po ich wyjściu Brady zwrócił się błagalnie do Dennisa:

- Nuel, proszę cię! Możesz mi powiedzieć, co się tu dzieje? To jakieś zwariowane miejsce.

Najpierw znajduję rozbebeszony zevatron i twoją dziwną notatkę. Potem cały mój sprzęt zaczyna się zachowywać jakoś dziwnie. Na koniec dostaję w łeb od jakiegoś wielkiego draba i zostaję obrabowany ze wszystkiego przez szajkę bandytów.

- Zabrali ci broń? Tego się obawiałem - skrzywił się Dennis. Kremer miał już jego igłowiec, a licho wie, czym się obwiesił superostrożny Brady. Na pewno nie oszczędzał też na jakości uzbrojenia. Rozporządzając całym tym arsenałem, Kremer może jeszcze narobić kłopotów.

- Ukradli wszystko! - jęknął Brady. - Od kuchenki polowej do obrączki ślubnej.

- Ożeniłeś się? - zdziwił się Dennis. - Z kim? Czy to ktoś, kogo znam?

Widać było, że Brady nie wie, co odpowiedzieć. Wyraźnie nie chciał się narazić Dennisowi.

- No cóż, kiedy nie wracałeś... Dennis spojrzał mu w oczy.

- Chcesz powiedzieć, że ty i Gabbie...?

- T-tak, nie było cię tak długo... Odkryliśmy, że mamy wiele wspólnego... rozumiesz. - Spojrzał na Dennisa z poczuciem winy.

Linnora też zdradzała zainteresowanie. Dennis roześmiał się.

- Nic nie szkodzi, Bemie. Między nami i tak nic nie było. Jestem pewien, że ty i ona lepiej do siebie pasujecie. Moje gratulacje. Szczere.

Brady uściskał dłoń Dennisa bez przekonania. Przeniósł wzrok z Dennisa na Linnorę i z powrotem i coś zaczęło mu świtać.

Nie poprawiło to jednak jego miny. Był nie tylko przestraszony i stęskniony za domem. Był w dodatku zakochany.

- Cóż, postaramy się odesłać cię do niej najszybciej, jak tylko się da - powiedział łaskawie Dennis do dawnego rywala. - I tak muszę odwiedzić na krótko Ziemię. Chcę wymienić trochę tutejszych dzieł sztuki na parę rzeczy, które można kupić w każdym domu towarowym.

Dennis miał swoje plany. Dla dobra obu światów dopilnuje, żeby Linsee miał dobrą pieczę nad zevatronem, ściśle kontrolując kontakt między dwoma cywilizacjami. Należy przecież unikać paradoksów czasu!

Jednak ograniczona wymiana mogła przynieść korzyści obu czasom.

Brady pokręcił głową.

- Nawet gdyby nam się udało zmontować nowy mechanizm powrotny z części, które zakopałeś, to i tak nie skończymy go na czas! Flaster dał mi tylko kilka dni i niewiele już z nich zostało! Poza

tym, kiedy została uszkodzona śluza powietrzna, zniszczono skalę. Nie znam nawet koordynatów ziemskiej rzeczywistości!

- Ja je pamiętam - zapewnił go Dennis.

- Taak? - Brady odzyskiwał swój zwykły sarkazm. - A może określiłeś koordynaty tego zwariowanego miejsca? Nigdy nie byliśmy ich zbyt pewni, nawet na Ziemi, właściwie trafiliśmy na nie dość przypadkowo. A teraz i to przypało!

- Nie martw się, potrafię je też wyliczyć. Otóż myślę, że nie tylko wiem, gdzie jesteśmy, ale również kiedy.

Brady spojrział z niedowierzaniem i Dennis przystąpił do wyjaśnień.

*

- Pomyśl o najważniejszych odkryciach dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku - zaczął. - Bez wątplenia najbardziej przełomowe to bioinżynieria i zewatronika.

Fizyka stała się ślepym zaułkiem już około roku 2000. Była w niej masa abstrakcyjnych problemów, ale nic, co by obiecywało ludzkości dostęp do innych światów. Układ Słoneczny okazał się przeraźliwie pusty, a gwiazdy nadal były strasznie odległe.

Ale dzięki inżynierii genetycznej pojawiła się możliwość tworzenia prawie dowolnych form życia, dostosowanych do każdego warunków. Praca, którą dopiero zaczynano w Saha-ryjskim Instytucie Technologii, kiedy tam byliśmy, wiodła do, jak się zdawało - świata pełnego cudów: gigantycznych kurczaków, krów dających jogurt, a nawet jednorożców, smoków i gryfów!

A potem pojawił się zewatron otwierający drogę do gwiazd, którą teoria względności zamknęła, zdawałoby się, na zawsze.

Teraz wyobraź sobie oba kierunki w przyszłości.

Za jakieś sto lat efekt zew zostanie opanowany do perfekcji i grupy kolonistów będą wędrować do innych światów, żeby tam uprawiać swoje odmienne style życia. Nie będą zabierać ze sobą wielu narzędzi, a jedynie absolutne minimum tego, co przejdzie przez zewatron. Ostatecznie, skoro można wyprodukować na zamówienie organizmy do wypełniania dowolnej funkcji, to po co obciążać się tonami metalu?

Samonaprawiające się, półrozumne roboty z materii żywej odwiozą cię do pracy, uprawią twoją rolę i sprzątną twój dom. Chodzące mózgi zapiszą wasze polecenia i wyrecytują każdą potrzebną wam informację. Ogniście wierne olbrzymie latające smoki z laserowymi oczami będą strzegły nowych kolonii przed zagrożeniami. Wszystkie te wyspecjalizowane organizmy będą napędzane pożywieniem wytwarzanym w odpowiednich zakładach.

W przyszłości koloniści nie będą wyruszać w statkach gwiazdnych ani nie będą zabierać ze sobą metalu. Po co, skoro będą mogli zwyczajnie przekroczyć bramę do nowego świata i programować żywe istoty na każdą okazję?

Brady podrapał się w głowę.

- To jest fantazjowanie, Nuel. Nie możesz wiedzieć, co się zdarzy w przyszłości.

- Rzecz w tym, że mogę - powiedział Dennis z uśmiechem. - To jest właśnie przyszłość, Brady.

Brady wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

*

- Wyobraź sobie grupę kolonistów, należących do marginesowej grupy z uprzedzeniami do maszyn - mówił Dennis. - Powiedzmy, że ta grupa znajduje piękną planetę dostępną za pośrednictwem zevatronu. Zbierają pieniądze na opłatę za przejście i zamieniają skomplikowane społeczeństwo ziemskie na swój raj, zatrzaskując za sobą drzwi.

Początkowo wszystko układa się jak najlepiej. A potem, nagle, wyrafinowane twory inżynierii genetycznej, od których uzależniona jest cała ich cywilizacja, zaczynają ginąć.

Ich uczeni w końcu znajdują przyczynę. Jest to zaraza stworzona przez inną rasę, rasę, która też szuka przestrzeni życiowej i z którą ludzkość przeżyła w ostatnich kilku stuleciach niejedno starcie. Ci wrogowie nazywani czerniawcami wybrali izolowaną placówkę ludzkości, żeby wypróbować na niej swoją nową broń.

Czerniawce wypuścili na Tatir, bo tak się ta planeta nazywała, zarazę, która nie zabijała istot zdolnych do samodzielnego życia, mogących przetrwać w dzikiej przyrodzie, ale niszczy żywność syntetyczną. Bez niej delikatne twory inżynierii genetycznej, na których opierała się cywilizacja kolonistów, były skazane na śmierć.

Uczeni na Tatirze odkryli atak zbyt późno, żeby go powstrzymać. Sztuczne istoty wymierały, poczynając od ogromnych, ale delikatnych smoków, na których opierała się obrona planety.

Doprowadzeni do desperacji koloniści uruchomili zevatro-nowe połączenie z Ziemią, żeby prosić o pomoc.

*

Brady siedział zasłuchany na brzegu krzesła.

- I co wtedy? - spytał. Dennis wzruszył ramionami.

- Ziemia bała się zakażenia chorobą. Przesłali potężne urządzenie uniemożliwiające połączenie z Tatirem przez tysiąc lat, póki nie zostanie wynaleziona antidotum. Kiedy ta maszyna zrobiła swoje, ani Ziemia, ani najeźdźcy nie mogli dotrzeć do tej planety.

- Ale - Dennis podniósł palec - zanim to się stało, z Ziemi przysłano kolonistom dar!

Spoza namiotu dobiegł ich głos Artha.

- Zwierzę chyba się uspokoiło. Przyniosę je. Siedźcie spokojnie!

Zasłona się rozsunęła i wkroczył Arth. Na jego ramieniu siedział chochlak. Na widok Brady'ego rozjarzyły mu się oczy, ale siedział spokojnie. Po chwili rozpostarł swoje błony lotne i poszybował na kolana Linnory. Pogłaskany, natychmiast zaczął mrużyć.

- My, ludzie L'Toff, nigdy nie zapomnieliśmy o darze z Ziemi, prawda, mój mały Krenegee? - szepnęła Linnora.

- To prawda - zgodził się Dennis. - W stuleciach barbarzyństwa, które nastąpiły po nieuchronnym upadku cywilizacji na Tatirze, stracono prawie wszystko. Nieliczne maszyny zardzewiały i zostały zapomniane. Ponieważ transport opierał się na poduszkowcach, zapomniano nawet zasadę koła.

Większość wyspecjalizowanych zwierząt wymarła, zostały tylko najbardziej odporne gatunki z Ziemi i fauna miejscowa. Język uległ zmianie i praktycznie cała wiedza oraz historia przepadły.

Wkrótce ludzie zniżyli się do prawie zwierzęcego poziomu. Trzeba było wiele czasu, żeby legendy o języku pisanym zainspirowały jakiegoś geniusza do wynalezienia na nowo pisma.

Na Ziemi spodziewano się, że tak właśnie będzie, a mimo to nie można było pomóc kolonistom, nie ryzykując rozprzestrzenienia się zarazy na rodzimą planetę.

Uchylono więc bramę tylko na sekundę przed zamknięciem jej na tysiąclecie. Przesłano najnowszy produkt nauki, kulminację dwóch przodujących dziedzin, biologii i fizyki rzeczywistości.

Przesłano na Tatir zwierzę odporne na zarazę, by mogło sobie radzić samo, a jednocześnie wyposażone w dar. Ten dar miał rozpowszechnić się na całej planecie i dać jej mieszkańcom szansę.

Z czasem ludzie Tatiru przejęli sami część tego daru. Ci, którzy żyli najbliżej tych stworzeń, przejęli go najwięcej i stali się ludem L'Toff.

*

Dennis kończył.

- Dar przesyłany z Ziemi był cudem z naszej perspektywy dwudziestego pierwszego wieku.

Uratował mieszkańców planety. Pomyśleć, że kiedyś uważałem go za bezużyteczny.

Brady poszedł za wzrokiem Dennisa.

- To coś? - Wskazał z niedowierzaniem na chochlaka. Zwierzak przestał się iskać i uśmiechnął się w odpowiedzi, obnażając rząd ostrych jak igły zębów.

- Tak, to jest to. - Skinął głową Dennis.

- Rzecz jasna, opierani się tylko na posklejanych strzępach legend sprzed tysiąca lat. Ale mam prawie pewność, że tak właśnie było.

Możemy sobie tylko wyobrazić, jak wygląda Ziemia w czterdziestym wieku, skoro te Krenegee żyją na niej od stuleci. Może skończyła się epoka inżynierii genetycznej i wróciła epoka narzędzi, niewiarygodnych, magicznych narzędzi. Byłbym z tego zadowolony, bo inżynieria genetyczna zawsze wydawała mi się dość podejrzana z etycznego punktu widzenia.

Dennis podszedł do Linnory. Księżniczka i chochlak spojrzeli na uśmiechniętego Dennisa. Potem odwrócił się z powrotem do Brady'ego i dokończył:

- Teraz, wreszcie, mury odgradzające ten świat padają. Nie wiadomo, dlaczego pierwsze otworzyło się dziwne międzyczasowe przejście do Ziemi dwudziestego pierwszego wieku, może dlatego, że tam powstał pierwszy zevatron.

Wkrótce staną otworem inne przejścia i ci ludzie muszą się na to przygotować. Czerniawce pewnie gdzieś tam czyhają, żeby się tu przedostać.

Dlatego myślę, że tu pozostanę, kiedy naprawimy mechanizm powrotny i odeślemy cię na Ziemię.

Linnora wzięła go za rękę.

- Przynajmniej jest to jeden z powodów - dodał. Brady był wstrząśnięty.

- To niezwykle przekonywająca historia, Nuel. Poza jednym szczegółem.

- Ciekawe jakim?

- Nadal nie powiedziałeś mi, jakim to talentem rozporządza to złośliwe stworzenie. Na czym miał polegać ten rzekomy dar Ziemi?

- Chcesz powiedzieć, że nikt ci dotąd nie wyjaśnił tej sprawy? - zdziwił się Dennis.

- Nie! I dłużej tego nie wytrzymam! W tym świecie coś jest pokrecone! Zauważyłeś niesamowitą mieszaninę technologii, jaką oni tu mają? Nie mogę za grosz zrozumieć, co się tu dzieje i to mnie doprowadza do szaleństwa!

Dennis przypomniał sobie, ile to razy podczas swego pobytu na Tatirze poprzysięgał sobie zemstę na Bradym. Teraz miał go w ręku, ale cała złość minęła. Postanowił się zadowolić jednym drobnym aktem zemsty.

- Pozwolę ci dojść do tego samemu, Brady. Jestem przekonany, że umysł taki jak twój rozwiąże ten problem, jeżeli tylko odpowiednio nad tym popracujesz.

Bernald Brady siedział bez ruchu. Nie pozostało mu nic innego, jak gotować się wewnątrz, podczas gdy jego były rywal Dennis Nuel śmiał się z niego. Śmiali się też kobieta, mały człowieczek i dziwaczne stworzenie z przyszłości. Brady podejrzewał, że proces poznawania prawdy nie będzie dla niego przyjemny.

[1] Ballon d'essai (fr.) - balon próbny